

**JOE ALEX (MACIEJ SŁOMCZYŃSKI)**

**MAURICE S. ANDREWS (ANDRZEJ SZCZYPIORSKI)**

**NOËL RANDON (TADEUSZ KWIATKOWSKI)**

# **POD SZLACHETNYM KONIEM**

**NIECHAJ ODNAJDĄ SWOICH WROGÓW**

**ŚLEDZTWO PRZY ULICY LAOS**

**WEEKEND W PENSJONACIE „CYPRYS”**

**POD SZLACHETNYM KONIEM**

*Joe Alex*  
*(Maciej Słomczyński)*

**„NIECHAJ ODNAJDĄ SWOICH WROGÓW”**

*Wielcy bogowie, którzy nad głowami  
Naszymi gromy tej burzy rozdarli,  
Niechaj odnajdą teraz swoich wrogów.  
Zadrżnij, nędzniku, tający przed prawem  
Swe zbrodnie. Skryj się, ręko krwią splamiona.*

William Szekspir *Król Lear*, akt III, scena 2  
tłum. Maciej Słomczyński

## 1. „JOWIALNY MISTER KNOX”

Joe Alex odłożył gazetę, w której pomimo rozpaczliwych wysiłków nie umiał znaleźć ani jednej interesującej wiadomości. Przymknął znużone oczy i westchnął. Był bardzo zmęczony. Gdzieś poza szeroką, cicho podzwaniającą taflą olbrzymiej szyby, zajmującej prawie całą ścianę poczekalni, grzmiąły zapuszczane nierówno silniki wielkiego samolotu pasażerskiego i siedzący doznawał wrażenia, że przytłumione wibracje motorów wstrząsają wszystkimi komórkami jego mózgu. A mózg ten był umęczony tygodniem niemijającego upału, tygodniem wypełnionym setkami zdawkowych rozmów z ludźmi życzącymi mu jak najlepiej, a najbardziej umęczony mowami pożegnalnymi w czasie bankietu, który zakończył się przed niecałą godziną, a trwał od wczesnego popołudnia.

Na szczęście port lotniczy Ian Smuts leżał dostatecznie daleko poza miastem, aby Alexowi udało się pozbyć wszystkich odprowadzających poza prezesem Klubu Południowoafrykańskich Miłośników Książki Kryminalnej. Prezes, który w ciągu ostatnich siedmiu dni pełnił wobec niego obowiązki gospodarza, nie pozwolił mu wziąć taksówki, odwiózł własnym samochodem na lotnisko, ale pożegnał go przed dworcem, gdyż wypił podczas bankietu trochę za wiele i najwyraźniej obawiał się późnego powrotu przez opustoszałe ulice miasta, na których czyhały patrole policji drogowej, tak bardzo zawsze zainteresowane trzeźwością kierowców.

Tak więc Joe wysiadł sam, niosąc w jednej ręce niewielki podróżny neseser, a w drugiej bukiet wspaniałych białych róż o na wpół rozwiniętych koronach.

Teraz, kiedy siedział zagłębiony w zdradliwie miękkim fotelu małej, bocznej poczekalni dworcowej, przeznaczonej dla pasażerów ruchu międzynarodowego, leżące na stoliku róże przypomniały mu nagle Karolinę. Lubił patrzeć na Karolinę z kwiatami, a te były bardzo piękne, świeże jeszcze zupełnie, z kropelkami rosy osiadłymi na płatkach. W kropelkach odbijały się maleńkie lampy oświetlające salę.

Westchnął. Pożałował nagle, że nie ma tu Karoliny. Byłoby jej do twarzy z tymi kwiatami. Miała wrodzony dar posługiwania się otaczającymi przedmiotami dla podkreślenia swojej urody, a robiła to tak mimowolnie, że...

Myśl przerwała się. Joe z wysiłkiem opanował pragnienie oparcia głowy na poręczy fotela. Powrócił spojrzeniem do białych róż. Kiedy samolot po przelecie nad całym kontynentem afrykańskim, nad Morzem Śródziemnym i Europą, wyląduje wreszcie w Londynie, zwiędną już chyba zupełnie. A może poprosić stewardesę, żeby włożyła je do wody?

To by było przyjemne i takie niecodzienne: dać Karolinie róże z Afryki. Wprost z lotniska pojedzie do domu, wykąpie się, przebierze, przejrzy pocztę i wyruszy na poszukiwanie tej śmiesznej, bardzo poważnej dziewczyny, o której nigdy nie potrafi myśleć obojętnie. Nie zawiadomił jej o dniu i godzinie swego przyjazdu. Nigdy nie pisywali do siebie i nie telefonowali, jeżeli któreś z nich było za granicą. Kochali się już od kilku lat trudną miłością wolnych, niezależnych ludzi i wiedzieli oboje instynktownie, że miłość ta będzie tym prawdziwsza i bardziej trwała, im mniej będzie w niej obowiązków i stereotypowej uprzejmości, a więcej swobody i odruchowego działania. Tak. To będzie najlepsze: od rana wyruszy na poszukiwanie Karoliny z bukietem róż, jeżeli nie tym, to w każdym razie podobnym...

Myśl ta ożywiła go trochę, ale po chwili projekt wydał mu się śmieszny.

— O Boże... — mruknął — przecież ten samolot powinien już tu być...

Ale samolotu jeszcze nie było. Zainstalowany w poczekalni megafon milczał. Joe wyjął chustkę i otarł nią czoło. Pomimo klimatyzacji i pracujących niestrudzenie i cicho wentylatorów pod sufitem, powietrze było ciężkie, parne i przesycone lepką wilgocią.

W tej samej chwili, kiedy Joe westchnął po raz drugi, megafon ożył. Rozległ się melodyjny, kobiecy głos:

— Uwaga! Uwaga!

Alex szybko uniósł głowę. Owalny, elektryczny zegar na ścianie poczekalni wskazywał godzinę dwudziestą drugą trzydzieści.

— ...podróżnych udających się do Capetown prosimy o zajęcie miejsc w samolocie znajdującym się przed głównym wejściem dworca! — dokończył głośnik i ucichł.

Joe opadł na fotel i rozejrzał się leniwie. Kilka stolików, zajmujących wewnątrz salki, było zajętych, ale w sumie osób udających się w kierunku Londynu było bardzo niewiele.

Przy najbliższym stoliku, na wprost okna, siedziała profilem do patrzącego młoda i bardzo ładna kobieta, ubrana z może nieco zbyt wyzywającą elegancją. Wszystko, co miała na sobie, wydawało się o włos za obcisłe, jak gdyby dla podkreślenia uroków budowy ciała, a maleńki, czerwony kapelusik, osadzony na czarnych, gładkich włosach, wydał się Alexowi odrobinę zbyt czerwony. Przy fotelu siedzącej, która przeglądała magazyn ilustrowany, stała niewielka, elegancka walizka, niemal całkowicie oklejona znaczkami hotelowymi, co Joe również uznał w duchu za dowód nienadzwyczajnego smaku jej właścicielki. Obok walizki piętrzył się potężny, okuty kufer-szafa, którego przewóz samolotem musiał kosztować chyba tyle samo, co przewóz pasażera. Na kufurze leżała parasolka, cienka i lśniąca jak szpada. Przez chwilę Alex zastanawiał się, jaki może być zawód tej dziewczyny, i doszedł do wniosku, że albo nie

ma żadnego, albo jest gwiazdą musicalu. Skierował wzrok ku następnemu stolikowi.

Osoby, które znajdowały się przy nim, były nieco bardziej interesujące, chociażby ze względu na dysproporcje fizyczne zachodzące pomiędzy nimi. Zwrócony twarzą do Joego, drzemał z głową opartą o poręcz fotela, wygodnie rozwalony, ogorzały młody człowiek o barach Herkulesa i czole kretyna. Krótkie, jasne włosy ostrzyżone na jeża, nadawały jego uśpionej twarzy wygląd jeszcze prymitywniejszy, a sportowa marynarka z grubego tweedu potęgowała szerokość rozłożystych ramion. Natomiast człowiek siedzący obok drzemiącego stanowił jego fizyczne przeciwieństwo. Był mały, drobny i ruchliwy, a jego bystre oczka, osadzone pod wypukłym czołem, nad którym świeciła łysina kończąca się za uszami kępkami siwiejących włosów, poruszały się niespokojnie, omiatając nieustannie salę krótkimi spojrzeniami, jak gdyby właściciel ich nie wiedział dokładnie, co spodziewa się dostrzec, ale był zdecydowany nie opuścić niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Od czasu do czasu spoglądał na śpiącego olbrzyma i w pewnej chwili rozluźnił mu krawat delikatnymi ruchami palców, których troskliwość przypominała ruchy matki, krzątającej się wokół uśpionego dziecka.

„Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś...” — zacytował Joe i uśmiechnął się do siebie. Zapaśnik albo bokser i jego trener... — pomyślał i przeniósł spojrzenie ku następnemu stolikowi, przy którym siedział spokojny, stonowanie ubrany pan w średnim wieku. Był tak podobny do tysięcy Anglików, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę i zdołali w ciągu swego życia osiągnąć dobrobyt, że wzrok Alexa prześliznął się po nim obojętnie, rejestrując jedynie ciekawy szczegół tej postaci: niezwykle silnie powiększające okulary w czarnej rogowej oprawie. Kiedy uniósł głowę, spojrzenia ich zetknęły się na chwilę i Alex dostrzegł ogromne, powiększone do zdumiewających rozmiarów wypukłością szkieł, wodniste, jasnyniebieskie oczy. Na stoliku przed tym człowiekiem leżał podobny do pudełka, niewielki, skórzany neseser, zaopatrzony na całej długości w błyskawiczny zamek. Prawa dłoń siedzącego spoczywała na neseserze, nie opuszczając go ani na chwilę. Joe pomyślał przelotnie, że w walizce tej mogłaby się swobodnie pomieścić odcięta głowa ludzka, a potem odwrócił wzrok i uśmiechnął się do siebie, jak zawsze, gdy w spostrzeżeniach chwytął się na tym, co nazywał u siebie skazą zawodową.

Najdłużej zatrzymał spojrzenie na osobie, siedzącej po prawej ręce, tuż pod oknem.

Była to kobieta mogąca mieć około pięćdziesięciu lat i ani w jej postaci, ani w rysach nie było niczego, co na pierwszy rzut oka można było zakwalifikować jako niecodzienne. Niezwykle schludna, ubrana w prosty, szary, dobrze skrojony kostium podróży, zdawała się być jedną z owych niezliczonych dam w średnim wieku, które w ostatnich latach można tak

często spotkać na pokładach transatlantyków i w kabinach międzykontynentalnych samolotów pasażerskich. Damy te — wdowy, stare panny albo matki dorosłych, mieszkających na krańcach świata dzieci — podróżują bardzo wiele w drugiej połowie dwudziestego wieku z odwagą, przedsiębiorczością i orientacją, o której nie śniło się ich matkom, i dają widomy dowód, że kobieta jest stworzeniem, o które nie należy zbytnio dbać, gdyż świetnie potrafi sama sobie w życiu poradzić, jeżeli się jej na to pozwoli.

Wpatrując się w nią dyskretnie, Joe zastanawiał się przez chwilę, co go tak bardzo fascynuje w tej dość zwykłej sylwetce. Nagle zrozumiał, że zadziwia go jej bezruch. Siedziała nieporuszona, nie mrugnawszy nawet powieką, jak gdyby nie była żywym człowiekiem, ale modelem podróźnej, wykonanym z wosku i posadzonym tu przez kogoś, kto chciał sobie zażartować z braku spostrzegawczości czekających w poczekalni pasażerów. W dodatku wyprostowana była tak, jakby siedziała nie w wygodnym fotelu, ale na twardym, wysokim stołku barowym bez oparcia. Przez pewien czas Joe z zainteresowaniem przyglądał się jej spod oka, ale ani drgnęła.

To byli wszyscy. Raz jeszcze powiódł po nich oczyma i nie znajdując żadnego oparcia dla wyobraźni, powrócił do gazety.

U dołu tytułowej strony dziennika była jego mała podobizna, a obok niej notatka tłustym drukiem, rozpoczynająca się od słów:

Klub Południowoafrykańskich Miłośników Książki  
Kryminalnej będzie dziś podejmował pożegnalnym  
obiadem powracającego do Anglii po tygodniowym  
pobytku w naszym kraju znanego autora powieści  
sensacyjnych i sławnego eksperta kryminalnego  
Scotland Yardu w jednej osobie, Mr. Joego Alexa...

Rozległ się cichy trzask włączanego megafonu i melodyjny głos kobiety zapowiedział:

— Uwaga! Uwaga! Samolot do Nairobi — Addis Abeby — Kairu — Zurychu i Londynu, który miał wystartować z naszego lotniska o godzinie dwudziestej drugiej minut czterdzieści pięć, odleci najprawdopodobniej z dwudziestominutowym opóźnieniem, za które bardzo przepraszamy oczekujących pasażerów. Przyczyną opóźnienia jest gwałtowna burza na trasie lotu. Przesuwa się ona szybko i samolot wystartuje, kiedy tylko warunki atmosferyczne na to pozwolą.

Joe westchnął po raz nie wiadomo który i nagle pożałował, że wymyślono samoloty.

Gdyby nie ten prosty fakt, znajdowałby się teraz w kabinie statku płynącego pośród ciemności wokół ledwie widocznych na widnokręgu wybrzeży Afryki. Wiatr przyniósłby woń dżungli zmieszaną z nieuchwytnym, a tak charakterystycznym zapachem podzwrotnikowego morza. Gdzieś, na którymś z pokładów, grałaby orkiestra i dźwięk jej przyciszonych instrumentów niósłby się po...

Wzruszył ramionami. Nie miał nigdy czasu na to, żeby używać jakichkolwiek innych środków komunikacji poza najszybszymi. W końcu to kilkunastominutowe opóźnienie nic nie znaczyło. Samolot nadrobi je z łatwością podczas pierwszych dwu godzin lotu. Ale miał już wszystkiego dosyć.

Wahadłowe drzwi, prowadzące do głównej hali dworca, drgnęły, i ukazał się w nich tęgi pasażer, a za nim ubrany w białą bluzę czarny tragarz. Joe przymknął oczy. Otoczenie przestało go interesować. Po chwili usłyszał głos tragarza:

— Może tutaj, proszę pana?

Głos rozległ się w bezpośredniej bliskości, więc otworzył oczy i dostrzegł tragarza stojącego tuż przy zajmowanym przez niego stoliku.

— Czy można? — powiedział tragarz i, nie czekając na odpowiedź, oparł o krawędź stolika wielki, czarny parasol. Równocześnie postawił na podłodze walizkę, którą trzymał w ręce. Otyły mężczyzna skinął głową, potem uchylił kapelusza i ciężko opadł na fotel. Nie patrząc nawet, podał tragarzowi monetę, którą miał już najwyraźniej przygotowaną w dłoni. Potem uniósł głowę i napotkawszy spojrzenie Alexa, powiedział szybko:

— Dziękuję bardzo, nie zapytałem nawet, czy to miejsce jest wolne...

— Oczywiście... — Joe wziął ze stolika gazetę.

— Niech mnie usprawiedliwi ten ohydny upał! — Gruby pan wyciągnął z bocznej kieszeni wielką, nieco już zmiętą, niebieską chustkę i otarł nią kark, a potem szyję i twarz ruchem, jakim człowiek ociera się po kąpieli. Joe, który żywił ciche przekonanie, że powinno się używać tylko białych chustek, przyglądał mu się z lekką niechęcią, z jaką człowiek pragnący samotności musi patrzeć na każdą żywą istotę wkraczającą w orbitę jego istnienia. Niechęć ta spowodowana była odruchowo jeszcze i tym, że otyły pan sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia.

Palce trzymające chustkę były wypielęgnowane, może zanadto wypielęgnowane, co dla Alexa, mającego dość zdecydowany pogląd na temat mężczyzn o wymanicuirowanych paznokciach, było równoznaczne z zakwalifikowaniem grubasa do innego gatunku stworzeń ludzkich niż ten, do którego należał on sam, a nie był w tej chwili w nastroju sprzyjającym studiom socjologicznym. Mimo to z nawyku raczej zarejestrował, że teczka, którą grubas

postawił na stoliku, nosiła fantazyjny, srebrny monogram „RK”. U środkowego guzika marynarki tego człowieka zwisały dwie małe paczuszki, które w tej chwili zaczął niezdarnie rozplątywać. Kiedy uporał się z tym, położył je obok teczki. Zawinięte były w kolorowy papier z nadrukiem jednego z owych wielkich magazynów, gdzie można kupić absolutnie wszystko i to o kilka procent taniej niż gdzie indziej.

— Taka temperatura może wyprawić człowieka mojej tuszy na tamten świat prędzej niż kat i wszyscy jego pomocnicy — mruknął otyły pan i rozluźnił krawat.

— Rzeczywiście jest bardzo ciepło... — Joe szybko skierował spojrzenie na gazetę, ale już było za późno. Tamten mówił dalej:

— W dodatku niepotrzebnie się tak spieszyłem. Piekielnie daleko od miasta jest ten dworzec. Bałem się trochę, że tym razem naprawdę nie zdążę i samolot odleci beze mnie.

Odlot jest opóźniony, prawda?

— Tak, opóźniony... — Joe skinął z roztargnieniem głową, starając się znaleźć na stronicach gazety coś, co mogłoby go gwałtownie zainteresować. Nie znalazł nic, ale zmarszczył brwi i pochylił się, jak gdyby poruszony jakąś niecodzienną wiadomością.

— Czy bardzo? — zapytał tamten, nie zwracając najwyraźniej uwagi na jego wysiłki i robiąc to z taką dobroduszością, że Alex poczuł się bezsilny.

— Przed chwilą podawali, że wyruszymy mniej więcej dwadzieścia minut później, niż powinniśmy.

— No, to jeszcze nic strasznego. Co miesiąc latam do Londynu i z powrotem. Zawsze w którymś miejscu trasy zdarza się coś nieprzewidzianego, ale w końcu przylatuje się na czas. Oni są bardzo punktualni, a poza tym samolot i tak jest sto razy lepszy od statku.

— Być może... — mruknął Joe. — W każdym razie szybszy. Zagłębił się w lekturze. Próbując przestudiować kolumnę obliczeń giełdowych, które nie obchodziły go w ogóle i których absolutnie nie rozumiał, starał się odgrodzić kolumnami drobniateńskich cyfr od obecności i ciężkiego oddechu otyłego pana. Ale grubas ciągnął dalej z nieuchronnością przeznaczenia:

— Tak, samolot to bardzo szybki ptaszek... A w moim zawodzie szybkość jest najważniejsza. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi...

Urwał na chwilę i Joe pomyślał, że to już koniec, ale okazało się, że chodzi tylko o ponowne otarcie twarzy błękitną chustką. Znajomy głos doszedł go znowu:

— Rzadko bywa tak duszno o tej porze roku, nawet u nas... To prawdopodobnie przez tę burzę, która wisi w powietrzu...

Tym razem Alex załamał się i uniósł głowę znad gazety. Z cierpliwą uprzejmością



udręczonego, ale dobrze wychowanego człowieka, który zetknął się z dobrodusznym, nie zamierzonym natręctwem i nie chce okazać się gburem, chociaż uważałby to za zupełnie usprawiedliwione, powiedział:

— Jestem przekonany, że ma pan słuszność. No, w samolocie na pewno będzie chłodniej.

— Na pewno! — Grubas ożywił się. Ale tym razem Joe miał już naprawdę dosyć. Zasłonił się gazetą jak fehmistrz klingą i zniknął z pola widzenia atakującego przeciwnika. Po chwili przerzucając strony zerknął na siedzącego naprzeciw człowieka i dostrzegł, że wyjmuje on z kieszeni tę samą gazetę. Joe odetchnął z ulgą. To przynajmniej gwarantowało spokój do chwili odlotu. Nagle zauważył, że oczy tamtego szybko wędrują ku jego twarzy, powracają do gazety i znowu patrzą na niego, jak gdyby porównując, a za chwilę odrywają się, żeby spojrzeć na bukiet białych róż.

Boże Wszechmogący... — pomyślał Joe z prawdziwym przerażeniem. — Moja fotografia!

I nie omylił się. Otyły pan raz jeszcze upewnił się, rzucając okiem na gazetę i na twarz siedzącego, a potem usta jego rozchyliły się z wyrazem dziecięcego zdumienia.

— O mój wielki, jedyny Boże! A ja przysiadłem się do pana, jak do każdego innego pasażera... jakby pan był kimś takim samym jak ja, na przykład... A to zabawne! Nie miałem zielonego pojęcia! To przecież pan jest ten Joe Alex od tych zagadek z mordercami. Wszyscy myślą, że zabił „A”, a tymczasem zabił zupełnie kto inny... No, popatrzcie! — Jeszcze raz rzucił okiem na gazetę. — No, tak! Ten sam. Nie może być omyłki. O mój wielki, jedyny Boże!

Joe po przejściu fali paniki uśmiechnął się niespodziewanie. Ogarnęło go rozbawienie.

— Tak, proszę pana. To ja. Ale bardzo prosiłbym pana, żeby...

— Nie musi się pan przyznawać! Od razu pana poznałem, kiedy tylko spojrzałem na tę fotografię... — Pokręcił głową ze zdumieniem. — Ale się zdziwią chłopcy w City, kiedy im o tym opowiem. A powiem im po prostu tak: „Przyjeżdżam ja, moi kochani, na lotnisko w Johannesburgu, cały zdyszany, bo trochę spóźniłem się, a w taksówce było bardzo gorąco, wchodzę do poczekalni i siadam przy pierwszym stoliku, nie zwracając wcale uwagi na faceta, który już tam siedział. Potem pytam tego faceta, czy podawali, jak bardzo opóźniony jest samolot, on na to odpowiada mi grzecznie parę słów, a potem jeszcze chwilę gawędzimy o pogodzie. Potem wziąłem gazetę do ręki, zajrzałem i zobaczyłem w niej na pierwszej stronie fotografię tego człowieka. No i zgadnijcie, kto to był?...” Nie zgadną, może pan być spokojny, chociaż ludzie w jubilerskiej branży mają nie najgorsze głowy. Jak zresztą mogą zgadnąć? Więc ja im powiem po chwili: „To był właśnie ten Joe Alex, który odkrywa zbrodnie i pisze książki o takich mądrych mordercach, że gdyby naprawdę tacy istnieli, to

nikogo uczciwego już nie byłoby na świecie. A potem leciałem z nim aż do samego Londynu”. Pan leci do Londynu, prawda?

— Tak, ale błagam pana...

Otyły pan zamachał gwałtownie wymanicurowanymi dłońmi i powiedział szybko:

— Och, rozumiem, rozumiem doskonale. Nikomu ani słowa! *Incognito!* Tak się to nazywa, prawda? Mój Boże, jak to przyjemnie poznać kogoś, kto zachowuje prawdziwe *incognito*. Pozwoli pan, że się przedstawię. Moje nazwisko brzmi Knox. Jestem przedstawicielem kopalni brylantów. Co miesiąc, a nawet czasem co dwa tygodnie latam do Londynu i oferuję nasz towar jubilerom. Właśnie dlatego dzisiaj pana spotkałem. Jestem, jak by to powiedzieć, komiwojażerem od drogich kamieni, i to latającym komiwojażerem, co się nie każdemu zdarza, cha, cha, cha!

Zaśmiał się tak donośnie, że dwie czy trzy głowy odwróciły się ku nim od sąsiednich stolików, a młody, śpiący w fotelu wielkolud poruszył się niespokojnie.

Alex uprzejmie skinął głową. Znowu poczuł znużenie. Chwilowe rozbawienie znikło tak szybko, jak się pojawiło. Za oknem powtórnie zagrzmiały silniki jakiegoś samolotu. Poza tym było zupełnie cicho, tylko od strony głównego holu dworca, spoza wahadłowych drzwi poczekalni, dochodził przytłumiony dźwięk głosów i szelest stóp na kamiennych płytach posadzki.

Patrząc na spoconą, pyzată twarz swego rozmówcy zmęczony już Alex nie wiedział jeszcze, że przeznaczenie rozpoczęło swój nieuchronny marsz i oto jest wplątany w jedno z najbardziej ponurych i zdumiewających zdarzeń, z jakimi zetknął się w swoim bogatym życiu.

## 2. „ALE MISTER KNOX WZRUSZYŁ TYLKO RAMIONAMI...”

— I wozi pan ze sobą swoje brylanty? — zapytał Joe, udając zainteresowanie, co nie bardzo mu się udało, bo ziewnął i zaledwie zdążył zasłonić usta ręką. Ale Mr. Knox nie zwrócił na to uwagi. Wzrok, który utkwił w Alexa, zdawał się świadczyć, że każde jego zachowanie gotów jest uznać za słuszne i właściwe. Był najwyraźniej przejęty i osobą swego rozmówcy, i tematem, który był mu najbliższy. Dopiero po zadaniu pytania Joe zrozumiał poniewczasie, że o ile dotąd jego rozmówca był wylewny, to w tej chwili może runąć na jego skołataną głowę lawina słów. I tak się stało.

— Ależ skądże! — Knox uśmiechnął się z pobłażaniem pełnym szacunku. — Po pierwsze to nie moje brylanty, chociaż Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałbym, żeby chociaż kilka z nich należało kiedykolwiek do mnie. Jestem tylko skromnym przedstawicielem wielkiej kopalni. Po drugie nie wożę ich ze sobą, bo nikomu nie wolno ich wywozić. Jak pan może wie, nie wolno bez opłacenia wielkiego cła protekcyjnego wywozić nie oszlifowanych brylantów wydobytych u nas w kraju. Mamy największe kopalnie na świecie i nic dziwnego, że nasz rząd pilnuje swoich interesów. Nie ma więc innego sposobu, jak tylko informować ciągle naszych klientów o nowo wydobytych kamieniach, ich odcieniu, ciężarze, jakości i tak dalej. Mam też do dyspozycji fotografie i odlewy gipsowe. Przy znajomości rzeczy to najzupełniej wystarcza, bo szczerze mówiąc znawcy kamieni potrafią porozumieć się za pomocą kilku stów. Jeżeli znajdzie się jakiś fenomenalny okaz, co nie — zdarza się znowu zbyt często, to goście zjeżdżają się sami, nie czekając, aż im się go zaoferuje. Wtedy urządzamy aukcje na miejscu. Ale jeżeli chodzi o zwykłą produkcję kopalni, to jest ona duża i stała. Trzeba oferować hurt wielkim firmom jubilerskim i handlarzom, którzy wiedzą, co komu w danej chwili jest potrzebne, i często sami skupują rezerwy kamieni, jeżeli przeczuwają hossę. A ponieważ na rynku światowym jest wielka konkurencja, a kopalnia, którą reprezentuję, nie jest przecież jedyna w naszym kraju, więc chcąc dotrzeć jak najszybciej do...

Nagle umilkł i znieruchomiał, patrząc szeroko otwartymi oczami w przestrzeń. W oczach tych malowało się tak wielkie zaskoczenie, że Joe, który nie słuchał go prawie dotąd, odwrócił głowę i popatrzył za jego spojrzeniem.

Przez chwilę nie mógł się zorientować, ale potem spostrzegł, że Knox wpatruje się najwyraźniej w ową damę, siedzącą nadal w wyprostowanej pozycji, której (jak Alex mógłby przysiąc) nie zmieniła od czasu, gdy Joe spojrzął na nią po raz pierwszy. Nadal patrzyła

w przestrzeń kamiennym, niewidzącym wzrokiem, jakby była pomnikiem pasażera, a nie żywym pasażerem.

Knox potrząsnął głową jak człowiek, który otrzymał niespodziewane uderzenie.

— No, coś podobnego... — powiedział cicho, spojrzawszy na Alexa i, najwyraźniej przypominając sobie o jego obecności, opanował się. — Bardzo duszno... — powiedział z przeproszającym uśmiechem. — O czym to ja mówiłem? Ach tak, o brylantach. Więc chcąc sprzedać najlepsze wydobyte ostatnio okazy, kopalnia musi mieć swoich przedstawicieli, którzy podróżując po centralach skupu trzymają, jak to się mówi, rękę na... — Znowu spojrzawszy odruchowo w stronę nieruchomej kobiety naprzeciw — ...na pulsie. Tak, na pulsie...

— Urwał i zaraz dodał prędko: — A jak... jak się panu podobał nasz kraj? Niektórym cudzoziemcom od razu przypada do serca, a innym nie. Czy jest pan u nas po raz pierwszy?

— Tak. Pierwszy raz. To bardzo piękny kraj i żałuję, że nie miałem okazji lepiej go poznać. Byłem tu tylko przez tydzień, w samym Johannesburgu, i zajmowałem się tysiącem spraw nie związanych z Afryką Południową. Ale wydaje mi się, że możecie być szczęśliwi, mieszkając pośród takiego krajobrazu.

— Tak. Ma pan słuszność! — Mr. Knox zdawał się już zupełnie nie pamiętać o swoim poprzednim zdumieniu. — To najpiękniejszy kraj na świecie. I przysięgam, że nigdy nie mógłbym stąd na stałe...

Znowu urwał, bo w drzwiach prowadzących z głównego holu pojawiła się uśmiechnięta młoda dziewczyna w mundurze stewardesy. Była ładna i tak sympatyczna już na pierwszy rzut oka, że Alex mimowolnie oddał jej uśmiech, chociaż wiedział, że nie mogła tego zauważyć.

Dziewczyna zaszalutowała przykładając palce do swojej zgrabnej furażerki i powiedziała jasnym, dźwięcznym głosem:

— Dobry wieczór! Jestem gospodynią na pokładzie samolotu, którym odleciecie państwo w kierunku Londynu. Warunki na trasie poprawiają się z każdą chwilą i wkrótce wystartujemy. Chciałam zapytać, czy już teraz nie mogę być komuś z państwa pomocna? Małych dzieci nie ma wśród pasażerów, prawda?

Rozejrzała się z tym samym miłym, spokojnym uśmiechem i pewnością ruchów wzbudzającymi odruchowe zaufanie. Joe znowu spojrzawszy i pomyślał, że tego rodzaju zachowanie powinno cechować dobrą pielęgniarkę, która pragnie nawiązać szybki kontakt z chorymi.

— Czy ktoś z państwa nie ma jakiegoś specjalnego życzenia, które moglibyśmy uwzględnić już tu, na lotnisku?

Uśmiechała się, czekając na odpowiedź, a kiedy słowa padły niespodziewanie, Alex z trudem powstrzymał się od śmiechu, tak były zaskakujące!

Mały, łysy człowieczek, siedzący obok uspiętego olbrzyma, zerwał się i wycelował w stewardesę palec, wyprostowany i tępo zakończony jak lufa pistoletu.

— Czy może być polędwica na śniadanie? Taki duży, surowy befsztyk, zupełnie surowy, panienczko, posiekany drobniutko i przyprawiony pieprzem i solą, z dwoma jajkami, też surowymi, wbitymi do środka? I żeby to wszystko było absolutnie świeże, bo inaczej może być tragedia. Każda sprawa z żołądkiem to ruina kondycji.

Dziewczyna zastanawiała się przez sekundę, potem skinęła głową i obdarzyła małego człowieczka najpiękniejszym z dotychczas wysłanych uśmiechów, na który najwidoczniej nie zwrócił żadnej uwagi, bo jego wysunięty palec nawet nie drgnął. Człowieczek nie usiadł, stał czujny, z rozbieganym wzrokiem, oczekujący odpowiedzi.

— Jeżeli nie znajdziemy przed odlotem tu, na miejscu, świeżej polędwicy i przypraw, o które pan prosił, zawiadomimy w czasie lotu drogą radiową Nairobi, a kiedy samolot wyląduje, befsztyk będzie już na pana czekał. Za świeżość potraw odpowiadamy, oczywiście, pod każdym względem. Na pokładzie samolotów naszej linii podróży mogą i muszą otrzymywać posiłki jedynie najwyższej jakości. Jesteśmy do tego zobowiązani i czujemy się odpowiedzialni nie tylko za bezpieczeństwo naszych pasażerów, ale prawie w tym samym stopniu za ich apetyt. Zresztą ja sama przyrządzę wszystko najściślej według pana wskazówek.

Młody gigant, który do tej pory siedział rozparty nieruchomo z zamkniętymi oczami, otworzył je, przetarł leniwie i usiadł wyprostowany, przeciągając potężne ramiona.

— Samuelu — zapytał trochę nieprzytomnie — czego ona chce? Powiedziałeś jej przecież, żeby był duży, świeży i z polędwicy.

— Powiedziałem! — Mały człowieczek energicznie kiwał głową. — Ale zawsze mówi się jedno, a ludzie robią swoje i wychodzi zupełnie inaczej... — Zwrócił się jeszcze raz do stewardesy: — Tylko proszę pamiętać, żeby to nie była porcja dla dziecka, panienko. Ten tu Fighter Jack będzie za trzy tygodnie walczył w Londynie o mistrzostwo świata i nie może przedtem przymierać głodem tylko dlatego, że w jakiejś zakazanej murzyńskiej dziurze zabrakło uczciwej, chrześcijańskiej polędwicy.

Wypowiedział to ostro, tonem nie zdradzającym najmniejszego szacunku dla linii lotniczych i ich obsługi. Ale uśmiech dziewczyny nie zmienił się ani odrobinę.

— Oczywiście, proszę pana. Doskonale rozumiemy pana przejęcie się tymi sprawami. Proszę nam wierzyć, że dołożymy wszystkich sił, aby pan Fighter Jack opuścił nasz samolot

w nie gorszej kondycji niż ta, którą posiadał wchodząc na pokład naszej maszyny. Poza tym życzymy zwycięstwa po przylocie do Europy. Mamy nadzieję, że w powrotnej drodze lecieć będzie pan nie jako pretendent do tytułu, ale jako mistrz. Czy ktoś z państwa ma jeszcze jakieś życzenia?

W ciszy, która zaległa w salce, Alex usłyszał słowa wypowiedziane półgłosem przez Mr. Knoxa.

— No, no, no... Najpierw Joe Alex, a teraz Fighter Jack! Same sławy, mój wielki, jedyny Boże! Jeżeli ten samolot gruchnie przypadkiem na ziemię i zamieni nas w coś podobnego do tego befsztyka, o który upomina się ten mały facet, to gazety będą miały o czym pisać ładnych parę tygodni.

Megafon nad oknem obwieścił tym razem męskim, stanowczym głosem:

— Halo, uwaga, uwaga! Podróżni udający się do Nairobi — Addis Abeby — Kairu — Zurychu i Londynu proszeni są o załatwienie formalności celnych i udanie się do samolotu, który stoi podstawiony na pasie numer jeden!

Rozległo się szuranie odsuwanych foteli. Ruchome drzwi zachwiały się i weszło przez nie kilku czarnych tragarzy. Joe wstał i wziął do ręki swoją walizeczkę.

— No, nareszcie! — Mr. Knox zerwał się i zaczął pośpiesznie zbierać swoje paczuski. Potem, zaaferowany, położył je na stole i rozejrzał się za walizką i teczką.

Alex z wolna skierował się ku wyjściu, przyglądając się z przyjemnością stewardesie, która odsunęła się od drzwi i stała przesuwając wzrokiem po grupie podróżnych, jak gdyby pragnęła już z góry zrozumieć ich nawyki, odgadnąć życzenia i bolączki.

Mr. Knox dogonił go, ściskając swój potężny, czarny parasol.

— Ten czarny błazen położył go tak, że w pierwszej chwili nie mogłem go odnaleźć! — powiedział sapiąc. — Oparł go rączką o powierzchnię stołu, zamiast położyć na walizce! Ci ludzie nigdy się niczego nie nauczą. Byłbym go w końcu zostawił i niech pan sobie wyobrazi los człowieka wysiadającego bez parasola o tej porze roku na lotnisku w Londynie! Na pewno leje u was bez przerwy. Stawiam zakład o dziesięć funtów!

Spojrzał na Alexa, jak gdyby spodziewając się, że zakład może zostać przyjęty, ale po pierwsze Joe nie lubił, kiedy o ludziach innego koloru skóry mówiło się „czarny błazen”, a po drugie zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy inny pasażer: obejrzał się odruchowo, żeby sprawdzić, czy nie zostawił czegoś w poczekalni.

W tej samej chwili dostrzegł na stoliku jedną z małych paczuszek pana Knoxa.

— Zdaje się, że zostawił pan coś! — wskazał za siebie.

— Co? Gdzie?

Lecz alarm był niepotrzebny. Uśmiechnięta stewardesa pierwsza zauważyła zgubę i szła już w tamtą stronę młodzieńczym, sprężystym krokiem, postukując równo obcasami lśniących jak szkło półbutów.

W tej samej chwili Alex, który dochodził już do drzwi, cofnął się nieco, żeby zrobić miejsce owej wyprostowanej, nieruchomo siedzącej damie. Co prawda poruszała się teraz, ale jej spojrzenie nadal było utkwione przed siebie, jak gdyby otaczający świat w ogóle nie istniał. Minęła obu stojących, nie obdarzając Mr. Knoxa nawet cieniem uwagi, i Joe pomyślał, że jeśli widok jej tak bardzo poruszył jego nowego znajomego, to musiało być to zupełnie jednostronne. Najwyraźniej nie znała go zupełnie.

Stewardesa nadchodziła już, trzymając w jednej ręce paczuszkę Mr. Knoxa, a w drugiej damską parasolkę, którą Alex zdążył już przedtem zauważyć przy bagażach nieco zbyt ekstrawagancko ubranej młodej kobiety.

— Proszę. To zdaje się należy do pana... — Podała grubasowi paczuszkę. — A która z pań zostawiła tę parasolkę?

Ostatnie zdanie, chociaż wypowiedziane podniesionym głosem, kryło w sobie rozbawienie.

— Och! — zawołała młoda kobieta, która znajdowała się już za drzwiami, i zawróciła na pięcie. — To ja! Dziękuję pani bardzo!

Po chwili wyszli wszyscy z zamykającą pochód stewardesą i wahadłowe drzwi po raz ostatni zafalowały, aby zamrzeć w bezruchu.

— A już byłem gotów pomyśleć, że zaczynam się starzeć i stąd to roztargnienie! — powiedział Knox. — Ale okazuje się, że i takie piękne, młode osóbkę potrafią być roztrzepane.

Mówiąc to nie spuszczał oczu ze zgrabnych nóg idącej przed nimi kobiety, która swobodnie obracała w ręku odzyskaną parasolkę.

— Nasi pasażerowie mają pełne prawo do roztargnienia, proszę pana — powiedziała z uśmiechem stewardesa, która mijając ich najwyraźniej podchwyciła sens ostatnich słów. — To do nas należy opieka nad nimi i ich bagażem...

Minęła wszystkich podróżnych, zatrzymała się i wskazując ręką drzwi po prawej stronie, powiedziała:

— Proszę państwa tędy do kontroli celnej i paszportowej.

— Och, wiemy to, wiemy... — mruknął Mr. Knox z niechęcią, której przyczyny Joe nie zrozumiał, póki nie znaleźli się w kiszkowatym, wąskim pomieszczeniu, przedzielonym niską ladą, za którą stali dwaj celnicy. Tragarze umieścili walizki na ladzie i wycofali się.

Wyższy z celników, mający bardziej skomplikowany emblemat na czapce, co Alex uznał za oznakę wyższego stopnia służbowego, powiódł oczyma najpierw po rzędzie walizek, i potem po widocznych nad nimi głowach ich właścicieli:

— Czy ktoś z państwa ma jakieś rzeczy do zadeklarowania? — zapytał swobodnie, ale jego oczy równocześnie przebiegały tam i na powrót wzdłuż szeregu pasażerów. Joe pomyślał, że *Biblia* jak zwykle miała słuszość, odnosząc się z niechęcią do przedstawicieli tego prastarego zawodu.

Celnikowi odpowiedziało milczenie.

— Czy nikt z państwa nie ma przy sobie zakupionych lub otrzymanych w upominku nie oszlifowanych brylantów, pochodzących z Unii Południowoafrykańskiej?

Znowu milczenie.

— ...lub brylantów oszlifowanych o wadze powyżej jednego karata?

Młody olbrzym mruknął coś pod nosem.

— Słucham? — celnik zwrócił się ku niemu.

— Och, nic — Fighter Jack machnął dłonią wielkości sporego bochenka chleba. — Rób pan swoje i wsiądźmy nareszcie do tego samolotu.

Celnik chrząknął i spojrzał na niego z wyraźną dezaprobatą. Potem dodał z naciskiem, nie spuszczać z niego oczu:

— Przypominam, że znalezienie drogich kamieni podczas kontroli celnej może narazić osobę, która będzie w ich posiadaniu, na duże nieprzyjemności i odpowiedzialność karną...

Ponieważ i teraz nikt nie odpowiedział, zwrócił się do pierwszej w szeregu sztywnej, wyprostowanej damy, która zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi ani na niego, ani na jego słowa:

— Czy ma pani w walizce same osobiste rzeczy?

— Nie.

Nie zwróciła nawet głowy w jego kierunku. Spojrzenie miała wlepione w wiszący na ścianie plakat, na którym człowiek, stojący na ciele zabitego nosorożca i podparty strzelbą myśliwską, proponował wszystkim spędzenie najbardziej uroczych wakacji w Kenii.

— Co pani tam ma w takim razie?

— Oprócz osobistych rzeczy mam tam także materiały naukowe z kongresu, na który zostałam tu zaproszona.

— Naukowe materiały?

— Tak.

— Czy można wiedzieć jakie?



— Tak. Są to sprawozdania ze Światowego Kongresu Unii Spirytystów Wyzwolonych, który odbył się w tym tygodniu na terenie tego miasta.

— Spirytystów?... — powiedział celnik. — Tak, proszę pani. — Szybko zrobił krzyżyk na jej walizce, nie zaglądając nawet do środka. — Rozumiem, proszę pani. Dziękuję bardzo.

Joe pomyślał, że jeśli celnik to rozumie, w takim razie rozumie więcej od niego. Przez chwilę zastanawiał się nad kwestią wyzwolenia w spirytyzmie. Jacy byli w takim razie spirytyści nie wyzwoleni?

Celnik przesunął się o krok w jego stronę.

— A pani? — zapytał młodą osobę, która pamiętając zapewne o tym, że mogła ją zgubić, ścisnęła teraz w ręce swoją parasolkę. Celnik spojrzał na ogromny kufer — szafę. — Czy ten kufer zawiera tylko pani osobiste rzeczy?

— Nie tylko. — Młoda osóbką energicznie potrząsnęła głową. — Są tam przede wszystkim moje kostiumy.

— Jakie kostiumy?

— Służące mi do występów na scenie.

— Więc pani jest artystką?

— Tak. Jestem śpiewaczką jazzową i tancerką.

Celnik, po raz pierwszy od chwili, kiedy tu weszli, uśmiechnął się i lekko zasalutował.

— To bardzo piękny zawód, proszę pani. Czy pani pozwoli mi spojrzeć na te kostiumy?

Zajrzał do kufra i po pobieżnym sprawdzeniu jego zawartości, która, jak Alex zdołał zauważyć, składała się z różnobarwnych, wyszywanych cekinami i lśniących sukien, zasalutował znowu.

— Dziękuję pani bardzo. Nie wywozi pani żadnych klejnotów z naszego kraju, prawda?

— Żadnych poza tymi, które tu przywiozłam. Widocznie byłam za krótko... — Roześmiała się lekko i swobodnie.

— Rozumiem, proszę pani... — Celnik uśmiechnął się po raz drugi, ale zaraz spoważniał i zrobił następny krok wzdłuż szeregu.

— Teraz pan, prawda? — zwrócił się do mężczyzny w rogowych okularach.

— Tak, to moja własność... — Wskazał walizkę, która leżała przed nim na ladzie. Neseser trzymał pieczołowicie pod pachą. — Znajdują się tam tylko moje przybory osobiste i kilka książek.

Akcent, którym wymówił te słowa, był tak specyficzny i tak nienaganny, że Joe powiedział w duchu: „Oksford”.

— A co pan ma w neseserze? — Celnik wskazał go palcem, a potem, nie opuszczając ręki,

zrobił zapraszający gest.

— Znajduje się tam pewna czaszka... — powiedział spokojnie mężczyzna w okularach.

— Mój wielki Boże... — mruknął Knox. — Tylko tyle?

— A więc czaszka... — Celnik skinął głową, jak gdyby czaszka w neseserze należała do najbardziej zwykłych przedmiotów, jakie spotykał w czasie kontroli. — Chciałbym ją zobaczyć. Pan będzie łaskaw otworzyć neseser.

— Proszę bardzo... — Pan w okularach postawił ostrożnie neseser na ladzie i rozsunął zamek błyskawiczny. Skórzany pokrowiec rozchylił się, ukazując solidne pudełko z grubej tektury. Po zdjęciu pokrywy pojawił się tylko kłęb białej waty. Powoli i niemal z namaszczeniem pasażer usunął górną warstwę, a oczom stojących ukazała się trupia czaszka, ale nie taka, jaką przygotowani byli zobaczyć. Był to ciemny, gruzłowaty czerep z nierówno zaznaczonymi dziurami oczodołów, oblepiony gliną i skamielinami.

Celnik wyciągnął rękę w kierunku czaszki.

— Proszę tego nie dotykać! — powiedział szybko mężczyzna w okularach. Zasłonił neseser dłonią.

Celnik mimowolnie cofnął rękę, ale wyprostował się i zmarszczył brwi.

— To jest prawdopodobnie najcenniejsza czaszka świata! — Pan w okularach także wyprostował się, nie zdejmując dłoni z pudełka. — Najmniejsza nieuwaga może ją uszkodzić, a wtedy straty byłyby niepowetowane.

— Najcenniejsza? — Drugi celnik stanął obok pierwszego i obaj nieufnym spojrzeniem taksowali neseser i jego właściciela. — A któż to jest? Napoleon? — zapytał z lekką drwiną w głosie.

— Nie... — mężczyzna w okularach lekko wzruszył ramionami. — Czaszka Napoleona nie może interesować nikogo poza zwariowanymi zbieraczami. Zresztą, o ile wiem, znajduje się wraz z resztą jego prochów w kościele Inwalidów w Paryżu. Nie, to nie Napoleon, to ktoś o wiele ważniejszy. I niech mi pan wierzy, że jest warta nieskończenie więcej, niż tej samej wielkości nie oszlifowany brylant z waszych sławnych kopalni.

— Więc któż to jest?

— *Australopithecus Africanus*. Wykopano go przed dwoma tygodniami w Transwalu, w pańskiej ojczyźnie, która daje światu od kilku dziesiątków lat najwspanialsze okazy przodków naszego gatunku.

— Czy ma pan zezwolenie na jej wywóz?

— Oczywiście! — Pan w okularach raz jeszcze nieznacznie wzruszył ramionami. — Nie sądzi pan chyba, że trudnię się nielegalnym wywozem skarbów archeologicznych z pańskiego

kraju? Wiozę tę czaszkę do Muzeum Brytyjskiego, gdzie zostanie poddana specjalnym badaniom.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel, opasany grubą gumką, którą zdjął i wyciągnął z portfela kopertę, a z niej papier zaopatrzony w dwie okrągłe pieczęcie. Podał go celnikowi, który odczytał pismo, zasalutował i powiedział:

— Dziękuję bardzo, panie profesorze. Przepraszam za naszą natarczywość, ale my tutaj nie jesteśmy ekspertami od czaszek, a jak pan sam widzi, tego rodzaju postępowanie, które chroni rozmaite eksponaty od wywózki z kraju, chroni je na pewno w jakimś stopniu dla nauki, prawda?

— Oczywiście! — Mężczyzna w okularach, nazwany profesorem, po raz pierwszy także uśmiechnął się lekko. — Gdyby pan wiedział, ile bezcennych wykopalisk zostało zmarnowanych przez tak zwanych zbieraczy amatorów!

— Czy widział pan kiedyś większe paskudztwo niż ten bezcenny „skarb”? — zapytał Knox półgłosem, pochylając się ku Alexowi i wskazując neseser.

Ale profesor najwidoczniej to usłyszał, bo zanim Joe zdołał odpowiedzieć, przerwał układanie waty na czole czaszki i powiedział z godnością:

— To „paskudztwo” jest wszystkim, co pozostało z pańskiego bezpośredniego przodka, żyjącego przed pół milionem lat.

Odszedł z podniesioną głową.

Knox patrzył za nim przez chwilę z wyrazem, który trudno byłoby określić. Wydawał się mieszaniną gniewu, pogardy i szacunku.

— Coś podobnego! Mój bezpośredni przodek! Raczej jego własny, podobny nawet. Pomyśleć, że ludzie tego rodzaju jeżdżą po świecie i wydają spokojnie pieniądze podatników, udając, że każdy wykopany z ziemi gnąk jest wart więcej niż tona brylantów. Gdyby zamiast tego chcieli sobie co niedziela poczytać *Biblię*, wiedzieliby, skąd się wziął człowiek na ziemi i przestaliby badać, gdzie, kto i z kim żył pół miliona lat temu. Nie wiem, czy Adam i Ewa żyli naprawdę, ale wiem, że jest to takie samo dobre wytłumaczenie jak każde inne. W każdym razie Kościół powinien wtrącić się w działalność tych impertynentów, bo inaczej gotowi są...

Urwał, bo celnik stał przed nim już od pewnego czasu i przyglądał mu się poważnie. Ale w oczach urzędnika Alex dostrzegł przyczajony uśmiech.

— Dobry wieczór, panie Knox. Zaledwie pan wrócił i już znowu w świat?

— Znowu — Knox kiwnął głową. Całe jego ożywienie zniknęło nagle. — Jak zawsze.

Jedni żyją z tego, że muszą ciągle pakować swoje walizki, a inni z tego, że do nich zaglądną

i przetrząsają ich wnętrza.

— Właśnie — celnik zrobił potakujący ruch głową. — Może pan będzie uprzejmy otworzyć walizeczkę.

— Och, oczywiście... — Knox chrząknął z niesmakiem i sam odsunął zatrzaski walizki.

— Kiedy wreszcie, wyjeżdżając z własnego kraju, uczciwy człowiek przestanie być traktowany jak przestępca?

— Uczciwy człowiek nigdy nie jest u nas traktowany jak przestępca, o ile wiem... — odpowiedział celnik spokojnie, przeglądając szczegółowo wnętrze walizki. — Poza tym chciałbym panu przypomnieć, że przed dwoma laty...

— Och, wiem, wiem... — Knox machnął ręką. — Przed dwoma laty znaleziono przy mnie kilka drobnych kamyków, które nosiłem od lat i uważałem za talizman. Uznaliście to za próbę przemytu, bo za cóż by innego! Nikomu z was nie przyszło nawet do głowy, że człowiek, który pracuje tak długo w tej branży, nie może po prostu rozstać się z paroma nic nie znaczącymi obiektami, niewiele zresztą wartymi.

Uważne ręce celnika poruszały się szybko i sprawnie pośród bielizny i przyborów toaletowych, leżących na dnie walizki.

— Och, wiemy, proszę pana. Toteż o ile sobie przypominam, nie skonfiskowano ich panu nawet i zwrócono je po powrocie. Ale skoro pan sam o tym wspomina, musi pan zrozumieć, że tego rodzaju upodobania zmusiły nas do... — Urwał i prostując się rozłożył wymownie ręce. Potem dodał: — A co pan wiezie w teczce i tych paczuszkach?

— W teczce są listy i prospekty naszej firmy, a w paczuszkach prezenty dla dzieci moich znajomych w Londynie. Najzwyklejsze mechaniczne zwierzątka, żyrafa i nosorożec.

Celnik skinął głową.

— Może pozwoli pan najpierw tę teczkę.

Dokładnie przeszukał jej zawartość, czytając nawet chwilami niektóre leżące w niej papiery. Potem wsunął je wszystkie tam, skąd je wyjął. Z kolei wziął do ręki oba pakieciki, które Knox położył przed nim na ladzie. Rozwinął papier i wyjął z pierwszego małe pudełeczko, a z niego blaszanego nosorożca. Obejrzał go dokładnie i zajrzał do środka, potem nakręcił zwierzątko kluczykiem, który leżał w pudełeczku, i puścił je na ladę. Nosorożec powolnym krokiem ruszył przed siebie i zatrzymał się, uderzywszy rogiem o stojącą na jego drodze walizkę. Celnik raz jeszcze podniósł go, potrząsnął nim koło ucha, zważył w ręce i włożył do pudełeczka.

Knox stał spokojnie, wsparty dłonią o ladę. Na twarzy miał wyraz bardzo chyba zbliżony do tego, z jakim pierwsi chrześcijanie oczekiwali przed bramami areny znaku, że za chwilę

zostaną rzućeni lwom na pożarcie przed oczyma bezlitosnego tłumu. Celnik otworzył drugie pudełeczko, w którym znajdował się tłusty, również wykonany z blachy hipopotam. Cały proceder powtórzył się od nowa, z tą różnicą, że hipopotam maszerował prędzej i byłby spadł z lady na ziemię, gdyby drugi celnik nie pochwycił go na krawędzi.

— A teraz — powiedział celnik — może będzie pan łaskaw zajrzeć na chwilę tam...

Wskazał Knoxowi niskie drzwi, w poprzek których biegł napis:

### NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Zwrócił się do drugiego celnika: — Zaprowadź pana Knoxa, Fred...

Knox spojrział na Alexa i uniósł oczy ku niebu. Bez oporu i dalszych komentarzy ruszył przejściem, które ukazało się, gdy celnik uniósł ruchomą część lady. Po chwili zniknęła za drzwiami.

Starszy z celników zwrócił się teraz do olbrzymiego Fightera Jacka.

— A pan?

— To są nasze wspólne walizy... — wyręczył swego podopiecznego mały człowieczek, nazwany poprzednio Samuelem. — Nie ma tam nic, co by was mogło zainteresować. Jedziemy walczyć i nie trudnimy się żadnym przemytem.

— Wiem, wiem... — urzędnik rozłożył ręce. Chociaż nie był niski, wyglądał jak dziecko wobec stojącego po drugiej stronie lady młodego człowieka, który wpatrywał się w niego zdecydowanie nieprzyjaznym spojrzeniem. — Nazwisko i twarz Fightera Jacka są znane każdemu, kto interesuje się sportem. Czy może pan otworzyć tę walizkę?

— Otwórz mu ją, Samuelu... — Fighter Jack pokręcił głową i spojrział na celnika tak, jak się spogląda na niedorozwinięte dziecko. — Inaczej będą nas tu trzymali do rana. Nikomu się jakoś nie spieszy na tym lotnisku, ani ludziom, ani samolotom. Pewnie ktoś tu bierze forszę za darmo i nie może zrozumieć, że inni mają masę roboty i spieszy im się. Grzeczni są tacy i sympatyczni, ale opóźnienia mamy już pół godziny i pewnie będzie jeszcze większe...

Nie czekając na Samuela, wziął w ręce wielką walizkę, uniósł ją, jak gdyby była pusta, i podał celnikowi, który odebrał od niego i z wysiłkiem postawił na ladzie, a potem pobieżnie przejrzał jej zawartość i zrobił znak kredą.

— W porządku. Życzymy wygranej. Będziemy trzymali za pana kciuki przed telewizorami.

— Zrobi się. — Fighter Jack mrugnął wesoło i uderzył go lekko po ramieniu, ale celnik aż ugiął się od tego objawu przyjaźni. Prędko zwrócił się do Alexa:

— A pan, proszę pana?

Sprawdził rzeczy Joego szybko i bez specjalnej gorliwości. W chwili kiedy kończył oględziny, w drzwiach wewnętrznych ukazał się Mr. Knox, zapinając marynarkę.

— I po co to wszystko, panie Quenney? — zapytał niemal żałośnie. — Ciągle to samo, od tylu lat. Czy sądzi pan, że jestem dzieckiem?

— Nie sądziłem nigdy, że jest pan dzieckiem, Mr. Knox. — Urzędnik zsalutował przyjaźnie. — Nie ja wydaję tego rodzaju dyspozycje. Jeżeli chce pan zaprotestować przeciwko formie kontroli, którą przeprowadzamy, musi pan to zrobić na wyższym szczeblu.

Ale Mr. Knox wzruszył tylko ramionami i nie słuchając ruszył w stronę wyjścia.

### 3. „OSTRZE DŁUGIEGO, WĄSKIEGO SZTYLETU”

Po odbyciu formalności paszportowych wdrapali się kolejno po przystawionym mostku do wnętrza stojącej przed dworcem potężnej maszyny „Superconstellation”, osrebrzonej silnymi reflektorami. Białe — czerwony samochód z benzyną oderwał się właśnie od jej podbrzusza i cicho zawrócił, aby zniknąć w cieniu po przeciwnej stronie pasa startowego. Załoga była już na miejscach i podchodząc do samolotu Joe zauważył małe postacie migające w okienkach kabiny pilota. Z boku, opromieniony reflektorami, rzucając potwornie długi cień, stał człowiek trzymający w ręce kratkowaną chorągiewkę startową. Za nim rozbłyskiwały i gasły różnokolorowe światła na wieży lotniska. Przed dworcem stało kilku mechaników i jeszcze jakieś osoby, może należące do obsługi, a może po prostu ciekawi, których nawet w nocy nie brak, kiedy odlatuje wielki samolot. U podnóża mostka czekali dwaj czarni funkcjonariusze w białych kombinezonach, którzy najprawdopodobniej mieli za zadanie odsunąć schodki, kiedy wszyscy pasażerowie znajdą się już bezpiecznie wewnątrz.

Przed wejściem do kabiny Alex zatrzymał się na chwilę i objął spojrzeniem dalekie, wynurzające się w blasku reflektorów startowych hangary, światła ostrzegawcze na wieży i dachu dworca, jaśniejący pośród nocy pas startowy i maleńkie sylwetki ludzkie daleko za pasem trawy i betonu. Lotnisko nie było dla niego wyłącznie tym, czym było dla innych pasażerów. W dwa miesiące po ukończeniu szkoły wstąpił do lotnictwa. Był wtedy młodzieńskim chłopcem i nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, co go czeka. Zima na przełomie 1939 i 1940 roku widziała go już w szkole pilotażu bombowego. Wojna jak gdyby ucichła wtedy i toczyła się tylko na morzu. Ale później... W ciągu czterech lat, które nastąpiły później, prowadził ciężką maszynę, służącą do nocnych bombardowań, i poznał powietrze nad Niemcami lepiej może niż niejeden niemiecki pilot. Ale było to bardzo dawno. Co prawda nie tak dawno, żeby nie przenikała go dziwna, nieuzasadniona tęsknota, ilekroć znajdował się na lotnisku i miał wsiadać do samolotu...

Myśląc o tym, co w tej chwili robią piloci, odtwarzając sobie ich krótkie uwagi, jakiś rzucony mimochodem żart i uważne spojrzenia przebiegające po oświetlonych zegarach na tablicy, usiadł na miejscu wskazanym przez uśmiechniętą stewardesę i mechanicznie położył pudełko z papierosami i zapalki na małej półeczce — stoliku, umieszczonej pod oknem przy jego siedzeniu... W tamtych czasach nie startowało się tak jawnie. Reflektory na pasie startowym zapalały się tylko na chwilę, a hangary i pozostałe budynki były tak zaciemnione, że personel lotnisk często błądził wśród nich po omacku, nie mogąc znaleźć drzwi do

własnego baraku albo kantyny...

Rozejrzył się. Jego miejsce znajdowało się niemal przy końcu kabiny, której wnętrze wypełniały dwa szeregi foteli, przedzielone wąskim przejściem. Foteli nie rozkładano jeszcze do spania i pasażerowie niknęli prawie za wysokimi oparciami. Po przeciwnej stronie kabiny, oddzielony od Alexa jedynie przejściem, zasiadł już Mr. Knox i pomrukując do siebie cicho, układał właśnie papiery w teczce.

Inni byli w przedzie. Dostrzegł małego człowieczka, poszukującego czegoś w podręcznej walizce opartej o poręcz fotela. Jego młody podopieczny mówił coś basem, ale słowa nie dobiegały tutaj, bo właśnie w tej samej chwili inny kołujący powoli samolot podsunął się do dworca i ryk jego silników zagłuszył wszystko. Potem ucichł nagle i maszyna zatrzymała się.

Joe spojrział na leżące na półeczce róże i westchnął. Wziął bukiet do ręki, a potem ruszył do tyłu i otworzył drzwi prowadzące do pomieszczeń służbowych, w których rządziła stewardesa. Zobaczył ją w otwartych drzwiach, od których odsunięto już mostek. Rozmawiała z człowiekiem stojącym na ziemi. Człowiek ubrany był w mundur funkcjonariusza linii lotniczej, trzymał w ręce notes i zapisywał w miarę dyktowania:

— Dwa kilo masła... dwadzieścia parówek...

Stewardesa urwała i odwróciła głowę.

— Czy mógłbym prosić, żeby włożyła pani te kwiaty do wody... — powiedział Joe.

Wzięła je od niego i skinęła głową.

— Oczywiście. Postaram się, żeby dojechały do Londynu w dobrej formie. Leci pan z nami do końca, prawda?

— Tak, proszę pani. Dziękuję bardzo.

Zawrócił i zamknął za sobą drzwi. W kabinie było widno. Paliły się jeszcze górne światła i wszystkie lampki przy stolikach. Dopiero teraz Joe z przyjemnością stwierdził, że samolot jest prawie pusty. Kilka osób zajętych w tej chwili wyjmowaniem potrzebnych przedmiotów z podręcznych toreb niknęło prawie w ogromnym, długim pomieszczeniu i Joe pomyślał ze zdumieniem o tym, jak mały był bombowiec, który wówczas wydawał mu się tak wielki. Czas szedł naprzód...

Usiadł i rozluźnił krawat, myśląc o tym, że może warto byłoby od razu umyć się i rozłożyć fotel. Był śpiący, a z doświadczenia wiedział, że nigdzie tak dobrze mu się nie śpi jak w samolocie. W końcu postanowił zaczekać, aż samolot oderwie się od ziemi.

Usłyszał za sobą odgłos zamykanych drzwi. Stewardesa wynurzyła się z pomieszczenia w tyle samolotu i ruszyła pomiędzy fotelami ku kabynie pilotów. Idąc rozglądała się, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy wszyscy jej podopieczni są już na miejscu i czy czegoś komuś



nie brakuje. Kiedy minęła Alexa i Knoxa, ten ostatni zamknął teczkę, położył ją na siatce umieszczonej nad głową i pochylając się w stronę swego towarzysza podróży powiedział:

— No, nareszcie! Czy pan wie, że oni zawsze prześwietlają mnie aparatem Roentgena?

Komuś w tym przeklętym urzędzie celnym wydaje się prawdopodobne, że któregoś dnia pokusa będzie dla mnie za wielka, połknę jakiś ogromny brylant i będę go próbował przeszmyglować w brzuchu do Anglii! Wydaje im się, że ktoś, kto pracuje przy drogich kamieniach, nie może być tak samo uczciwy, jak aptekarz, lekarz albo ten tam facet z czaszką małpy w pudełku... Sam pan słyszał: „Przepraszamy, panie profesorze!”... mnie jeszcze nigdy nie przeprosili ani nikogo z moich kolegów po fachu. Traktują nas jak pospolitych opryszków.

Urwał, bo nagle przez samolot przebiegło lekkie drżenie. Potem rozległ się szum, który przeszedł w ryk cichnący i rosnący, w miarę jak pilot zapuszczał silniki i zmieniał wysokość ich obrotów. Górne światła przygasły nieco i na przedniej ścianie kabiny ukazał się napis:

### PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY — SAMOLOT STARTUJE!

Napis trwał przez chwilę, zamigotał i zgasł. Ryk silników także ucichł, a wraz z nim minęło drżenie kabiny.

Joe wyrzwał i zauważył, że człowiek z chorągiewką, wyglądający w tej chwili jak srebrna ćma w świetle reflektorów, opuścił chorągiewkę i stał odwrócony tyłem do maszyny, patrząc w kierunku gmachu dworca. Nadchodziła stamtąd szybkim krokiem jakaś postać, powiewając połami rozpiętego płaszcza.

Stewardesa ukazała się znowu w drzwiach kabiny pilotów i szybko przeszła ku tyłowi. Dwaj czarni robotnicy, którzy odsunęli pomost, zaczęli go ponownie przysuwać. Mała sylwetka urosła i Alex dostrzegł, że to mężczyzna. W rękach nie miał żadnego bagażu. Zbliżył się szybko i wbiegł po podstawionych schodkach.

Usłyszeli odgłos zatraskiwanych drzwi i pomost znowu zaczął się odsuwać, popychany ramionami robotników w białych kombinezonach. Człowiek z chorągiewką odwrócił się w stronę samolotu i uniósł ją do góry.

W tej chwili drzwi kabiny otworzyły się i spóźniony pasażer ukazał się oczom podróżnych. Za nim szła stewardesa.

Był to młody mężczyzna, ubrany pomimo upału w nieprzemakalny płaszcz z podszewką. Biała koszula pozbawiona była krawata i także rozpięta. Nowo przybyły przeszedł kilka kroków pomiędzy fotelami i zatrzymał się niezdecydowanie. Był teraz blisko, światło lampy

padało wprost na jego twarz. Alex zauważył jeszcze jeden niecodzienny szczegół. Człowiek ten był blady, ale nie była to bladość wynikająca ze zmęczenia albo gwałtownych przeżyć psychicznych. Po prostu był blady, jak gdyby twarzy nigdy nie wystawiał na działanie słońca. W odcieniu jego skóry było coś tak bardzo znajomego, że Joe przyjrzał mu się uważnie. Zbyt często w życiu obserwował to zjawisko. W tej samej chwili usłyszał przy sobie dźwięk, który nie był westchnieniem i nie był również gwałtownym zaczerpnięciem powietrza, ale jak gdyby jednym i drugim równocześnie. Nie musiał się obejrzeć, aby wiedzieć, że dźwięk ten wydobyl się z ust pana Knoxa.

— Na szczęście zdążył pan! — powiedziała stewardesa z satysfakcją. — Miejsce numer dwa. Na samym przedzie. Czy kazał pan zapakować swój bagaż już wcześniej? Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, postaram się odnaleźć pana walizkę w pomieszczeniu bagażowym.

— Nie mam żadnego bagażu — powiedział młody człowiek przez ramię, posuwając się w kierunku swojego miejsca.

— Żadnego, proszę pana? — Nie brzmiało to nawet jak pytanie. W głosie dziewczyny nie było najmniejszego zdziwienia, jak gdyby fakt, że ktoś wsiada w Johannesburgu do transkontynentalnego samolotu, nie zabierając ze sobą nawet szczoteczki do zębów, należał do zjawisk codziennych i zupełnie oczywistych. — Co w takim razie będzie panu potrzeba?

— Nic! — Młody człowiek odwrócił się ku niej nieco zbyt gwałtownie.

— Tak, proszę pana. — Kiwnęła głową. — Pan będzie uprzejmy zająć miejsce. — Wskazała napis na przedniej ścianie, który zapalił się ponownie. — Samolot zaraz startuje. Gdyby miał pan jakieś życzenia, będę tu za chwilę.

Wyminęła go i ruszyła ku kabynie pilota.

Nowy pasażer kiwnął głową, ogarnął dłonią rozchylające się poły płaszcza i usiadł, nie zapinając pasa, jak gdyby napis na ścianie go nie dotyczył. Alex uśmiechnął się. On sam także tego nigdy nie robił. Zawsze wydawało mu się, że jeśli samolot skapotuje, zostanie uwięziony w płonącej maszynie, nieprzytomny, skrępowany tym przeklętym pasem...

Spojrzał w okno. Człowiek stojący na pasie startowym opuścił właśnie z rozmachem kraciastą chorągiewkę i cofnął się o kilkanaście kroków. Silniki zawyły ostrzej. Samolot drgnął lekko. Światła dworca ruszyły powoli z miejsca, cofając się ku tyłowi. Wycie silników wyrównało się, zagrały spokojnym, jednostajnym rytmem. Joe patrzył na uciekający pod skrzydłami pas betonu, zupełnie biały w blasku reflektorów. Starał się uchwycić ów ułamek chwili, gdy koła samolotu oderwą się od ziemi. Nie udało mu się i nagle zobaczył, że ziemia jest już w dole. Światło reflektorów było coraz słabsze. Samolot szedł w górę. W pewnej chwili musiał zatoczyć łagodny łuk, bo Joe ujrzał już głęboko w dole zakręcające światła

dworca. Reflektory zgasły. Na zewnątrz kabiny otworzyła się ciemność, rozjaśniona tylko daleką luną miasta na niskim widnokręgu.

Przez chwilę patrzył zmęczonymi oczyma w mrok. W dali rozjaśniło się i na niebie ukazała się krótka, czerwona zorza, która szybko zniknęła. Chyba błyskawica?... Ta burza musiała jednak wędrować gdzieś w pobliżu. W nocy mogło być trochę kołysania, jeżeli nie zdążą się wydostać z rejonu zakłóceń atmosferycznych...

Odwrócił głowę i spojrzał w głąb kabiny, oświetlonej w tej chwili lampkami błyskającymi obok foteli. Nad wyjściem awaryjnym świeciła mała, czerwona żarówka, która przypomniwała mu wnętrze jakiegoś kościoła... Nie mógł sobie uświadomić jakiego... Ziewnął.

Stewardesa wyszła z kabiny pilotów. Trzymając notes i ołówek w rękach, przesuwała się teraz od fotela do fotela. W tej chwili pochyliła się nad profesorem. Joe spojrzał na siatkę ponad jego miejscem i skonstatował, że neseseru z czaszką tam nie było. Widocznie musiał piastować ją na kolanach. Głos stewardesy dobiegał wyraźnie, chociaż daleki szum silników za oknami tłumił go nieco.

— Czym można panu służyć przed snem? Czymś do jedzenia albo może do picia? Mamy gorące i zimne napoje.

Profesor odpowiedział coś, czego Alex nie dosłyszał. Dziewczyna powiedziała:

— Mogą być parówki z musztardą, sałatka, kanapki, kawa, herbata, kakao, mleko surowe i gotowane...

Dopiero teraz dobiegł głos profesora.

— Będę bardzo wdzięczny za filiżankę mocnej herbaty i jakąś kanapkę, o ile to możliwe, bez ryby...

— Tak, proszę pana. Za pięć minut wszystko będzie podane.

Szybko zapisała w notesie i przesunęła się w stronę Joego.

— A czy panu będzie można podać coś przed snem?

Ponad kręgiem lampki świecącej nad jego fotelem Joe przyjrzał się jej krótko. Był wrażliwy na urodę kobietą, a ta dziewczyna była naprawdę bardzo ładna i najprawdopodobniej prześlicznie zbudowana. Obcisły kostium z wyszytym nad lewą piersią emblematem linii lotniczych leżał na niej znakomicie. Dłonie, trzymające notes i ołówek, były doskonale utrzymane. Manicure, lakier na paznokciach był jasny i neutralny. Joe rzucił okiem na gładko zaczesane, spokojnie upięte w tyle głowy włosy. To także musiała być instrukcja. Zapewne chodzi o to, żeby wyglądały jak najestetyczniej, ale żeby nic w nich nie rzucało się w oczy.

Wszystko to zdążył pomyśleć, gdy patrząc na dziewczynę, odpowiadał:

— Jeżeli można prosić, chciałbym po prostu filiżankę herbaty i kieliszek rumu. Nie będę nic jadł.

— Tak, proszę pana. — Skinęła głową i zwróciła się w stronę Knoxa, który zanim zdążyła zadać swoje sakramentalne pytanie, powiedział:

— Niech Bóg uchowa, nie będę nic jadł. Proszę tylko o filiżankę herbaty.

— Za chwileczkę, proszę pana.

Zamknęła notes i wsunęła go do kieszeni, idąc w stronę pomieszczenia w tyle samolotu. Nie traciła czasu na nic, a równocześnie nie widać było w jej zachowaniu żadnego pośpiechu. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Alex zdjął z półki swój neseser i odnalazł w nim nocne pantofle, które z ulgą wsunął na nogi. Potem wyciągnął się w fotelu i przymknął oczy. Ale nawet ta drzemka w oczekiwaniu na herbatę nie była mu dana.

— Proszę pana...

Słowa te wypowiedziane były nagłym szeptem. Joe otworzył oczy i spojrzął.

Knox przechylał się ku niemu ponad przejściem i, ściskając poręcz fotela, mówił przyciszonym głosem.

— ...proszę pana, ten człowiek, który wszedł przed chwilą... Czy pan wie, kto...

Urwał, bo drzwi kabiny pilotów otworzyły się i stanął w nich wysoki, młody mężczyzna w mundurze linii lotniczych. Zatrzymał się w progu i zsalutował.

— Dobry wieczór państwu...

Alex i Knox zwrócili ku niemu głowy.

— Nazywam się Howard Grant i jestem pierwszym pilotem tego statku powietrznego. Razem z moim kolegą będę pilotował państwa aż do Londynu. Życzę wszystkim w imieniu naszego towarzystwa lotniczego i całej załogi samolotu miłej i pogodnej podróży. Gdyby ktokolwiek z państwa miał jakieś życzenia albo dostrzegł jakieś niedopatrzienia, prosimy komunikować je panie Barbarze Slope, która pełni obowiązki gospodyni na pokładzie i tak jak my wszyscy zrobi, o w jej mocy, aby zastosować się do waszych wskazówek. A teraz dziękuję państwu, raz jeszcze życzę miłego spędzenia czasu w naszym samolocie i dobranoc państwu!

Pomieszane głosy odpowiedziały mu: „Dobranoc, kapitanie!” i pierwszy pilot zniknął za drzwiami kabiny.

— Proszę pana... — Knox znowu pochylił się ku Alexowi. Mówił jeszcze ciszej i jeszcze prędzej: — Czy pan może usiąść tu, bliżej...

Ale znowu urwał, bo weszła stewardesa, niosąc wielką tacę, na której stały małe tacki z tektury, a na nich kilka butelek, filiżanki, kieliszki i talerzyki. Zatrzymała się przed Knoxem

i podała mu tacę z filiżanką herbaty, obok której leżały dwie ślicznie złożone serwetki lotnicze. Knox wziął tacę z jej rąk i postawił na stoliku, opierając o obramowanie, które uniemożliwiłoby jej obsunięcie się w razie przechyłu samolotu.

Spróbował napić się, ale widocznie płyn był jeszcze za gorący, bo odstawił filiżankę.

Stewardesa zwróciła się do Alexa. Podała mu jego herbatę, a potem oparła tacę o poręcz pustego fotela i zdjęła z niej butelkę rumu i kieliszek.

— Czy wlać panu rum do filiżanki?

— Tak, jeżeli pani taka uprzejma...

Szybko odmierzyła kieliszek napełniając go niemal po brzegi, nachyliła go nad filiżanką i wlała zawartość. Wyprostowała się i uśmiechnęła.

— Pana róże stoją w wodzie... — powiedziała. — Myślę, że rano będę musiała je trochę skrócić i uderzyć parę razy młotkiem w nasadę łodyżek, wtedy jest szansa, że dojadą do Londynu w dobrym stanie.

— Dziękuję bardzo... — Joe oddał jej uśmiech. — Przepraszam, że panią fatygowałem.

— Och, to drobiazg, proszę pana. Mamy dziś tak niewielu pasażerów, że sama nie wiem, co robić z czasem. Często bywa tak, że w kabinie jest komplet, a w dodatku pośród pasażerów są malutkie dzieci. Wtedy jest naprawdę trochę zajęcia...

Wzięła tacę i skinąwszy mu głową z uśmiechem, poszła dalej.

— Proszę pana...

To był Mr. Knox po raz trzeci. Tym razem Joe pochylił się ku niemu. Siedzieli obaj w fotelach, wychyleni ku sobie, tak że głowy ich niemal stykały się pośrodku przejścia.

— Czy pan wie, że ten... ten młody człowiek, który wsiadł ostatni, to przestępca?! — W jego szepcie było tyle napięcia, że Alex uśmiechnął się mimowolnie. Ale zadziwiło go zdenerwowanie grubasa. Ręce, którymi Knox ujął teraz ponownie swoją filiżankę, drżały najwyraźniej i szkło zadzwoniło cicho o talerzyk.

— Tak — powiedział Joe spokojnie. — Domyślałem się tego, kiedy tylko wsiadł. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego musi nas to obchodzić?

— Jak to? — Knox był tak wyraźnie zdumiony, że mimowolnie uniósł głos.

— Wie pan chyba, że przestępcy nie są dla mnie najbardziej egzotycznym zjawiskiem — uśmiechnął się Joe — a szczerze mówiąc mam z nimi chyba więcej do czynienia niż z uczciwymi obywatelami. Ten człowiek ma cerę kogoś, kto długo nie oddychał świeżym powietrzem i tkwił za murami. Nawet jeżeli wychodził na półgodzinny spacer, to dwadzieścia trzy i pół pozostałych godzin w ciągu doby zapewnia ten dziwny koloryt, który w żargonie złodziejskim nazywa się „opalenizną Pana Boga”. Ale fakt, że ja o tym wiem, nie jest ani

dziwny, ani interesujący. Natomiast ciekawi mnie, skąd pan to wie i dlaczego się pan tym przejmuje?

Knox pochylił się ku niemu jeszcze bardziej i powiedział tak cicho, że Alex z trudem uchwycił brzmienie jego słów:

— On u nas pracował.

— Czy popełnił przestępstwo na terenie kopalni?

— Tak. Chyba właśnie go wypuścili. To Anglik. Teraz wraca do swoich; a może go wysiedlili po odsiedzeniu kary?

Odruchowo ujął łyżeczkę i zaczął nią mieszać herbatę.

— Zdaje się, że nie dodał pan cukru do środka — powiedział Alex głośniejszym głosem. Spojrzał na taczkę tamtego, a potem na swoją i rozwinął jedną z dwu zawiniętych w papierek kostek. — Zdaje się, że zapomniała go panu dać, ale mogę panu odstąpić jedną ze swoich kostek.

— Dziękuję. Nigdy nie piję z cukrem. — Pan Knox potrząsnął głową. — Ten człowiek może być bardzo niebezpieczny... — Rzucił znacząco wzrokiem w stronę przodu kabiny. — Nie zna go pan jeszcze.

— Dla kogo niebezpieczny?

Joe był już trochę zmęczony zarówno pochyloną pozycją, w jakiej prowadził tę rozmowę, jak i mówieniem szeptem. Zaszło mu w gardle. Pociągnął łyk herbaty i wyprostował się. Ale dramatyczny szept pana Knoxa znowu kazał mu się pochylić.

— Dla kogo? Dla społeczeństwa! Dla mnie! Może nawet przede wszystkim dla mnie. Proszę pana, przecież pan jest ekspertem Scotland Yardu, jest pan prawie urzędową osobą, w ogóle — urzędową. Niech go pan ma na oku, błagam pana! On jest zdolny do najgorszych czynów... będzie do nich zdolny, jeżeli dowie się, że ja tu jestem... Może nawet już o tym wie.

— Zdolny do najgorszych czynów wobec pana? — Alex uniósł brwi. Mimo woli sprawa zaczęła go interesować. W końcu obecność przestępcy na pokładzie samolotu i to przestępcy, którego ktoś się obawiał (a widać było z rysów twarzy i zachowania Knoxa, że jest naprawdę przestraszony), musiała go obejść. — Dlaczego ten człowiek chciałby zrobić panu krzywdę?

Knox spojrział na niego szybko, otworzył usta, ale nie odpowiedział.

Joe ponowił pytanie. Czuł, że herbata stygnie w filiżance, ale nie uniósł jej do ust. Przypomniało mu się zdumienie, z jakim Mr. Knox wpatrywał się w poczekalni dworca lotniczego w nieruchomą damę, która także siedziała teraz gdzieś w przedzie kabiny i była stąd zupełnie niewidoczna. A może Knox był nieszkodliwym wariatem? To też było możliwe... Ale przeczyło temu zachowanie celników. Komiwojażer kopalni brylantów

musiał mieć wszystko aż za dobrze poukładane w głowie. Inaczej nie trzymano by go nawet pięciu minut na posadzie. Nie mógłby tego także ukryć ani przed przełożonymi, ani przed celnikami, jeżeli on, Alex, bez trudności zauważył u niego objawy przestrawu... A może dowiedziawszy się, że jedzie w towarzystwie znakomitości z dziedziny kryminologii, jowialny pan Knox chciał stać się autorem jakiegoś, bliżej jeszcze nie znanego dowcipu? Ale i to chyba nie było prawdą. Jego zachowanie nie miało ani jednej fałszywej nutki. Musiałby być genialnym aktorem, żeby tak zagrać zaimprovizowaną naprędce rolę. A na genialnego aktora Knox nie wyglądał także. Więc chyba naprawdę się bał...

Ta analiza sytuacji dokonała się w umyśle Joego błyskawicznie, zanim pan Knox zdążył odpowiedzieć. A odpowiedź była mniej więcej taka, jakiej Alex się spodziewał.

— On... on może sądzić, że przyczyniłem się do jego uwięzienia. Okoliczności były tego rodzaju, że on tak chyba musi myśleć...

Wypił jednym łykiem herbatę i odstawił tackę na stolik, a potem wyjął ogromną chustkę i szybko otarł nią spocone czoło.

— Dlaczego musi tak myśleć? — Alex mimowolnie rzucił okiem ku przodowi kabiny, ale młodego człowieka w nieprzemakalnym płaszczu nie było w ogóle widać. Może zasnął, nie rozkładając fotela?...

— Powiedziałem już panu: bo takie były okoliczności jego... jego aresztowania. On na pewno przypuszcza, że to ja go wsypałem. On wie o tym! — Głos Knoxa, pomimo szeptu, był teraz najwyraźniej zachrypnięty. Grube palce miętoszyły chustkę, która leżała na kolanach mówiącego. — A przecież tacy ludzie zawsze tylko sobie zawdzięczają upadek. Ja byłem uczciwy, a on nie. To jest po prostu zbrodniarz, proszę pana, i nic więcej. Dlatego... dlatego, boję się, że... obawiam się, że on może być zdolny do jakiegoś nieodpowiedzialnego... czegoś wobec mnie... rozumie pan?

— Ale przecież w samolocie nic panu nie może zrobić — Alex uśmiechnął się pomimo najszczerzych intencji zachowania powagi. — Na lotnisku także nie, bo nie udałoby mu się uciec. A w samym Londynie nie musi się go pan przecież obawiać. Jeżeli naprawdę jest przestępcą, tak jak go pan określił, to raczej on powinien się pana obawiać, a nie pan jego.

Mr. Knoxa opuściła nagle cała energia. Pochylił głowę, a potem ją wyprostował.

— Może pan ma słuszość? — powiedział zbyt spokojnie w porównaniu z poprzednim zdenerwowaniem. — Ale sam jego widok tak mną wstrząsnął. A w dodatku pan był tuż obok i wiedziałem, kim pan jest. Może to wszystko dlatego?... Ale zwróci pan na niego uwagę, prawda?

Spojrzał na swego rozmówcę oczami, które nagle stały się zmęczone. Westchnął

i wyprostował się z wysiłkiem.

— Trzeba pójść spać... — mruknął — i nie przejmować się niczym. W końcu żyjemy w cywilizowanym świecie.

— Właśnie — Joe uśmiechnął się, rozbawiony nagłą zmianą nastroju Knoxa. — Zwróć na niego uwagę, o ile oczywiście nie będzie chciał pana udusić we śnie. Jestem tak zmęczony, że nie obudziłbym się chyba nawet wtedy, gdyby samolot zaczął się palić. Już dawno nie byłem tak senny. Radzę panu położyć się i spokojnie zasnąć. Rano będzie pan miał zupełnie inne samopoczucie. Zresztą samolot jest najgorszym miejscem do atakowania kogokolwiek. Ostatecznie nawet ze statku można uciec, a tu wszyscy jesteśmy związani ze sobą do chwili wylądowania i nie możemy się oddalić.

— Na pewno, na pewno... — Knox ziewnął. — Ma pan słuszość. Trzeba się będzie po prostu wyspać. Ale proszę pamiętać na wszelki wypadek o tym, co mówiłem. Będzie pan pamiętał, prawda?

— Na pewno. Ale myślę, że pański złodziejaszek, skoro wyszedł już raz z więzienia, będzie najszczęśliwszy, kiedy uda mu się nareszcie wrócić do swoich i zniknąć z pola widzenia tych, którzy wiedzą o jego przestępstwie.

— Tak... tak... — Knox pokiwał głową, ale uniósł ją na widok stewardesy, nadchodzącej z kocami i poduszkami.

— Czy panowie sami potraficie rozłożyć fotele? — zapytała.

— Oczywiście! — Alex uśmiechnął się do niej. — Damy sobie radę, panno Barbaro.

Zauważył, że uśmiechnęła się także na znak, że miło jej obsługiwać gościa, który zapamiętał jej imię. Zabrała tace i przesuwając się cichutko, zniknęła. Po chwili górna linia świateł przygasła. Pasażerowie układali się do snu.

Alex z ręcznikiem i szczoteczką do zębów w ręce przeszedł do małej łazienki samolotu. Kiedy wrócił, jego towarzysz z lewej strony już spał. Kładąc się usłyszał jeszcze głęboki, równy oddech Knoxa. Usypiając myślał o różach, o Johannesburgu, o pyzaty Mr. Knoxie... W górze, za oknem świecił biały i równo wycięty na niebie księżyc, oświetlający wielką, kłębiastą chmurę, którą samolot mijał, pozostawiając ją po prawej stronie. Joe poczuł jeszcze w pewnej chwili kołysanie, a potem usnął.

Wszystkie lampki pogasły. Tylko małe, czerwone światełko nad wyjściem awaryjnym świeciło nikłym blaskiem, nie rozgarniającym w ogóle ciemności. Po pewnym czasie chmura zakryła księżyc. Silniki pracowały równo, spokojnie, ciągnąc samolot poprzez obszar, na którym niewielkie, wędrownie burze błyskały z dala piorunami i przetaczały się nisko nad ziemią.



Minęła godzina. Potem jeszcze jedna godzina. Mr. Knox spał spokojnie, z na pół rozchylonymi ustami, oddychając równo, ale ciężko, jak wielu ludzi o nieco zbyt wielkiej tuszy.

Poza oddechem śpiących w kabinie nie było nic słychać i nawet najwprawniejsze ucho nie uchwyciłoby odgłosu skradających się kroków.

Kroki zatrzymały się. Nad Knoxem uniosło się długie, wąskie ostrze sztyletu. Przez chwilę trwało tak, zupełnie nieruchome. Potem nagle opadło w dół.

Skurcz ściągnął rysy leżącego człowieka. Otworzył oczy, jego usta zaczerpnęły powietrza dla wydania okrzyku. Ale zdusił je koc i po kilku sekundach wyprężone ciało Knoxa rozluźniło się i opadło ciężko na fotel. Leżał jak poprzednio, ale nie słychać już było jego równego, ciężkiego oddechu, nie miał już zamkniętych oczu. Były szeroko otwarte, nieruchome, szkliste...

Alex przekręcił się na drugi bok. W ciemności sztylet zatoczył półkole nad fotelami i zawisł nad jego piersią. Ale Joe westchnął tylko i powiedział: „Tak, tak, Karolino... kochanie...”

Sztylet cofnął się i zniknął.

Joe spał spokojnie dalej, ukołyszany łagodnym szumem silników, śniąc o Karolinie, o wojnie, o mordercach, których pochwylił w rzeczywistości, i o tych, których wymyślił, a potem kazał im żyć na kartkach swoich książek. A potem nie śnił już wcale. Był bardzo zmęczony tygodniem nonsensownego pobytu z nonsensownymi „miłośnikami” nonsensownych „książek kryminalnych”. Spał jak zabity.

#### 4. „JEST TU, MIĘDZY NAMI”

Kiedy się obudził, czerwony świt rozciągał się nad światem. Leżąc z twarzą blisko szyby, Joe patrzył przez chwilę na niezwykle krajobraz rozciągający się pod skrzydłami samolotu i wyrastający ponad nimi ku niebu. Oświetlone wiszącym tuż nad horyzontem słońcem, leżało morze kłębiących się chmur, z którego wyrastały fantastyczne baszty i grzyby, groźne i ciemne pomimo światła, którym ogarnięty był cały widoczny obszar przestrzeni.

Nie wyszliśmy jeszcze z terenu burz... — pomyślał, a potem dodał odruchowo: — Maszyna leci na dziesięciu tysiącach stóp, a tam w dole pada deszcz... ale na pewno stacje meteo sygnalizują burze i dlatego będziemy się trzymali wysoko, aż do samego Nairobi... Tylko czy to na pewno pomoże? Jeżeli te chmury urosną i zamkną się w którymś miejscu, wybuja nas porządnie przed lądowaniem...

Jakby na potwierdzenie jego myśli niewidzialny podmuch wiatru zakołysał samolotem. Joe usłyszał za sobą ciche skrzypnięcie drzwi. Usiadł powoli i odwrócił głowę.

Stewardesa weszła właśnie, niosąc dużą tacę, na której stały filiżanki i szklanki z kawą i herbatą. Spoza obłoku pary, który unosił się nad naczyniami, zobaczył jej świeżą, uśmiechniętą twarz.

— Dzień dobry! — powiedział półgłosem i mimowolnie potarł nie ogolony podbródek.

— Dzień dobry! Kawę czy herbatę?

— Och, kawę, oczywiście. Czy jeszcze daleko do Nairobi?

Podawała mu filiżankę z czarnym, gęstym płynem, nad którym unosił się najulubiejszy z zapachów, jakie Joe znał.

— Powinniśmy tam być za pół godziny według rozkładu lotów. Ale w nocy zrobiliśmy luk, żeby ominąć burzę na trasie. O tej porze roku to zwykle zjawisko. Będziemy mieli chyba godzinę opóźnienia. Zresztą kiedy rozdám napoje, zajrzę do pilota i powiem państwu, jak sytuacja wygląda. Zaraz podam śniadanie...

Kiwnęła mu głową i z promiennym uśmiechem, do którego Joe zdążył już przywyknąć, zwróciła się ku Knoxowi.

— Dzień dobry... — powiedziała pochylając się i nagle wyprostowała się bez słowa. Joe, który patrzył na nią, dostrzegł, że taca wysuwa się z jej rąk.

Jak na zwolnionym filmie widział przewracające się filiżanki, wylewający się z nich płyn, a potem spadający chaos szkła. Usłyszał brzęk.

— On... on jest... — powiedziała cicho dziewczyna i cofnęła się. Podłoga kabiny u jej

stóp pokryta była odłamkami białej porcelany, nad którymi unosił się obłoczek pary. Joe zerwał się i spojrział.

Pan Knox leżał nakryty kocem i patrzył na niego spokojnym spojrzeniem, rozjaśnionym odbiciem słońca, które świeciło gdzieś w dole i położyło promień na suficie kabiny. Na kocu, ciśnięty na piersi umarłego, leżał długi, wąski sztylet, na ostrzu którego zakrzepła ciemna, lepka masa.

Omijając rozsypane szkło, Joe zrobił krok w kierunku leżącego, pochylił się nad nim i wyprostował. Stewardesa nadal stała nieruchomo, przyciskając do ust palce obu dłoni, jak gdyby pragnęła powstrzymać okrzyk.

— On nie żyje... — powiedział Alex półgłosem. — Proszę zachować absolutny spokój — dodał szybko, widząc, że dziewczyna jest bliska załamania i cała jej twarz zaczyna drżeć. — Niech pani pamięta, że jest pani członkiem załogi. Proszę iść natychmiast po dowódcę samolotu. Ja tu zaczekam.

— Tak jest, proszę pana. — Posłuchała go od razu i zawróciła w miejscu, a potem szybko przeszła ku przodowi i zniknęła za drzwiami, których nie zamknęła za sobą. Joe przez sekundę patrzył za nią, a potem, przeniósł wzrok na współpasażerów. Nie wszystkich mógł stąd dostrzec. Ruszył przed siebie w tym samym kierunku co dziewczyna.

Najbliżej, bo tylko o dwa rzędy foteli w stronę dziobu, leżał profesor. Spał jeszcze, zakryty kocem po uszy, a wyglądająca spod koca ręka w pasiastym rękawie pidżamy obejmowała przez sen neseserek zawierający czaszkę, jakby to była głowa ukochanej kobiety.

Dalej, po drugiej stronie, spała młoda tancerka. Chociaż słońce zaszło w tej chwili za jedną z większych chmur, twarz jej lśniła od kremu, którym była dokładnie wysmarowana na noc.

Jack Fighter i mały człowieczek, nazwany Samuelem, znajdowali się mniej więcej pośrodku kabiny i spali po obu stronach przejścia w jednym rzędzie. Kiedy zbliżył się do nich, młody olbrzym nie drgnął nawet, ale mały człowieczek otworzył oczy i obrzucił go zupełnie przytomnym, czujnym spojrzeniem, zanim je zamknął ponownie i zakrył twarz łokciem.

Dama powracająca z Kongresu Spirytystów Wyzwolonych leżała na wznak, zupełnie nieruchomo, z dłońmi na kocu, złożonymi razem i stykającymi się czubkami palców, jak postać z gotyckiego sarkofagu. Była tak bardzo podobna do zwłok, że Joe pochylił się nad nią i przez sekundę patrzył uważnie na koc, wstrzymując oddech. Ale koc poruszał się: uniósł się, potem opadł i znieruchomiał. Potem znowu się uniósł, opadł i znieruchomiał. W oddechu leżącej nie było ciągłości i składał się z trzech faz: wdechu, wydechu i nieruchomości. Joe odetchnął z ulgą.

W pierwszym rzędzie foteli znajdował się tylko jeden pasażer. Leżał na pół okryty kocem, nadal ubrany i nawet owinięty płaszczem, w którym wszedł na pokład samolotu. Tylko buty stały na podłodze. Pasażer ten miał szeroko otwarte oczy i spoglądał przed siebie, wpatrując się uporczywie w ścianę. Oczy te były zupełnie przytomne i żywe.

Kiedy Alex zatrzymał się przy nim, nie odwrócił początkowo głowy, ale po chwili zrobił nią szybki ruch i utkwił w stojącym spojrzenie pełne, jak się wydało Joemu, obawy i niechęci.

Drzwi otworzyły się i Alex zobaczył w nich pierwszego pilota, a za nim stewardesę. Nadal była bardzo blada, ale najwyraźniej już się opanowała. Za to pilot sprawiał wrażenie człowieka zupełnie wytrąconego z równowagi. Najprawdopodobniej drzemał przed chwilą, pozwalając prowadzić maszynę zastępcy, jak zwykle na dalekich trasach, gdzie piloci na zmianę czuwają przy sterownicach. Zapinał gorączkowo kurtkę i zanim wszedł do kabiny pasażerów, przyglądał dłonią rozwichrzone nieco włosy.

— Co się stało?! — zapytał Alexa, zniżając mimowolnie głos.

— Jeden z pasażerów został zasztyletowany w czasie snu — powiedział Joe spokojnie. — Dlatego pozwoliłem sobie poprosić stewardesę, aby zawiadomiła pana o tym. O ile wiem, jest pan odpowiedzialny za nas wszystkich, dopóki samolot znajduje się w powietrzu.

— Gdzie on jest? — Pilot z niecierpliwością machnął ręką i wyminął Joego. Zatrzymał się raptem, rozglądając się niepewnie.

— Tam, w ostatnim rzędzie. Spał obok mnie...

Kapitan Grant szybko ruszył przez kabinę. Joe chciał pójść za nim, ale najpierw odwrócił głowę i spojrzał na leżącego pasażera, który musiał słyszeć każde słowo odbytego przed chwilą dialogu.

Pasażer już nie leżał. Siedział na fotelu i wpatrywał się w Alexa wzrokiem, w którym było tyle samo niedowierzania, co przerażenia.

— Zamordowany?... — powiedział cicho. — Zamordowany... Jak to zamordowany?

Alex położył palce na ustach.

— Po prostu: zamordowany. A o tym, kto go zabił, będziemy chyba musieli zaraz porozmawiać...

Ruszył za pilotem i zatrzymał się na końcu kabiny. Stali tam oboje, Grant i stewardesa, nieruchomi, bezradni, wpatrując się zdumionymi i przerażonymi oczyma w okropny widok, jaki przedstawiało miejsce, gdzie jeszcze przed kilkoma godzinami leżał spokojnie śpiący pan Knox.

— Myślę, że trzeba obudzić pasażerów... — powiedział Joe półgłosem. — I tak zaraz się dowiedzą o wszystkim, a dopóki lecimy, łatwiej będzie z nimi porozmawiać, prawda,

kapitanie?

Pilot obrócił się ku niemu i spojrzał bystro.

— Tak, na pewno... — powiedział z wahaniem. — Pan spał obok niego, czy tak?

— Tak. Ale nie o tym mówiłem... — Joe odwrócił się i głośno, przekrzykując monotony szum motorów, zawołał: — Proszę państwa! Proszę państwa!

Szybko przeszedł od fotela do fotela, budząc śpiących, a potem zawrócił i znowu stanął obok pierwszego pilota, który bez słowa przyglądał się wszystkim jego czynnościom.

— Niech pani szybko przyniesie jakieś prześcieradło albo obrus i przykryje zwłoki... — powiedział Alex do stewardesy. — W końcu są tu także kobiety i nie wiadomo, jak mogą zareagować na... na taki widok. Pani, niestety, jest tu na służbie... I dlatego nie można mieć dla pani podobnych względów. Zresztą już go pani widziała.

Stewardesa spojrzała na pilota, który skinął głową. Trzymając jedną ręką za poręcz fotela Alexa, przeskoczyła przez rozbite naczynia. Zauważył, że zrobiła to, starając się nie otrzeć o ciało zmarłego. Zniknęła za drzwiami pomieszczenia gospodarczego.

Joe odwrócił się i zrobił krok do przodu, tak że zasłonił sobą fotel Knoxa. Wyczuł raczej, niż dostrzegł, że Grant przysunął się do niego.

— Proszę państwa!

Sponad oparcia foteli uniosły się zaspane głowy. Alex policzył je, potem spojrzał ku pierwszemu rzędowi. Młody człowiek w nieprzemakalnym płaszczu wstał ze swojego posłania i stał teraz zwrócony twarzą ku mówiącemu, oparty plecami o ścianę, oddzielającą kabinę pasażerską od kabiny pilotów.

— Proszę państwa, mam do zakomunikowania bardzo nieprzyjemną wiadomość. Niestety, nie da się tego uniknąć, więc lepiej będzie, kiedy będziemy mieli to za sobą. — Urwał na chwilę. Nikt się nie odezwał. — Otóż w kabine została dziś w nocy, podczas lotu, popełniona zbrodnia. Chciałbym teraz, abyście państwo pozostali na razie na swoich miejscach... Za chwilę będziemy zmuszeni do zadania państwu kilku podstawowych pytań, na które wszyscy, mam nadzieję, odpowiedzą w miarę posiadanych przez siebie wiadomości. Tymczasem...

— Chwileczkę... — pilot dotknął lekko jego ramienia. — Nie mam nic przeciwko temu, co pan mówi, ale chciałbym wiedzieć, kim pan właściwie jest. Na razie wiem tylko, że był pan w nocy sąsiadem zamordowanego.

— Och, przepraszam! — Joe rozłożył ręce. — Jak widać, mną również to wstrząsnęło i zapomniałem się przedstawić. Jestem ekspertem kryminalnym Scotland Yardu. A ponieważ znajdowałem się tak blisko miejsca zbrodni w chwili jej popełnienia, więc siłą rzeczy będę na pewno uczestniczył w prowadzeniu śledztwa. Dlatego sądzę, że powinniśmy w miarę

możności zacząć je od razu.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z portfela legitymację. Grant obejrzał ją uważnie i oddał z westchnieniem, które, jak się wydało Joemu, było chyba westchnieniem ulgi.

— W takim razie... — Pilot rozłożył ręce. — Niech pan przejmie wszystkie moje uprawnienia wobec pasażerów do chwili lądowania. Lecimy brytyjskim samolotem i za niecałą godzinę wylądujemy na terenie brytyjskiej kolonii, więc nawet wobec prawa międzynarodowego wolno panu, jako przedstawicielowi policji, rozpocząć oficjalne śledztwo, o ile się orientuję...

Przerwał, bo młody człowiek w nieprzemakalnym płaszczu oderwał się od ściany i szybko podszedł ku nim. Zatrzymał się o pół kroku przed Alexem, ale nie spojrzał na niego. Wzrok miał utkwiony w twarzy zmarłego.

Joe otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie odezwał się słowem. Przez chwilę trwało milczenie. Wreszcie młody mężczyzna zawrócił na pięcie i nie zdradzając najmniejszych objawów jakichkolwiek emocji, powrócił na miejsce, gdzie znowu stanął, wsunawszy ręce do kieszeni.

Alex obejrzał się. Stewardesa weszła właśnie, niosąc przerzucone przez ramię białe, złożone prześcieradło. Zawahała się, stanawszy nad fotelem Knoxa. Joe szybko wyjął prześcieradło z jej rąk, rozłożył je i ostrożnie nakrył zmarłego.

Najwidoczniej siedzący z daleka pasażerowie zorientowali się, co ta czynność oznacza, bo rozległ się cichy, kobiecy okrzyk, a zaraz potem przytłumione łkanie.

Alex odwrócił się błyskawicznie. Ale spotkał go zawód. To płakała tancerka. Ukryła twarz w dłoniach i na pół obrócona ku tyłowi samolotu, oparła się o poręcz fotela. Widział tylko jej długie, opadające wzdłuż pleców włosy, które drżały wraz z głową, wstrząsaną łkaniem. Przeniósł spojrzenie dalej, ale dama siedziała nieporuszona, także na pół obrócona w fotelu, wpatrzona w niego oczyma bez żadnego wyrazu.

— Za ile czasu będziemy w Nairobi? — zapytał półgłosem Granta.

— Mniej więcej za czterdzieści minut.

— W takim razie... W takim razie mam do pana małą prośbę. Niech pan łaskawie zawiadomi Nairobi o tym wydarzeniu i proszę wysłać depezę do Johannesburga...

Drzwi kabiny pilota uchyliły się i wyjrzał przez nie krępy człowiek w białej koszuli, której rękawy były podwinięte do łokci.

— To jest właśnie radiotelegrafista, Ned — Grant skinął na człowieka w białej koszuli. — Chodź no tu do nas.

Radiotelegrafista podszedł spokojnym, kołyszącym się krokiem i zatrzymał przed nimi.

Spojrzał na nakryty prześcieradłem kształt, ale nie zdradził większego zainteresowania.

— Depesza, tak?

— Tak. — Grant zwrócił spojrzenie w kierunku Alexa, który wyjął z kieszeni marynarki notes i pióro, nakreślił kilka słów i podał kartkę radiotelegrafście.

— Proszę to zaraz wysłać, o ile możliwe, i natychmiast przekazać nam odpowiedź.

Człowiek w białej koszuli wziął kartkę, ale ponownie spojrzał na pierwszego pilota, który skinął głową.

— W porządku, Ned. Ten pan jest detektywem. Rób to, o co cię poprosi.

— Tak jest.

Nie dodając już ani słowa, zawrócił w miejscu i ruszył ku kabynie pilotów, odczytując kartkę. Joe zauważył, że wszystkie głowy obróciły się i odprowadziły go spojrzeniem. A właściwie nie jego, ale kartkę, jakby pragnęły odczytać jej treść. Wszystkie głowy poza jedną, bo wyprostowana dama w średnim wieku nawet nie drgnęła, kiedy radiotelegrafista ją mijał.

Joe zwrócił się do stewardesy.

— Pani ma bilety pasażerów, prawda?

— Tak, proszę pana.

— Może będzie pani łaskawa mi je przynieść, dobrze?

— Dobrze, proszę pana...

Nadal była jeszcze bardzo blada, ale widać spoczywające na niej obowiązki pomogły jej się opanować. Wyszła.

— Będziemy, proszę państwa, próbowali od razu, tutaj, dowiedzieć się tego wszystkiego, czego uda nam się dowiedzieć. Myślę, że tak będzie najlepiej, bo nie biorąc nawet pod uwagę najgorszego aspektu tego ponurego wydarzenia, zdajecie sobie państwo na pewno sprawę z tego, że samolot zostanie zatrzymany w Nairobi i nikomu nie pozwolą odlecieć dalej, póki sprawa morderstwa nie zostanie definitywnie wyjaśniona. Dlatego wydaje mi się, że wszyscy zrobimy najlepiej, jeżeli w miarę naszych możliwości będziemy się starali dopomóc w prowadzeniu śledztwa, które jako ekspert kryminalny New Scotland Yardu w Londynie będę miał smutny obowiązek rozpocząć...

Reakcja na jego słowa była zupełnie niespodziewana. Młoda kobieta, która do tej pory łkała, ukrywając twarz w dłoniach, wyprostowała się nagle i ocierając chusteczką moką twarz powiedziała:

— Ale przecież ja jutro muszę być w Londynie! Mam występ w sobotę i muszę się przygotować do niego bez względu na to, co się dzieje naokoło!

Młody olbrzym także był wyraźnie zaniepokojony. Wstał i nie prostując się, bo jego głowa nieomal dotykała sufitu, powiedział do małego człowieka siedzącego z ponurą miną na przeciwległym fotelu.

— Samuelu, co ten człowiek mówi? Czyja dobrze zrozumiałem, że on nas nie chce puścić dalej?

— To tajniak... — Mały człowieczek nie próbował nawet zniżyć głosu. — Mówi, że zatrzymają nas w Nairobi, dopóki nie znajdą tego gościa, który wykończył tego drugiego pod prześcieradłem... — Zerwał się nagle i wymierzył w Alexa wskazujący palec prawej dłoni, co najwidoczniej było jego stałym nawykiem przy adresowaniu ważniejszych zdań: — Hej, panie! Czy pan to mówi serio?

— Jak najbardziej. Widzi pan przecież, że na pokładzie tego samolotu popełniono morderstwo.

— A co to nas obchodzi? — Mały człowieczek wybiegł z fotela, zrobił dwa kroki w kierunku Alexa i zawrócił. Potem przystanął i zaczął uderzać czubkami palców jednej dłoni w czubki palców drugiej. — Ten tu, Fighter Jack, musi być jutro w Londynie bardziej niż ta panienska, która tyle o tym mówi. Cały świat czeka na nasz mecz. Mamy kontrakt na sto tysięcy funtów i nie będziemy trzymali zawodnika w takim klimacie, na samym równiku, tylko dlatego, że jacyś faceci nie mogą załatwić swoich porachunków na ziemi, jak to robią przyzwoici ludzie, ale pchają się z tym w powietrze, żeby zatruć życie niewinnych podróżnych! Nie chce pan chyba powiedzieć, że to myśmy wykończyli tego grubasa, co?

— Nie chcę na razie niczego mówić. Chcę tylko, żebyście państwo pomogli mi w śledztwie, którego pomyślny rezultat gwarantuje nam na pewno szybki odlot.

— Ale to nie nasza sprawa, tylko wasza: policji! Jeżeli pan jest z policji, to może pan sobie siedzieć w Nairobi nawet do końca świata, ale my nie możemy tam zostać nawet przez jeden dzień! I nikt nas do tego nie zmusi, mogę się z panem założyć!

— Nie chcę panu teraz tłumaczyć, że nawet sławny bokser i jego trener są takimi samymi ludźmi jak reszta obywateli, kiedy wchodzi w grę wymiar sprawiedliwości i pomoc przedstawicielom prawa. Sam pan chyba wie o tym od dziecka.

Mały człowieczek wzruszył ramionami.

— Nic mnie to nie obchodzi. Każdy ma swoje sprawy. Pana sprawa to odkrycie mordercy, a moja: przygotowanie tego chłopca do meczu.

— To prawda, ale sytuacja wygląda w ten sposób, że muszę wszystkich państwa prosić o pomoc, to znaczy wszystkich oprócz mordercy, bo on nam na pewno nie pomoże. A przecież wszyscy państwo chyba rozumieją, że ktoś z nas jest mordercą tego



b i e d a k a .

Po tych ostatnich słowach zapanowało milczenie. Przerwał je dopiero profesor. Siedział do tej pory spokojnie, ubrany w nieco zbyt jaskrawą pidżamę, nie ogolony i rozczochrany, z wyraźnym zdumieniem spoglądając na Alexa poprzez swe podobne do szkieł powiększających okulary. Pudełko z czaszką trzymał na kolanach, obejmując je oburącz, jak gdyby niejasna sytuacja i podniesione głosy, jakimi mówili obecni, mogły jej zagrażać w jakiś bliżej nie sprecyzowany sposób.

Teraz położył pudełko na stoliku obok swego fotela i przygładził dłonią włosy.

## 5. „NA RAZIE JEST PAN JEDYNĄ OSOBĄ, KTÓRA MIAŁA POWÓD...”

— Och tak, na pewno morderca jest pomiędzy nami — Alex pokiwał głową. — Ale nie możemy przecież liczyć na to, że się sam przyzna, prawda? — Zawiesił głos. — A może możemy?

Przesunął ponownie oczyma po wpatrzonych w niego twarzach. Żadna z nich nawet nie drgnęła.

Weszła stewardesa. Joe odebrał bilety i w milczeniu wskazał jej fotel w pewnej odległości od zmarłego. Ponownie przeskoczyła rozbite szkło i usiadła, odwracając wzrok od prześcieradła. Alex zapytał Granta:

— Czy może pan zostać z nami, kapitanie? Pana obecność wydaje się potrzebna ze względu na funkcje, które sprawuje pan na pokładzie.

— Oczywiście. Drugi pilot znakomicie da sobie radę. Pomimo tych słów wyjrzał przez okno, za którym kolumny chmur piętrzyły się coraz groźniej.

— Sygnalizowano nam nową burzę — dodał w formie wyjaśnienia. — Ale na razie możemy przystąpić do rzeczy. Jesteśmy już blisko Nairobi.

Usiadł w fotelu obok stewardesy.

— Proszę państwa, myślę, że najlepiej będzie, jeżeli odpowiecie mi krótko na kilka zasadniczych pytań... — powiedział Joe. — Może zrobimy to kolejno. Będę brał książeczki biletowe i równocześnie sprawdzę, czy nie ma w nich jakiejś omyłki...

Wziął pierwszy bilet.

— A więc pan... och, to jest właśnie bilet zabitego. — Przesunął po nim oczyma, a potem uniósł głowę. — A więc z biletu tego dowiadujemy się, że nazwisko zmarłego brzmiało Richard Knox, że był przedstawicielem kopalni brylantów „Flora”, która pokryła koszty jego przelotu, że zamówił ten bilet przedwczoraj, to znaczy pierwszego czerwca. Bilet jest powrotny: *Johannesburg — London et retour*. Pan Knox miał powrócić do Londynu po trzech dniach pobytu w tym mieście. To wszystko. Panie kapitanie, czy samoloty z Johannesburga do Londynu i z Londynu do Johannesburga odlatają codziennie?

— Tak.

— To wspaniale... — powiedział Joe, zdając sobie sprawę, że jego entuzjazm nie może być zrozumiały dla słuchających. — Nigdy nie przypuszczałem, że mamy aż tak doskonałą komunikację lotniczą z Afryką Południową...

Wziął do ręki drugą książeczkę i zajrzał do niej.

— Pan profesor John Barclay. Pochodzi pan z Londynu i odbywa pan w tej chwili podróż powrotną do Anglii, prawda? A bilet wykupił pan przed dziesięcioma dniami w Londynie. Czy wszystko się zgadza?

— Najzupełniej. — Profesor przetarł szkła i nałożył je na powrót na nos. Bez nich jego oczy straciły kolosalny wymiar i wydały się Alexowi podobne do oczu królika.

— W jakim celu odwiedzał pan Unię Południowoafrykańską?

— Jestem antropologiem i przybyłem tu z polecenia Królewskiego Towarzystwa Archeologicznego, a także oczywiście na zaproszenie moich południowoafrykańskich kolegów, prowadzących niezwykle owocne wykopiska w Transwalu. Ostatnio udało im się wykopać cały szereg zupełnie zdumiewających czaszek, które przesuwają historię człowieka afrykańskiego o dobre sto tysięcy lat, sądząc z pokładów, z których je wydobyto... Ale prasa tak wiele o tym pisała, że chyba jest to wszystkim państwu dokładnie znane — dodał z niewinną miną.

Kiedy Joe w milczeniu zajął się studiowaniem następnego biletu, Fighter Jack pochylił się ku małemu człowieczkowi i powiedział półgłosem, ale tak donośnie, że wszyscy go usłyszeli:

— Sto tysięcy lat, Samuelu? Tak, zdaje się, powiedział. Czy myślisz, że on może być trzeźwy? Mógł po pijanemu dziabnąć tego drugiego faceta. On w tym pudle ma trupią czaszkę. Sam widziałem.

Mały człowieczek zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Zaczekaj! Posłuchajmy dalej. Chyba wie, co gada. To profesor. A ty myśl lepiej nie o tych stu tysiącach lat, ale o stu tysiącach funtów.

— Panna Isabella Linton... — powiedział Alex, prostując się. — Miałem przyjemność podziwiać panią kiedyś... — dodał z uśmiechem, chociaż wcale mu nie było wesoło, bo nie lubił kłamać. — Pani także kupiła bilet w Londynie przed dwoma tygodniami i wczoraj zarezerwowała pani miejsce na lot powrotny, tak?

— Tak.

Była już zupełnie opanowana, chociaż jeszcze przed chwilą tonęła we łzach. Była upudrowana i umalowana. Kiedy ona zdążyła to zrobić? — pomyślał Joe i pytał dalej:

— Była tu pani na występach, prawda?

— Tak. Przed miesiącem podpisałam kontrakt na trzy występy w Capetown i trzy w Johannesburgu. Kiedy już tu byłam, chcieli, żebym przedłużyła *tournee* po Afryce Południowej, ale jestem związana stałym kontraktem w kraju i w sobotę muszę rozpocząć występy w londyńskiej „Alhambrze”.

— Tak... Dziękuję pani, na razie.

Wziął do ręki następną książeczkę i studiował ją odrobinę dłużej.

— Pan Horace Roberts... To pan o mało się nie spóźnił wczoraj, prawda?

— Tak. Ja — Młody mężczyzna nadal stał pod ścianą kabiny pilotów. Nie poruszył się. — Ale co to ma do rzeczy? — W jego głosie nie było zdenerwowania ani gniewu, tylko pytanie.

— Wcale nie powiedziałem, że to ma coś do rzeczy, jeśli ma pan na myśli morderstwo.

Chciałem po prostu zapytać, czy to pan wczoraj o mało się nie spóźnił?

— Tak. Powiedziałem to przecież przed chwilą. Zresztą widział mnie pan chyba, jak wsiadałem.

Alex nie odpowiedział. Zerknął do książeczki.

— Bilet dla pana zamówiono w Londynie i opłacono w Londynie, czy tak.

— Tak. Czy w tym także znajduje pan coś podejrzanego?

— W samym fakcie absolutnie nic... Jeszcze jedno krótkie pytanie: wczoraj byłem mimowolnym świadkiem pańskiego dialogu z tu obecną stewardesą, która zapytała pana, czy cały pański bagaż został dostarczony do samolotu. Z pana odpowiedzi wynikało, że nie ma pan żadnego bagażu. Ten fakt, oczywiście, nie miał prawa interesować nikogo, ale w tej chwili musi nas ciekawić każde niepowszednie wydarzenie w tym samolocie, choćby trochę tylko odbiegające od przyjętych norm i codzienności.

Roberts wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem, co pan przez to chce powiedzieć? Czy nie wolno podróżować bez bagażu?

— Wolno. Ale...

Drzwi kabiny pilotów otworzyły się i młody człowiek musiał usunąć się, żeby przepuścić radiotelegrafistę, który wszedł, zbliżył się do Alexa i podał mu dwa długie paski papieru, podobne trochę do fragmentów porwanej balowej serpentyny.

— Jest odpowiedź z Johannesburga, proszę pana. Nairobi zawiadomione.

— Dziękuję...

Joe szybko przesunął przed oczyma oba paski.

— Czy będzie coś jeszcze? — zapytał radiotelegrafista tym samym obojętnym głosem co poprzednio.

— Na razie nie.

Alex wsunął depeszę do kieszeni i zwrócił się do Roberta.

— O czym to mówiliśmy? Aha, o pańskim bagażu. Przecież nie pogniewa się pan chyba, jeżeli zapytam pana o przyczynę tego dość dziwnego postępowania. Nieczęsto zdarza się, żeby człowiek wybierał się w podróż wzdłuż niemal całej kuli ziemskiej nie zabierając ze

sobą absolutnie niczego. Dlaczego tak się stało?

Młody człowiek patrzył na niego uważnie.

— Czy dostał pan odpowiedź z Johannesburga?

— Tak.

— Więc nie muszę chyba niczego dodawać. Dlaczego mnie pan o to pyta?

— Bo fakt, że to pana właśnie na godzinę przed naszym odlotem wypuszczono z więzienia, oraz fakt, że rodzina kupiła dla pana bilet do Anglii, nie tłumaczą jeszcze wszystkiego...

Joe urwał, bo nagle pociemniało. Spojrzał w okno. Samolot wszedł w chmury i teraz rwał końcami skrzydeł ich strzępy, kołysząc się nieco bardziej niż poprzednio. Grant także wyglądał przez okno. O szyby kabiny bluznął deszcz. Nagły blask rozjaśnił wnętrze, lecz zaraz zrobiło się jeszcze ciemniej niż poprzednio. Rząd żarówek zapalił się.

— Burza... — powiedział kapitan samolotu. — Jeżeli będzie bardzo kołysało, przerwiemy przesłuchanie i pasażerowie usiądą, zapiawszy pasy. Muszę pana opuścić na pewien czas, przynajmniej do chwili, dopóki to się nie uspokoi.

Znowu błysnęło i samolot zakołysał się tak gwałtownie, że jedna z kobiet krzyknęła. Joe stał, trzymając dłońmi za poręcze dwu sąsiadujących foteli, i patrzył na ciemne, kotłujące się fale mgły, które przelatywały za oknami samolotu. Wszyscy umilkli. Nagle zauważył, że profesor pochyla się ku niemu, nie wypuszczając z ręki nesesera.

— Wspaniały teatr! — zawołał przekrzykując łoskot wichru i grzmot silników, który wiatr zdawał się teraz wpychać do kabiny, pomimo izolacji zabezpieczającej od dźwięków z zewnątrz. — Któż by to wymyślił? Zwłoki przykryte prześcieradłem i pioruny bijące naokoło garstki pasażerów, pomiędzy którymi ukrywa się morderca! Zdumiewające, prawda?

Joe skinął głową i wpił mocniej palce w poręcze foteli. Podmuch wichury rzucił nagle samolotem w bok, jak gdyby nie był on wielotonową, zaopatrzoną w gigantyczne silniki stalową konstrukcją, ale wyschniętym liściem zabłąkanym w wysokie rejony nieba.

— Ma pan słuszność... to teatr... — uśmiechnął się Alex i głosem przerywanym koniecznością nieustannego łapania równowagi zaczął mówić:

*Wielcy bogowie... którzy nad głowami...*

*Naszymi gromy tej burzy rozdarli,*

*Niechaj odnajdą teraz swoich wrogów.*

*Zadrzyj, nędzniku, tający przed prawem swe zbrodnie...<sup>1</sup>*

---

1\* Tłum. Maciej Słomczyński.

— ...*Skryj się, ręko krwią splamiona!* — dokończył antropolog i uniósł oczy ku niebu: — *Król Lear*, scena z trzeciego aktu! On naprawdę wszystko napisał, Szekspir, nawet to, czego jeszcze nie było. Ale czy odnajdą?

— Jeżeli tego nie zrobią, postaramy się to zrobić w ich imieniu...

Joe umilkł. Cytat kołatał mu się jeszcze przez chwilę po głowie, ale potem ustąpił miejsca niejasnemu uczuciu niepokoju. Niepokój ten tkwił w nim już od kilkunastu minut i powstał w krótki czas po odkryciu zbrodni. Bo Joe Alex w i e d z i a ł, że wczoraj dwukrotnie miał wrażenie, że jakieś fakty są f a ł s z y w e, niezgodne ze słowami wypowiedzianymi przez ludzi. Wydawało mu się, że słowa te zostały może nawet wypowiedziane przez samego Knoxa. Ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jakie to były fakty i jakie to były słowa...

Samolot wpadł teraz w tak nieprzenikniony mrok, że trudno było uwierzyć w dzień, rozciągający się już przecież wokół. Deszcz siekł ostro i wicher kołysał maszyną, która uporczywie parła do przodu. Alex wiedział, że samolotowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Pomimo pozorów burza tych rozmiarów i o tej sile wiatru nie była groźna dla „Superconstellation”.

I nagle o mało nie puścił poręczy foteli, żeby klasnąć w ręce! W i e d z i a ł już. Przypomniał sobie wszystko.

Zmarszczył brwi i nie zwracając najmniejszej uwagi na żywioły szalejące za oknami i taniec podłogi samolotu, zaczął się zastanawiać. Tak, to musiało mieć znaczenie. Ale jakie? Odpowiedź była jasna: jeżeli miało znaczenie, to mogło ono być tylko jedno. Tylko jedno.

— Ale to nie są żadne dowody... — szepnął do siebie. Stewardesa wstała i czepiając się foteli podeszła do panny Linton, która zaczęła zdradzać gwałtowne objawy choroby morskiej. Usiadła obok niej i obie zniknęły z pola widzenia Alexa.

Nagle mrok za oknami zaczął się przecierać. Zrobiło się widno, potem jeszcze widniej i w pewnej chwili samolot wynurzył się z mroku. Płynęli teraz pomiędzy białymi, postrzępionymi obłoczkami. Jeszcze chwila i zabłysło słońce, jak gdyby samolot wynurzył się z tunelu. Kołysanie prawie ustało. Jeszcze tylko od czasu do czasu jakiś podmuch pochyłał maszynę w lewo albo w prawo, ale z wolna wszystko się uspokoiło. Silniki ciągnęły równo, a ich potężny głos znowu stał się słyszalny.

Joe odetchnął i rozejrzał się.

Wszyscy siedzieli na miejscach. Roberts zajął poprzednią pozycję, oparty plecami o ścianę. Drzwi otworzyły się i wszedł kapitan Grant.

— Już po wszystkim! — powiedział głośno. — Mała burza, ale za to bardzo paskudna. Mam nadzieję, że państwo dobrze ją znieśli? — Urwał, przypominając sobie, że jest świadkiem rozpoczynającego się śledztwa. Podeszedł do Alexa i usiadł na poprzednim miejscu.

— Mówiliśmy o depeszy z Johannesburga, Mr. Roberts... — podjął Alex, jak gdyby przerwał swoje przemówienie przed sekundą. — Wiem z niej, i nie będę tego ukrywał przed panem, że niemal spóźnił się pan, gdyż poddano pana dokładnej rewizji osobistej na lotnisku, gdy opuszczał pan Unię Południowoafrykańską, z której został pan wydalony po odbyciu kary. Urzędnicy celni są tak dokładni, że podali w depeszy dokładny wykaz przedmiotów znajdujących się w pańskim posiadaniu, wymieniając: czek podróżny na trzydzieści funtów angielskich, pęk kluczy, zapalniczkę, grzebień, paczkę papierosów i chustkę do nosa. Poza papierosami wszystkie te rzeczy otrzymał pan wychodząc z więzienia, gdzie były złożone w depozycie. Ach tak, i jeszcze zegarek na rękę marki „Chronos”, także z depozytu. Czy to się zgadza?

— Najzupełniej. Mogę tylko podziwiać sprawność tych panów i ich niezawodną pamięć, chociaż, gdyby mnie zapytano o zdanie w tej materii, wolałbym może, żeby ćwiczyli ją na sonetach Szekspira na przykład.

Powiedział to bez wyraźnej ironii, obojętnym, rzeczowym tonem.

— Nie będę polemizował z pana oceną. Natomiast chciałbym bardzo usłyszeć, za co został pan skazany na karę więzienia przez sąd południowoafrykański?

Roberts zastanawiał się przez chwilę. Kiedy zaczął mówić, jego głos stracił akcent obojętności, który do tej pory trochę drażnił Alexa.

— Czy to pytanie także należy do śledztwa? Mogę pana zapewnić, że nie zostałem skazany za morderstwo ani nawet za usiłowanie pobicia kogokolwiek. Zostałem skazany za zwykłą kradzież i wypuszczono mnie przedterminowo.

— Czy za kradzież brylantów? — rzucił Joe niemal obojętnie.

— Więc i to panu zdążyli już zadepeszować? — Roberts pokiwał głową. — Muszę się panu przyznać, że wychodząc z więzienia miałem jeszcze odrobinę dziecinnego przeświadczenia, że potrafię zataić tę sprawę przed światem i wrócić do normalności. Teraz widzę, że będzie mnie ona ścigała do końca życia...

Sięgnął do kieszeni i zapalił papierosa.

— Nie — Alex potrząsnął przecząco głową. — Nie zdążyli mi tego zadepeszować. Zdążył mi to natomiast powiedzieć zmarły pan Knox. O ile się nie mylę, były to w ogóle ostatnie słowa, jakie wypowiedział w życiu. Kiedy zobaczył pana, przestraszył się tak bardzo, że

poprosił mnie, wiedząc o moim zawodzie i znając mnie jako eksperta Scotland Yardu, abym zwrócił na pana uwagę, bo może mu pan wyrządzić jakąś krzywdę. Najwyraźniej obawiał się, że może mu ją pan wyrządzić nawet na pokładzie tego samolotu.

Roberts nie poruszył się. Natomiast komentarz do słów Joego pojawił się z zupełnie innej strony.

Fighter Jack gwizdnął przez zęby, a potem z dobrodusznym zdumieniem powiedział do młodego mężczyzny:

— Więc to taka zabawa... I na co ci to było, przyjacielu? Zabijać faceta, kiedy na sąsiednim fotelu śpi akurat tajniak ze Scotland Yardu?

— Jest pan na pewno znakomitym bokserem — powiedział Joe pogodnie — ale pozwoli pan, Mr. Fighter Jack, że to ja będę jednak prowadził śledztwo i ja będę również zadawał pytania, zgoda?

Bokser odwrócił się ku niemu i wzruszył barkami.

— Zgoda — mruknął. — Zgoda na wszystko. Ale jeżeli będzie je pan prowadził tak samo dobrze, jak pan pilnował tego nieboszczyka, to możemy posiedzieć w tym przeklętym Nairobi do końca życia i nigdy się stamtąd nie wydostaniemy. Ale jedź pan dalej. Niech się to już skończy. Mamy wszyscy ważniejsze sprawy na głowie, prawda, Samuelu?

— Cicho, Jack. On jest z policji, a policja lubi sobie pogadać. Zresztą co nas to wszystko obchodzi?

— Ma pan słuszość. I pan też, mówiąc, że nie upilnowałem życia Mr. Knoxa, chociaż mnie o to prosił i przeczuwał, że może go spotkać coś złego, bo w kabinie jest człowiek, który go nienawidzi. Ale myślę, że w tych okolicznościach nikt nie wzięłby na serio jego obaw. A poza tym dlaczego miałby go pan nienawidzić?

Roberts zaciągnął się i zgasił papierosa w popielnicze przytwierdzonej do poręczy fotela. Robił to przez dłuższą chwilę, niezwykle dokładnie. Kiedy wyprostował się, był bardzo spokojny. Mimo to jego pierwsze słowa wywołały najwyraźniej zdumienie wszystkich słuchających.

— Myślę, że Knox wiedział, co mówi, twierdząc, że powinien się mnie bać i że mogę mu zrobić krzywdę...

Urwał i zastanawiał się przez chwilę. Alex czekał, nie przerywając mu nawet najmniejszym ruchem. Był bardzo skupiony. Zaczynał rozumieć.

— Ojciec przysłał mnie tu przed dwoma laty na praktykę — zaczął Roberts po namyśle. — Pochodzę, jak pan już wie, z Londynu, gdzie mój ojciec pracuje w drogich kamieniach i dlatego chciał, żebyśmy spędził rok w sortowni nie oszlifowanych brylantów w kopalni.



„Flora” była kopalnią, z którą utrzymywał bliższe stosunki, i dlatego tu mnie przysłał za ich zgodą, oczywiście. Przyjechałem, zacząłem pracować i przez kilka miesięcy wszystko szło zwykłym trybem. Ale potem pewnego dnia straż zatrzymała mnie przy bramie. Znaleźli kilka dość cennych kamieni w kieszeni mojego płaszcza, który niosłem na ramieniu. Na rozprawie nie przyznałem się, ale skazano mnie. Otrzymałem stosunkowo niski wyrok: trzy lata więzienia. Myślę, że zawdzięczam to mojemu ojcu, który od lat utrzymywał handlowe stosunki z kopalnią. To wszystko.

— Rozumiem... — Joe wyciągnął z kieszeni plik biletów i niezdecydowanie zaczął je obracać w rękach. — Ale ciągle nie rozumiem, jaki to ma związek z panem Knoxem i jego lękiem na pana widok. A przecież to jest najważniejsze.

— Ma to z panem Knoxem związek o tyle... — powiedział Roberts beznamiętnie — że on najlepiej wiedział o mojej niewinności.. A wiedział o tym dlatego, że to nie ja ukradłem te brylanty, tylko on.

Po tym oświadczeniu zapadła zupełna cisza. Alex patrzył w daleki świat za oknem. W dole widać było ogromną, zieloną równinę,, a na krańcu widnokrzęu łagodnie falował zamglony w świetle poranka łańcuch gór. Westchnął.

— Czy byłby pan w stanie udowodnić nam prawdziwość tego, hm, dość odważnego stwierdzenia, zważywszy w dodatku, że jest ono skierowane przeciwko umarłemu?

— Gdybym był w stanie to udowodnić, nie siedziałbym w więzieniu — powiedział Roberts chłodno. — To chyba logiczne, prawda?

— Jak najbardziej. Ale wszystko, co pan mówi, nie posuwa ani o włos naszego dochodzenia. Chciałbym natomiast bardzo usłyszeć, skąd pan w i e , że to Knox ukradł te brylanty?

— Knox był naszym przedstawicielem za granicą i jak inni nasi przedstawiciele miał dostęp do sortowni, żeby wiedzieć, jak wygląda towar, który będzie proponować nabywcom. Wkrótce po moim przystąpieniu do pracy dokonano we „Florze” dwóch kradzieży. Sortownia jest tak dobrze strzeżona, że nie mogło być mowy o wtargnięciu z zewnątrz. Złodziejem mógł być tylko albo ktoś z nas, albo jeden z przedstawicieli. Sprawa nie została wyjaśniona, pomimo dosyć drobiazgowego dochodzenia. I prawdopodobnie na tym by się skończyło, gdyby nie fakt, że jako młody i bardzo jeszcze głupi człowiek zapragnąłem wykryć sprawcę na własną rękę. Ponieważ wiedziałem, że to nie ja jestem złodziejem, a pozostali dwaj sortownicy byli kolejno nieobecni podczas popełnianych kradzieży i w związku z tym żaden z nich nie mógł ich popełnić, więc zacząłem sprawdzać dni wizyt u nas naszych przedstawicieli handlowych i doszedłem metodą eliminacji do wniosku, że tylko Knox był

podczas obu kradzieży w kopalni. Wydarzenia te były odległe od siebie o miesiąc, więc potrwało trochę, zanim zdołałem odtworzyć sobie wszystko dokładnie. Na moje nieszczęście nie zawiadomiłem dyrekcji, bo chciałem... — znowu urwał i uśmiechnął się z ironią, której ostrze skierowane było przeciwko niemu samemu — pokazać, jakim jestem inteligentnym i godnym zaufania młodym człowiekiem. Miałem wielkie aspiracje, a poza tym wiedziałem, że mój ojciec ucieszy się bardzo, kiedy się dowie, jak można na mnie polegać...

A potem Knox przyszedł po raz trzeci. Byłem tego dnia sam w sortowni. Powiesił płaszcz obok mojego na wieszaku, a potem obszedł ze mną stoły sortownicze, oglądając kamienie. Udawałem, że nie interesuję się specjalnie jego poczynaniami, ale patrzyłem uważnie i śledziłem go spod oka, bo chciałem go złapać na gorącym uczynku. Ale najwidoczniej zauważył to, a może ja nie umiałem ukryć podniecenia? Bo odszedł od stołów i stanął przy wieszakach. Kiedy wkładał płaszcz, ja porządkowałem kamienie na stołach. I wtedy chyba musiał mi włożyć te bryłki do płaszcza. Nie poczułem ich nawet na dnie kieszeni. To ten płaszcz, który mam na sobie, aresztowano mnie w nim...

Wyszliśmy razem. Zaniknąłem pancerne drzwi i wsadziłem klucz do kieszeni spodni, a potem oddałem go do kasy pancernej w dyrekcji. Do płaszcza nie zajrzałem. Jadaliśmy w restauracyjce naprzeciw bramy. Poszedłem w tamtą stronę razem z Knoxem, który opowiadał mi coś o Londynie. Zawsze lubił dużo mówić. Kiedy doszliśmy do bramy, zrewidowano mnie, co zdarzało się stosunkowo często pracownikom, bez względu na zajmowane stanowisko. Znaleźli kamienie. Później na procesie dowiedziałem się, że Knox podejrzewał mnie od pierwszej chwili i dał znać dyrekcji. Powiedział, że zauważył, kiedy chowałem kamienie, i umówionym znakiem zaalarmował strażników. On też, jak wynikało z jego słów, wziął sobie za punkt honoru odkryć sprawcę kradzieży, które i jego pośrednio obciążały, stawiając dobre imię wszystkich pracowników pod znakiem zapytania.

Na procesie nie powiedziałem ani słowa. Nikt by mi zresztą nie uwierzył. A poza tym od razu zapytano by mnie, dlaczego nie zawiadomiłem dyrekcji o moich podejrzeniach i dowodach winy Knoxa? Powiedzieliby, że usiłuję się bronić, obciążając mojego oskarżyciela. Na szczęście mój ojciec uwierzył mi, kiedy przyjechał na widzenie ze mną. Powiedział, że postawi ziemię i niebo na głowie, a w końcu mnie oczyści... — Ale Knox był, zdaje się, sprytniejszy od nas obu. O ile wiem, ojcu udało się tylko tyle, że zwolniono mnie przedterminowo, po odsiedzeniu połowy kary...

— No, to nic dziwnego, żeś go dzisiaj dziabnął, kolego... — powiedział szczerze Fighter Jack. — Sam nie wiem, co bym zrobił na twoim miejscu?

— Tak... — Roberts uśmiechnął się, słysząc te słowa. — Zdaje się, że w ogóle mam

większego pecha, niż mi się początkowo wydawało. Nie mogę przecież nawet marzyć o tym, że mi pan uwierzy.

— W co mam panu uwierzyć?

— W to, że nawet nie zauważyłem go wchodząc i nie wiedziałem, że on leci tym samolotem. Dopiero wtedy, kiedy spojrzałem na niego, zrozumiałem, że był tu ze mną i już nie żyje.

— A po co podchodził pan do niego, nie wiedząc, że to on? — Joe spojrzał na niego przymrużonymi oczami. Ukradkiem dostrzegł, że kapitan Grant otworzył szeroko oczy z podziwu. Najwyraźniej pierwszy raz był obecny przy przesłuchiowaniu i pytania Alexa wydawały mu się szczytem przebiegłości, a nie prostym sposobem na odgarnięcie pozorów i wątpliwości.

— I w to mi pan nie uwierzy. Podczas półtorarocznego pobytu w więzieniu poznałem masę najrozmaitszych ludzi, w ogromnej większości przestępców, oczywiście; bo pomimo wszystko sprawiedliwość nie popełnia zbyt wielu omyłek. Kiedy dowiedziałem się o zbrodni, od razu przyszło mi do głowy, że zamordowanym może być któryś z moich znajomych z więzienia, zabity na skutek porachunków bandyckich albo z osobistej zemsty. Gdybyście państwo przeżyli tam tyle co ja i poznali to środowisko tak dobrze jak ja, mój odruch nie zdziwiłby nikogo. Ale w tej chwili zaczynam rozumieć, że i to będzie przemawiało na moją niekorzyść, chociaż naprawdę nie zabiłem tego człowieka i nie mam najmniejszego pojęcia, kto to mógł zrobić. Inna sprawa, że nie żałuję go, i w sprzyjających okolicznościach, być może, mógłbym nawet sam postąpić tak samo, jak ten nieznany morderca.

— No tak... — Alex pokręcił głową. — Mówił pan bardzo mięknie, ale to nie zaprzecza prostej i oczywistej prawdzie, że ktoś go zabił. A na razie jest pan jedyną osobą spośród obecnych, która miała wyraźny powód do zabicia.

## 6. „WYZWOLONA ŻONA”

Roberts otworzył usta, ale Joe powstrzymał jego słowa uchem ręki. Otworzył następny bilet.

— Pan Samuel Hollow. Zamówił pan bilet przed miesiącem i leci pan do Anglii. Mieszka pan w Capetown, tak?

Mały człowieczek kiwnął głową, nie spuszczać świdrujących, lśniących oczek z twarzy pytającego.

— Tak, to ja, i wszystko inne też się zgadza. Ale czego pan jeszcze szuka? Czy jeden zabójca to za mało dla pana? Myśli pan, że tego faceta zabiło pół tuzina osób?

Alex spojrział na niego, a potem przesunął oczyma po wszystkich obecnych.

— Najdalej za pół godziny pozwolę sobie powiedzieć wszystkim państwu, co myślę. Ale żeby mieć pewność, że zabiła tylko jedna osoba, trzeba najpierw wyeliminować wszystkie pozostałe. Dlatego proszę łaskawie odpowiedzieć dokładnie na pytania. W jakim celu udaje się pan do Anglii?

— Więc dobrze! Jeżeli jeszcze pan o tym nie wie, to niech się pan dowie, że jestem trenerem tego tu chłopca i wychowałem go na mistrza świata albo prawie na mistrza, bo mistrzem jest w tej chwili Murzyn, Billy Tights, i chociaż chcieliśmy, żeby walka odbyła się u nas, w Johannesburgu, bo moglibyśmy mieć sto tysięcy ludzi pod otwartym niebem, ale nie możemy, bo przeszkadzają w tym te przeklęte przepisy, które nie pozwalają białym walczyć z kolorowymi. Więc lecimy do Anglii i będziemy tam walczyć. Czy to panu wystarczy?

Alex bez słowa pokiwał głową i otworzył następną książeczkę biletową.

— Pan Jack Brake? — Uniósł brwi. — Kto z państwa nosi to nazwisko?

— To właśnie on — odezwał się mały człowieczek. — Nazywa się tak, a Fighter Jack to pseudonim, który mu wymyśliłem, kiedy się dopiero zapowiadał. Lepiej brzmi, prawda?

— O wiele lepiej... Pan także zamówił bilet przed miesiącem i mieszka pan w Capetown, tak?

— Przecież ma pan to tam napisane — powiedział Fighter Jack ze zdumieniem.

— I żaden z panów nie znał ani nie widział nigdy przedtem zmarłego pana Knoxa, czy tak?

— Nie widziałem go na oczy — zapewnił mały człowieczek. — Nie mogę przecież znać osobiście całej Afryki Południowej. To nie Monaco.

— Ani ja. Nie znam się na kamykach.

Joe nie zapytał ich już o nic więcej i wziął do ręki ostatnią książeczkę biletową. Otworzył

ją i przeczytał nazwisko. Potem szybko odczytał je jeszcze raz.

— Pani Agnes... Knox... — powiedział pytająco. — Nosi pani to samo nazwisko co zmarły. Czy jest pani jego krewną?

Wyprostowana dama po raz pierwszy spojrzała na Alexa i Joe poczuł nagle onieśmienie. Było w jej oczach coś, co trudno było nazwać, ale co odczuwało się bardzo ostro — jakiś nieokreślony chłód i obcość tak wielka, jak gdyby patrzyła na otaczający ją świat spoza bryły lodu, przezroczystej, ale absolutnie zimnej.

— Niezupełnie, proszę pana — powiedziała odmierzając równo wyrazy, jak gdyby wysypywała je na świat z klepsydry. — Przed dwudziestu pięciu laty byłam jego żoną.

Milczenie, które zapadło teraz, było jeszcze bardziej gęste niż to, które nastąpiło po oświadczeniu Roberta. Przerwał je znowu Fighter Jack.

— No, popatrz, Samuelu! A to heca, zupełnie jak na filmie.

Agnes Knox zwróciła na niego spojrzenie swoich nieruchomych, zimnych źrenic. Patrzyła przez chwilę, potem powiedziała:

— Będzie pan łaskaw zachować tego rodzaju uwagi dla siebie, młody człowieku. Jest pan na pewno źle wychowany. Ale to nie jest najważniejsze. Ważniejsze jest pana rozbawienie w obecności umarłego, które świadczy o pańskim braku serca.

Skończyła i czekała, nie spuszczać z niego oczu. Jack Fighter otworzył usta, zamknął je, otworzył ponownie i wybąkał:

— Przepraszam panią...

Dopiero wtedy kobieta odwróciła od niego oczy i spojrzała na Alexa.

— Słucham pana?

Joe ukrył uśmiech rozbawienia. Widok tego olbrzyma osadzonego w miejscu i zupełnie unieszkodliwionego był tak zabawny, że przez chwilę nie wiedział, o co chciał ją poprzednio zapytać...

— Z pani biletu wynika, że mieszka pani w Birmingham, w Anglii. Przed miesiącem zamówiła pani bilet powrotny do Johannesburga i teraz wraca pani do kraju w ściśle oznaczonym z góry dniu. Czy tak?

— W rzeczy samej.

— Proszę nam powiedzieć, w jakim celu przybyła pani do Południowej Afryki?

— Przybyłam, bo zostałam zaproszona jako gość honorowy na Światowy Kongres Spirytystów Wyzwolonych.

— Tak... — Przez chwilę Joe walczył z pragnieniem dowiedzenia się, co właściwie reprezentują spirytystki wyzwolone i jaka jest różnica pomiędzy nimi a zwolenniczkami

zwykłego spirytyzmu. — A więc można uznać za prawdopodobne, że jest pani zwolenniczką poglądu uznającego aktywne życie pozagrobowe i możliwość kontaktu zmarłego z żywymi, prawda?

— Oczywiście. Chociaż słowo „pogląd” nie wydaje mi się słuszne. Jestem zwolenniczką prawdy, a prawda — wygląda właśnie w ten sposób.

— A więc organizacja, której jest pani członkinią, zajmuje się wywoływaniem duchów. Czy tak?

— Tak, chociaż sformułowanie, którego pan użył, jest wulgarnie i nie do przyjęcia z naukowego punktu widzenia. Duchów nie można wywoływać. Można tylko nawiązać z nimi kontakt, jeżeli potrafi się uzyskać na to ich zgodę. Zresztą chętnie informuję każdego o celach i zadaniach naszego stowarzyszenia. Jednak wydaje mi się, że nie jest to najstosowniejszy czas ani miejsce na tego rodzaju rozmowy, tym bardziej że zainteresowania pana są wyłącznie doczesne, a sprawa spirytyzmu zajmuje pana tylko dlatego, że wiąże się z moją osobą. Umilkła.

— Czy jest pani rozwiedziona ze swym byłym mężem? — Joe nadal spoglądał na jej nazwisko wypisane w książeczce biletowej.

— Zostałam wychowana w rodzinie, która uznaje rozwód za sprzeczny z prawami boskimi i ludzkimi. Oczywiście to nie przeszkodziło mi opuścić domu pana Knoxa w chwili, gdy dowiedziałam się, że podczas swych licznych wyjazdów służbowych oddaje się regularnie rozpuście w towarzystwie osób płci żeńskiej, które bardzo niechętnie obdarzyłabym dumnym mianem kobiety.

— Oczywiście, rozumiem panią doskonale. Czy pochodzi pani z Afryki? — Joe miał minę tak poważną, jakiej nie miewał prawie nigdy. Pomyślał przelotnie o tym, co by się stało, gdyby spróbował w tej chwili zażartować, i natychmiast zrozumiał biednego Fightera Jacka.

— Nie, nie pochodzę z Afryki Południowej. — Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała zdecydowana nuta. — Nie wyobrażam sobie, że mogłabym stąd pochodzić. Pan Knox poznał mnie w moim rodzinnym Birmingham. Byłam bardzo młodą dziewczyną, a on wówczas był także jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Niestety dla mnie, a na szczęście dla niego, zostałam wówczas sierotą i to posażną sierotą. Już wtedy zdradzał wielkie talenty jako komiwojażer. Między innymi potrafił mi tak zręcznie przedstawić zalety swojej osoby i charakteru, podając się za człowieka uczciwego, bogobojnego i wierzącego w życie pozagrobowe, że wyszłam za niego za mąż i wyjechałam z nim do jego ojczyzny. Na szczęście, pomimo jego namowy, nie sprzedałam dwu nieruchomości, w stosunku do których nie zostało jeszcze ukończone dochodzenie spadkowe. Dzięki nim mogę nadal żyć we

względny dobrobycie. Reszta mego posagu rozplynęła się w rękach tego człowieka, któremu oby Bóg wybaczył ten i wiele innych jego uczynków.

— Dziękuję pani bardzo za szczerość... — Joe zastanawiał się przez chwilę. — Siedziałem w poczekalni portu lotniczego w Johannesburgu z pani mężem przy tym samym stoliku. Rozmawiałem z nim w chwili, kiedy panią zauważył. Wydało mi się, że widok pani zaskoczył go bardzo, chociaż starał się nie dać tego poznać po sobie i oczywiście nie wspomniał ani słowem, że zna panią, i że była pani kiedyś jego żoną. Czy to miało oznaczać, że nie widzieliście się państwo od dawna, a przynajmniej w czasie pani pobytu w Unii Południowoafrykańskiej?

— Nie przypuszcza pan chyba, że pragnęłam go odszukać po przyjeździe. Nie wiedziałam nawet, czy żyje, dopóki nie zobaczyłam go na lotnisku. Szczerze mówiąc było mi to najzupełniej obojętne. Natychmiast po zauważeniu go powiedziałam sobie, że o ile spróbuje się do mnie odezwać, nie odpowiem i nie zareaguję w ogóle, jak gdyby był powietrzem.

— I zobaczyła go pani wczoraj po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat, tak?

— Tak.

— Czy poznała go pani z łatwością?

— Tak... — po raz pierwszy zawahała się. — Myślałam nawet o tym dzisiaj, przed chwilą. Zmienił się przecież bardzo od tego czasu. Ale był taki sam pod pewnym względem... i poznałam go od razu. Utył bardzo... — dodała z namysłem — ale ani głos, ani oczy nie zmieniły mu się wcale.

— I oczywiście nie zabiła go pani?

— A po cóż miałabym go zabijać? Dla mnie umarł już przed dwudziestu pięciu laty. Od tego czasu nie istniał dla mnie do tego stopnia, że nie będę chciała nawet skontaktować się z jego duchem i nie zamienię z nim ani jednego słowa. Nie zasługiwał na to za życia i wątpię, czy można aż tak bardzo zmienić się po śmierci.

— Jestem przekonany, że postąpi pani co najmniej konsekwentnie, zachowując się w ten sposób...

Złożył książeczki biletowe i wsunął je do kieszeni. Potem rozejrzał się. Na twarzy miał wyraz tak głębokiego zamyślenia, jak gdyby zapomniał, gdzie się znajduje. Nagle dotknął ramienia pierwszego pilota.

— Jedno pytanie do pana, kapitanie...

— Słucham? — Grant wyprostował się mimowolnie w fotelu.

— Czy nie zetknął się pan nigdy przedtem ze zmarłym panem Knoxem?

— Nie... — Pilot z powątpiewaniem potrząsnął głową. — Nie sądzę, żebym widział go

kiedykolwiek przedtem. Nawet jeżeli był kiedyś moim pasażerem, to nie umiałbym go zidentyfikować. Rzadko zaglądam do tej kabiny. A w czasie postojów mam masę roboty na tranzytowych lotniskach. W każdym razie absolutnie nie przypominam go sobie.

— Od jak dawna lata pan na tej linii?

— Stosunkowo niedawno, od dwóch miesięcy. Jestem w tej chwili po raz ósmy na tej trasie.

— A mieszka pan w...

— W Anglii. Liverpool. To znaczy mam tam żonę i dzieci. Rzadko jednak zaglądam do domu ze zrozumiałych względów.

— Tak. Dziękuję panu... — Joe tym razem zastanawiał się nieco krócej: — A pani? — zwrócił się do stewardesy. — Czy pani także nie przypomina sobie zmarłego?

— Nie... — rozłożyła ręce. — Nie mogłabym co prawda przysiąc, że go dotąd nie widziałam. Mam nawet wrażenie, że twarz była mi znajoma. On... on był dosyć charakterystyczny. Ale nie jestem pewna. Przecież w ciągu miesiąca widzę setki osób, ludzie wsiadają i wysiadają na różnych lotniskach po drodze. W samolocie, wbrew pozorom, jest ciągle masa zajęć, to samo na lotniskach. Poza tym stewardesy, mają ściśle instrukcje, dotyczące kontaktów z pasażerami płci męskiej. Mamy oczywiście okazywać wszystkim panom jak największą uprzejmość, ale nie wolno nam zawierać znajomości w czasie lotu, nie mówiąc już o jakiegokolwiek formie prywatnych rozmów. To jest bardzo źle widziane przez nasze władze i może grozić nawet utratą posady. Przepraszam, że mówię o naszych wewnętrznych sprawach, ale okoliczności są tego rodzaju, że... Urwała.

— Rozumiem — powiedział Alex. — Chciałbym jeszcze wiedzieć — powiedział do Granta — gdzie była załoga w ciągu nocy i jak dokładnie przebiegała służba nocna?

Pilot skinął głową ze zrozumieniem.

— Zwykle jeden z pilotów prowadzi, a drugi drzemie na łóżku naprzeciw radiotelegrafisty. Ale dziś w nocy było inaczej, bo chociaż państwo o tym nie wiedzieliście, przelatywaliśmy przez obszar gwałtownych burz, które staraliśmy się w miarę możliwości wymijać. W takiej sytuacji obaj piloci i radiotelegrafista musieli być bez przerwy na stanowisku, bo maszyna mogła w każdej chwili natknąć się na zupełnie zmienione warunki atmosferyczne. Mogliśmy spotkać się z nagłym huraganem, potężnymi wyładowaniami elektrycznymi i tak dalej. Wszyscy trzej nie mogliśmy opuścić naszych miejsc i tak się złożyło, że od startu aż do chwili, kiedy Barbara... to znaczy, panna Slope, zawiadomiła nas o wypadku, możemy wystawić sobie alibi... — Uśmiechnęła się. — Ach, tak. Ja po starcie wszedłem tutaj, żeby powitać państwa. Jeżeli chodzi o czwartego członka załogi, to znaczy stewardesę, pannę



Slope, to śpi ona w tyle samolotu, obok pomieszczenia, gdzie znajduje się lodówka, bufet i inne nasze gospodarcze urządzenia. Nad jej łóżkiem znajduje się dzwonek, którym każdy z pasażerów może ją wezwać.

— Tak... A czy nie wchodziła pani w ciągu nocy do kabiny?

— Nie. Zajrzałam tylko mniej więcej w godzinę po zgaszeniu świateł. Nasłuchiwałam przez chwilę, ale doszłam do wniosku, że wszystko jest w porządku i pasażerowie śpią. Wróciłam do siebie, nastawiłam budzik i usnęłam. Byłam nawet zadowolona, że samolot wystartował prawie pusty, bo przez to mogłam złapać trochę snu, a na takiej długiej trasie bywają przeloty, kiedy nie mogę nawet zmrużyć oka od Johannesburga aż do samego Londynu: kiedy na pokładzie są, na przykład, niemowlęta, które trzeba karmić ciepłym mlekiem co dwie godziny, albo kiedy bardzo kołysze i wszyscy chorują na... na chorobę powietrzną. Zresztą poza połączeniem z kabiną pasażerską mam bezpośrednie połączenie z kabiną pilota i wiedziałam, że jeśli zaistnieje jakieś niebezpieczeństwo albo konieczność, piloci mogą mnie natychmiast wezwać, nie wstając od sterów.

— Dziękuję pani... — Joe minął ją i kapitana i stanął pośrodku kabiny.

— I co teraz? — zapytał Fighter Jack. — Wie pan już o nas tyle, ile chcieliśmy panu powiedzieć. Czy to coś pomogło?

— Ależ tak. — Joe pogodnie skinął głową, lecz spojrzawszy w kierunku ogona maszyny i zauważywszy podłużny, nakryty prześcieradłem kształt, spoważniał natychmiast. — Wydaje mi się, że wszystko jest już chyba jasne, prawda?

Odpowiedziało mu absolutne milczenie, które po długiej chwili przerwał profesor.

— Czy... czy chce pan przez to powiedzieć, że pan wie? Że pan wie, kto zabił tego biedaka?

Joe przez chwilę nie odpowiadał. Patrzył na ogromną, bezchmurną przestrzeń za oknami. Słońce przeszło już kawałek nieba i znajdowało się nieco wyżej od samolotu, który zniżył się nieco i leciał teraz na wysokości sześciu tysięcy stóp. Alex oderwał oczy od równo zarysowanej, czystej linii widnokregu i spojrzął na profesora. W jego oczach przez chwilę widniał wyraz niepewności, ale zniknął ustępując miejsca ponuremu błyskowi. Zaciśnął zęby.

— Tak... — powiedział wreszcie powoli. — Myślę, że nie będziemy zatrzymywali się zbyt długo w Nairobi. Pan Samuel Hollow miał słuszość: ten klimat jest zabójczy dla Europejczyków.

— To znaczy, że pan wie! — Jack Fighter klasnął w wielkie dłonie. — Słyszysz, Samuele, on wie!

— On mówi, że wie... — powiedział spokojnie mały człowieczek. Ale jego bystre oczka

nie schodziły z twarzy stojącego.

— Tak powiedziałem? — Joe kiwnął głową. — Tak, chyba tak to można było zrozumieć. Morderca jest wśród nas i nie było zbyt trudno oddzielić go od reszty pasażerów.

— Boże, kto...? — powiedziała zdławionym głosem Isabella Linton i zamilkła. Alex rozłożył ręce.

— Och, dojdziemy do tego powoli. Najpierw zastanówmy się, co będzie dla nas podstawą do oddzielenia czarnej owieczki od niewinnego białego stada. Zważywszy, że zbrodnia ta mogła być albo zaplanowana, albo dokonana pod wpływem nagłego impulsu, najistotniejszy z ogólnych faktów będzie ten, że samoloty z Londynu do Johannesburga i z Johannesburga do Londynu odlatują codziennie, prawda?

Zawiesił głos.

— Nie rozumiem. — Grant zmarszczył brwi. — Dlaczego akurat ten fakt ma mieć tak decydujące znaczenie?

— Zaraz dojdziemy i do tego. Ale najpierw musimy ponad wszelką wątpliwość ustalić jeszcze jedno...

Podszedł do drzwi kabiny pilotów i powiedział:

— Czy mógłby pan tu przyjść na chwilę?

Potem cofnął się i czekał, póki radiotelegrafista nie pojawił się przed nimi.

— Miejsce, przy którym pan pracuje, znajduje się na drodze z kabiny pilotów do kabiny pasażerskiej, prawda?

— Tak.

— Z miejsca tego widzi pan obu pilotów, a każdy z nich, odwróciwszy głowę, może zobaczyć pana, prawda?

— Tak, o ile nie zamknę drzwi pomiędzy nimi i sobą.

— Czy ubiegłej nocy drzwi te były zamknięte?

— Nie.

— Czy pierwszy lub drugi pilot przechodził obok pana i wchodził do kabiny pasażerskiej?

— Nie.

— Czy jest pan tego pewien?

— Zupełnie.

— Nie spał pan ani nie zdrzemnął się nawet na chwilę.

— Nie. Pracowałem cały czas. Bez przerwy odbieraliśmy meldunki o zaburzeniach w atmosferze na trasie lotu. Potem zbaczaliśmy dwukrotnie i było trochę namiarów nawigacyjnych. Bardzo trudna noc.

— A czy obaj piloci mogliby zeznać pod przysięgą, że nie tracili pana z oczu ani na chwilę?

Radiotelegrafista zastanowił się.

— Myślę, że mogliby. Co kilkanaście minut to jeden, to drugi wstawał od sterów i przychodził do mnie. Mam obok swojego stołu łóżko, na którym można poleżeć i wyprostować nogi... Żaden z nas nie zmrużył oka. Dopiero kiedy zrobiło się widno, obaj zdrzemnęli się kolejno, ale nie było chwili, żeby nie było nas dwu ze sobą... Myślę, że jeżeli ja bym mógł przysiąc za nich, to i oni mogliby przysiąc za mnie. Jak myślisz, Howard? — ostatnie słowa zwrócone były do dowódcy samolotu.

— Ja mogę przysiąc i wiem, że drugi pilot powie to samo. Ale jeżeli pan chce, niech go pan sam zapyta.

Alex kiwnął głową i ruszył ku drzwiom w przedzie kabiny. Nie było go dłuższą chwilę.

Podczas jego nieobecności nikt nie powiedział słowa, nie poruszył się nawet, jak gdyby w obawie, że ten, kto pierwszy zacznie objawiać aktywność, oskarży się tym samym przed innymi. Wreszcie Joe wszedł i zatrzymał się pośrodku kabiny.

— Drugi pilot potwierdza dokładnie słowa obu panów... — powiedział zwracając się do Granta i radiotelegrafisty. — A zapewnienie trzech ludzi, wystawiających sobie w tej sytuacji absolutne alibi, jest niezbite. Obaj piloci kolejno ucięli sobie krótką drzemkę o świcie, ale nawet gdybyśmy przyjęli, że wówczas jedna z pozostałych dwu osób mogła przekraść się do kabiny i powrócić, nie zmieni to w niczym sytuacji, bo kiedy obudziłem się i dostrzegłem sztylet, którym zamordowano Knoxa, krew na nim pociemniała już i zakrzepła zupełnie. Trzeba więc przyjąć, że zabójstwo zostało dokonane pośrodku nocy, co najmniej na dwie godziny przed świtem i w związku z tym wszyscy trzej członkowie załogi, którzy znajdowali się na dziobie samolotu, mogą być wyłączeni. Oczywiście mogli być w zмовie i zabić pana Knoxa, ale hipotezę tę musimy odrzucić jako absurdalną.

Powróćmy do naszego podstawowego zagadnienia: mord z premedytacją czy mord pod wpływem impulsu? Zajmijmy się najpierw tym pierwszym. Otóż mord z premedytacją dokonany przez jednego z pasażerów na drugim musiałby nastąpić dopiero po dopełnieniu pewnego podstawowego warunku...

Zawiesił głos i powiódł oczyma po obecnych. Ale nikt mu nie przerwał ani nie odezwał się, próbując zgadnąć, jaki to ma być warunek.

— Nie domyślcie się państwo? Otóż warunek ten jest bardzo prosty: morderca musiałby kupić bilet po wykupieniu biletu przez pana Knoxa, który nie latał przecież w regularnych odstępach czasu do Londynu, ale raczej korzystał z samolotu w chwili, kiedy wymagała tego

produkcja kopalni. A przecież jest rzeczą niemożliwą zaplanować zbrodnię, nie wiedząc, którym samolotem odleci ofiara. Ponieważ samoloty latają codziennie, więc ewentualny morderca nie mógł nawet w przybliżeniu określić daty odlotu Knoxa i tylko wielki zbieg okoliczności mógłby spowodować, aby spotkali się na pokładzie jednego samolotu. Fakt ten eliminował pannę Linton, która wykupiła powrotny bilet w Anglii na kilka tygodni wcześniej, eliminował z tej samej przyczyny panią Knox, pana profesora Barclaya, panów Fightera Jacka i Samuela Hollowa, a także pana Horace'a Robertsa, bo trudno przypuszczać, aby mógł on zaplanować zbrodnię siedząc w więzieniu i nie wiedząc dokładnie, kiedy zostanie zwolniony. Nie mógł zresztą absolutnie wiedzieć, kiedy Knox poleci do Londynu. Ach... poza tym uwalnia od podejrzeń o popełnienie mordu z premedytacją także i mnie, gdyż i ja wykupiłem powrotny bilet w Londynie i jest na nim z góry oznaczony dzień odlotu z Johannesburga. Oczywiście każdy może to łatwo sprawdzić w moim bilecie, chociaż nie zajmowałem się swoją osobą przy rozpoczynaniu tego śledztwa... Tak więc widzimy, że trudno przypuszczać, aby ktoś z pasażerów mógł być posądzony o mord z premedytacją.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że skoro nie zrobił tego nikt z nas ani nikt z was, to pan Knox nie mógł zostać zamordowany? — zapytał Grant marszcząc brwi. — Chyba jest w tym dowodzeniu jakaś luka, chociaż nie dostrzegam jej w tej chwili.

— Ależ nie. Pan Knox został zamordowany, a zajmuję się określeniem okoliczności tego mordu tylko po to, żeby wyeliminować wszystkich niewinnych i ustalić zabójcę. Tym, co powiedziałem poprzednio, chciałem tylko udowodnić, że zbrodnię tę mógł zaplanować jedynie człowiek, który wiedział, że Knox odleci tym samolotem. A mógł to wiedzieć tylko ktoś, komu Knox by się zwierzył lub ktoś, kto zostałby o tym poinformowany z innego źródła i w związku z tym zakupił także bilet, aby zamordować ofiarę w czasie lotu, to znaczy zrobić to, co rzeczywiście zostało zrobione. Tymczasem pan Knox zarezerwował bilet dopiero dwa dni temu, a pozostali pasażerowie o wiele wcześniej...

Urwał, odetchnął głęboko, a potem podjął:

— Ale przecież to nie musiał być zaplanowany mord. Knoxa mógł zabić, na przykład, pan Roberts, spotykając go przypadkowo zaraz po wyjściu z więzienia. Jeżeli to, co powiedział nam pan Roberts, jest prawdą, to jasne jest, że Knox nie mógł budzić w nim żadnych innych uczuć poza nienawiścią: odsiedzieć niewinnie półtora roku w więzieniu i wyjść ze złamaną karierą życiową, wiedząc, że wpędziło nas w to fałszywe świadectwo człowieka, który sam jest złodziejem i obarczył nas swoimi przestępstwami, jest wystarczającym motywem do wywarcia nawet takiej zemsty... Poza tym Knoxa mogła zabić jego żona, której przed laty wyrządził tak wielką krzywdę. Można przyjąć, że zobaczywszy go raz pierwszy po tyłu

latach, skorzystała z okazji i pchnęła sztyletem, kiedy wszyscy inni pasażerowie usnęli... Z tego, co wiemy, każde z tych dwojga mogło, czuwając bezsennie, dojść do wniosku, że oto nadarza się jedyna w swoim rodzaju okazja do wywarcia zemsty, kiedy wróg każdego z nich leży uśpiony i bezbronny o kilkanaście kroków...

Dlatego zadepeszowałem od razu do Johannesburga i bardzo szybko otrzymałem odpowiedź z Urzędu Celnego. Fakt, że pan Roberts został tak dokładnie zrewidowany w chwili puszczenia terytorium Unii Południowoafrykańskiej, może pan uważać za jedno z najszcześniejszych wydarzeń w swoim życiu. Gdyby nie to, nie wiem, jak potoczyłyby się sprawy, naprawdę sytuacja tego młodego człowieka nie przedstawiałaby się różowo i na pewno policja nie wypuściłaby go łatwo z rąk, tracąc przy tym okazję do ukończenia śledztwa ujęcia prawdziwego mordercy, co — jak mam wrażenie — że udałoby się po wylądowaniu samolotu. A dlaczego nie dałoby się, powiem za chwilę. Ale wróćmy do pana Roberta. Otóż w depeszy, którą przesłano mi z Urzędu Celnego w Johannesburgu, znajdowało się jego *z e l a z n e a l i b i*. Po prostu Roberts nie miał przy sobie sztyletu i urzędnicy celni muszą to zaświadczyć na każde żądanie jego adwokata. Mało tego, pan Roberts nie miał nawet bagażu, w którym mógłby go ukryć w jakiś sposób. A przy sobie ukryć go nie mógł podczas osobistej rewizji, bo to długi, stalowy nóż o solidnej rękojeści. Noża Roberts nie mógł znaleźć także wśród rzeczy Knoxa, nawet gdyby przypuszczał, że zamordowany mógł mieć tego rodzaju broń, bo Knox także został zrewidowany i niczego takiego przy nim nie znaleziono.

Stałem obok niego i wiem, że tego rodzaju broń nie znajdowała się w jego bagażu, a trudno przypuszczać, żeby nie wykryły jej promienie Roentgena. Przez chwilę myślałem o jego dużym parasolu, ale jeden z celników sprawdził go, gdy Knox był na prześwietleniu. Nie można przypuścić, aby pan Roberts mógł ukraść sztylet komuś z pasażerów, który go wiozł, bo przyszedł ostatni, nie był nawet z nami w poczekalni, a po wejściu od razu usiadł sam w pierwszym rzędzie, co uniemożliwiło mu obserwację siedzących z tyłu współpasażerów. A trudno przypuszczać, aby po zgaszeniu świateł zaczął błądzić po omacku, szukając w cudzych neseserach i torbach narzędzia, którym mógłby zabić Knoxa. To zupełna bzdura i dlatego pan Roberts może sobie pogratulować, że mimo tak pozornie nie sprzyjającego zbiegu okoliczności ma alibi nie do podważenia.

— Bardzo pan uprzejmy... — mruknął młody mężczyzna nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza. — Ale obawiam się, że jeżeli nie udowodni pan tej zbrodni komuś innemu, wówczas postarają się jakoś mnie zrobić.

— Nie ma obawy. — Alex potrząsnął przecząco głową. — Przejdźmy teraz do pani Agnes Knox, drugiej osoby, która miała powód, aby zabić. Pani Knox nie ma tak absolutnego alibi,

jak pan Roberts, któremu samo niebo chyba przyszło z pomocą. Ale nie bardzo rozumiem, jak by mogła, nie wiedząc, że jej były mąż będzie leciał tym samolotem, zaopatrzyć się w to potworne narzędzie, którym został zamordowany? Trudno przypuścić, aby sztylet był dla niej przedmiotem codziennego użytku jak puderniczka lub szminka. Do tego skąd miałyby wiedzieć, że będą podróżowali w tak sprzyjających morderstwu okolicznościach? Gdyby samolot był pełen ludzi, zbrodni takiej nie zaryzykowano by chyba?... Zacząłem się nad tym zastanawiać, ale o moich wnioskach później. Powróćmy do pani Knox. Stanowczo nie mogłem zrozumieć, jak mogła mieć sztylet, o ile nie zaplanowała mordu, albo jak mogła przewidywać, że tego rodzaju morderstwo będzie możliwe, o ile nawet dowiedziała się podczas pobytu w Johannesburgu, że jej były mąż odleci tym samym samolotem co ona. Do tego trudno przypuszczać, aby słaba kobieta wierzyła, że potrafi zabić dorosłego, silnego mężczyznę jednym uderzeniem sztyletu tak, aby nie wydał żadnego głosu. A przecież, gdyby Knox krzyknął, ktoś z nas obudziłby się, a może nawet zerwalibyśmy się wszyscy? I wówczas morderca zostałby od razu rozpoznany, bo nie mógłby się ukryć w lecącym samolocie. Nie, pani Knox stanowczo nie pasowała do mojego obrazu i jej ewentualne poczynania nie układały się w żaden logiczny łańcuch. Postanowiłem więc skoncentrować się na osobie, która miała o wiele większe szanse zabicia Knoxa, miałyby motyw zabójstwa i przeciwko której dowody gromadziły się już od pierwszej chwili. Miałem absolutne przeświadczenie, że jestem świadkiem zbrodni dokonanej z premedytacją i dokładnie zaplanowanej...

— Jak to? — przerwał profesor. — Przecież przed chwilą powiedział pan, że trzeba wykluczyć nas wszystkich, a członkowie załogi gotowi są zeznać pod przysięgą, że nie opuszczali w nocy kabiny i jeden będzie świadczył za drugiego.

— Tak, tak powiedziałem... — Alex potakująco skinął głową. — I nie cofnę tego, bo nie ma sposobu, żeby zbić własne, przemyślane argumenty. Ale w tym, co powiedziałem, nie mieszczą się wszystkie osoby, które znajdowały się na pokładzie tego samolotu.

— Co?! — wykrzyknął mały człowieczek. — Więc tu jest ktoś jeszcze poza nami?

— Och, nie. Jesteśmy tu wszyscy w komplecie. Mówiąc, że w moim rozumowaniu nie mieszczą się dwie osoby, miałem na myśli, że pierwszą z tych osób jestem ja...

— Samuelu... — powiedział Fighter Jack — to jakiś wariat i zdaje się, że nabrał nas okropnie. Kazał nam słuchać tych swoich bredni przez pół godziny, a teraz wszystko mu się pomieszało.

— Och, nie... — Joe uśmiechnął się lekko. — Nie jestem na tyle szalony, żeby obwiniać się o nie popełnioną zbrodnię. Ale proszę mi nie przerywać. Zaraz przejdę do sedna

zagadnienia.

Otóż jak powiedziałem, doszedłem do wniosku, że mord ten nie mógł być wynikiem spontanicznego działania. Świadczyło o tym po pierwsze narzędzie zbrodni — przedmiot, którego nikt rozsądny nie może wozić ze sobą w podręcznej torbie, nie wiedząc, do czego mu będzie potrzebne — i sam fakt, że po drugie zbrodnia się udała. Nie mogłem sobie wyobrazić, aby ktokolwiek z pasażerów, leżących z dala od siebie w kabinie lecącego samolotu, chciał zaryzykować dokonanie takiego czynu. Musiałby przecież wstać i minąć innych, narażając się co najmniej na to, że ktoś z nas, nie mogąc usnąć, leży w ciemności i natychmiast go zobaczy. Musiałby zaryzykować, że Knox krzyknie po uderzeniu albo, że po omacku źle wymierzy uderzenie i ofiara zostanie tylko zraniona.

Po trzecie: kto miał być tym zabójcą? W końcu morderstwo, i to w tak trudnych warunkach, musi być spowodowane potężnym odruchem woli. To nie żarty, każdy człowiek, który zabija, wie przecież, że jeśli go pochwyca, sam zawiśnie na szubienicy. A skoro musiałem wykluczyć jedyne dwie osoby istotnie mające motyw tego rodzaju, że być może pozwoliły on im działać bez oglądania się na konsekwencje, to kogo miałem oskarżyć?

Pannę Linton, która przyjechała na kilka występów? Profesora Barclaya, który przybył tu na zaproszenie afrykańskich kolegów i który najwyraźniej nie mógł mieć nic wspólnego z człowiekiem pokroju Knoxa? Nie mogłem także oskarżyć boksera lecącego, by zdobyć najwyższy tytuł w boksie zawodowym, ani też jego trenera. Można by co prawda założyć, że któryś z nich znał Knoxa i nienawidził go, ale od samego Knoxa dowiedziałem się na dworcu, że nigdy dotąd nie widział Fightera Jacka, i byłem świadkiem jego zdziwienia, kiedy się dowiedział o obecności boksera na lotnisku. Piloci i radiotelegrafista odpadli ze względów zasadniczych... Więc kto? Pozostawała tylko jedna osoba, która zresztą od pierwszej chwili, jak powiedziałem, budziła moje największe podejrzenie...

— Ale kto? — Barclay potrząsnął głową. — Przecież już nikt nie został?

— Owszem, została jeszcze panna Barbara Slope, stewardesa — powiedział Alex spokojnie, wskazując dziewczynę, która na dźwięk jego słów wzruszyła ramionami i spojrzała na Granta.

— Ten człowiek chyba naprawdę oszalał... — powiedziała nie podnosząc głosu. — Zdaje się, że chciałby mnie zaprowadzić na szubienicę tylko dlatego, że moja osoba pasuje mu do krzyżówki... Ale cóż to za pomysł? Żebym ja zabiła tego biednego... — Spojrzała w stronę fotela nakrytego białym prześcieradłem i wzdygnęła się. — Bez względu na to, czy jest pan szalony, czy nie, chciałabym jednak, aby zostawił pan moją osobę w spokoju, jeżeli pan może.

Mówiła tak spokojnie, że nawet Joe zmarszczył na chwilę czoło. Ale natychmiast się rozpozgodził.

— Dobrze... — powiedział. — Zrobię to na razie. Powróćmy do pana Knoxa. Otóż zarówno opinia Urzędu Celnego jak i historia, którą opowiedział nam pan Roberts, nawet jeżeli przyjmiemy, że nie w całości odpowiada ona prawdzie, świadczą o tym, że Knox był bardzo zainteresowany nie oszlifowanymi brylantami, nie tylko jako przedstawiciel kopalni. Jak wiadomo przyłapano go nawet na cle, kiedy wiózł kilka z nich, i od tego czasu poddawany był zawsze jak najskrupulatniejszej rewizji, łącznie z prześwietleniem promieniami Roentgena. W tej sytuacji nie mógł oczywiście marzyć o tym, aby wywozić je samemu. Wiemy wszyscy, jak wielki interes dla fachowca musi stanowić możliwość przetrzucenia za granicę z Unii Południowoafrykańskiej takich kamieni bez konieczności opłacenia wysokiego cła. W moim rozumowaniu przyjąłem jako punkt wyjścia, że Knox trudnił się kradzieżą, jak chce pan Roberts, a poza tym nie należał do ludzi, którzy zrezygnowaliby bez walki z tak dużych zarobków. W dodatku znał się przecież na brylantach i z pewnością wiedział o miejscach, gdzie mógł je zawsze sprzedać dyskretnie po najwyższej cenie. Przebywałem z nim tylko kilka godzin, ale zdołałem poznać opinię o nim pracowników Urzędu Celnego, jego byłej żony i byłego współpracownika. Nikt z tych ludzi nie uważał Knoxa za uczciwego człowieka. Mogłem więc śmiało przyjąć, że (o ile oczywiście odpowiada to prawdzie) nie mogąc wywozić brylantów przy sobie, zajął się wyszukaniem współnika, osoby nie podejrzanej, która miałaby szansę przewożenia brylantów, była godna zaufania i zadowalała się niewysokim wynagrodzeniem. Jaki jest najprostszy sposób znalezienia takiego współnika? Oczywiście wyszukać go pośród załóg samolotów. Jak wiemy, pan Knox posiadał dar wymowy i zawodową łatwość kontaktu z ludźmi. A teraz proszę mi powiedzieć, z jakim członkiem załogi my, pasażerowie, mamy najwięcej do czynienia?

Umilkł i czekał, aż oczy wszystkich skierują się na Barbarę Slope, która siedziała zupełnie nieruchomo, przyglądając się spokojnie mówiącemu, jak gdyby to nie o nią chodziło.

— Właśnie... — powiedział Alex z pozorną swobodą. — Widzę, że wszyscy państwo zgadliście. Otóż członkiem załogi, z którym najłatwiej jest zawrzeć znajomość, jest stewardesa.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że oskarża mnie pan o zabójstwo tego biedaka? — Barbara Slope nie podniosła głosu, nie zarumieniła się nawet, ani nie zbladła. — Pan chyba oszalał!

— Ależ nie, nie oszalałem. To pani po prostu była nieuważna.



— Nieuważna? — Uniosła cienkie, pięknie zarysowane brwi. — Przypuszczam, że wszyscy obecni chcieliby wiedzieć, co pan przez to rozumie. Jeżeli chodzi o mnie, będę chyba musiała oskarżyć pana o oszczerstwo. Myślę, że każdy sąd przyzna mi słusność.

— Jeżeli udowodni mi pani oszczerstwo. Ale proszę pamiętać, że będę się bronił. Powiem wówczas, dlaczego byłem przekonany, że pani popełniła to morderstwo. Przede wszystkim powiem o tym, jak bardzo nieuważnie zachowała się pani, podając wczoraj panu Knoxowi herbatę bez cukru, a jednocześnie mówiąc mi dzisiaj, że nie przypomina pani sobie, żeby spotkała go pani przedtem. Wczoraj wieczorem, powiedziałem do niego odruchowo: „Zdaje się, że nie dostał pan cukru do herbaty”, a on odpowiedział równie odruchowo: „Nigdy nie pijam z cukrem”. Na jego usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że był przejęty wejściem pana Robertsa. Ale pani powinna była pamiętać, że ludzie, którzy się nie znają, nie mogą też znać swoich nawyków. A mimo to nie podała mu pani cukru do herbaty.

— Przecież nie chce mnie pan oskarżyć o morderstwo dlatego, że zapomniałam jednemu z pasażerów podać cukru do herbaty?

— Nie. Mógł to być w końcu przypadek, chociaż fakt, że nie podała pani cukru akurat temu człowiekowi, który go nie używa, jest ciekawy. Do tego dodać trzeba jeszcze jedno ciekawe zdarzenie, którego byłem świadkiem w poczekalni i w czasie odprawy celnej.

Kiedy zapowiedziano samolot i wstaliśmy z miejsc, pan Knox zapomniał na stoliku jedną z dwu paczuszek, które przyniósł ze sobą, uwiązane do guzika marynarki. Pamiętam, że przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego nie włożył ich do teczki, zawierającej tylko trochę papierów, ale pomyślałem wówczas, że prawdopodobnie kupił je tuż przed odjazdem. Zresztą nie miałem powodu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. A więc pan Knox zapomniał jednej ze swoich paczuszek i to ja zauważyłem jego zgubę, znajdując się już w drzwiach. W tym samym momencie pani znalazła się tam i podała mu ją. Jednocześnie podała pani zresztą także parasolkę pannie Linton, która również była na tyle roztargniona, żeby ją zostawić. Pozornie wszystko w porządku. Zaciekawilo mnie tylko jedno.

Podczas kontroli celnej pan Knox powiedział, że w paczuszkach znajdują się zabawki dla dzieci jego znajomych w Londynie: malutka żyrafa i mały nosorożec. Tymczasem po otwarciu pudełeczek okazało się, że nosorożec jest tam rzeczywiście, ale miejsce żyrafy zajął hipopotam. To także mógł być przypadek, przejęzyczenie Knoxa, który nie miał obowiązku pamiętać, jakie zwierzątka wybrał w sklepie z zabawkami dla dzieci swoich przyjaciół...

Ale już wówczas, widząc, jak dokładnie jest rewidowany, pomyślałem o tym, że jedno z tych pudełeczek znajdowało się jeszcze przed kilkoma minutami w rękach innej osoby. Mogło to oznaczać, że Knox, obawiając się spotkania ze współlnikiem na mieście, gdzie mógł

na przykład być dyskretnie śledzony, wołał przekazać „towar” współnikowi za pomocą triku, polegającego na zapomnieniu paczuszki, a później podmienieniu jej przez współnika na inną. To było prawdopodobne. W związku z tym doszedłem dziś do wniosku, że Knox nie mógł ufać nikomu na dłuższą metę, to znaczy nie mógł i nie chciał przekazywać współnikowi brylantów do jednego samolotu, by samemu lecieć innym na przykład następnego dnia. W takich sprawach zaufanie musiało być ograniczone i chciał na pewno lecieć razem ze swoimi brylantami, byle nie mieć ich w ciągu podróży i w chwili wysiadania w Anglii. Dlatego sądzę, że kontrola listy pasażerów i załóg wykaże, że najczęściej, a może wyłącznie, latał on samolotami, w których pani była stewardesą. Oczywiście nie mam na to dowodów w tej chwili, ale sprawdzić to będzie bardzo łatwo.

— I znowu chce pan powiedzieć, że fakt, że... jakiś pasażer mógł ze mną lecieć parę razy, a ja go nawet dobrze nie zapamiętałam, może oznaczać... — Roześmiała się, ale tym razem był to nerwowy śmiech. — Pan korzysta tylko z tego, że powiedziałam panu, że... pamiętam jego twarz...

— Och nie, pani powiedziała, że jego rysy wydają się pani znajome, przewidując, że ktoś może sprawdzić listę lotów... Ale naprawdę to, co powiedziałem, nie oskarża pani. Są to tylko dodatkowe okoliczności, służące do wyciągania wniosków, nie mogące służyć w żadnym wypadku do skazania człowieka. Więcej dostarcza mi analiza samego wypadku.

Kiedy odrzuciłem możliwość zaplanowania tego mordu przez innych pasażerów, ponieważ wykupili bilety o wiele wcześniej, i kiedy uznałem alibi reszty załogi, pozostała mi tylko pani i wówczas zacząłem zastanawiać się nad samą zbrodnią. Z moich rozważań wynikały następujące dane podstawowe:

Po pierwsze: miała pani motyw i to silny. Chciała pani przywłaszczyć sobie brylanty Knoxa. Nikt na świecie poza nim nie wiedział, że są one chwilowo w pani posiadaniu.

Po drugie: miała pani doskonale „dojście” do zmarłego, gdyż siedział tuż przy drzwiach prowadzących do pani pomieszczenia i tylko ja mogłem pani przeszkodzić i coś zauważyć. Inni pasażerowie w tym czasie odwróceniem byli tyłem, oddaleni co najmniej o kilka kroków, uśpieni, a szum motorów przytłumiał im słuch.

Po trzecie: mogła pani wybrać dowolny moment dla uderzenia i miała możliwość sprawdzenia, czy wszyscy śpią, bo jako stewardesie wolno było pani swobodnie poruszać się po kabinie, nie zwracając niczyjej uwagi.

Po czwarte: miała pani możliwość zaasekurowania się przed ewentualnym krzykiem Knoxa, dodając do jego herbaty jakiś środek usypiający. Nie mogę mieć pewności, ale jestem absolutnie przekonany, że tak było, zważywszy na ogromne ryzyko, które pani podejmowała.

Prawdopodobnie liczyła się pani z tym, że przy tak ewidentnym sposobie zamordowania go nikt nie będzie przeprowadzał medycznej analizy wnętrza zabitego... Oczywiście mogła pani nie uciekać się do środka nasennego, ale nie wierzę, aby pani tego nie zrobiła. Mając tak oczywistą możliwość asekuracji, nie wolno było pani postąpić inaczej. Poza tym, kiedy staram się przeanalizować wydarzenia wieczoru, dochodzę do wniosku, że Knox zareagował jak człowiek, któremu dano silny narkotyk. Był bardzo przerażony wejściem pana Robertsa, mówił ze mną o tym podnieconym głosem, a potem po wypiciu herbaty niemal na moich oczach zaczął ziewać i prawie stracił zainteresowanie dla całego nurtującego go problemu. Nie wydawało mi się to wówczas tak dziwne. W końcu w ciągu dnia był upał, Knox był człowiekiem otyłym i najwyraźniej zmęczył się, zanim wsiadł do samolotu. Ale taka zmiana nie była naturalna, nastąpiła zbyt szybko. Oczywiście analiza zostanie przeprowadzona. Być może się mylę... Być może mylę się we wszystkim... Ale to byłoby dziwne, tyle poszlak wskazujących na jedną osobę, konieczność wyeliminowania wszystkich pozostałych osób i to w zamkniętym, znajdującym się tysiące stóp nad ziemią pomieszczeniu... A potem mogłoby się okazać, że to nie pani zabiła Knoxa, ale jedyny człowiek, poza panią, który mógł to zrobić, to znaczy ja...

Ale żeby wiedzieć na pewno, ważne jest naprawdę tylko jedno. Jeżeli pani zabiła Knoxa, zrobiła to pani oczywiście tylko po to, żeby przywłaszczyć sobie jego brylanty, za przewożenie których płacił pani zapewne tylko drobną sumę, nie mającą żadnej relacji do ich wartości. To oznacza, że brylanty te muszą znajdować się w pani posiadaniu. Oczywiście możemy liczyć na zwykłe w takich razach przeszukiwanie samolotu przez policję w Nairobi. Ale sądzę, że to nie będzie konieczne. Jeżeli dla brylantów popełniła pani zbrodnię, to nie po to, żeby narażać je na konfiskatę, a na pewno pani przewidywała, że policja dokona rewizji w poszukiwaniu ewentualnych śladów zbrodniarza. Wychodząc z założenia, że przecież pani nikt nie będzie podejrzewał, a poza tym licząc na to, że jako członek załogi będzie pani mogła spokojnie zejść na ziemię i ukryć paczuszkę gdziekolwiek na lotnisku, w miejscu, które zapewne już pani sobie upatrzyła, by je stamtąd po miesiącu zabrać, teraz musi je pani mieć przy sobie.

Oczywiście mogą być w tej chwili ukryte gdzieś w pomieszczeniach gospodarczych... Ale nie sądzę, aby pani to zaryzykowała. Jesteśmy już zbyt blisko Nairobi, a przecież zależało pani przede wszystkim na usunięciu brylantów z samolotu. W Nairobi policja zapewne czeka już na samolot i wtedy trudno by było je zabrać z jakiejś kryjówki. Dlatego nie pozwolę się pani ruszyć stąd ani nie pozwolę pani wykonać choćby jednego niepotrzebnego gestu do czasu, gdy wylądujemy. Nie była pani zbyt mądrym mordercą, chociaż zaryzykowała pani tak

wiele. Jestem przekonany, że analiza lekarska wykaże nie tylko ilość środka usypiającego, ale również fakt, że Knox zażył go w herbacie, bo na szczęście dla śledztwa nie jadł nic wieczorem. To zaś zostanie potraktowane jako ostateczna okoliczność obciążająca. Jestem tak samo przekonany, że paczuska z brylantami musi znajdować się albo na pani osobie, albo ukryta w jakimś miejscu, do którego tylko pani ma dostęp. Ale wierzę bardziej w to, że ma ją pani tu, przy sobie. Jeżeli wszystko to nie będzie się zgadzało, to z przykrością będę musiał poprosić policję w Nairobi o aresztowanie mnie. Po wykluczeniu wszystkich innych podejrzanych zostaliśmy tylko my dwoje. Proszę mi się nie dziwić, że byłem zmuszony znaleźć dowody pani winy i dokonać dosyć dokładnej analizy sytuacji. W tej chwili nie ma pani już żadnych szans, panno Slope.

Skończył i pokiwał głową. Potem spojrzał na dziewczynę, która siedziała zupełnie nieruchomo, patrząc na niego oczyma pełnymi przerażenia i niedowierzania.

— Ty... ty szpiclu... — szepnęła prawie niedosłyszalnie.

— Och, to wolę. Nie ma pani powodu, żeby mnie obdarzać sympatią. Niestety ja także nie mam powodu, żeby sympatyzować z parną. Nie lubię, kiedy młode, zdrowe, pracujące dziewczyny zabijają obcych mężczyzn, żeby zyskać dużą sumę pieniędzy. Nie lubię także myśleć o tym, że czeka je za to szubienica...

— Ty... ty... — mówiła teraz trochę głośniejszym głosem, ale głos załamał się jej. Ukryła twarz w dłoniach.

— Może najlepiej będzie, jeżeli da mi pani te brylanty — powiedział Joe spokojnie. — Po cóż to robić później w czasie rewizji osobistej.

Uniosła głowę, patrzyła na niego przez chwilę, a potem wstała.

— Dobrze... — powiedziała cicho i sięgnęła ręką do kieszeni kostiumu. Joe mimowolnie wyciągnął dłoń, ale nagle wypadki potoczyły się błyskawicznie. Dziewczyna pchnęła w pierś siedzącego obok niej pierwszego pilota, który nie mogąc złapać równowagi uderzył głową o poręcz fotela, a ona jednym skokiem znalazła się przy tylnych drzwiach kabiny, otworzyła je i zatrzęsnęła, zanim Joe zdążył do nich dopaść. Przez chwilę mocował się z nimi. Grant także podbiegł, a za nim Fighter Jack, który zrobił krok do tyłu i trzasnął w drzwi ramieniem. Drzwi pękły i wypadli wszyscy trzej na mały korytarzyk.

— Uwaga! — krzyknął Joe i chwycił młodego olbrzyma za ramię.

Drzwi kabiny powiewały szarpane wiatrem, który wreszcie zatrzęsnął je gwałtownie. Joe podskoczył do nich; zabezpieczył je jednym ruchem i przylepił nos do szyby.

Na niebie nie było ani jednej chmurki. Ziemia wyglądała z tej odległości jak wielka, zielona płachta...

Na jej tle dostrzegł od razu, nieco w tyle za samolotem, małą, koziółkującą postać.

— Tam...! — zawołał Grant. — Tam...

Postać zmaląła i znikła w błękitnej, lekkiej mgiele nad asem.

— Czy... czy to była ona? — zapytał Fighter Jack i zbladł.

— Tak. — Alex wyprostował się i ze zwieszoną głową ciężko zawrócił w stronę kabiny.

Za oknem pod skrzydłami samolotu zaczęły pojawiać się małe, białe domki, rozrzucone wzdłuż wysadzanych zielonością ulic.

— Nairobi... — powiedział Grant. — Jesteśmy na miejscu... Mój Boże...

Joe kiwnął głową. Minął postać przykrytą białym prześcieradłem i usiadł na jednym z wolnych foteli. Nie odezwał się, chociaż wszyscy patrzyli na niego. Twarz miał zmęczoną i smutną. Potarł podbródek, na którym wyrosły już małe, twarde kielki zarostu.

Na przedniej ścianie kabiny zapalił się świetlny napis:

PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY — SAMOŁOT LĄDUJE.

*Maurice S. Andrews*  
*(Andrzej Szczypiorski)*

## **ŚLEDZTWO PRZY ULICY LAOS**

## ROZDZIAŁ 1

Stali w ciemnym korytarzu, na wprost drzwi wiodących do salonu. Drzwi były oszklone, w tafli szklanej odbijały się jaskrawo promienie słońca. Salon przywodził na myśl akwarium, cały zanurzony w czystym świetle błysków i iskier. W korytarzu panował mrok i tylko wąska smuga światła leżała nieruchomo na kokosowym chodniku.

Stali milcząco, obaj oczekiwali jakiegoś ruchu, który wyzwoliłby ich z niemocy i niepewności, jakie nimi owładnęły na myśl o podjęciu nieuniknionego działania. Garnet spoglądał na swoje jasne, żółte buty i poruszał prawą stopą tak, aby każdym ruchem uchwycić na powierzchni skóry blask słonecznego promienia. Ta czynność skupiała wszystkie jego siły i myśli. Czuł się nieswojo w roli bądź co bądź drugoplanowej i odnosił wrażenie, że uczestniczy w wielkiej niesprawiedliwości względem samego siebie. Przez ostatnie dziesięć lat przywykł do samodzielności, a nic tak jak samodzielność nie umacnia w człowieku pewności siebie. Spoglądając na swoje buty, Garnet nie mógł pojąć, co go właściwie skłoniło do niefortunnego kroku, polegającego na ograniczeniu własnej samodzielności.

Po raz setny tego dnia zadawał sobie pytanie: kiedy właściwie, w jakim momencie tej sprawy poczuł własną słabość i zdepeszcował do Anglii. I po co? Czy rzeczywiście wyczerpał wszelkie swoje możliwości? Przecież to był dopiero początek. Właściwie nic się jeszcze nie zaczęło, nic nie było tknięte, wszystko zdawało się oczekiwać pierwszych rozważań... W gruncie rzeczy Garnet nie zrobił jeszcze nic, o mogłoby świadczyć o jego słabości, a już skapitulował. Nie zdążył ponieść najmniejszego nawet niepowodzenia, i już obwieścił swoją całkowitą klęskę. Ten akt pokory rozgrywał się niejako poza nim. Kiedy zdał sobie sprawę z własnego postępowania, było już po wszystkim. Najbardziej drażnił go fakt, że wcale nie odczuwa goryczy, lecz zdumienie.

Dziwił się samemu sobie, ale nie poddawał się bynajmniej wyrzutom sumienia. Nie opuszczało go przeświadczenie, że uczynił dobrze, rezygnując z głównej roli w tej sprawie. Było to przeświadczenie pozbawione wszelkich realnych przesłanek, ale przecież kierowało jego działaniami od trzech dni bez przerwy.

Garnet po raz pierwszy od wielu lat zaczynał wątpić we własny zdrowy rozsądek. I jednocześnie wzbierała w nim pasja, że wcale się tym nie martwi. Ze stoicyzmem przyjmował niepowodzenie i nie odczuwał zgryzoty. Oczywiście to jest nie byle jaki powód do gniewu. Garneta irytowała świadomość, że w pięćdziesiątym roku życia nie potrafi rozgryźć samego siebie i że sam dla siebie staje się niespodzianką.

Blask słoneczny igrał na jego lśniących, złotych butach. Oderwał wzrok od ziemi i chrząknął. Jego towarzysz uśmiechnął się lekko, ale nie poruszył się. W prawej dłoni trzymał kapelusz, lewą krył w kieszeni płaszcz. Miał na sobie jasny prochowiec, rozpięty, sięgający nieco za kolana. Prochowiec odsłaniał szary, flanelowy garnitur.

Garnet obserwował swego towarzysza z zaciekawieniem, nie pozbawionym szczypty złośliwej satysfakcji. Zobaczył go po raz pierwszy w życiu przed czterema godzinami i od tej chwili poczuł się różnie. Dla Garneta nie istniały nigdy ideały, ale zawsze były symbole i wzory. Nazwisko tego człowieka w obcisłym, flanelowym garniturze towarzyszyło Garnetowi przez wiele lat jako symbol zawodowego mistrzostwa. Garnet znał na pamięć wszystkie sukcesy i klęski Willburna. Klęsk było zapewne więcej niż sukcesów, ale jakie to były klęski!

Garnet przez wiele lat odczuwał niemal pokorę wobec tego nazwiska. Kiedy nadał telegram do Anglii, odniósł wrażenie, że teraz wszystko dobrze się ułoży. Willburn szybko i nieomylnie rozwiąże dramat przy *rue de Laos*. Trzeba tylko czekać...

Kiedy go zobaczył dzisiejszego ranka po raz pierwszy, poprzedzanego legendą — pomyślał, że właściwie wszystko się zgadza. Willburn pasował do własnej legendy. Był brytyjski, siwy, stary, rasowy, małomówny, wytworny, nieco śmieszny z tymi swoimi wyspiarskimi manierami i gadaniem o pięknej pogodzie. Miał szczupłe, kościste dłonie i głęboko osadzone, nieco zmrużone oczy. Takie dłonie i takie oczy zazwyczaj wzbudzają zaufanie. Tak więc wszystko było w porządku i Garnet odczuwał zadowolenie, że Willburn oszczędził mu rozczarowania. Ale jednak już po kilkunastu minutach okazało się, że ten porządek jest tylko pozorny. Garnet był niezwykle czuły na własne przeżycia, starał się zawsze kontrolować siebie ze szczególną czujnością. Jego wprawne oczy dojrzały niepokojące objawy. Na dłoniach Willburna rysowały się delikatne, niebieskawe żyłki. Skóra jego rąk była matowa, lecz żółta. Te ręce lekko drżały, kiedy unosiły do ust papierosa. Garnet zauważył, że Willburn podczas śniadania nabierał z miseczki dżem bardzo ostrożnie, powoli, z namysłem, jakby w obawie, że siły go zawiodą i łyżeczka wypadnie z rąk na śnieżnobiały obrus. Oczy Willburna wyrażały wówczas zaniepokojenie pomieszane z zażenowaniem. Jego powieki, nieco obrzmiałe i zaczerwienione, opadały z wolna i Garnet zobaczył rój małych, zwinnych zmarszczek biegnący od oczu do kącików ust. Było to bardzo przykre i napawało goryczą.

Garnet obserwował Willburna bez przerwy. Kiedy szli różnym krokiem ulicą, Anglik robił wrażenie dobrego aktora, który radzi sobie z ciężarem roli ponad siły. Miał na ustach konwencjonalny uśmiezek, ale jego wargi bladły z każdym krokiem. Wreszcie poddał się.



Tak w każdym razie oceniał to Garnet. Zwolnił i zaczął nieregularnie oddychać. Kiedy wreszcie zatrzymał się na chodniku z przepaszającym uśmiechem, Garnet poczuł się dziwnie samotny. Trwało to wprawdzie krótko, ale...

Teraz Garnet spoglądał na profil Willburna i dochodził do przekonania, że ten człowiek ma już za sobą wszystkie możliwe sukcesy. Nie należy oczekiwać niczego więcej poza rzetelnością i rutyną. Ale niestety. Rzetelność i rutyna wydają się niewystarczające w tej niezwyklej sprawie.

Znowu chrząknął i Willburn znowu się uśmiechnął. Stali naprzeciw jasnych, szklanych drzwi, za którymi rozciągał się zalany słońcem salon. Należało tam wejść i przystąpić do rzeczy. Garnet gotów był to uczynić bez zwłoki, ale sam przecież wyrzekł się inicjatywy i teraz wszystko zależało od Willburna. Oczekiwał od niego sygnału, aby podjąć działanie. Był tutaj trochę w roli gospodarza, nie wypadało narzucać swej woli gościowi, który wybiera dogodny dla siebie moment.

Garnet spojrział w głąb salonu. Zdawał sobie sprawę, że nie jest stamtąd widziany. Salon był wyrazisty, jasny, prześwietlony słońcem ze wszystkich stron. To miało być ich pole bitwy. Zobaczył panią baronową Groeck siedzącą w fotelu pod oknem. Pani baronowa Groeck, otyła dama pod sześćdziesiątkę, przypominała mu matkę. Matka Garneta była tak samo otyła i tak samo krótkowzroczna, choć nigdy nie była baronową.

Pani Groeck zatopiona była w lekturze. Garnet poczuł nieprzepartą ochotę rzucenia okiem na tytuł książki, którą pani Groeck trzymała tak blisko twarzy. Była to zapewne literatura piękna, może Gide, może Sartre. Baronowa miała w sobie coś z intelektualistki, choć Garnet nie potrafiłby określić, na czym to polegało. Miała mądre, myślące oczy i opanowane ruchy. Baronowa Groeck przyznała, że weszła do łazienki na pierwszym piętrze w chwili, gdy Maria Van znajdowała się już w wannie napełnionej wodą. Garnet wyobraża sobie tę scenę z całą wyrazistością. Baronowa Groeck w ciemnowiśniowym szlafroku z szorstkiej wełny otwiera drzwi łazienki. Łazienka jest zalana światłem płynącym z sufitu, gdzie umieszczono lampę jarzeniową. Groeck jest w rannych pantoflach na płaskim obcasie. Na mokrej posadzce pozostał wyraźny ślad jej nogi. Maria Van, obnażona, piękna, z rozpuszczonymi włosami, z pianą mydlaną na piersiach odwraca głowę w kierunku uchylających się drzwi. Baronowa twierdzi z przekonaniem, że Maria Van nie czuła się zaskoczona wejściem innej osoby do łazienki. Przeciwnie, robiła wrażenie, jakby oczekiwała pojawienia się kogoś na progu.

Pani Groeck wydaje lekki okrzyk zdumienia, widząc w wannie nagą kobietę. Nie domknięte drzwi skłoniły ją do przypuszczenia, że łazienka jest pusta i będzie mogła skorzystać z kąpieli. Kiedy więc spostrzeża Marię Van, kierując się taktem wynikającym

z pochodzenia i pozycji społecznej, mówi przeciągle: „Przepraszam, panno Van!” i usiłuje się natychmiast wycofać za próg. Ale Maria Van, która spokojnie dalej mydli gąbką swoje wspaniałe piersi, odpowiada z uśmiechem: „Ależ to drobiazg, pani baronowo...” Po czym w momencie, gdy postać pani Groeck już znika za drzwiami, dodaje szybko: „Ach, pani baronowo. Czy nie ma pani papierosa?”

Baronowa Groeck jest zaskoczona, ale wyjmując paczkę papierosów z kieszeni płaszcza kąpielowego i podaje przez uchylone drzwi Marii Van. Ręka Marii Van jest mokra i namydlona. Pani Groeck natychmiast wycofuje się i wraca do swego pokoju. W dziesięć minut potem wybiegnie z niego zaalarmowana krzykiem pana Duplessis, który zawoła z rozpaczą w głosie: „Panna Van nie żyje!”

Garnet ma plastyczną wyobraźnię. Tę zdolność odtwarzania zdarzeń w obrazach ocenia jako swoje najświetniejsze osiągnięcie w całej pracy policyjnej. Garnet nie uważa za możliwe zajmowanie się jakimkolwiek wydarzeniem bez stworzenia sobie w myślach wizerunków ludzkich gestów i wyrazów twarzy. Nie będąc świadkiem zdarzeń, stara się je przeżywać w obrazach podyktowanych przez wyobraźnię. Właśnie dlatego nigdy nie potrzebował dokładnych oględzin. Wystarczała mu relacja świadków. Obraz tworzył sam.

Baronowa Groeck czytała książkę, nie zważając na otoczenie. Nie podniosła oczu nawet wówczas, gdy przeszedł obok niej pan Duplessis, zbliżając się do okna, aby wyjrzeć na ulicę. Garnet obserwował pana Duplessis z zacięciem.

Pan Duplessis stał tyłem do osób zgromadzonych w salonie, zapatrzony w ulicę Laos rozciągającą się za oknem. Jego sylwetka była szczególnie wyrazista w jasnych promieniach słońca. Pan Duplessis, wysoki, szczupły mężczyzna w ciemnym ubraniu, nieco już znoszonym, ale przecież ciągle jeszcze eleganckim, wydawał się — widziany z tyłu — młodszy niż był w rzeczywistości. Garnet skonstatował, że ludzie bardzo często starzeją się od przodu, tak jakby najpierw zanurzali się w czas twarzą, rękami, torsem, a potem dopiero karkiem i plecami. Plecy pana Duplessis wydawały się młodzieńcze i Garnet musiał z niejakim trudem sobie uprzytomnić, że ten człowiek zbliża się przecież do siedemdziesiątki.

Garnet przypomniał sobie pierwsze przesłuchanie pana Duplessis. Siedział w tym samym salonie, ale opustoszałym i pozbawionym słońca. Story w oknach były opuszczone, panował tam przyjemny chłód, od ulicy docierał przytłumiony gwar. Rue de Laos jest spokojną ulicą, szczególnie w godzinach popołudniowych.

Garnet siedział w fotelu, nieco pochylony do przodu, w pozycji, którą starał się uczynić możliwie najbardziej urzędową. Pan Duplessis stał przed nim podczas całej rozmowy, mimo zapewnień, że rozmowa w tak niewygodnej pozycji wcale nie jest konieczna. Pan Duplessis

podkreślał z naciskiem, że jego obywatelskim obowiązkiem jest stać w obliczu prawa, które reprezentuje komisarz Garnet.

Pan Duplessis wydawał się przerażony całym wydarzeniem. Był nauczycielem języka łacińskiego w Lycee Buffon. Jego zainteresowania wyznaczali dokładnie Salustiusz i Cezar. Przez wiele lat rozczytywał się w łacińskich opisach wojen i zbrodni, ale prawdziwej krwi nigdy dotąd nie widział. Jego zdumienie było pomieszane z głębokim szokiem, jakiego doznał pamiętnego wieczora. Idąc korytarzem do swego pokoju zobaczył światło padające z uchylonych drzwi łazienki. Pan Duplessis był człowiekiem z natury oszczędnym, a każdy jego gest wypływał z potrzeby konkretnego działania. Rzymianie wychowali go w przeświadczeniu, że tylko to jest nieuniknione, co jest naprawdę konieczne. Umysł pana Duplessis pracował jasno i wzorowo. Ponieważ — jak twierdził — drzwi łazienki były uchylone, widać nikt nie mógł się w niej znajdować. Jeżeli w łazience nie było nikogo, paląca się lampa przeczyła zdrowemu rozsądkowi i nawykowi oszczędzania. Pan Duplessis postanowił więc zgasić światło. Otworzył drzwi i jego oczom przedstawił się straszny widok. W wannie, wypełnionej wodą i pianą mydlaną, leżała martwa Maria Van, zupełnie obnażona. W jej piersi tkwił nóż, wbity aż po rękojeść, a krew zmieszana z mydłem zabarwiła na różowo wodę.

Widok ten, opisany słowami pana Duplessis, miał wymiar niemal klasyczny. Sędziwy profesor nie omieszkał odkryć przed Garnetem całej gamy swoich skojarzeń. Trup w wannie w umyśle pana Duplessis przywiódł na myśl tragiczny os Marata, a co za tym idzie wielkie dzieło Davida. Maria Van stała się dla niego jednocześnie i Maratem, i Karoliną Itorday, czego zupełnie nie umiał sobie wyjaśnić. Porzucając jednak te rozważania — natychmiast wybiegł z łazienki i obudził mieszkańców pensjonatu rozzwierającym krzykiem.

Pan Duplessis z wielkim trudem przyszedł do siebie po tym przeżyciu. Poza obrazem krwi pomieszanej z pianą mydlaną niczego nie mógł sobie przypomnieć. Najgłębszym zdumieniem napełnił go fakt, że w jego własnej marynarce znalazło się przemoczone pudełko papierosów, które baronowa Groeck wręczyła Marii Van na kilka minut przed tragicznym wydarzeniem. Garnet z pewnym powątpiewaniem odniósł się do zeznań starego profesora.

Nie miał nabożeństwa do ludzi pokroju pana Duplessis. Abstrakcyjne umysły napawały go niechęcią i lekceważeniem. Garnet lubił konkrety, poczucie pewności płynące z przeświadczenia, że świat, który go otaczał, był namacalny. Korzystał z doświadczeń ludzi nauki, ale byli to przede wszystkim chemicy, mechanicy, lekarze. Ten typ inteligencji przemawiał do Garneta i zdobył jego zaufanie. Natomiast umysły abstrakcyjne budziły w nim podejrzenia. Garnet zdawał sobie sprawę z własnej nieuczciwości wobec pana Duplessis, ale

to było silniejsze od niego. Nie potrafił wykrzesać w sobie zaufania do człowieka, który pogardliwie odnosi się do teraźniejszości i marnuje całe życie na odgrzebywanie dawno umarłych słów dawno umarłych narodów. Oczywiście Garnet nie podejrzewał pana Duplessis o dokonanie zbrodni. Albo inaczej. Garnet również i pana Duplessis podejrzewał o morderstwo, ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Ostatecznie każdy z tych ludzi mógł wbić nóż w pierś Marii Van. Ale kto na tym tracił, a kto zyskiwał? Komu na tym zależało, a komu było to obojętne? Wreszcie — kto to zrobił?

Pan Duplessis stał w oknie i spoglądał na ulicę Laos. Jego młodzieńcze plecy poruszały się równym rytmem. Baronowa Groeck czytała swego Sartre'a w sposób tak uważny i ostentacyjny, że Garnet zaczął podejrzewać, czy przypadkiem nie udaje.

Salon wydawał się cały wypełniony słońcem. Garnet odniósł wrażenie, że ludzie w salonie prązą się w słońcu jak jajka na patelni. Tę myśl mógł potwierdzić gest Filipa Bendina, który właśnie wyjął chusteczkę i otarł czoło.

Filip Bendin siedział na krześle, pod ścianą, tuż obok zegara. Trzymał w ręku świeży numer „Le Monde”, ale nie czytał. Jego twarz była nieruchoma jak maska rozpaczy. Garnet nie po raz pierwszy stwierdził, że jest to twarz urzekająco piękna.

Nie ulegało wątpliwości, że Filip Bendin był wcieleniem cherubina. Wyszedł z ram „Wniebowstąpienia” Murilla, aby zamieszkać w pensjonacie przy rue de Laos i stać się jednym z głównych aktorów dramatu.

Filip Bendin miał wspaniały kształt głowy. Jego czarne włosy, nieco kędzierzawe, opadały na czoło wysokie i gładkie. Twarz o oliwkowej cerze, nos prosty, wytworny, smukły, wargi delikatne, niemal kobiece, ale jednak nabrzmiałe chłopięcą namiętnością. Oczy Filipa Bendina były ciemnoniebieskie, melancholijne, olbrzymie. Jego spojrzenie, pełne smutku, wzbudzało sympatię i ciekawość. Garnet, który nie lubił mężczyzn o zbyt wymownej urodzie, musiał przyznać, że ten chłopak jest uroczy przejmującą urodą, jaką daje pierwsza, szalona miłość.

Filip Bendin kochał Marię Van. Maria Van kochała Filipa Bendina. Była to szczególna para. Przyszli do siebie z tak różnych stron świata, że Garnet nie potrafił w gruncie rzeczy uwierzyć w ich miłość, choć wszystko przemawiało za tym, że to jednak była miłość wielka i szalona.

Filip Bendin siedział nieruchomo na krześle, trzymał w ręku gazetę, ale nie czytał. Jego dłoń, smukła, piękna i smagła, zwieszała się niemal bez życia ku ziemi. Szczupłe palce były wyprostowane. To ślady tych właśnie palców Garnet odkrył na rękojeści noża wbitego w pierś Marii Van. Nie ulegało wątpliwości, że Filip Bendin był głównym bohaterem

dramatu.

Tego wieczoru o godzinie dwudziestej pierwszej wszedł do pokoju Marii Van i otoczył ją ramieniem. Był jej kochankiem od kilku tygodni, prawie każdą noc spędzali razem. Filip Bendin o godzinie dwudziestej pierwszej miał na sobie smoking, lakierki, białą koszulę, czarną muszkę. Maria Van była w płaszczu kąpielowym, jej ciało było ciepłe, pod płaszczem Filip wyczuwał nagość. Zamienili kilka słów, po czym Maria oświadczyła, że idzie się wykąpać. Filip obiecał czekać w jej pokoju. Wybierali się razem do Johna na rue Bonaparte, aby wypić butelkę *château neuf du pape* i zjeść filety po meksykańsku. Ostatnio bywali tam często. Uroczą Avalla, brunetka w białym jak śnieg szalu zarzuconym na ramiona, ujmowała ich oboje czarem korsykańskich piosenek.

Filip Bendin oświadczył więc, że będzie czekał w pokoju Marii Van. Wychodząc do łazienki, Maria pocałowała go. Usiadł w fotelu i palił papierosa. Potem stało się to wszystko. Kiedy pan Antoni Hayes wbiegł do pokoju i zawiadomił go o nieszczęściu — nic już nie miało znaczenia.

Filip Bendin miał dwadzieścia lat. Był chłopcem prawie. Pięknym chłopcem, skrzywdzonym przez los. W łazience płakał jak dziecko, szeptał: „Mario, Mario...”, całował jej włosy, czoło i usta. Było to straszne i smutne. Baronowa Groeck podkreślała ten fakt z naciskiem w rozmowie z Garnetem.

Garnet współczuł chłopcu, ale nie zamykał oczu. Filip Bendin był kochankiem Marii Van. Był jedynym człowiekiem w tym domu, którego łączyły z ofiarą intymne stosunki. Ślady jego palców widniały na rękojeści noża, czego nie umiałby zapewne wytłumaczyć. Inna sprawa, że nie starał się niczego tłumaczyć. Wszystko było mu zupełnie obojętne. Ale w oczach Garneta, w zawsze otwartych oczach Garneta, Filip Bendin był potencjalnym mordercą Marii Van.

Teraz siedział nieruchomo na krześle, nieopodał zegara, i trzymał na kolanach ostatni numer „Le Monde”. Jego głowa anioła wydawała się Garnetowi w promieniach słońca warta ocalenia.

Pan Duplessis odszedł od okna. Stanął na środku salonu i uśmiechnął się bezradnie do drugiego starego człowieka, pana Antoniego Hayesa.

Antoni Hayes był olbrzymem. Garnet odczuł to, kiedy wczoraj stał przed nim w tym samym salonie, ocienionym storami. Hayes przerastał go o głowę. Wszystko było w tym człowieku duże. Tors, czaszka, dłonie, ramiona, stopy. Wyglądał trochę jak wykopalisko archeologiczne sprzed tysięcy lat. Łysy, miał wydatne czoło i szczękę. Kiedy uśmiechał się, odsłaniał wielkie, silne zęby. Było w nim coś z drapieżnika, choć w gruncie rzeczy cała jego postać przywodziła na myśl dobroduszość i wylewność.

Pan Antoni Hayes był ostatnim człowiekiem, który zjawił się w pobliżu łazienki przed odkryciem zbrodni.

Kilkanaście minut po godzinie dwudziestej pierwszej Hayes spotkał na korytarzu pierwszego piętra baronową Groeck.

Baronowa, odziana w płaszcz kąpielowy, wychodziła z łazienki. Pozdrowił ją, wyminął i poszedł dalej. Wracał jednak z miasta, był zakurzony, więc natychmiast w swoim pokoju rozebrał się i wrócił na korytarz, aby pójść się wykąpać. Znowu spotkał baronową Groeck, tym razem idącą w stronę schodów. Natknął się również na pana Duplessis, idącego do siebie.

Antoni Hayes chciał wejść do łazienki, ale usłyszał głos Marii Van, która pytała, kto wchodzi. Pośpiesznie przymknął drzwi i rzekł, że przeprasza. Wrócił do siebie, aby po kilku minutach ponowić spacer do łazienki. Zauważył światło, więc przypuszczając, że Maria Van dalej okupuje wannę, postanowił zrezygnować tego wieczora z kąpieli. Kiedy był już na progu swych drzwi, zobaczył na słabo oświetlonym korytarzu, po raz trzeci w ciągu kwadransa, baronową Groeck, idącą w stronę łazienki. Wszedł jednak do siebie i zaczął się myć nad umywalką. Wtedy właśnie usłyszał rozziewający krzyk pana Duplessis, wybiegł na korytarz, wpadł do łazienki, zastał tam już starego profesora i *madame* Perret, właścicielkę pensjonatu. Natychmiast pobiegł do pokoju Marii Van w przeświadczeniu, że trzeba coś zrobić, działać, nie można stać beczynnie. W pokoju zastał Filipa Bendina.

Garnet był bezsilny wobec dokładności pana Antoniego Hayesa, która przeczyła zeznaniom innych osób. Jednakże po głębszym namyśle doszedł do przekonania, że być może Hayes ma szczególnie wyostrzony zmysł obserwacji, który wskutek wstrząsającego przeżycia zawiódł innych uczestników dramatu.

Garnet odnajdywał w tej sprawie splot niezwykłych przypadków, które mogą ujść uwagi w normalnych warunkach, ale urastają do rozmiarów grozy w obliczu ludzkich zwłok. Owego wieczora łazienka była w tym pensjonacie jak magnes. Wszyscy mieszkańcy kręcili się wokół niej. Baronowa Groeck, która zeznała tylko to, co zeznała, ukazywała się według oświadczenia Hayesa aż trzy razy w pobliżu drzwi łazienki. Pan Duplessis, który zawsze zostawiał światło w swoim pokoju, co było niemal przysłowiowe w pensjonacie, tego dnia postanowił okazać się zapobiegliwym i oszczędnym. Antoni Hayes, który według własnych słów mył się w swoim pokoju, wszedł do pokoju Marii Van w ciemnym, wizytowym garniturze, co dobitnie zeznał Filip Bendin. A on sam, piękny Filip Bendin, nie wiedział zupełnie nic, nie słyszał nic, nie rozumiał nic...

Garnet z niepokojem spoglądał na osoby w salonie. Baronowa Groeck czytała w skupieniu książkę, nie zwracając uwagi na otoczenie. Filip Bendin siedział bez ruchu. Antoni Hayes

i profesor Duplessis podjęli rozmowę, stojąc pod oknem w ciepłych promieniach słońca. Wreszcie *madame* Perret, jedyna osoba pozostająca właściwie poza podejrzeniem, robiła jak zwykle na drutach.

*Madame* Perret była kobietą szczupłą, o spokojnych ruchach i pięknych, ciemnych włosach okalających jej ładną, sympatyczną niemłodą już twarz. Należała do tej kategorii ludzi, z którymi nigdy nie ma kłopotu, którzy zawsze starają się być pomocni i gotowi są wiele poświęcić dla innych, z wyjątkiem osobistej godności. Prowadziła pensjonat od piętnastu lat, cieszyła się szacunkiem i sympatią gości, z którymi potrafiła się zżyć i stworzyć im warunki zbliżone do rodzinnych.

Pani Perret pamiętnego wieczora znajdowała się w swym pokoju na parterze, podczas gdy pozostałe osoby były na piętrze. Widziała przez oszklone drzwi do holu wchodzącego z ulicy Duplessisa. Zapytana przez Garneta, w jaki czas po wejściu na górę pan Duplessis krzyknął — odparła, że minął może kwadrans, może dwadzieścia minut. Garnet wysnuł z tego wniosek, że Duplessis bardzo powoli porusza się po schodach.

Pani Perret była smutna i zatroskana. Mord w jej pensjonacie był rzeczą straszną i nie umiała wprost pojąć tego dramatu. Lubiła serdecznie Marię Van, ale kogo ona nie lubiła?! W każdym jednak razie Garnet stwierdził, że tylko ona i Filip Bendin wyrażali się o zmarłej z sentymentem. W odniesieniu do Filipa było to zrozumiałe. Natomiast opinia pani Perret płynęła po prostu z przyjaźni dla wszystkich ludzi. Tak ocenił to Garnet.

Salon tonął w słońcu. Pani Perret robiła na drutach. Pan Duplessis uśmiechał się blade. Baronowa czytała. Filip milczał, nieruchomy. Zegar tykał. Było gorąco.

## ROZDZIAŁ 2

Stali w ciemnym korytarzu, na wprost drzwi wiodących do salonu. Willburn nie czuł się tu dobrze. Bolały go oczy od wpatrywania się w blask słońca, które przebijało szklane drzwi. Miał ochotę wejść do środka, ale uważał, że nie jest do tego upoważniony przez komisarza Garneta z drugiej brygady kryminalnej.

Właściwie nie znał Garneta, który zrobił na nim sympatyczne wrażenie. Wprawdzie irytowały go nieco jaskrawo — żółte buty energicznego Francuza, ale czuł do niego wdzięczność za depeszę, jaką otrzymał w Londynie. Od trzech lat sam sobie wydawał się zardzewiałym nożem, zapomnianym w ciemnej, bocznej szufladzie. Świat przechodził obok i zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na Willburna, słynnego mistrza Scotland Yardu, który odszedł przed laty, złamany i zniechęcony, aby poświęcić się wyłącznie literaturze i kolekcjonowaniu motyli.

Od tego czasu przeżył wiele nocy, podczas których żałował swojej decyzji. Okazało się, że wtedy był młodszy, niż sam przypuszczał. Miał jeszcze wiele sił, aby pracować dalej. Był jednak za słaby, żeby przecierpieć w swoim fotelu ciężką porażkę. Popęłił zasadniczy błąd. Wydawało mu się, że świat osądzi go wedle jego szlachetności. Miał nadzieję, że pozostanie żywy w pamięci wielu ludzi jako niezwykły obrońca prawa, który odchodzi na zasłużony odpoczynek, rozgoryczony, ale nieskazitelny.

Tymczasem świat sądzi ludzi nie według intencji, lecz czynów. Gest Willburna był piękny i godny podziwu, ale podziw trwał raczej krótko. Zainteresowanie jego osobą malało z miesiąca na miesiąc, aby po kilku latach ustąpić miejsca zupełnej niepamięci. Gest, który kosztował go najwięcej — przestał się liczyć. Jeżeli wspominało Willburna, to na tle jego słynnych spraw sprzed wielu lat, ale nigdy jako człowieka, który potrafił w porę odejść. Odejścia nie liczą się nigdy. Okazało się więc, że odszedł niepotrzebnie i zbyt wcześnie. Ale takich błędów naprawić nie sposób.

Tkwiał więc w swoim ulubionym Cork, wśród soczystych irlandzkich łąk, pisał, polował, jadł, czasem zasypiał przy kominku z książką w ręku. Starzał się samotnie, a więc w sposób najbardziej okrutny ze wszystkich możliwych. Kiedy dotarła do niego w Londynie depesza od komisarza Garneta, poczuł, że wdzięczność zalewa mu serce. Było to jak przebudzenie z ciężkiego snu. Odnajdywał w oszczędnych słowach telegramu całą swoją legendę, wielki i trwały mit nadinspektora Willburna, który ciągle jest niezastąpiony. Miał ochotę pokazywać ten paryski telegram wszystkim, którzy dawno o nim zapomnieli.



Kiedy płynął przez Kanał, nie mógł się doczekać francuskiego brzegu. Odnalazł w sobie, zgoła nieoczekiwanie, wiele sympatii dla tego szalonego kraju, z którym dotychczas nie łączyło go nic poza literaturą i odrobiną lekceważenia.

Garnet oczekiwał go na *rue Lafayette* w eleganckim Citroenie. Mieli się poznać właśnie po numerach rejestracyjnych samochodu. Garnet stał przy maszynie w rozpiętym płaszczu, z kapeluszem w dłoni. W jego postawie było coś z szacunku, z jakim porucznik wita generała. Willburn poczuł, że powinien sobie zasłużyć w oczach Francuza na takie rewerencje nie tylko starą legendą, ale aktualnym sukcesem.

Garnet referował sprawę zwięźle, lecz z dbałością o szczegóły. W jego sformułowaniach było nieco emfazy. Mówił szybko, niespokojnie poruszał rękoma w rytm słów. Willburn nie mógł pozbyć się uczucia, że Garnet jest jednak nie najlepiej wychowany. Dobrze ułożony dżentelmen nie obserwuje tak natarczywie swego rozmówcy. Podczas śniadania u Gabriela przy alei Matignon czuł na sobie przez cały czas baczne spojrzenie Garneta. Drażniło go to. Usiłował trzymać się dzielnie i choć odczuwał zmęczenie, zachował płynność ruchów.

Nieco później, na ulicy, kiedy zostawili samochód i poszli pieszo w stronę pensjonatu, poczuł, że opuszczają go siły. Uchwycił spojrzenie Garneta i targnęła nim przykra obawa, że tamten świadomie wystawia go na próbę sił. Nie odczuł niechęci i złości, lecz opanowała go przekorna myśl, aby zagrać rolę zgrzybiałego starca. To była też swego rodzaju zemsta. Jeżeli Garnet liczył na żywotność Willburna, zawiedzie się srodze, ale będzie już za późno, aby się wycofać. Garnet popadnie w zwątpienie, będzie sobie wyrzucał lekkomyślność, będzie się obawiał skutków swej decyzji.

Willburn nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności, aby zobaczyć w oczach Francuza panikę i zniecierpliwienie.

Teraz Garnet chrząkał i spoglądał na swoje jasne buty. Nie miał w sobie nic z tej pewności, jaka przychodzi z wiekiem. Nie wiedział, co robić w tym ciemnym korytarzu, stojąc o krok od drzwi wiodących do salonu. Willburn czuł, że Garnet czeka na jego słowa. Ale nie zamierzał wcale ułatwiać mu sytuacji.

W salonie zgromadziły się wszystkie osoby dramatu. Willburn oglądał je w pełnym świetle słonecznym, miał czas przyjrzeć się każdej twarzy. Nie rozmawiał jeszcze z tymi ludźmi, ale poznał ich z relacji Garneta. Była to nić cienka i wąta, lecz warta podjęcia.

Pani baronowa Groeck zatopiona była w ciekawej lekturze. Willburn zauważył, że czyta niezmiernie powoli, odwraca kartki leniwie, każda strona książki skłaniają zapewne do głębokich rozmyślań. Baronowa Groeck była osobą, która zostawiła paczkę papierosów w łazience podczas krótkiej rozmowy z Marią Van. Weszła więc do łazienki, choć łazienka

była zajęta. Zatrzymała się tam. O czym rozmawia stara, otyła kobieta w szlafroku z naga i piękną kobietą w wannie? Stara, otyła kobieta odczuwa wstręt do kobiety nagiej i pięknej, choć właściwie powinno być odwrotnie. Jednakże nagość i piękno są tolerancyjne. Maria Van czuła się silna wobec baronowej Groeck i dlatego nie żywiła do niej antypatii. Należy jednak przypuszczać, że stara arystokratka odczuwała niechęć do Marii Van. Maria Van kpiła sobie z baronowej Groeck. Na jej oczach nacierała gąbką swoje młode piersi i pani Groeck wiedziała, co to oznacza. Maria Van nie wstydziła się własnego ciała, w swej nagości była ostentacja. Baronowa Groeck, która należy do kobiet zażenowanych własną nagością nawet przed lustrem — poczuła się upokorzona. Wydaje się jednak, że jest to zbyt słaba przyczyna, by mogła wywołać reakcję tak silną, jak wbicie noża w serce Marii Van.

Baronowa Groeck należy wszakże do osób godnych szczególnej uwagi. Jej nie kończące się spaceru po korytarzu, o których wspomniał Hayes, mają w sobie coś niepokojącego. Jest jak nietoperz, jak sowa, jak erynia... Co skłoniło ją do czuwania na korytarzu w pobliżu miejsca zbrodni? Czy oczekiwała jakiegoś znaku porozumiewawczego? Czy była współniczką? Czy była wreszcie morderczynią? Pierwsze zjawienie się pani Groeck można uznać za usprawiedliwione. Przyszła do łazienki z prostego zamiłowania do higieny. Jak jednak wytłumaczyć jej drugie i trzecie pojawienie się na korytarzu?

Baronowa Groeck jest osobą odczytaną i obytą w wielkim świecie. Nie wyjaśnione bliżej sprawy rodzinne, jej głośny rozwód przed dwudziestu laty — skłoniły ją do wycofania się z życia towarzyskiego i pozostawania w cieniu. Pokażny majątek pozwala jej żyć skromnie w pensjonacie przy ulicy Laos, w dzielnicy nie wykwinnej wprawdzie, ale solidnej.

Baronowa Groeck czyta *Czarodziejską górę* Tomasza Manna, wielki epos o przemijaniu czasu. Willburn widzi dobrze tytuł na grzbiecie książki, mimo ostrego światła słonecznego. Pozostaje nie rozstrzygnięta kwestia — w jakim celu pani Groeck trzykrotnie pojawiała się w pobliżu łazienki?

Pan Duplessis stoi tyłem, twarzą ku oknu i wygląda na ulicę. To starszy pan o dużej wiedzy książkowej, ale bez nawyków naukowca. On właśnie odkrył zwłoki Marii Van w łazience. Czy zatrzymał się tam dłużej, a potem podniósł alarm? Zeznanie właścicielki pensjonatu właśnie na to wskazuje. Pan Duplessis staje na progu łazienki i jest zafascynowany nie tyle widokiem krwi, ile widokiem nagości. Minęło zapewne wiele lat od chwili, kiedy pan Duplessis widział po raz ostatni obnażone kobiece piersi. Natomiast obnażone kobiece piersi z nożem wbitym w serce zobaczył chyba po raz pierwszy. Można przypuścić, że przygląda się im, pokonując przerażenie. Nie ma w tym nic z patologii. Jest to po prostu ciekawość, dzięki której świat w ogóle idzie naprzód. Pan Duplessis twierdzi, że

wspomniał Marata i Karolinę Corday. Można mu wierzyć, choć sprawa nie ma większego znaczenia. Zwłoki w wannie każdemu Francuzowi kojarzą się z Maratem, tak jak każdemu Amerykaninowi kojarzą się z komiksami. Ponieważ pan Duplessis jest Francuzem, więc zużywa masę czasu na refleksje, a nie na działanie. Byłoby jednak przesadą przypuszczać, że stary profesor przez piętnaście minut stoi w łazience i podziwia nagą kobietę z nożem w piersiach. Powstaje więc pytanie — co skłoniło pana Duplessis do przemilczenia tak poważnego i tragicznego odkrycia?

Można przyjąć oczywiście zgoła odmienny przebieg zdarzenia. Pan Duplessis, człowiek samotny, o nie znanej bliżej przeszłości, wykładowca w Lycee Buffon, wielbiciel Juliusza Cezara, onieśmielony wobec wieku XX, staje pewnego dnia oko w oko z kobietą taką jak Maria Van. Dla Marii Van można było stracić głowę, nawet tak wypełnioną po brzegi Katonem jak głowa pana Duplessis.

Tak więc stary profesor traci głowę. Nikt tego jednak nie zauważa. Poza Marią Van, oczywiście. Maria jest kobietą pozbawioną skrupułów. Jej przeszłość dowodnie o tym świadczy. Profesor sączy kielich szczęścia, ale ta uczta kosztuje bardzo wiele. Nadchodzi pamiętny wieczór. Duplessis wyrównuje rachunek. Potem podnosi alarm.

Jest to oczywiście możliwe, ale mało prawdopodobne. Prostactwo takiego rozwiązania rzuca się w oczy. Przemysłanego aktu zemsty nie dokonuje się w miejscu, które przypomina do złudzenia przystanek autobusowy. Kręci się tam tak wiele osób...

Wreszcie skąd te ślady palców Filipa Bendina na rękojeści noża? Duplessis nie umie wyjaśnić, w jaki sposób papierosy znalazły się w jego kieszeni, a czy Bendin będzie umiał wyjaśnić, w jaki sposób zostawił ślady palców na narzędziu zbrodni?

Bendin jest bezprzykładnie przystojny. Jego uroda jest niemal obrażająca. Gdyby był starszy o kilka lat, mężczyźni odczuwaliby do niego fizyczną nienawiść. Jednakże do tego czasu ma szansę zbrzydnąć. Jego piękno ma dwadzieścia lat, a temu wiekowi można bardzo wiele wybaczyć.

Filip Bendin nie wiedział, kogo kocha pierwszą miłością. Należy przypuszczać, że Maria Van potrafiła docenić tę niewiedzę kochanka. Był dla niej źródłem Lety, wodą zapomnienia grzechów. W jego ramionach obmywała się z przeszłości. Może nawet kochała go szczerze... A może tylko umiejętnie wykorzystywała jego namiętność, aby z niej czerpać pełnymi rękoma?

Bendin jest zamożnym chłopcem. Otworzył dla Marii Van niedostępne dotąd możliwości. Mogła bywać u Johna, legendarnego Johna z ulicy Bonaparte, gdzie zbiera się śmietanka paryska. Mogła mieć kosztowne futra, biżuterię, najnowszy model samochodu. Są to

rozważania bezprzedmiotowe. Maria Van mogła to wszystko mieć, ale nic nie miała. Zadowolala się czystą, bezinteresowną miłością ślicznego chłopca i nie przyjmowała od niego nic poza pieściami.

Bendin czekał na nią w pokoju, dziesięć kroków od łazienki. Siedział w fotelu i marzył. Przeżył najstraszniejszą noc w swoim krótkim życiu i należy go żałować. Jednocześnie jednak jest najbardziej podejrzany. Tylko jego palce zostawiły trwałe ślady na rękojeści noża. Jak się to stało? Odpowiedź na to pytanie wskaże mordercę.

Może mordercą jest Antoni Hayes, olbrzym o twarzy dobrodusznego gangstera?

Antoni Hayes manifestował owego wieczoru swoje szczególne przywiązanie do czystości ciała. Uporczywie powracał do łazienki, aby wreszcie zastać w niej liczne towarzystwo, zgromadzone wokół zwłok. Nie tylko baronowa Groeck krążyła obok tych drzwi. Krążył tam człowiek, który ją trzykrotnie widział — Antoni Hayes. Pozornie można przyjąć, że ten wielki mężczyzna dba o higienę ciała. Czemu jednak przypisać fakt, że będąc zwolennikiem gruntownych kąpieli myje się w pokoju ubrany w wizytowy garnitur? Bendin twierdzi, że Hayes wszedł do pokoju Marii Van w wizytowym garniturze. Do chwili obecnej nie konfrontowano zeznań składanych oddzielnie. Taka konfrontacja może przynieść obfite żniwo.

Wszyscy są potencjalnymi mordercami. Baronowa Groeck mogła wbić nóż w pierś Marii Van z tysiąca powodów. Uczyniła to za trzecim pojawieniem się w polu widzenia Antoniego Hayesa. Baronowa Groeck ma obsesję przemijania. Nienawiść do czasu.

Pan Duplessis jest wprawdzie daleki od fanatyzmu, ale czy tylko w fanatyzmie można odnaleźć klucz do zbrodni? Miłość starców jest okrutna.

Filip jest jedynym aktorem zdarzenia obciążonym w sposób rzeczowy, materialny. Pozostał jego ślad, który oskarża. Należałoby to podkreślić, gdyby nie wiele gorzkich doświadczeń świadczących dobitnie, że nic tak nie wprowadza w błąd jak materialne dowody.

Antoni Hayes również jest wielką niewiadomą, ale na pewno nie budzi sympatii. Tak czy inaczej ma skłonności do drobiazgowego odtwarzania zdarzeń tylko wówczas, gdy bezpośrednio w nich nie uczestniczy. Natomiast szczegóły dotyczące jego osoby wzbudzają szereg wątpliwości.

Pozostaje więc pani Perret, osoba zajęta robieniem na drutach. *Madame* Perret nie wyróżnia się niczym szczególnym. Poza tym, że ona jedna była na parterze wówczas, gdy na piętrze dokonano morderstwa. Ten fakt, choć brzmi to raczej paradoksalnie, skłania do zastanowienia. Rzecz oczywista, że tylko w miernych powieściach sensacyjnych mordercą okazuje się ten, na którego wcale nie padało podejrzenie. Pani Perret pozostaje poza

podejrzeniem, ale dla spokoju sumienia należy rozważyć wszelkie drogi, jakimi mogła się wymknąć z tego kręgu. Dopiero wówczas sprawa pani Perret będzie ostatecznie zakończona.

Pani Perret wydaje się interesująca właśnie dlatego, że pozbawiona jest wszelkich cech kontrowersyjnych. Wszyscy dobrze o niej mówią. Ludzie, o których wszyscy dobrze mówią, są szalenie niebezpieczni. *Madame* Perret ma twarz łagodną i myślącą. Stara się być ujmująca w obejściu. Zapewne wiele w życiu cierpiała i uroda, której blask jeszcze jest widoczny, nie oszczędziła jej dramatów. Może wyżej stawiała swoją godność nad wygody życia. Jeśli tak właśnie było — to Maria Van miała wszelkie powody, aby nie znosić pani Perret. Gdyby to pani Perret była dzisiaj trupem, narzędzia zbrodni należałoby szukać w pokoju Marii Van. Jednakże stało się zgoła odwrotnie.

Nie pozostaje nic innego, jak postąpić trzy kroki naprzód i znaleźć się w salonie, gdzie rozegra się dalszy ciąg tego pasjonującego dramatu.

Willburn spojrział w stronę Garneta. Garnet spojrział na swoje żółte buty. Po drugiej stronie oszklonych drzwi pan Duplessis poczęstował papierosem pana Hayesa, baronowa Groeck odwróciła kartkę *Czarodziejskiej góry*, pani Perret uniosła nieco głowę i uśmiechnęła się do starego profesora, Bendin siedział ciągle bez ruchu, oszołomiony, smutny, z wyrazem spokojnego szaleństwa w oczach. Zegar wybił godzinę jedenastą, a na ulicy Laos rozległ się pisk hamulców samochodowych.

Willburn postąpił krok naprzód i Garnet obdarzył go spojrzeniem pełnym wdzięczności. Pchnął oszklone drzwi.

### ROZDZIAŁ 3

Baronowa Groeck uniosła głowę znad książki. Jej oczy były jasnoblękitne, może nieco wyblakłe, wilgotne. Garnet nie lubił takich oczu.

Pan Duplessis nagłym ruchem zgasił papierosa w kryształowej popielniczce i wyprostował się, czujny, gotowy do starcia. Antoni Hayes uczynił nieokreślony ruch ręką, pani Perret uśmiechnęła się blado, a Bendin spojrział na Garneta osowiałym wzrokiem.

— Dzień dobry — powiedział Garnet — proszę nam wybaczyć najście.

— Jest pan mile widziany, komisarzu — odrzekła pani Perret.

— Nadinspektor Willburn z Londynu — oświadczył Garnet i lekko skłonił głowę w stronę Willburna, który stał w pełnym świetle i mrużył oczy. — Prosiłmy nadinspektora Willburna, aby uczestniczył wraz z nami w tej sprawie...

Willburn pomyślał, że francuskie maniere są co najmniej drażniące. Scotland Yard nie przedstawia swych funkcjonariuszy osobom podejrzanym w sposób tak wylewny. Zadowolona się skinieniem głowy.

— Jeśli można — rzekł Willburn — chciałbym z państwem porozmawiać o tym smutnym wydarzeniu. Byłbym bardzo rad, gdyby moja obecność tutaj przyczyniła się do wyjaśnienia sprawy. Czy zgodziliby się państwo raz jeszcze, oddzielnie, zreferować mi przebieg pamiętnego wieczoru?

Odpowiedzieli gestami i uśmiechami. Willburn uświadomił sobie, że uchwycił właściwy ton w rozmowie z tymi ludźmi, tak odmienny od tonu obowiązującego na Wyspach. Tam policjanci są może mniej wytworni w słowach, ale rzetelnie trzymają się przepisów. Tutaj komisarze kryminalni zachowują się jak wersalczyki, aby potem, w celi śledczej, pomagać sobie pięściami.

Wszyscy teraz stali, nawet Bendin podniósł się z krzesła ociężale. Willburn poprosił o pozostanie w salonie panią baronową Groeck, inne osoby cicho wyszły do swych pokojów.

Baronowa Groeck zamknęła *Czarodziejską górę* Manna i trzymała ją na kolanach. Na okładce książki leżały jej białe dłonie, nieco opuchnięte, ale przecież bardzo rasowe i wymowne. Baronowa Groeck patrzyła na Willburna z uwagą, skupiona, czujna, nakazując sobie spokój. Ten człowiek onieśmielił ją. Był stary, a baronowa najmocniej obawiała się właśnie starości. Zdawała sobie sprawę, że dzisiejsza rozmowa przyjdzie jej trudniej. Anglik w jasnym, rozpiętym płaszczu mógł się okazać stokroć groźniejszy od komisarza Garneta, który brak inteligencji nadrabiał gadulstwem.

Baronowa Groeck czuła uderzenia swego serca. Wystawiała je na ciężką próbę, ale miała nadzieję, że przejdzie przez wszystko zwycięsko. Willburn patrzył na panią Groeck, liczył jej zmarszczki pod oczami i zastanawiał się, jakich kremów używa dla wzmocnienia cery. Komisarz Garnet czuł się niepotrzebny i stanął przy oknie, paląc papierosa.

— Szanowna pani baronowo — rzekł Willburn — moje pierwsze pytanie może się wydać niestosowne. Ale zadam je. Jaka była pani opinia o Marii Van?

Pani Groeck lekko przymknęła oczy.

— Co sądzę o tej kobiecie? — rzekła przeciągle i uniosła prawą dłoń do skroni. — Cóż! Mało ją znałam. Była milutka w obejściu, ale słyszałam o niej nie zawsze najlepsze rzeczy...

Baronowa Groeck chciała być bardzo cierpliwa podczas tego przesłuchania. Obawiała się każdego wyrazu i uznała, że oszczędność słów przyniesie jej sukces.

Ale Willburn, który uważnie obserwował starą, otyłą damę, szybko pojął, do czego zmierza. Dlatego powiedział:

— Co pani ma na myśli?

— Jestem niemłoda — rzekła baronowa. — Jestem niemłoda — powtórzyła, choć to wyznanie nie przyszło jej łatwo. — Umieć być wyrozumiałą. Jednakże istnieją granice, których nie można i nie należy przekraczać. Maria Van w stosunkach z mężczyznami zachowywała się raczej frywolnie...

Pani Groeck pomyślała, że tyle wolno jej powiedzieć. Pod palcami prawej dłoni czuła wyraźnie uderzenia krwi w skroniach. Było to niepokojące.

Opuściła prawą rękę i położyła ją na twardej okładce *Czarodziejskiej góry*. Willburn rzekł:

— Rozumiem pani obiekcje. Mówić źle o osobie zmarłej nie należy do rzeczy przyjemnych. Jednakże poszukując prawdy...

— Drogi panie — przerwała baronowa Groeck żywo — nie stawiam żadnych zarzutów. Panna Van miała własny styl, odmienny od tego, który odpowiada moim wyobrażeniom o współczesnej kobiecie. Każdy jednak może mieć własny styl, bez względu na to, czy się to innym podoba, czy nie.

— Oczywiście — przytaknął Willburn i doszedł do wniosku, że pani Groeck czuje się spłoszona. Należało obrać inną drogę.

— Czy zechce pani opowiedzieć nam raz jeszcze, jak przebiegał ten pamiętny wieczór?

— Jeśli pan sobie życzy — odparła baronowa Groeck i podjęła monotonnym, nieco znużonym głosem:

Chciałam się wykąpać. Włożyłam płaszcz kąpielowy i poszłam do łazienki. Drzwi były uchylone. Kiedy weszłam, zobaczyłam, że panna Van zażywa kąpeli. Chciałam się

natychmiast wycofać, ale panna Van, nie czując skrępowania, poprosiła mnie o papierosa. Podałam jej więc paczkę papierosów...

Baronowa Groeck koniuszkami palców potarła okładkę *Czarodziejskiej góry*. Kontynuowała cichym, spokojnym głosem:

— Panna Van zapaliła papierosa, ale wypadł jej z ręki i zamoczył się. Położyłam więc całą paczkę na krawędzi wanny i wyszłam.

Baronowa Groeck spoglądała w oczy Willburna ze smutkiem. Powiedziała:

— Cóż! Właściwie bardzo żał mi tej kobiety. Była taka młoda. I ładniutka. Wróciłam do siebie. Chciałam się położyć. Bolała mnie trochę głowa. Kiedy już kładłam się do łóżka, usłyszałam krzyk pana Duplessis. Wybiegłam na korytarz. Potem byłam w łazience. To chyba wszystko, co mogę panu powiedzieć...

Willburn skinął głową. Wyjął swoje ulubione, cienkie playersy. Zapalili oboje. Baronowa rzekła:

— To doskonałe papierosy.

Willburn przytaknął i powiedział:

— Czy była pani w łazience tylko raz?

Baronowa zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. O ile dobrze pamiętam, dwa razy. Za pierwszym razem zobaczyłam zapalone światło i szum napuszczanej do wanny wody. Zorientowałam się, że łazienka jest zajęta, więc wróciłam do siebie. Za drugim razem, mimo że paliło się światło, zajrzałam i zastałam Marię Van.

— Czy pani nie schodziła w tym czasie na dół? — zapytał Willburn.

— Na dół? — powtórzyła baronowa i urwała.

Pamięta dobrze, że nie schodziła wcale na dół. Skąd temu Anglikowi przyszło to do głowy...

— Nie — powiedziała stanowczym głosem. — Nie schodziłam wieczorem na dół.

— Na dole — podjął Willburn — mieści się pokój jadalny, ten salon, mieszkanie pani Perret i pokój kredensowy. Czy się nie mylę?

— Nie — odrzekł Garnet spod okna. — To jest cały parter.

— I pani nie schodziła na dół, czy tak? — rzekł Willburn.

Baronowa znowu uniosła dłoń do skroni. Pamięta przecież dobrze każdy szczegół, każdą sekundę tego wieczora. Na pewno nie schodziła na dół. O co chodzi temu Anglikowi?

— Nie schodziłam — powtórzyła z uporem i odrobiną niezadowolenia.

Willburn poczuł w jej słowach szczerłość. To go zaskoczyło, bo nie wierzył żadnemu słowu



baronowej Groeck. Widział drzenie jej palców na książce i falujące piersi pod czarnym jedwabiem sukni. Miał niemal fizyczną ochotę dotknąć jej serca, które łomotało pod fałdami tłuszczu. Baronowa Groeck kłamała i Willburn zdawał sobie z tego sprawę. Teraz jednak mówiła prawdę. Nie schodziła na dół. Antoni Hayes będzie musiał wyjaśnić swoją pomyłkę i umotywić jej przyczyny.

Willburn patrzył na baronową bez przerwy. Wyczuwał jej podniecenie. Szukał gorączkowo pytania, które potłukłoby na skorupy resztki jej opanowania. Uznał, że chwila jest decydująca. I właśnie w takiej chwili nie potrafił sformułować celnego pytania. Łazienka? Korytarz? Może ręce? Może światło? Może jakieś nazwisko?

Nie znał celu, do którego zmierzał. Musiał uderzać na oślep, obawiał się, że spudłuje, ale przecież nie można było zaprzepaścić takiej szansy.

Rzekł powoli:

— Czy pani widziała kiedykolwiek przedtem nóż, którym zamordowano Marię Van?

Baronowa Groeck odparła natychmiast:

— Tak. To jest nóż do żyłowania mięsa. Pochodzi stąd. Zwykle leżał w skrzynce na sztućce w pokoju kredensowym.

Nagle urwała. Serce podbiegło jej do gardła. Pokój kredensowy. Parter. Nóż. Czy schodziła na dół? Czy zna nóż? Czy przynosiła nóż z pokoju kredensowego na górę, do łazienki? A więc tędy zmierza stary Anglik! Czego się domyśla? Boże, Boże, zlituj się nad duszą baronowej Groeck...

Willburn widział jej przerażenie, ale nie umiał sobie wyjaśnić przyczyn. Zmierzał dalej, bez jasnego celu, podniecony ryzykiem, niepewny, czy podjął właściwy trop. Rzekł:

— Byłbym pani bardzo zobowiązany za odpowiedź na następujące pytanie: kogo pani podejrzewa o to morderstwo? Zbrodniarz jest tutaj, w tym pensjonacie. W grę wchodzi garstka osób...

Baronowa Groeck zmarszczyła brwi. Poczula się pewniej. Wszystko, tylko nie ten nóż. Podjęła tonem spokojniejszym, ale jej głos nadal drżał.

— Panie inspektorze, cała sprawa wydaje mi się koszmarnym snem. Nie wierzę, aby ktokolwiek z mieszkańców naszego pensjonatu posunął się do takiego czynu. Mieszkamy tutaj od lat. Żyjemy jak rodzina. Panna Van była członkiem tej rodziny. Jeżeli pan podejrzewa kogokolwiek z nas, jest pan w błędzie.

Willburn uśmiechnął się. Uznał, że baronowa Groeck jest dobrze wychowana, a ludzi dobrze wychowanych, nawet jeżeli okażą się mordercami, można darzyć odrobiną sympatii.

— Na tym nieszczęsnym nożu — powiedział wolno — pozostały... wprawdzie

niewyraźne i niecałkowite... ślady palców Filipa Bendina.

— To dziwne — powiedziała baronowa Groeck. — To bardzo dziwne.

Znowu usłyszała monotony szum w uszach. Przerazał ją. Za wszelką cenę chciała się od tego wyswobodzić. Willburn mówił:

— Wczoraj komisarz Garnet z ciężkim sercem zdjął odciski palców wszystkich państwa. Pani była również poddana tej smutnej konieczności. Ekspertyza wykazała ponad wszelką wątpliwość, że na rękojeści noża pozostały ślady palców prawej ręki Filipa Bendina. Jak powinienem sobie to tłumaczyć, pani baronowo?

Baronowa Groeck zmusiła się do uśmiechu.

— Pan powiedział, że pozostały ślady palców pana Filipa Bendina, czy tak? Ta sprawa nie wydaje mi się tajemnicza, proszę pana. Filip Bendin na moich oczach ujął rękojeść noża, kiedy zobaczył zwłoki panny Van w łazience.

Willburn nakazał sobie skupienie. To było coś nowego, czego nie przewidział.

— Czy ten gest pana Bendina — rzekł — widziały inne osoby?

— Oczywiście — odparła swobodnie baronowa. — Wszyscy byliśmy przy tym. Pan Bendin był wstrząśnięty śmiercią Marii Van. Myślę, że słyszał pan cokolwiek o stosunku, jaki łączył tych dwoje. Stan pana Bendina był wyjątkowy. Nie panował nad sobą. Zbliżył się do zwłok i chciał wyrwać nóż z piersi. Było to dziecinne, ale cóż!

— Oczywiście, oczywiście — przerwał Willburn i poczuł się raźniej. To bardzo wiele wyjaśnia.

Ten piękny chłopiec podbił Willburna swoim wyglądem. Ucieszyła go wiadomość, że Bendin postąpił po prostu nierozważnie.

Baronowa Groeck uśmiechała się. Mogła oddychać nieco łatwiej, serce uspokoiło się wreszcie. Czuła silny ból głowy, szum w uszach przemijał powoli.

Willburn wstał, więc baronowa wstała również. Miała za sobą trudną bitwę. Kiedy wychodziła z salonu, czuła, że jest zbawiona.

Garnet patrzył na Willburna przymrużonymi oczyma. Willburn powiedział:

— Ta pani kłamie.

— Myślę, że kłamie — podjął Garnet. — Ale w jakim celu? Czy pan ją podejrzewa o morderstwo?

— Podejrzewam ją o wielkie kłamstwo — odparł Willburn. — Zobaczymy, co będzie dalej. Cała ta opowieść o konwencjonalnej rozmowie w łazience wydaje mi się nieprawdziwa.

— Ale zupełnie prawdopodobna — przerwał Garnet.

— Oczywiście. Wszystko jest prawdopodobne. Jednakże pani Groeck ukrywa przed nami

prawdziwy cel swojej wizyty w łazience. Czy zwrócił pan uwagę na jej dłonie podczas tego przesłuchania? Były jak liście na wietrze.

— Tak — zgodził się Garnet. — Baronowa Groeck była bardzo podniecona. Ale czy można się jej dziwić?

— Myślę, że można. Nie rozumiem, do czego zmierza, ale na pewno jej droga nie jest prosta. Baronowa Groeck spleta nam figła. Należy temu przeszkodzić.

## ROZDZIAŁ 4

Pan Duplessis postanowił stać. W ten sposób łatwiej kontrolował wszystkie swoje mięśnie, które w pozycji siedzącej, rozluźnione, wiotkie — mogły go zdradzić.

— Lubię stać — rzekł z uśmiechem do Willburna i oparł prawą rękę na ozdobnej konsolce. Spojrzał na swoje palce, chude, kościste, owłosione, i ocenił, że wszystko jest w porządku. — Mam niewiele do powiedzenia — oświadczył rzeczowo. — Los chciał, że to ja właśnie odkryłem tę straszną zbrodnię. Jednakże natychmiast zaalarmowałem wszystkich obecnych i na tym moja rola się kończy...

— To jest oczywiste — powiedział Willburn. — Może jednak poda mi pan nieco szczegółów. A więc wrócił pan do pensjonatu o godzinie...

— Niepodobna wszystkiego pamiętać — rzekł Duplessis, zachowując spokój — ale można to odtworzyć. Postaram się...

Wiedział, że te banalne szczegóły zrobią na policjancie dobre wrażenie. Policjanci są skrupulatni, trzeba im dać dużo materiału do przeżuwania.

— Tak więc wyszedłem z konferencji w Lycee Buffon o godzinie dwudziestej. Był ciepły wieczór, więc postanowiłem się przejść. Mam mało ruchu. Nie lubię jednak dzielnic centralnych. Pojechałem metrem do Latour-Maubourg i stamtąd już poszedłem pieszo.

— Tak — wtrącił Willburn. Zastanawiało go, czy ten stary człowiek gra na zwłokę, czy też jest pedantyczny z natury. Nie chciał jednak przerywać, przyspieszać. Czekał.

Pan Duplessis kontynuował swobodnie:

— Ulicą Motte Picquet szedłem powoli, oglądając wystawy. Potem skręciłem w stronę alei Levendall, ale zrezygnowałem z tego kierunku, bo zrobiło się chłodniej. Ileż to mogło trwać? Trzy kwadransy, może godzinę...

Właśnie o kwadrans różnicy chodzi — pomyślał Willburn. — O inny kwadrans, ale tylko o kwadrans...

— Słucham uważnie — powiedział do pana Duplessis.

— Tak więc około dziewiątej wieczorem wszedłem do pensjonatu. Pozdrowiłem panią Perret, którą zauważyłem przez oszklone drzwi w jej mieszkaniu, i wszedłem na górę...

Urwał. Zamilkł.

Słońce padało na twarz Willburna. Uchylił głowę i rzekł:

— A więc szedł pan po schodach na górę...

— Tak jest — podjął Duplessis. — Mój pokój znajduje się na końcu korytarza. Żeby do

niego wejść, trzeba minąć wszystkie pokoje i łazienkę, która jest położona pośrodku. Idąc korytarzem zobaczyłem w łazience światło...

Znowu przerwał.

Willburn powiedział:

— Zobaczył pan światło i chciał je zgasić, czy tak?

Pan Duplessis drgnął lekko, jego ręka silniej oparła się na konsoli.

— Oczywiście — rzekł.

Willburn kiwnął głową. Wahadło dużego zegara poruszało się monotonicznie.

Willburn nie mógł znieść promieni słońca, więc wstał, aby ukryć się w cieniu.

— A więc otworzył pan drzwi łazienki? — zapytał.

— Tak — powiedział Duplessis bardzo cicho i niepewnie. — Było tam oślepiająco jasno, a w wannie, w wodzie, zanurzona głęboko leżała panna Maria. Miała nóż wbity w serce. To straszne.

— Pan krzyknął? — zapytał Willburn.

— Krzyknąłem, oczywiście — odparł Duplessis.

Willburn patrzył na niego uważnie. W jego głębokich oczach igrał płomycek szyderstwa.

Powiedział powoli, niemal zjadliwie:

— Podniósł pan alarm, panie profesorze. To dobrze. Ale jak się to stało, że w pana kieszeni znalazły się papierosy pozostawione w łazience przez baronową Groeck? Nie umiał pan odpowiedzieć na to pytanie... Proszę się skupić!

Duplessis zdobył się na uśmiech. Odparł, starając się nadać intonacji głosu bagatelne brzmienie:

— Proszę pana. W takiej chwili nie wiedziałem, co robię. To jest usprawiedliwione. Zapewne machinalnie wsadziłem paczkę do kieszeni. Nie zdawałem sobie z tego sprawy...

Znowu przerwał, a po chwili podjął pewniej:

— Nie kryłem się przecież z tym wobec pana komisarza Garneta. Kiedy przybył o północy, tutaj, w tym salonie wyjąłem paczkę z kieszeni, zapominając zupełnie, skąd papierosy pochodzą. Gdybym zdawał sobie sprawę z podejrzeń, miałem wiele czasu, aby się ich pozbyć...

— Oczywiście — odparł Willburn. — Nikt nie mówi o podejrzaniach, panie profesorze.

Spoglądał na Duplessisa z przekorą. Dodał:

— Musiał pan mieć bardzo zdziwioną minę, kiedy baronowa Groeck spytała, jakim cudem ma pan jej papierosy pozostawione w łazience...

— Ach, tak. Oczywiście — powiedział Duplessis i roześmiał się.

Willburn palił playera i uśmiechał się ciepło.

— Panie profesorze — rzekł. — Starożytni Rzymianie słynęli ze ścisłości. Ich obliczenia były nieomyłne zarówno w architekturze, jak i rzeźbie.

— O, tak — przyznał Duplessis, choć nie umiał pojąć, do czego zmierza ten oryginalny wstęp.

— Słyszałem kiedyś — kontynuował Willburn — że Swetoniusz wyraził się, iż nic tak nie wyróżnia Rzymian, jak zamiłowanie do ścisłości.

— To nie Swetoniusz, jeśli pan pozwoli. To Pliniusz Młodszy.

— Pół wieku minęło od czasu, kiedy studiowałem Pliniusza, panie profesorze — rzekł wesoło Willburn. — Pamięć ludzka jest zawodna. Tak więc Rzymianie bardzo cenili ścisłość. Zarówno w języku, jak i w obliczeniach matematycznych. Myślę, że umieli również biegle mierzyć czas.

— O, tak — powiedział Duplessis i potarł dłonią podbródek. Już wiedział, do czego zmierza Willburn. Był na to przygotowany. — Pan zmierza do dziwnej niejasności w moich zeznaniach, panie inspektorze — rzekł. — To rzeczywiście zastanawiające. Wszedłem do pensjonatu kilka minut po dziewiątej, a o dziewiątej trzydzieści zaalarmowałem wszystkich o wykryciu zbrodni. Zdaję sobie sprawę z wagi podejrzenia, jakie na mnie ciąży. Ale naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić... Czy ja wiem? Stałem jak zahipnotyzowany. Willburn kiwał głową.

— Pan czyta w moich myślach, panie profesorze. Szkoda, że ja nie umiem czytać w pańskich.

Roześmiał się beztrósco.

— Powiem szczerze, że to mnie zastanawia i niepokoi. Oczywiście, mógł pan przeżyć silny wstrząs. To zrozumiałe. Ale taki szok nie trwa przecież blisko pół godziny.

Pan Duplessis rozłożył ręce. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozterki i zażenowania.

— Proszę pana. Niechże pan mnie zrozumie. Mówię całą prawdę... Czuję, że jestem nie w porządku wobec panów. Ale nie znajduję na to rady. Byłem tak wstrząśnięty. Najlepszy dowód z tymi papierosami, czy nie mam racji?

Willburn skupił się.

Ten człowiek za często wraca do papierosów — przemknęło mu przez głowę. — Te papierosy go dręczą. Są jego bronią, której nadużywa. Kłamie.

— Panie profesorze — powiedział chłodniej, z naciskiem. — Jesteśmy ludźmi cierpliwymi. I pan, i ja. Pan czyta Cezara. Do tego trzeba nie lada cierpliwości. Ja wybrałem sobie cierpliwość jako zawód mego życia. Możemy jeszcze długo rozmawiać na temat

wstrząsów psychicznych. Ale myślę, że problem lunatyizmu można uznać za wyczerpany.

Duplessis chciał coś powiedzieć, ale Willburn kontynuował oschle:

— Antoni Hayes spotkał pana na korytarzu kilka minut przed pół do dziesiątej. Powiedzmy o dziewiątej dwadzieścia. Działo się to przed odkryciem przez pana zwłok Marii Van!

Duplessis chciał zaprzeczyć, ale ugryzł się w język. Milczał długo, zbyt długo...

— Proszę pana — rzekł nagle, pełen determinacji. — Nie powiem panu nic więcej. Są sprawy, o których uczciwy mężczyzna nie mówi.

Willburn myślał szybko, ale logicznie. Przyjmijmy, że Duplessis mówi teraz prawdę. A więc kobieta. Jedna z trzech kobiet, zamieszkałych w pensjonacie. Maria Van? Oczywiście, że Maria Van! Był sam na sam z nagą Marią Van w łazience. Trwało to dziesięć minut. Potem poszedł do siebie. Minął Antoniego Hayesa. Wrócił do łazienki, zabił Marię Van i podniósł alarm. Po co wrócił? Dlaczego nie zabił jej przedtem? A może zabił ją przedtem i kiedy spotkał Antoniego Hayesa, było już po wszystkim?

Willburn odczuwał, że jest gdzieś blisko prawdy, ale nie wiedział, w jakim kierunku zmierzać. Dlaczego współczesna medycyna powiada: „Zgon nastąpił między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą pierwszą trzydziści”. W ciągu trzydziestu minut można umrzeć tysiąc razy.

— Kogo pan osłania? — powiedział ostro Willburn i stwierdził, że Duplessis drgnął. Duplessis drgnął i chciał usiąść. Krąg zaczynał się zacieśniać...

Willburn patrzył na niego i zginał w palcach papierosa. Przemknęła mu myśl, że nie osłania się umarłych kobiet o reputacji bądź co bądź wątpliwej. A więc kto wchodzi w grę? Pani Perret i baronowa. Papierosy baronowej. Baronowa czytuje *Czarodziejską górę*. Dama o intelektualnych ambicjach.

— Baronowa Groeck... — rzekł inspektor i urwał natychmiast. Duplessis zbladł i oparł się o konsolę, tak jakby miał upaść. — Dziękuję panu — powiedział Willburn. — Dziękuję na dzisiaj.

Duplessis skłonił nisko głowę i wyszedł z salonu.

Willburn uśmiechnął się do Garneta i powiedział:

— Ten sympatyczny starszy pan ma swoje miłosne sekrety. Jest to najlepsze alibi dla niego i dla baronowej Groeck.

Garnet roześmiał się głośno i zatarł ręce.

— Nasza słodka Francja — rzekł z odrobiną dumy. — Nawet taki Duplessis, co?

Willburn także się roześmiał, ale nagle sposepniał. Tknęła go przykra myśl. Powiedział

w zadumie:

— Jesteśmy na początku drogi. Niczego nie można przewidzieć...



## ROZDZIAŁ 5

Filip Bendin siedział w słońcu. Willburn pomyślał, że ten chłopiec ma w sobie coś autentycznie południowego, jest śródziemnomorski, renesansowy, gorący. Jego ciemna cera, smagłość rąk, kolor włosów — wszystko sprawiało wrażenie, że zostało ulepione ze słońca, oliwek i wody morskiej.

— Ile pan ma lat? — zapytał Willburn.

— Dziewiętnaście — odparł Filip Bendin. Jego głos był miękki i miły.

Siedzieli naprzeciw siebie tuż przy oknie, a Garnet spacerował wzdłuż oszklonych drzwi wiodących na korytarz. W salonie było ciepło, minęło południe i na ulicy Laos zapadła cisza. Filip Bendin siedział w sztucznej pozie, niewygodnej, ale nie odczuwał tego. Miał ciało wyprostowane, głowę wysoko uniesioną, oczy przymknięte. Raził go blask słońca, głowę ścisnęła mu obręcz przejmującego bólu, męczyło pragnienie. Był wyczerpany i obojętny, chciał spać, długo spać i zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło. Przez ostatnie dni przeniósł na swych ramionach ciężar ponad siły.

— Niech pan się przełamie, panie Bendin — mówił Willburn — i opowie mi dokładnie wszystko, co zdarzyło się tego wieczoru...

Bendin pomyślał, że ten człowiek wymaga od niego rzeczy niemożliwych. Tego nie można przecież opowiedzieć.

— Przyszedłem do Marii wieczorem. Była zapewne dziewiąta.

— Dziewiąta — powtórzył Willburn ciepło.

— Tak — powiedział Filip Bendin. — Maria przygotowała sobie kąpiel i wyszła do łazienki. Usiadłem w fotelu i czekałem na nią. Mieliśmy razem pójść do Johna na *rue Bonaparte*.

— A więc przebywał pan przez cały czas w pokoju Marii Van?

— Tak — odparł Filip zmęczonym głosem. — Czekałem na jej powrót.

Filip miał zamknięte oczy, powieki lekko zaczerwienione. Willburn patrzył na niego długo jak malarz na model. Zauważył sinawy cień na czole Filipa i pomyślał, że ten chłopiec wiele już przeżył. Uszy Filipa Bendina były czerwone, nabiegła do nich krew. Były duże i nieładne. Willburn odkrył to ze zdumieniem i aprobatą. A więc jednak było coś w tym chłopcu, co nie wzbudzało zachwyty. To dobrze.

Komisarz Garnet stanął nad nimi. Miał zatroskaną twarz. Obawiał się, że sprawa zbyt wolno posuwa się naprzód.

Mieli, jako policjanci, pełne ręce mialkiego piasku. Nic ponadto.

Willburn rzekł cicho i ciepło.

— Czy pan kochał Marię Van, panie Bendin?

Filip otworzył powoli oczy i spojrzał na Anglika. Wyszeptał:

— Tak, proszę pana. Kochałem ją.

— Przykro mi, panie Bendin — powiedział Willburn. A po chwili dodał: — Właściwie może pan już odejść...

Filip wstał ociężale, skłonił lekko głowę, odwrócił się i odszedł w stronę drzwi.

Kiedy to się wreszcie skończy — pomyślał jeszcze. Wtedy usłyszał głos Willburna:

— Momencik, panie Bendin! Na rękojeści noża pozostały ślady pana palców. Jak pan to tłumaczy?

Filip poczuł, że nogi uginają się pod nim. Ten Anglik kłamie. To przecież niemożliwe!

Przecież palcem nie tknął tego noża, na Boga!

Odwrócił się, blady i drżący. Wyszeptał:

— To niemożliwe.

Willburn stał przed nim w pełnym blasku słońca. Jego stara twarz wyrażała głębokie zdumienie. Komisarz Garnet stwierdził, że niepodobna ocenić, który z tamtych dwóch jest bardziej zaskoczony: Willburn czy Bendin!

Filip Bendin powtórzył resztkami sił:

— Proszę pana. To chyba pomyłka.

Willburn nagle opanował się, wzruszył ramionami i powiedział:

— Czy ja wiem? Może pomyłka... Dziękuję panu!

Filip Bendin wyszedł z salonu, z trudem utrzymując równowagę. Czuł, jak strumyk potu ścieka mu po plecach. Zaczął się cichutko modlić, ale słowa gubiły się i plątały beznadziejnie.

Nadinspektor Willburn patrzył za odchodzącym i kiwał głową. Kiedy drzwi zamknęły się, rzekł do komisarza Garneta:

— To był jeden z najciekawszych momentów w moim długim życiu. Rzadko zdarzało mi się myśleć tak intensywnie i tak bezskutecznie. Rozumiem coraz mniej z tej kabały, panie komisarzu...

## ROZDZIAŁ 6

Kiedy Antoni Hayes wszedł do salonu, zegar uderzył dwa razy. Słońce stało się bardziej miłosierne, jego potok spływał gdzieś między konsolą a wysokim fotelem w stylu Ludwika XIII. Willburn mógł swobodnie rozsiąść się na kanapie, gdzie panował cień i promienie słoneczne nie raziły obolałych oczu.

Hayes uśmiechał się. Miał wielką, łysą, starannie wypolerowaną czaszkę. Jego szerokie, brunatne dłonie, jak łopaty wyciągnięte z ziemi, ułożył spokojnie na brzuchu. Hayes uśmiechał się. Uznał, że tak będzie dla niego najlepiej. Ale nie przewidział, że Willburn jest teraz zmęczony i trochę podrażniony. Willburn powiedział szorstko:

— Dlaczego pan się uśmiecha? Coś wesołego?

Hayes zmieszał się i wzruszył ramionami.

— Ależ, proszę pana — rzekł i odchrząknął, gdyż męczyła go chrypka — po prostu uśmiecham się konwencjonalnie.

— To nie jest konieczne, panie Hayes — odparł Willburn. — W tym domu popełniono morderstwo.

— Wiem o tym — mruknął Hayes. — Jest mi przykro. Postaram się panu pomóc.

— Zgoda — rzekł Willburn pojednawczo. — Mam nadzieję, że dojdziemy prawdy...

Czuł, że z tym człowiekiem powinien być twardszy i bardziej urzędowy. Kurtuazyjny ton zmęczył go. Dobrze, że Hayes jest inny niż pozostali. Silniejszy i bardziej surowy. Tak go potraktujemy...

— Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co pan robił wieczorem w dniu morderstwa?

Hayes poprawił się na krześle.

— Prawdę mówiąc, robiłem niewiele. Przyszedłem do domu po dziewiątej.

— Gdzie pan był?

— Gdzie byłem? — Hayes znowu się poprawił. — Czy to ma znaczenie, proszę pana?

— To ma znaczenie. Dlatego pytam!

— A więc dobrze. Byłem u Nicodemiego w alei Wagram. Można sprawdzić. Wszyscy kelnerzy mnie tam znają.

Willburn głaskał się po policzku.

— Przyszedł pan więc do pensjonatu po dziewiątej...

— Tak jest. Natychmiast udałem się na górę do swego pokoju.

Willburn przypatrywał mu się z chłodną niechęcią. Powiedział:

— Czy pan widział kogokolwiek na korytarzu pierwszego piętra, panie Hayes?

— Tak — odrzekł Hayes natychmiast. — Widziałem baronową Groeck. Była bardzo podniecona.

— Doprawdy? — mruknął Willburn.

— Takie robiła wrażenie, proszę pana — powiedział Hayes. — Co prawda minąłem ją w przejściu, ale jestem dosyć spostrzegawczy. Pani baronowa była zdenerwowana.

— To się zdarzyło wówczas, gdy pan szedł do siebie, czy tak?

— Tak jest, tak jest — skwapliwie potwierdził Hayes.

Willburn miał przymrużone oczy jak syty kot. Powiedział:

— Czy pan zrozumiał, co wołał Duplessis na korytarzu, panie Hayes?

— Nie! Ale przeczułem, że stało się coś niedobrego. Pan Duplessis krzychał przejmująco...

— Oczywiście — przytaknął Willburn. — I wtedy wybiegł pan od siebie.

— Tak jest. Wtedy wyszedłem na korytarz...

— W płaszczu kąpielowym, prawda?

Hayes zmieszał się. Wiedział dobrze, że ta historia z płaszczem nie wyszła, jak trzeba.

— Nie, nie — bąknął. — Chyba już w ubraniu...

— Pan nie jest pewny? Nie pamięta pan?

— Niezbyt dokładnie. Ale raczej w garniturze.

Willburn wstał z kanapy i przeszedł się po salonie.

— Panie Hayes! Niechże się pan zdecyduje. Jeżeli pan wyszedł w garniturze, to znaczy, że pan się nie mył. A jeżeli pan się mył, to znaczy, że nie był pan w garniturze...

Hayes roześmiał się słabo i rzekł:

— Te rzeczy można ostatecznie łączyć, panie inspektorze.

— Bez wątplenia, panie Hayes. Ale pan przecież był poprzednio w płaszczu kąpielowym, czyż nie?

— Tak jest. Byłem w płaszczu, umyłem się i przebrałem!

— Pan się bardzo szybko myje i przebiera, panie Hayes. Nie jest pan zwolennikiem czystości ciała. Czy to samo dotyczy pańskiej duszy?

Brzmiało to wyzywająco i nieprzyjemnie. Hayes spojrział na Anglika i poczuł, że ogarnia go lęk. Powinien właściwie reagować ostro, odciąć się, zażądać satysfakcji. „Antoni! Lepiej siedzieć cicho!” I siedział cicho.

Willburn stał teraz nad nim i patrzył mu w oczy. Powiedział:

— No, dobrze! Co pan zobaczył w łazience, panie Hayes?

Co zobaczył w łazience? Dobre sobie. Na progu zderzył się z Duplessisem, który odbił się od jego potężnej piersi jak gumowa piłeczka. Potem zajrzał do środka. Oczywiście natychmiast dostrzegł nóż i ciarki przebiegły mu po plecach. Potem zauważył włosy Marii Van, mokre, przylepione do skroni i czoła. Na wargach zamordowanej osiadła piana mydlana. Był to straszny widok. Hayes szepnął „Boże, Boże...” i stał bezsilny. Był zupełnie wykończony nerwowo. Wówczas weszła baronowa. Odwrócił się i wybiegł na korytarz, do pokoju Marii Van. Sam nie wiedział, dlaczego właśnie tam.

— Dlaczego właśnie tam? — padło pytanie Willburna.

— Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Chciałem coś przedsięwziąć...

— Na przedsięwzięcia było raczej za późno — cierpko zauważył Willburn.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem pana Bendina.

Siedział w fotelu. „Panna Van zamordowana!”, zawołałem. Filip Bendin zrobił się purpurowy, a potem nagle blady. Wstał sztywno z fotela i rzekł głucho: „Pan bredzi!”.

Potem zbiegłem na dół i zatelefonowałem po policję. Wreszcie wróciłem na górę i znowu znalazłem się w łazience, gdzie wszyscy byli zebrani. Filip Bendin klęczał na mokrej posadzce i całował włosy umarłej. Po jego policzkach ciekły wielkie łzy.

Willburn patrzył na Antoniego Hayesa. Jakże chciałby znać jego myśli... Rzekł:

— Właściwie zachował się pan dzielnie. Dzięki panu zapanował tutaj względny spokój po tym smutnym wydarzeniu. Szkoda, że pan się myje w wizytowych garniturach, panie Hayes.

Antoni znowu zmusił się do uśmiechu i odparł:

— Mam nadzieję, że za to nie wsadzają do więzienia.

— Za to nie! — powiedział Willburn. — Za co innego tak, ale za to nie!

Hayes zbladł i wiedział o tym. Nie umiał panować nad twarzą. Nienawidził teraz swojej szerokiej, wielkiej gęby, która go zdradzała.

— Nie jest pan wyjątkiem, Hayes — rzekł Willburn. — Wy wszyscy mówicie nieprawdę. Panu jednemu szczerze wyznaję, że to odkryłem. Pan łże bez przerwy!

— Ależ... — wyjąkał Hayes.

— Teraz ja mówię! — krzyknął Willburn. — Powtarzam: pan łże! Radzę się panu zastanowić, czy to jest rzeczywiście słuszna droga. Ma pan cały dzień do namysłu. To wszystko, panie Hayes! Na razie!

Odwrócił się na pięcie i czekał przez sekundę na protest tamtego. Powinien zaprotestować. Zażądać wyjaśnień. Grozić konsekwencjami. Milczał. Wstał cicho i zapytał drżącym głosem:

— Czy mam teraz odejść?

— Tak — powiedział Willburn i jego serce zalała ciepła fala nadziei. Nareszcie uchwycił

niteczkę.

## ROZDZIAŁ 7

Godzina piętnasta. Na ulicy Laos niewielki ruch. Z dudnieniem przejeżdża duży samochód meblowy. Słońce chowa się za wielką kamienicę naprzeciw i tylko jednolita jasność przesiana przez kurz uliczny dociera teraz do salonu.

Willburn spaceruje po miękkim dywanie, komisarz Garnet towarzyszy mu spojrzeniem. Willburn mówi:

— Szanowna pani. Wiem dobrze, jak smutny jest dla pani ten wypadek. Chciałbym jak najspieszniej skończyć wszystko i ofiarować pani upragniony spokój. Mam nadzieję, że pani nam pomoże...

*Madame* Perret kiwa głową. Szczupłe dłonie splótła na kolanach, jest skulona, wygięta w dziecinnej pozie. Z jej ust wydobywa się ciche westchnienie. Mówi łagodnym, spokojnym głosem.

— Maria była dzielną dziewczyną. Nie zasługiwała na to, co ją spotkało.

— Nikt na to nie zasługuje — odpowiada Willburn. — Kim była Maria Van?

Pani Perret zastanawia się przez chwilę. Odczuwa teraz głęboki smutek na myśl, że już nigdy nie zobaczy żywych oczu Marii. Kim była Maria? Ach, jak na to odpowiedzieć? Była dzielna, była na swój sposób uczciwa.

— Ludzie nie są sprawiedliwi — mówi pani Perret. — Ferują wyroki na podstawie drobnych obserwacji. Wszystko, co nie odpowiada im osobiście, uważają za niedobre i nieuczciwe.

— No, tak, zapewne — dodaje Willburn.

— Maria prowadziła szczególny tryb życia — ciągnie pani Perret. — Nikt nie ma prawa za to jej potępiać. To była jej sprawa. Lubiła towarzystwo mężczyzn i nie ukrywała tego. Ileż kobiet postępuje podobnie, zachowując pozory nieskazitelności...

Willburn spogląda na panią Perret i zauważa, że jest bardzo ładna. Ile ma lat? Czterdzieści, pięćdziesiąt? Kim jest pani Perret?

— Maria była ofiarą odwiecznych kłamstw tego świata — kontynuuje pani Perret. — Uważano, że postępuje niemoralnie, tak jak gdyby zachowywanie pozorów było całą moralnością.

— Bardzo przepraszam — przerywa Willburn. — Kto tak uważał?

— Wszyscy — odpowiada pani Perret z mocą.

Widzi teraz twarze swoich lokatorów. Zimne oczy baronowej Groeck, której się wydaje, że

jest bez skazy. Niechętne spojrzenia pana Duplessis, tego kata młodości. Małe, przebiegłe oczka Antoniego Hayesa. Naiwne oczy Filipa, który czuje się szczęśliwy, będąc oszukiwanym.

— Wszyscy — powtarza pani Perret. Jej twarz jest teraz surowa. Straciła poprzedni łagodny wyraz.

Willburn zastanawia się, co mogło łączyć panią Perret z Marią Van. Wspólny interes? Stanowczo nie! Pani Perret jest ogólnie szanowaną właścicielką pensjonatu, jej dochody są kontrolowane przez władze podatkowe, jej tryb życia nie wzbudza najmniejszych zastrzeżeń. Co mogło łączyć panią Perret z Marią Van?

— Maria była dzielna i na swój sposób uczciwa. W naszym kraju, proszę pana, jej tryb życia był tradycyjnie usprawiedliwiony. To nie jest Anglia. U nas kobiety istnieją po to, aby rozdawać miłość...

Willburn patrzy uważnie na panią Perret. Na jej policzkach dostrzega rumieniec. Przez moment Willburn jest przekonany, że nie nadaje się do prowadzenia tej sprawy. To francuska zagadka, francuski absurd romantyczny. Ci ludzie mówią językiem, który po drugiej stronie Kanału uchodzi za nieartykułowany bełkot. Dlaczego pani Perret broni pamięci Marii Van?

Willburn wyjmuje papierosa, zapala go starannie i powiada:

— Kim jest baronowa Groeck, proszę pani?

Pani Perret uśmiecha się lekko. Dochodzi do wniosku, że czas najwyższy grać w otwarte karty. Pani Perret odnajduje w tej myśli źródło ogromnego zadowolenia i satysfakcji. Poprawiając się na kanapce, mówi płynnie:

— Pani baronowa jest moją starą znajomą. Pamiętam czasy jej wielkiej urody i powodzenia. Była wtedy szczupła i pełna życia. Miała cięty język i wspaniałe, głębokie oczy... Adoratorzy nie odstępowali jej na krok. Nigdy jednak nie pozwalała im na przekroczenie granicy. Była zawsze...

Pani Perret przerywa na moment i kontynuuje:

— Mówiła mi zawsze, że nie znosi natarczywości mężczyzn. Trzyma ich krótko.

Pani Perret roześmiała się łagodnie. Willburn słyszy w tym śmiechu coś fałszywego, jakiś ostry dźwięk.

— Potem baronowa przeżyła straszny dramat — mówi pani Perret. — Baron Groeck okazał się człowiekiem zbyt twardym i nastąpiło rozstanie. Wtedy zniknęła mi z oczu na kilka lat, aby wreszcie pojawić się tutaj i zamieszkać na stałe pod moim dachem. Szanuję ją. Dużo przeżyła.

Willburn uśmiecha się teraz delikatnie. Zwroty pani Perret są zastanawiające. Pani Perret



buduje zdania tak, aby pozostawić wiele domysłów. To jest ujmująca i bardzo inteligentna osoba. A więc baronowa Groeck trzyma krótko swych wielbicieli, lecz baron Groeck mimo to okazuje się zbyt twardy i następuje rozstanie.

Willburn spogląda na panią Perret z podziwem. Nagle zadaje pytanie:

— Myślę, że baronowa nie lubiła Marii Van, czy tak?

— Były bardzo różne, proszę pana — odpowiada pani Perret. — Maria drażniła baronową. Tak sędzę. Obserwując wydarzenia ostatnich dni, doszłam do przekonania, że między baronową a Marią był jakiś konflikt. Toczyła się między nimi walka...

— Ach tak — powiada przeciągle Willburn. Pani Perret jest groźniejsza, niż przypuszczał. Nie cofa się przed niczym. Jej głód sprawiedliwości wydaje się okrutny.

— Mam na myśli oczywiście konflikt towarzyski — żywo dodaje pani Perret. — Baronowa jest osobą dość surowych obyczajów. Przypuszczam, że potępiła Marię. Maria oczywiście nie brała sobie tego do serca.

— Tak, tak — dodaje pojednawczo Willburn. — Rozumiem panią doskonale. Może teraz zechciałaby pani scharakteryzować nam pana profesora Duplessis.

— Chętnie — odpowiada pani Perret. Teraz będzie zupełnie szczerą. W odniesieniu do wszystkich mężczyzn może sobie pozwolić na szczerą. — Profesor jest miłym starszym panem. Trochę niezyciowy. Roztargniony, jak zwykle ludzie nauki.

— A jego stosunek do Marii Van?

— Pan Duplessis, jak się wydaje, nie lubił Marii. Ale w tej mierze nie powodował się własną opinią.

Willburn przerywa.

— A czyja to była opinia? Pani Perret:

— Profesor Duplessis jest starym człowiekiem. Potrzebuje opieki, domowej opieki. Jest niezmiernie wdzięczny osobom, które cierpliwie, a nawet z zadowoleniem słuchają jego monologów. Lubi towarzystwo odczytanych, kulturalnych kobiet, szczególnie takich, które literaturę łacińską stawiają wyżej od współczesnych romansów awanturnych.

Willburn kiwa głową i uśmiecha się. Pani Perret chodzi okrężnymi drogami, ale zawsze trafia do tego samego celu.

Pani Perret, tonem chłodniejszym i bardziej zdecydowanym:

— Pan Duplessis wszedł do pensjonatu dokładnie pięć minut po dziewiątej. Właśnie patrzyłam na zegar, gdy wchodził do holu. Jego krzyk usłyszałam punktualnie o dziewiątej trzydzięci. Mam dobry słuch i dobry wzrok. To jest zastanawiające.

Willburn:

— Pani ma rację. Pan Duplessis wydaje się bardzo podejrzany.

Pani Perret energicznie:

— Ależ, proszę pana! Pan Duplessis nie mógłby zabić nawet muchy...

Willburn znowu dochodzi do przekonania, że pani Perret wybiera ciągle inne ścieżki, by wreszcie dojść zawsze do tego samego miejsca. To go bawi!

— Profesor Duplessis — kontynuuje pani Perret — nie znajduje wytłumaczenia, w jaki sposób w jego kieszeni znalazły się papierosy baronowej. Myślę, że to łatwo wyjaśnić. Na krawędzi wanny zauważyłam resztki rozsypanego, wykruszonego tytoniu. Papierosy leżały tam, gdy profesor wszedł do środka. Zobaczył pudełko i ukrył je. Ponieważ jest bardzo roztargniony, zapomniał o tym i wyjął papierosy później, w obecności wszystkich osób zgromadzonych w salonie.

— Tak pani przypuszcza? — pyta Willburn.

— Jestem tego niemal pewna — odpowiada pani Perret.

— Pani jest pewna, że Duplessis u k r y ł papierosy baronowej?!

— Tak jest!

Willburn zatrzymuje się przed panią Perret. *Madame* Perret patrzy mu w oczy śmiało i szczerze. Willburn powoli mówi:

— Jeżeli ukrył, uczynił to świadomie. Chciał zatrzeć ślady! Czyje ślady?

— To jasne — odpowiada spokojnie pani Perret. — Chciał ukryć papierosy baronowej Groeck.

— Dlaczego to zrobił?

— Ponieważ doszedł do absurdalnego przypuszczenia, że to baronowa Groeck zabiła Marię Van, proszę pana. Oczywiście, to jest a b s u r d a l n e przypuszczenie.

— A więc kto, w takim razie, zabił Marię Van?

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, proszę pana! W każdym razie nikt spośród nas, mieszkańców pensjonatu!

— Antoni Hayes! — mówi Willburn.

Pani Perret zaczyna się cicho śmiać.

— Ależ nie — powiada po chwili. — To zupełnie wykluczone. Morderstwo wymaga odwagi.

Willburn znowu odczuwa podziw dla tej kobiety. Zadaje pytanie:

— Czy Antoni Hayes nie jest odważny?

— Obawiam się, że nie — odpowiada pani Perret. — To wprawdzie on zabrał rano z pokoju kredensowego nóż, którym zabito Marię, ale przecież...

Willburn przerywa ostro.

— Dlaczego pani przedtem nic nie mówiła o tym nożu?

Pani Perret jest zaskoczona i zdumiona. Odpowiada:

— Nie wiedziałam, że to jest istotne. Przecież to, że pan Hayes...

Willburn znowu przerywa.

— Proszę trzymać się faktów. To są poważne sprawy! Nie wolno niczego bagatelizować.

Skąd pani wie, że Antoni Hayes zabrał ten nóż z pokoju kredensowego?

— Widziałam. Była godzina dziewiąta rano. Pan Hayes wszedł do pokoju kredensowego, zbliżył się do skrzynki, gdzie leżą sztuce i zabrał stamtąd nóż do żyłowania mięsa...

— Gdzie pani wtedy była?

— Także w pokoju kredensowym.

— Hayes panią oczywiście widział?

— Nie.

— Jak to nie? — Willburn marszczy brwi. — To jest przecież mały pokój.

— Tak — odpowiada pani Perret — ale stałam w cieniu. Pan Hayes wszedł, rozejrzał się z roztargnieniem i wyjął nóż, patrząc w stronę holu. Widocznie obawiał się, że tylko z holu może być zauważony.

Willburn jest nieco zaskoczony, lecz kontynuuje pytania:

— Gdzie ukrył nóż?

— Schował go za pasek przy spodniach i wyszedł. Ale on przecież nie zabił Marii Van, jestem tego pewna!

— Dlaczego pani jest tego pewna, *madame* Perret?

Pani Perret uśmiecha się łagodnie, ma ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem w twarz temu Anglikowi bez polotu...

— Ponieważ wiem, do czego był potrzebny nóż Antoniemu Hayesowi!

— Mianowicie?

— Niech pan łaskawie sprawdzi stan sekretery w pokoju baronowej Groeck. Rysy na politurze dają wiele do myślenia osobie nawet tak naiwnej jak ja!

Willburn odwraca się i odchodzi do okna. Jest wyburzony. Popęłnił zasadniczy błąd. Nie zbadał tego przekłętą pensjonatu. Ta kobieta kpi sobie z niego i kieruje nim wedle własnego upodobania. Wszystko stale powraca do osoby baronowej Groeck. Należy przyjąć, że pani Perret nienawidzi baronowej Groeck, ale to niestety do niczego nie prowadzi. Na razie trzeba gromadzić fakty, których jest niebezpiecznie mało. Trzeba zbadać wzajemne powiązania między tymi ludźmi, ich sympatie i antypatie, a przede wszystkim ich przeszłość.

Przeszłość pani Perret — również!

Willburn wraca na środek pokoju. Czuje się znużony. Jeszcze tylko kilka minut i trzeba będzie odpocząć. Mówi:

— Zostawmy to. Dziękuję pani za cenne informacje. Ostatnie pytanie: kto to jest Filip Bendin?

— Uroczy chłopiec — odpowiada bez namysłu pani Perret. — I nieszczęśliwy. Kochał Marię i ona go kochała.

— Tego domyśliłem się sam. Chodzi mi o szczegóły.

— Pan zapewne słyszał o doktorze Bendinie. Filip Bendin jest jego synem. Dziecko szczęścia. Bogaty, otaczany miłością rodziny. Od kilku tygodni związał się z Marią. Poznali się przypadkowo. Zaczął bywać tutaj niemal codziennie, nawet mieszkał przez kilka dni w tygodniu.

— Wtedy pani go poznała?

Pani Perret zawahała się. Nie ma powodu ukrywać rzeczy oczywistych.

— Nie — odpowiada spokojnie. — Znam go od dawna. Poznałam go, gdy był jeszcze małym chłopcem. Bywałam u jego rodziców. Mówię mu po imieniu. Lubię go!

— A teraz pani nie bywa już u jego rodziców?

— Nie! Miałam kiedyś scysję z jego matką. Od tego czasu stosunki nasze zostały zerwane. Ale doktor Bendin przychodzi tutaj czasami. Leczy mnie. Cierpię na wątrobę.

— Bardzo mi przykro. Jak pani ocenia rolę Filipa Bendina w całej tej sprawie?

Pani Perret odczuwa teraz zupełny spokój. Mówi żywo.

— Filip pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. To jest dobry chłopiec. Może trochę rozpieszczony i kapryśny, ale ma dobre serce. Przeżył wielki wstrząs i trzeba mu współczuć. To wszystko!

— Proszę pani — mówi Willburn — czy pani wie o tym, że na rękojeści noża, który tkwił w piersi Marii Van, ekspertyza wykazała ślady palców Filipa Bendina?

Pani Perret jest zaskoczona. Jej myśli gmatwiają się. To przecież idiotyzm. Wie doskonale, że Filip nie mógł tego zrobić. Skąd te ślady?

— Czy pan jest pewny, że to ślady palców Filipa? — pyta pani Perret.

— Jestem pewien! — odpowiada Willburn. Po raz pierwszy w tej rozmowie Willburn zauważa, że pani Perret jest zaskoczona.

— Mamy do czynienia z perfidnym zbrodniarzem — oświadcza pani Perret — który nie cofa się przed niczym. Nawet przed oskarżeniem niewinnego człowieka. Muszę się zastanowić, proszę pana. Zaczynam powątpiewać we wszystko, co do tej pory powiedziałam.

Myślę, że będziemy mieli jeszcze okazję do rozmowy.

— Na pewno — odpowiada Willburn i patrzy przenikliwie na panią Perret.

Druga cienka i słaba niteczka znalazła się w jego rękach. Ma nadzieję, że obchodząc się z nią delikatnie — doprowadzi sprawę do szczęśliwego zakończenia. Na razie jest zmęczony. Nie chce kontynuować dochodzenia w takim stanie. Tutaj każde słowo jest na wagę złota. Nie wolno niczego zaniedbać. Trzeba odpocząć.

— Dziękuję pani — oświadcza Willburn i *madame* Perret wychodzi cicho z salonu. Zegar uderza jeden raz. Jest godzina piętnasta trzydzieści. Na ulicy Laos ruch zaczyna się ożywiać. Komisarz Garnet patrzy wyczekująco na Willburna.

Willburn mówi:

— Droga do prawdy wiedzie przez staranną eliminację kłamstw. Przystąpimy do eliminacji jutro rano...

Garnet odczuwa lekkie rozczarowanie. Dlaczego dopiero jutro rano?

— Czy pan jest bardzo zmęczony? — pyta troskliwie.

— Raczej tak — odpowiada Willburn. — Ale nie o to chodzi. Musimy odłożyć sprawę do jutra, żeby dać panu czas na zebranie pewnych materiałów. Interesują mnie następujące zagadnienia...

Willburn siada wygodnie w fotelu, a Garnet mechanicznym ruchem wyciąga notes i ołówek. Zawsze posługuje się notatkami. To ułatwia pracę.

Kiedy Willburn mówi, Garnet zapisuje pobieżnie jego zlecenia. Garnet czuje się zgubiony i każde słowo Willburna napędza go nadzieją. Koncepcja Anglika jest ryzykowna, zmierza do dziwnych rzeczy, ale jednocześnie rysują się wyraźnie jej trwałe fundamenty.

Kiedy zegar uderza cztery razy, Garnet zamyka notes i powiada:

— Obawiam się, że nie zdążymy z tym wszystkim do jutra...

Willburn wstaje z fotela, zapina płaszcz, wkłada kapelusz i mówi:

— Słyszałem o waszych wzorowych kartotekach, komisarzu Garnet. Tam przecież wszystko jest zapisane...

Garnet uśmiecha się porozumiewawczo, ale nie bardzo wierzy w te osławione kartoteki.

## ROZDZIAŁ 8

Willburn zjadł u Fernanda krwisty befsztyk z sałatą, wypił szklanekę czerwonego wina, a na deser zamówił ser i kiść winogron. Potem wyszedł na ulicę. Było chłodniej, na zachodzie niebo nabrało barwy głębokiej czerwieni. Miał ochotę wybrać się na wielkie bulwary, które lubił i podziwiał, ale poczuł zmęczenie i zawrócił do hotelu.

O dziewiątej wieczorem, zgodnie ze swym obyczajem, usiadł w fotelu pod oknem w ciemnym pokoju i zapalił papierosa. Widział ścianę przeciwległego domu, jasną i kolorową od blasków neonów. Rue Cler, gdzie się zatrzymał w małym hoteliku — była cicha i spokojna. Na Motte Picquet pędziły samochody, ale tutaj docierał tylko odległy szum wielkiego miasta.

Willburn myślał.

Jakie mamy fakty? Trup w wannie. Jak w marnej powieści. Ładna dziewczyna zostaje zamordowana nożem podczas kąpieli. Kim jest Maria Van? Kobieta z półświatka, a raczej może dziewczyna o sportowo — awanturycznej koncepcji życia. Narty, jazz, szybkie samochody i mężczyźni z dużymi pieniędzmi. Maria Van nie mogła się podobać ludziom starszej daty. Ludzie starszej daty uznają domy publiczne i kokoty, ale nie uznają młodzieży, która afiszuje swobodę obyczajów. W dawnych dobrych czasach istniały instytucje, które zapewniały rozrywki starszym panom za godziwą opłatą i jednocześnie były oddzielone od przyzwoitego świata wysokim murem przepisów, zarządzeń policyjnych i powszechnie przyjętego konwenansu. Dzisiaj granica ta przestała istnieć. Lupanary należą do historii, a w każdej restauracji można natknąć się na młodą kobietę, która chętnie służy przygodnym znajomym. W rezultacie świat współczesny wprowadził szalone zamieszanie do utartych pojęć. Poznajesz kobietę i nie wiesz, z kim masz do czynienia. Ulicznica czy dama? Właściwie nie ma już dzisiaj ulicznicy i nie ma dam. Są kobiety, które uznają miłość od pierwszego wejrzenia, i są takie, które w taką miłość nie wierzą. Na tym polega cała różnica.

Maria Van wierzyła w miłość codziennie wieczorem. Czy właśnie dlatego została zabita?

Jeżeli idzie o fakty, to poza zwłokami z nożem w piersiach niczym więcej nie dysponujemy. Na nożu widnieją ślady palców Filipa Bendina i tego należy się trzymać. Jednak te właśnie ślady wzbudzają największe wątpliwości. Człowiek, który bierze nóż, aby zabić — pamięta o takich drobiazgach. Wkłada rękawiczki.

Filip Bendin był szczerze zaskoczony wiadomością, że na rękojeści noża udało się stwierdzić ślady jego palców. Był wstrząśnięty i przerażony. Był zgubiony i zagubiony

w domysłach. Gdyby Filip Bendin zabił Marię Van z premedytacją — nie udałoby się odkryć jego śladów. Po to przecież ludzkość wymyśliła rękawiczki. Gdyby natomiast Filip Bendin zabił Marię Van w afekcie — ślady jego zostałyby utrwalone, ale ten fakt nie wywołałby tak szczerzego zdumienia i zaskoczenia Filipa. W tym drugim przypadku Filip wiedziałby przecież dobrze, że jego ślady będą odkryte natychmiast. Kiedy człowiek zabija w afekcie — zachowuje się inaczej. Najczęściej bardzo szybko sam przyznaje się do winy. Skąd więc ślady palców Filipa Bendina na rękojeści noża? Ten chłopak sam nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. My jednak musimy na nie odpowiedzieć. Na razie jesteśmy jeszcze daleko...

Baronowa Groeck kłamie. Nie ulega wątpliwości, że odczuwała nienawiść do Marii Van. Podczas pamiętnej rozmowy w łazience doszło między tymi kobietami do zasadniczej utarczki. Na czym opieramy nasze przypuszczenie? Oczywiście na zachowaniu się pana Duplessis. Pan Duplessis jest człowiekiem starej daty, wiele przeszedł w życiu, Rzymianie nauczyli go logiki. Pan Duplessis wie, co robi... Jest niedoświadczony w ciemnych sprawach i to go gubi. Ale na ogół jego reakcje są prawidłowe. Pan Duplessis widząc paczkę papierosów baronowej obok zwłok — natychmiast ją zabiera. Dlaczego? Dlatego, że obawia się, aby podejrzenia nie padły na baronową. A więc jest przekonany o jej winie. Pan Duplessis zabiera papierosy, bo przypuszcza, że to baronowa wbiła nóż w serce Marii Van. Dlaczego tak przypuszcza? Zapewne ma podstawy. Zapewne coś usłyszał. Zapewne wie o czymś, co mogło popchnąć baronową nawet do morderstwa. W przeciwnym razie zostawiłby tę nieszczęsną paczkę na krawędzi wanny. Cóż, baronowa mogła przecież przez nieuwagę zostawić papierosy w łazience. Co więcej, mogła poczęstować nimi Marię Van... Sama tak przecież oświadczyła. Ale Duplessis ani przez moment nie dał się zwieść pozorom. Fakt odnalezienia paczki papierosów w łazience potwierdzał jego obawy i podejrzenia. Postanowił zatrzeć ślady, aby ocalić baronową.

Oczywiście postępował dziecinnie. Z natury prostolinijny i naiwny, w całym rozgardiaszu na miejscu zbrodni — zapomniał o najważniejszej sprawie. Zapomniał, że jest obrońcą pani Groeck. Na oczach Garneta wyjął paczkę z kieszeni. Kiedy się opamiętał — było za późno. Ale jakież jest zdumienie Duplessisa, gdy pani Groeck spokojnie oświadcza, że to jej papierosy, które zostawiła w łazience podczas konwencjonalnej pogawędki z Marią Van. Duplessis jest oszołomiony i oczywiście... nie wierzy.

Nie wierzy, gdyż był świadkiem czegoś, o czym niestety nie wiemy, ale co na pewno było faktem. Duplessis wchodzi do pensjonatu kilka minut po dziewiątej, a wszczyna alarm o dziewiątej trzydzięci. Przez dwadzieścia kilka minut uczestniczy w zdarzeniu, o którym nic nie wiemy. Ale wiemy, że pod wrażeniem tego właśnie zdarzenia stara się ratować baronową

przed oskarżeniem o morderstwo. A więc Duplessis musiał być świadkiem jakiejś sceny, która w jego umyśle kojarzy się zarówno ze zbrodnią, jak i z osobą baronowej. Czy Duplessis widział scenę morderstwa? Należy to odrzucić. Jest nauczycielem języka łacińskiego. Przywykł do spokojnego, jednostajnego życia, pełnego samotnej melancholii. Unika wrażeń silnych i podniecających. Ma słabe nerwy. Załamuje się szybko. Wystarczyły nasze, ostrzejsze nieco w tonie, pytania, aby stracił całą pewność siebie. W charakterze Duplessisa dominują lojalność, godność osobista i odrobina uległości wobec silniejszych charakterów. Duplessis na widok zbrodni, rozgrywającej się na jego oczach, nie mógłby pozostawać bierny. W takim momencie powodowałby się emocjami, nie rozsądkiem. Działałby jak w gorączce, złamany i przerażony.

Nie! Duplessis nie widział morderstwa. Widział tylko ofiarę mordu. Wtedy krzyknął i podniósł alarm!

Widział jednak baronową w roli bardzo dwuznacznej, bardzo podejrzanej. Narodziła się w nim pewność, że to właśnie ona dokonała morderstwa. I postanowił ją ratować w miarę swych sił.

Czy baronowa wiedziała o podejrzeniach profesora? Czy oczekiwała z jego strony pomocy? Duplessis, zaplątany w sieć czasu, w sieć tego jednego strasznego kwadransa — zasłonił się jak tarczą honorem mężczyzny. Zabrzmiało to komicznie i nieprawdopodobnie w zestawieniu z jego ósmym krzyżykiem na karku. Nazwisko baronowej podziałało tutaj jak uderzenie kijem. Zachwiał się i był zupełnie bezradny.

Tak więc Duplessis dał do zrozumienia, że ten tragiczny kwadrans spędził w pokoju baronowej. Ale to nieprawda. Wiemy bowiem z zeznań baronowej, że Duplessis nie towarzyszył jej tego wieczoru, a ona sama przygotowała się już do kąpieli. Co więcej — była w łazience i rozmawiała z Marią Van! A więc Duplessis kłamie, kłamie w dobrej wierze. Co chce ukryć? Oczywiście chce ukryć wydarzenia, których był świadkiem. Wydarzenia, w których baronowa odegrała niepoślednią rolę.

Czy baronowa wie o tragicznej walce Duplessisa, prowadzonej w jej obronie? Baronowa o tym nie wie! Baronowa nie ma zielonego pojęcia, że Duplessis zaplątał się w sieć kłamstw, aby ocalić jej głowę. I właśnie dlatego powiedziała do starego profesora w obecności Garneta: „Skąd pan ma moje papierosy? Zostawiłam je w łazience...”

Duplessis jest wstrząśnięty tym szczerym wyznaniem. Był bowiem przeświadczony, że baronowa będzie ciągle przeczyła, jakoby w ogóle była w łazience. Albowiem Duplessis rozumuje prostolinijnie. Ponieważ baronowa dokonała w łazience morderstwa, więc uczyni wszystko, aby dowieść, że w łazience wcale nie była. Jedyne dowód jej obecności to te



nieszczęsne papierosy. Dlaczego więc baronowa na ich widok wydaje okrzyk zdumienia? Dlaczego przyznaje, że to są właśnie jej papierosy? Przecież sam fakt wyjęcia ich z kieszeni przez profesora mógł przejść niezauważenie. Tylko dzięki baronowej komisarz Garnet zaczyna się interesować papierosami.

Ale pani Groeck nie zna myśli profesora. Baronowa oświadcza, że była w łazience i zostawiła tam papierosy. Czy pani Groeck jest perfidną morderczynią, która gra *va banque!* Co myśli pani Groeck w chwili, gdy dostrzega swoje papierosy w dłoniach Duplessisa? Odpowiedź na to pytanie jest kluczem do całej zagadki.

Jeżeli bowiem baronowa dokonała morderstwa — to oczywiście wie, kiedy to się stało. Z zachowania się Duplessisa wnioskujemy, że morderstwo nie nastąpiło około dziewiątej, lecz około dziewiątej trzydzieści. Od dziewiątej pięć czy dziewiątej dziesięć Duplessis jest świadkiem wydarzeń, poprzedzających zbrodnię. Potem znika. Znika, aby nie być widzianym. Ponieważ jednak wie dobrze, na co się zanosi, choć nie podejrzewa tak strasznych skutków, pojawia się w łazience ponownie o dziewiątej trzydzieści. Wtedy jest już po wszystkim.

Duplessis nie wie, kiedy zbrodnicza dłoń wbiła nóż w serce Marii Van. My również tego nie wiemy. Ale baronowa — jeżeli jest morderczynią — wie doskonale o wszystkim.

Baronowa spogląda więc w skupieniu na starego profesora. Ponieważ jednym z elementów jej obrony jest przyznanie się do rozmowy z Marią Van w łazience, natychmiast oznajmia, iż Duplessis trzyma w ręku jej papierosy. Baronowa jest osobą inteligentną. Natychmiast zadaje sobie pytanie: „Dlaczego Duplessis zabrał z łazienki moje papierosy? Zapewne po to, aby mnie osłaniać. Jednakże ta forma obrony mi nie odpowiada, więc niech ten stary głupiec teraz się tłumaczy, jak chce. Ja działałam tak, jak ustaliłam!”

Ale co powstaje w umyśle baronowej Groeck, jeżeli to nie ona zabiła Marię Van? Łańcuch logiczny jest prosty i krótki: „Duplessis ma w ręku papierosy, które zostawiłam w łazience na prośbę Marii Van. A więc Duplessis był w łazience po moim odejściu. Wychodząc widziałam Marię Van żywą i zdrową.

Duplessis znalazł się tam później i dokonał morderstwa. Teraz usiłuje odwrócić od siebie podejrzenie i skierować je na mnie i dlatego ostentacyjnie wyjmuję z kieszeni moje papierosy. Muszę natychmiast oznajmić, że to moje papierosy, zanim on to zrobi!”

Jakież jest jednak zdumienie baronowej, gdy Duplessis zaczyna się zupełnie idiotycznie zachowywać i nie umie wyjaśnić, w jaki sposób papierosy znalazły się w jego kieszeni. Baronowa zna Duplessisa i wie, że stary profesor, ukrywając papierosy, kierował się określonym zamiarem. Jeżeli baronowa jest morderczynią, myśli: On chce mnie ratować! Jeżeli baronowa jest niewinna, myśli: On chce mnie oskarżyć! W pierwszym przypadku

wszystko jest jasne, jeżeli przyjmiemy, że pani Groeck ma wyjątkowo silne nerwy i wyjątkowo perfidne metody obrony. W drugim przypadku wszystko jest jasne, jeżeli przyjmiemy, że pani Groeck podejrzewa o zbrodnię Duplessisa i uważa to za prawdopodobne.

Oczywiście rozważania te mają jeden zasadniczy błąd. Jeżeli bowiem Marię zabiła baronowa, musiała to uczynić za wiedzą Antoniego Hayesa, który dostarczył jej nóż, i za wiedzą Filipa Bendina, który dostarczył jej odciski własnych palców. To samo dotyczy Duplessisa.

Istnieje zatem kilka newralgicznych punktów sprawy. W tych punktach zeznania poszczególnych osób są sprzeczne.

Sprawa noża. Antoni Hayes jest przekonany, że udało mu się zabrać nóż z pokoju kredensowego w zupełnej tajemnicy. Nie ma pojęcia, że pani Perret wszystko widziała. Ten sam Antoni Hayes usiłuje dowodzić, że widział baronową, która schodziła na dół do pokoju kredensowego. Baronowa szczerze temu zaprzecza. A przecież byłoby jej wygodniej przyznać, że w czasie dokonania morderstwa była w pokoju kredensowym. „Nie mogłam zabić Marii Van w łazience, bo w tym czasie byłam na dole. Pan Hayes widział mnie schodzącą na dół!” Baronowa jednakże stanowczo zaprzecza, jakoby schodziła na dół.

Należy postawić pytanie: czy Hayes wręczył nóż baronowej? Zakładamy, że tak właśnie było. Jeżeli Hayes to zrobił, był współnikiem zbrodni. Wiedział o niej. W przeciwnym razie baronowa sama wzięłaby nóż, co jest rzeczą naturalną. Fakt, że Hayes zabrał nóż potajemnie, świadczy najlepiej, że nóż miał służyć tajemnym czynnościom.

Tak więc zakładamy, że Hayes jest współnikiem pani Groeck. Jeżeli jest współnikiem, to albo w czasie morderstwa przebywa o kilka kilometrów od pensjonatu, albo też bierze czynny udział w zbrodni. Nie można przecież uwierzyć, by silny, sprytny i przebiegły mężczyzna siedział sobie spokojnie w pokoju, gdy obok jego współniczka zabija Marię Van. Albo więc wyjeżdża za miasto, albo asystuje baronowej.

Hayes, jak wiadomo, nie wyjechał za miasto. Jednakże nie asystował bynajmniej baronowej. Nie asystował, gdyż Duplessis stwierdziłby jego obecność ponad wszelką wątpliwość. Gdyby Duplessis zauważył Hayesa w dwuznacznej sytuacji w czasie między dziewiątą dziesiątą a dziewiątą trzydzięci — nie obawiałby się tak bardzo o los baronowej. Duplessis uczyniłby wszystko, co możliwe, aby skierować po prostu naszą uwagę na Hayesa, podsuwając nam swoje obserwacje, opinie i uwagi. A jednak Duplessis nie czyni nic takiego. Jego wrodzona lojalność i sumienność nie pozwalają posunąć się aż do podłości. Duplessis zrobi wiele, aby ratować baronową, ale nie oskarży Hayesa, człowieka w jego oczach zupełnie niewinnego.

Tak więc Duplessis jest tutaj niezawodnym kluczem. Otwiera drzwi do wszystkich pokojów pensjonatu.

Hayes nie był w pobliżu łazienki w chwili, gdy dokonano zbrodni. To nie Hayes wręczył nóż baronowej. Hayes zabrał nóż z pokoju kredensowego na własny rachunek...

Skąd jednak pewność, że baronowa miała nóż w ręku? Ta pewność wypływa z przebiegu wydarzeń, których przecież nie znamy i których istnienie sygnalizują nam tylko zeznania Duplessisa. To za mało. Baronowa tkwi w tej sprawie po uszy. Nie możemy wykluczyć baronowej, bo wtedy cała gra Duplessisa będzie pozbawiona wyjaśnienia. Czyny Duplessisa są zrozumiałe tylko wówczas, jeśli przyjmujemy, że Marię Van zabił Duplessis lub baronowa Groeck. Jeżeli Marię Van zabił Filip Bendin, Antoni Hayes, *madame* Perret albo nawet cała trójka razem — wówczas czyny Duplessisa pozbawione są wszelkiego sensu.

Jest jeszcze jedna wersja, którą trzeba rozpatrzyć. Zakładamy, że Duplessis podejrzewa baronową, baronowa podejrzewa Duplessisa, a tymczasem morderstwa dokonała osoba trzecia. W takim razie musimy przyjąć, że wszelkie podejrzenia są prawdopodobne, ale nieprawdziwe, oraz uwzględnić fakt, że w łazience pojawiła się także trzecia osoba.

Pani Groeck nie zabiła więc, ale mogła zabić. Duplessis nie zabił, ale mógł zabić. Duplessis myśli:

Stało się na moich oczach to i tamto, więc baronowa jest sprawczynią!

Baronowa myśli:

Duplessis wszedł po mnie do łazienki, a przecież gdy wychodziłam, Maria jeszcze żyła.

On jest sprawcą!

Wynika z tego, że na pewno między baronową a Marią rozegrał się dramat. Wynika z tego, że na pewno między wyjściem z łazienki baronowej a pojawieniem się profesora był tam ktoś trzeci.

W grę wchodzi trzy osoby. Antoni Hayes, Filip Bendin i pani Perret. Pani Perret utrzymuje, że wcale nie była na gorze. Nikt temu nie zaprzecza. Filip utrzymuje, że wcale nie wychodził z pokoju. Nikt temu nie zaprzecza. Antoni utrzymuje, że mył się u siebie w pokoju. Wszyscy temu przeczą, bo wybiegł z pokoju w wizytowym garniturze.

Hayes! Rano zabrał w tajemnicy nóż z pokoju kredensowego. Wieczorem zjawił się w pensjonacie około dziewiętej. O dziewiętej dwadzieścia Duplessis spotyka go na korytarzu w pobliżu łazienki w płaszczu kąpielowym. Skąd i dokąd idzie Hayes? Z łazienki, gdzie leżą zwłoki, z łazienki, w której kąpie się żywa Maria Van, czy też do łazienki, gdzie leżą zwłoki, do łazienki, w której kąpie się żywa Maria Van? Nie, to nie ma znaczenia! Kierunek w tym wypadku jest nieważny. W takim korytarzu można zmienić kierunek sto razy w ciągu minuty.

Hayes jest niewątpliwie sprytny. Wiemy, że w jego rękach był nóż. Ale Hayes starannie go wytarł. Można oczywiście niszczyć własne ślady, ale nie można nigdy stworzyć cudzych śladów za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Gdzie znajduje się Hayes między dziewiątą, a dziewiątą dwadzieścia? Jest tylko jedno miejsce, w którym wtedy mógł być: pokój baronowej Groeck! Opieramy to na następującym dowodzie:

Hayes zabrał nóż z pokoju kredensowego rano, po czym natychmiast opuścił pensjonat. Zjawił się ponownie o godzinie dziewiątej wieczorem. Garnet ustalił ponad wszelką wątpliwość, że twierdzenie pani Perret odpowiada prawdzie. Rysy na politurze sekretery w pokoju baronowej powstały wskutek nieostrożnego manipulowania nożem do żyłowania mięsa, tym samym nożem, który tkwił w piersi Marii Van. Jeżeli nóż o godzinie dziewiątej trzydzieści tkwił w ciele zamordowanej, a do godziny dziewiątej Hayes miał go przy sobie — więc trzeba przyjąć, że rysy na politurze powstały między dziewiątą a dziewiątą trzydzieści. Noże są martwymi przedmiotami i nie można nimi kierować na odległość. Tak więc Antoni Hayes przebywał w pokoju baronowej między dziewiątą a pół do dziesiątej wieczorem. Czy baronowa była wtedy u siebie? Pytanie pozornie naiwne, ale domagamy się odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania.

Hayes zabrał nóż w tajemnicy. Miał tajemniczy cel. Tym tajemniczym celem była sekretera baronowej. Gdyby baronowa była w pokoju, Hayes poprosiłby ją po prostu o klucz i otworzył sekreterę. On jednak otwierał ją jak niedoświadczony włamywacz. Był więc sam.

Jak długo mogło to trwać? Dla doświadczonego włamywacza dwie, trzy minuty. Hayes nie jest jednak doświadczonym włamywaczem. Zostawił ślady prymitywne i niefachowe. Musiał mieć co najmniej pięć do siedmiu minut na tę operację. Baronowa była więc nieobecna w pokoju podczas włamania. Gdzie wtedy była? W łazience. Konwencjonalna rozmowa, o której mówiła podczas przesłuchania, nie mogła trwać dłużej jak minutę. („Przepraszam, myślałam, że łazienka jest wolna... Ach, nic nie szkodzi... Czy pani ma papierosy?... Tak, proszę... Dziękuję...” To wszystko. Trzydzieści sekund). Gdzie baronowa była potem? Oczywiście nie mogła wówczas zabić Marii Van. Nikt nie mógł wówczas zabić Marii Van, ponieważ narzędzie zbrodni było w rękach Hayesa, a Hayes sterczał przy sekreterze w pokoju baronowej.

Jednakże wtedy właśnie musiała się rozegrać w łazience dramatyczna rozmowa między baronową a Marią Van. Nie konwencjonalna rozmowa o papierosach, lecz dramatyczna rozmowa o życiu i jego konfliktach. Ta właśnie, rozmowa, którą podsłuchał Duplessis — zadecydowała o jego podejrzeniach.

Hayes po dokonaniu włamania, o którym baronowa nie powiedziała dotychczas ani słówka — wyszedł na korytarz. Gdzie była wówczas baronowa? W łazience? Drzwi do łazienki były uchylone. Wszyscy to potwierdzają. Hayes, w obawie, aby go nie odkryto, nie zwraca na nic uwagi i wchodzi do swego pokoju. Jednakże baronowa i Maria Van powinny słyszeć jego kroki na korytarzu. Jeżeli nie usłyszały — znaczy to, że były zbyt zajęte sobą. A Duplessis? Gdzie jest wtedy Duplessis? Jest u siebie w pokoju, zalekziony, przerażony tym, co usłyszał i zobaczył.

Jednakże wtedy baronowa nie mogła zadać śmiertelnego ciosu. Nie miała narzędzia. Narzędzie było przecież w rękach Hayesa, z nim razem, w jego pokoju.

Tak oto dochodzimy do zasadniczego pytania; jakimi drogami wędrował nóż od sekretery do serca Marii Van, między godziną dziewiątą dziesięć a dziewiątą trzydzieści, a raczej między dziewiątą dwadzieścia a dziewiątą trzydzieści, gdy musimy kilka minut odliczyć na proces włamywania się Hayesa do sekretery?

Każdy, z wyjątkiem Hayesa, aby dokonać zbrodni, musiał najpierw wejść w posiadanie noża. A gdzie znajdował się nóż?

Należy uporządkować nasze pytania na dzień jutrzejszy. Są decydujące dla sprawy. Od samego rana podejmiemy walkę o głowę mordercy...

## ROZDZIAŁ 9

Świtało. Na ulicy Cler, gdzie znajduje się targ warzywno—owocowy panował ożywiony ruch. Willburn przez chwilę wyobrażał sobie soczyste, świeże jabłka i winogrona w skrzynkach, które hurtownicy składają teraz na wózkach pod kolorowymi płachtami płótna.

Blask neonu naprzeciw bladł coraz bardziej, światło dnia było pełniejsze i coraz bardziej wyraziste.

Willburn siedział w fotelu pod oknem, nogi miał okryte ciepłym, grubym pledem safari, oczy przymknięte. W popielniczce piętrzyły się niedopałki. Atmosfera pokoju była duszna, przesycona dymem papierosów.

Nie mógł zasnąć tej nocy. Zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że sen go wzmocni, odświeży umysł. Ale uparte myśli trzymały go mocno w fotelu. Liczył w tej sprawie na tempo, na ostateczny wynik dochodzenia jeszcze tego samego dnia. Nie chciał tracić czasu na sen, podczas gdy intuicja dyktowała mu, że jest gdzieś blisko, że trzeba tylko skupienia i wysiłku myśli, aby dotrzeć niebawem do sedna.

Myślał:

Jest to gra tylko pozornie skomplikowana. Jesteśmy fachowcami, a przeciwko nam występują amatorzy. Tej zbrodni nie dokonał przecież mistrz z tej prostej przyczyny, że mistrzowie nie istnieją. Ponieważ działał sam, a należy chyba przyjąć, że działał sam — nie znajduje sprzymierzeńców wśród pozostałych mieszkańców pensjonatu. Pozostali są zwyczajnymi zjadaczami chleba, nie mają pojęcia o tym, jak działają sprężyny występku i prawa. Kłamią z różnych przyczyn, zatajają myśli, ale nie kierują się przecież chęcią ratowania mordercy. Nie wiedzą, kto spośród nich dokonał tego czynu. Mozolna eliminacja zeznań, które uznamy za nieprawdziwe, musi nas doprowadzić do istoty rzeczy. Trzeba tylko po kolei wchodzić w skórę każdego z tych ludzi...

Przyjmujemy, że zbrodnia doskonała nie istnieje. Na świecie nie ma w ogóle żadnej doskonałości, nawet w sprawach dobrych i godnych uznania. Przyjmujemy, że osoby wmieszane w tę sprawę po raz pierwszy zetknęły się z przestępstwem tej miary. Są zaskoczone, co więcej — czują osobiste zagrożenie. Opowiadają przedziwne rzeczy.

Zajmijmy się po kolei wszystkimi jeszcze raz. Zaczynamy od Duplessisa, gdyż on stanowi tutaj postać centralną. Zakładamy, że każdy z tych ludzi jest niewinny. To oczywiście absurd, bo jeden z nich na pewno jest mordercą, ale ponieważ nie wiemy, kto nim jest, musimy przyjąć uproszczenie. Tak więc Duplessis powiada sobie:

Wiem, że jestem niewinny. Kto moim zdaniem mógł zabić? Baronowa. Będę jej bronił!

Baronowa myśli:

Jestem niewinna. Kto jest winny? Podejrzewam Duplessisa z powodu epizodu z papierosami...

Hayes myśli:

Jestem niewinny zbrodni zabójstwa. Kto zabił Marię Van? Nie wiem, nie domyślam się nawet. Ponieważ jednak dokonałem włamania do sekretery baronowej, byłoby dobrze pozbyć się właśnie baronowej. Nie jestem łajdakiem, więc nie będę jej oskarżał wprost. Mogę jednak rzucić cień podejrzania. Zeznam podczas przesłuchania, że baronowa kręciła się w pobliżu pokoju kredensowego, skąd pochodzi nóż. Dodam również, że baronowa, spotkana przeze mnie na korytarzu, była wzburzona...

Czy Hayes rzeczywiście tak właśnie rozumuje? Oto wątpliwość. W odniesieniu do rozumowania Duplessisa i baronowej nie mam zastrzeżeń. Inaczej z Hayesem. Obawiam się, że upraszczamy jego zamiary. Są w tym logiczne luki. Zasadnicza luka tkwi w upływie czasu. Hayes dokonał włamania do sekretery owego pamiętnego wieczora. Jest rozsądny na tyle, aby zdawać sobie sprawę, że baronowa zauważyła włamanie i kradzież. Ale Hayes wie jednocześnie, że baronowa nie złożyła doniesienia o włamaniu. Sprawa byłaby głośna. Baronowa zawiadomiłaby mnie i Garneta, wreszcie pozostałych mieszkańców. Tak więc Hayes wie, że baronowa zataiła włamanie do sekretery. I nie jest z tego powodu zdziwiony! Zapewne oczekiwał takiego rozwoju wydarzeń. Był przekonany, że baronowa nie powie ani słówka o włamaniu. Płynie stąd prosty wniosek, że sam fakt włamania łączy Hayesa i baronową niewidzialną nicią tajemnicy. Hayes nie obawia się represji ze strony baronowej. Jakież więc miałby cel w rzucaniu na nią podejrzeń o morderstwo?

Jest tylko jeden rodzaj kradzieży, o którym poszkodowany nie mówi policji. Gdyby Hayes zabrał baronowej pieniądze lub biżuterię — podniosłaby alarm. Hayes zabrał coś, co baronowa starannie ukryła przed światem. Baronowa lęka się teraz, aby złodziej nie ujawnił przedmiotu kradzieży. A złodziej o tym wie i dlatego czuje się bezpieczny. Nie tylko ukradł, ale teraz zjawi się przed baronową i oświadczy spokojnie: „Moje milczenie kosztuje tyle a tyle. W przeciwnym razie odkryję twoją tajemnicę, droga baronowo...” I droga baronowa zapłaci sownie za zwrot przedmiotu i zachowanie tajemnicy.

Tak więc Hayes ukradł jakiś dokument, może list, może paczkę listów. Teraz rozpocznie się drugi rozdział — szantaż. Zapewne byłby już przystąpił do dzieła, ale morderstwo pomieszało mu szyki. Jest czujny, ostrożny, wolałby przeczekać... Jeśli tak jest w istocie, Hayes nie powinien wcale życzyć baronowej oskarżenia o morderstwo. Oskarżona, a nawet

skazana — straci dla niego całą wartość... Ukradzioną korespondencją nie będzie wtedy warta pięciu — franków!

Tak więc rozumowanie Hayesa jest bardziej zawile. Jednakże znowu wracamy do osoby baronowej. Ta kobieta straciła coś, co było jej tajemnicą. Jednym spojrzeniem ogarnęła cały bezmiar swej klęski. Włamanie do sekretery, kradzież, koniec! Czy baronowa jednak wie, kto włamał się do sekretery?

Potrzebne mi są wszystkie siły umysłu, bo muszę odeprzeć narzucające się wnioski, które przecież są absurdalne. Przychodzi mi do głowy, że baronowa podejrzewa Marię Van o włamanie i wydarcie świętej tajemnicy, w łazience domaga się zwrotu dokumentu czy listu, a gdy Maria odmawia — baronowa zabija ją nożem do żyłowania mięsa... Byłoby to nad wyraz piękne i logiczne rozwiązanie, gdyby w tym kraju zegary mogły chodzić wstecz, a noże poruszać się w powietrzu.

A jednak?

Trzeba dokładnie rozważyć tę ewentualność. Cała koncepcja jest zbudowana na kruchych podstawach źle odmierzonych minut, a może nawet sekund. Jeszcze raz, jeszcze raz...

Kiedy Hayes dokonuje włamania, baronowa jest w łazience i rozmawia z Marią Van. Być może jest to naprawdę rozmowa konwencjonalna... Wtedy baronowa nie ma w ręku noża i nie ma jeszcze podstaw do zabicia Marii Van. Kiedy jednak wraca do siebie, stwierdza, że dokonano włamania. Znajduje nóż porzucony przez Hayesa w pośpiechu. W umyśle baronowej rodzi się podejrzenie: To Maria Van okradła mnie i będzie szantażowała! Wraca do łazienki, domaga się zwrotu dokumentu, a wreszcie zabija...

Oczywiście to bzdura od początku do końca. Mój umysł pracuje haniebnie! Wszystko jest pozbawione podstaw. Hayes nie mógł zgubić noża. Baronowa nie mogła prowadzić pogodnej rozmowy z Marią, gdyż Duplessis nie miałby wówczas powodu do podejrzeń i obaw. Maria Van nie mogła dokonać włamania, bo leżała w wannie, rozebrana i rozmawiała właśnie z baronową. Baronowa nie mogłaby więc obarczyć Marii podejrzeniem. A nawet gdyby tak się stało, jedno słowo Marii wyjaśniłoby nieporozumienie.

Tak więc konflikt między baronową Groeck a Marią Van nie miał nic wspólnego z włamaniem i kradzieżą cennych dokumentów. Dotyczył zupełnie innych spraw.

Na czym mógł się opierać konflikt między baronową Groeck a Marią Van? Odpowiedź na to pytanie zadecydować może o wszystkim.

Duplessis jest człowiekiem zrównoważonym. Lektura Tacyta i Swetoniusza nauczyła go sceptycyzmu. Jeśli Duplessis poczuł się wstrząśnięty i przerażony — to znaczy, że konflikt między dwiema kobietami był rzeczywiście poważny, drapieżny, śmiertelny...



Nie chodziło więc bynajmniej o poglądy na życie, o sposób bycia, o moralność na co dzień. Między Marią Van i baronową leżała przepaść upodobań, obyczajów i poglądów — ale to nie było podłożem dramatu. W łazience działo się coś strasznego, a niepodobna przypuścić, aby błahe sprawy były przyczyną strasznego starcia.

Tylko wielkie namiętności, które się wyzwalają — mogły wzbudzić przerażenie w sercu profesora Duplessisa. Tylko wielkie namiętności...

Młoda i piękna kobieta mieszka pod jednym dachem z kobietą starą i brzydką. Nie przeszkadzają sobie wzajemnie. Nie łączy ich wprawdzie sympatia, ale nie dzieli wstręt. Nagle zjawia się tam młodzieniec tak piękny, jak gdyby sfrunął prosto z gwiazd. Filip Bendin zostaje kochankiem Marii Van. Stara kobieta, otyła, zamożna, skrupulatna, ustosunkowana i samotna — patrzy na to spod oka. Początkowo udaje obojętną, potem...

Potem jak w marnym melodramacie. Miłość baronowej Groeck do Filipa Bendina sprawia, że nóż do żyłowania mięsa zagłębił się w sercu Marii Van... Odrzućmy tę ewentualność. Jest pikantna, ma pozory prawdopodobieństwa, doskonale pasuje do francuskiej tradycji literackiej — ale jest pozbawiona powagi.

Baronowa Groeck nigdy nie była, nie jest i nie będzie namiętną kochanką, która z nożem w ręku walczy o ukochanego. Ten ukochany ma dwadzieścia lat i mógłby być jej synem...

Zostawmy to. Coraz bardziej schodzimy na manowce, tracimy busołę, aparat logiczny ustawicznie zawodzi.

Wracajmy do punktu wyjścia. Oto Filip Bendin myśli:

Jestem niewinny. Kto mógł zabić Marię, moją ukochaną Marię? Podejrzewam wszystkich. Niczego nie widziałem, nie wiem, kto był na korytarzu, a kogo nie było... W jaki jednak sposób ślady moich palców znalazły się na rękojeści noża? Musiał to zawczasu przygotować ktoś, kto mnie nienawidzi. Ale niestety nie wiem, kto mnie nienawidzi.

Należy przyjąć, że takie rozumowanie Filipa jest prawidłowe, o ile — oczywiście — nie on dokonał zbrodni. Jednakże tutaj dochodzimy do zasadniczej trudności. Opieramy się na zeznaniach świadków. Ten widział to, tamten co innego. Nikt nie widział Filipa na korytarzu w pobliżu łazienki. Dlatego o nim mówi się niewiele. A przecież można przyjąć, że Filip znalazł się w łazience przez nikogo nie zauważony. Z pokoju Marii do łazienki można się prześliznąć w kilka sekund. On jeden, Filip Bendin, nie musiał powiedzieć ani słowa, kiedy pojawił się w łazience. Nie musiał nawet mówić „Przepraszam!” Mógł wejść milcząco, zabić bez słowa i wrócić do pokoju. Nikt go nie widział, nikt go nie słyszał. Potem spokojnie czekał na krzyk, zwiastujący odkrycie zbrodni.

Nie ma jednak na świecie normalnego człowieka, który mordowałby bez przyczyny. Jaki

cel przyświecał Filipowi, gdy zadawał cios? Nie, on nie mógł zadać ciosu, choć jego palce zostały na nożu wyraźne ślady. Tylko marny policjant zadowala się śladami palców. Dobry policjant wie, że zbrodniarz, który zabija z premedytacją — starannie usunie ślady. A młodzieniec, który zabija w afekcie, po odkryciu jego śladów opuści głowę i powie: „To ja zabiłem! Nie wiedziałem wtedy, co robię... Byłem niepoczytalny...” Szczególnie we Francji, w tym dziwnym kraju, gdzie ustawy chronią zakochanych i gdzie zabójstwo z miłości traktowane jest ze szczególną łagodnością.

Jest jeszcze jeden problem, który pozostaje bez odpowiedzi: w jaki sposób Filip wszedł w posiadanie noża? Sprawa noża staje się coraz donioślejsza. Tak jak w dziedzinie konfliktów moralnych centralną postacią sprawy jest Duplessis, w dziedzinie konfliktów materialnych centralną postacią jest Hayes. Ci dwaj ludzie są obowiązani rozwikłać zagadkę śmierci Marii Van.

Willburn wstał powoli z fotela, złożył starannie pled i otworzył okno. Chłodne powietrze wtargnęło do pokoju. Z ulicy Cler dobiegały odgłosy toczących się wózków ręcznych, okrzyki kupców warzywnych i zapach świeżych, zerwanych przed wschodem słońca owoców.

## ROZDZIAŁ 10

Godzina dziesiąta. Okno w salonie jest uchylone. Z ulicy Laos napływa chłodne powietrze jesieni. Cierpki zapach spalin i więdnących liści opadłych z drzew drażni nozdrza Willburna. Z daleka, z głębi miasta nadbiega nagle dudnienie pociągu. To pędzi ekspres lionński na moście rozpiętym nad placem Balard.

Gdy dudnienie milknie, Willburn mówi:

— Droga pani baronowo. Proszę wybaczyć naszą natarczywość. Zmierzamy do prawdy.

Baronowa Groeck kiwa ze zrozumieniem głową. Jej oczy są znużone, tak jak oczy Willburna. Oboje są starzy. To ich jednak łączy. Oczy pani Groeck są zaczerwienione, zapewne płakała tej nocy. Skóra na policzkach jest zwiędła, włosy w nieładzie. Pani Groeck wygląda dzisiaj szczególnie niekorzystnie.

Willburn kontynuuje:

— Właśnie dlatego proszę panią o powtórzenie relacji o przebiegu wydarzeń tamtego tragicznego wieczoru... Myślę, że pójdzie nam pani na rękę.

— O, tak — odpowiada baronowa Groeck słabym głosem. — Jednakże nie wiem, o co panom chodzi... Może więc raczej pan sprecyzuje pytania, a ja będę odpowiadała. Nie jestem dzisiaj w formie...

Pani Groeck uśmiecha się blado i podnosi dłoń do prawej skroni. Delikatnie przesuwa palcami po szorstkiej, zmarszczonej skórze i po siwiejących włosach.

— Rozumiem panią — odpowiada Willburn. — Bardzo mi przykro.

Teraz Willburn się uśmiecha. Komisarz Garnet zamyka okno z takim namaszczeniem, jak gdyby to było okno katedry w Chartres. Garnet jest dzisiaj w ciemnowiśniowych butach, fason włoski, wypustka zamszowa. Buty wydają przy każdym kroku komisarza smutny, jednostajny dźwięk, jak pisk duszonej myszy. Willburn czuje odrazę do wszystkich kontynentalnych butów.

Teraz siedzą naprzeciw siebie. Willburn i pani baronowa. Komisarz odchodzi na drugą stronę salonu, pod wielki zegar. Jego dwie myszy, piszcząc, biegną za nim i przed nim — jak straż.

— Tak więc — powiada Willburn — zaczynamy. Baronowa znowu się uśmiecha i powoli, starannie zapala papierosa — granada.

— Pani była w łazience tylko raz, czy tak?

Delikatne drgnienie ręki trzymającej papierosa. Baronowa:

— Tak. Tylko raz...

— Jak długo pani tam zabawiała?

— Ach, bardzo niedługo, proszę pana.

— Czy może pani jednak dokładniej określić czas? Baronowa zaciąga się dymem, mała zmarszczka pojawia się na jej czole.

— Może dwie, trzy minuty. Nie dłużej.

— Pani była w płaszczu kąpielowym?

— Oczywiście. Zamierzałam się kąpać...

— Czy panna Van nie zrobiła na pani wrażenia zaniepokojonej, zdenerwowanej?

Baronowa przez moment milczy, po czym odpowiada:

— Nie... Nie sądzę.

— A pani?

— Nie rozumiem...

— Pytam, czy pani nie była wtedy zaniepokojona lub zdenerwowana.

Baronowa znowu zaciąga się papierosem, na jej ustach pojawia się uśmiech. Willburn zauważa, że te usta są bardzo wąskie i sztucznie zaciśnięte. Baronowa:

— Ależ nie... Czułam się normalnie.

Willburn wyjmując teraz papersy, otwiera paczkę, wysypuje na dłoń okruszyny tytoniu, wrzuca je do popielniczki. Trwa to szczególnie długo. Milczenie. Willburn zapala papierosa, patrzy w płomyk zapalki, rzuca ją powoli do popielniczki. Mówi:

— Czy pani poniosła ostatnio jakąś stratę?

— Nie — odpowiada baronowa szybko.

Za szybko. Stanowczo za szybko. Willburn patrzy jej w oczy, mówi:

— Sekretera w pani pokoju jest...

— Ach, to — przerywa baronowa Groeck i znowu uśmiecha się pogodnie. — Pan ma na myśli moją sekretkę...

Cichy śmiech, dobitny, trochę za wysoki w tonacji, trochę za bardzo beztroski. I ruch ręki, salonowy, bagatelizujący...

— To drobiazg. Tego dnia po południu zagubiłam gdzieś kluczyk od szuflady. Trzymam tam pieniądze. Byłam tak zirytowana zagubieniem klucza, że silnie szarpnęłam i w ten sposób... Nie, to naprawdę drobiazg. Zapewniam pana, że nic mi nie zginęło. To moja wina.

Baronowa Groeck mówi swobodnie i dużo. Za swobodnie i za dużo. Willburn uśmiecha się wyrozumiale i powiada nagle:

— Czy pani pomagała sobie przy otwieraniu sekretery nożem do żyłowania mięsa?

Jej oczy stają się wielkie, pełne najwyższego zdumienia.

— Co pan opowiada, mój panie? Jaki znowu nóż?

Willburn odkłada papierosa. Mówi tonem mniej towarzyskim, szybko:

— Pani baronowo! Domagam się prawdy. Tu chodzi o morderstwo. W pani pokoju dokonano włamania. Włamywacz posługiwał się nożem, którym zabita została Maria Van. Krąg podejrzanych jest niewielki. Włamanie ma związek z morderstwem...

— Nie ma żadnego związku — przerywa okrzykiem pani Groeck i nagle blednie. Jej stare, pomarszczone ręce drżą. Willburn jednak nie chce patrzeć na jej ręce. Budzą współczucie, a teraz nie ma na to czasu. Mówi:

— Domagam się prawdy. Proszę powiedzieć wszystko. Cięży na pani straszne podejrzenie. Będę zadawał pytania. Jestem upoważniony przez komisarza Garneta, aby oświadczyć, że wolno pani nie odpowiadać, jeżeli uzna pani, że odpowiedź zaszkodzi interesowi obrony.

Baronowa Groeck na moment zamyka oczy, podnosi dłoń do skroni, mówi:

— O ile wiem, ten przepis odnosi się do osób bezpośrednio podejrzanych...

— Tak jest — przerywa oschle Willburn. — Niestety, tak jest!

Milczenie.

Willburn:

— Miała pani ostrą scysję z Marią Van w łazience tego wieczora?

— Nie. Nie miałam wcale scysji.

— Zostawiła pani tam paczkę papierosów granada?

— Tak jest. Maria Van prosiła mnie o to...

— Jak pani sądzi: dlaczego profesor Duplessis zabrał te papierosy?

— Zapewne przez roztargnienie. Również przez roztargnienie wyjął je potem...

— Oświadczam pani, że to nie było roztargnienie.

Brwi baronowej unoszą się lekko.

Willburn:

— Za pierwszym razem to nie było roztargnienie.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza, panie nadinspektorze...

— Zmierzam do tego, aby pani wyjaśnić, że profesor Duplessis usiłuje panią osłaniać...

— Nonsens — oświadcza pani Groeck, ale brzmi to jak westchnienie.

— Profesor Duplessis przyznał się do tego zupełnie jednoznacznie.

— Nonsens — powtarza pani Groeck szeptem.

Willburn wie, że przyznanie Duplessisa bynajmniej nie było jednoznaczne. Ale gra *va banque*. Mówi:

— Na jakim tle wynikła sprzeczka między panią a Marią Van?

Milczenie. Milczenie. Milczenie.

Zwyciężyłem! — myśli Willburn i znowu uśmiecha się, a po chwili powiada:

— Co było przedmiotem kradzieży?

Baronowa Groeck milczy. Ale jednocześnie spogląda prosto w oczy Willburna. Jej oczy wyrażają teraz błagalną prośbę. Baronowa Groeck przeżywa dramat i przyznaje się do tego. Willburn wie, że nie należy uderzać tam, gdzie przeciwnik czuje się słabszy, gdyż wówczas z najwyższą desperacją będzie się bronił milczeniem do końca. Porzuca więc sprawę włamania. Powtarza:

— Na jakim tle doszło do scysji w łazience? Proszę mi nie utrudniać zadania. Wolno pani powiedzieć „odmawiam”, ale nie należy milczeć! Co znaczy słowo „odmawiam” — wyjaśniliśmy bez reszty. A więc?

Baronowa bardzo powoli otwiera usta, waha się, wreszcie mówi:

— Maria Van okradła mnie.

— To ciekawe — oświadcza Willburn bez ironii. — To bardzo ciekawe. Myślę jednak, że nie podejrzewała pani Marii Van o włamanie do sekretery?

Oczy baronowej są spłoszone. Ta kobieta szuka gwałtownej odpowiedzi, ale nie potrafi znaleźć właściwej. Wreszcie mówi:

— Nie... Skądże znowu...

— Kiedy uznała pani, że Maria Van panią okradła? I co takiego ukradła?

Baronowa odpowiada z wysiłkiem, na jej czole pojawia się maleńka kropelka potu.

— Maria Van okradła mnie z biżuterii. Miałam cenne klejnoty.

— Kiedy pani stwierdziła kradzież tych klejnotów.

— W ubiegły poniedziałek wieczorem.

— To znaczy na cztery dni przed dokonaniem zbrodni w pensjonacie?

— Tak.

Willburn patrzy na baronową poprzez smugę dymu. Zadaje pytanie:

— Kiedy zawiadomiła pani policję o kradzieży?

Baronowa przetyka ślinę, jest to odruch żenujący i bolesny. Odpowiada:

— Nie zawiadomiłam policji...

— Dlaczego?

Baronowa podnosi dłoń do skroni, odsuwa siwe włosy, obnaża prawe ucho. Jest to fioletowe, brzydkie ucho, przypomina zwiędły kwiat.

— To była młoda dziewczyna — mówi baronowa. — Nie chciałam łamać jej życia. Byłam

pewna, że odda mi kosztowności i przyzna się do winy. Policja...

— Przepraszam — przerywa Willburn. — W jaki sposób doszła pani do przekonania, że właśnie Maria Van dopuściła się kradzieży?

— Nie rozumiem pytania — oświadcza cicho pani Groeck.

— Czy złapała pani Marię Van na gorącym uczynku?

— Nie.

— Jak więc doszło do tego, że powzięła pani podejrzenie właśnie w stosunku do niej?

Milczenie. Willburn ponawia pytanie. Baronowa milczy. Wreszcie:

— Odmawiam odpowiedzi.

Zapada cisza. Po chwili dwie myszki komisarza Garneta wydają stłumiony pisk. Komisarz zbliża się do pani Groeck, jego twarz wyraża zaskoczenie.

Pochyla się nad starą damą i mówi nieco ochryłym głosem:

— Pani baronowo! Proszę cofnąć te nierozsądne słowa.

Baronowa podnosi oczy na komisarza, w jej spojrzeniu jest coś macierzyńskiego, ciepłego.

Odzywa się cichym, starczym głosem:

— Jest pan bardzo miły, komisarzu Garnet. Ale ja odmawiam odpowiedzi.

Myszki komisarza Garneta piszczą i oddalają się w głąb salonu. Myszki są bardzo zmartwione. Komisarz Garnet również.

Willburn kiwa głową. On nie jest bynajmniej zdumiony. A jeżeli nawet odczuwa lekkie zaskoczenie, to jednocześnie odpowiedź, a raczej odmowa odpowiedzi ze strony baronowej napawa go głębokim zadowoleniem. Już nie cienka i zwodnicza nić, lecz gruba lina tkwi w jego rękach. Na takiej linie przycumuje cały okręt do portu sprawiedliwości.

— A więc — oświadcza spokojnie — wtedy w łazience odbyła pani z Marią Van decydującą rozmowę, czy tak?

— Nie — odpowiada baronowa głosem bardziej opanowanym. — To była nasza trzecia rozmowa. Jednakże nie dała rezultatu.

— Nie dała rezultatu z powodu sprzeciwu Marii Van czy też z powodu jej zgonu?

I znowu baronowa Groeck oświadcza cicho:

— Odmawiam odpowiedzi.

Willburn wpada w coraz lepszy humor. Jego znużenie zniknęło. Kiedy wyszedł z płataniny wąskich ścieżek na szeroką drogę, może już swobodnie maszerować naprzód. Pytanie:

— Czy Maria Van przyznała się do kradzieży biżuterii?

— O, tak — odpowiada żywo baronowa. — Natychmiast się przyznała. To była zła kobieta. Zła i cyniczna.

W tych słowach baronowej brzmi nie tajona nienawiść.

Willburn czuje, że droga wiedzie powoli, lecz nieubłagane do piekła namiętności. To jest groźne i pasjonujące.

— Mam nadzieję, że teraz odzyska pani klejnoty — mówi chłodno.

Baronowa Groeck dotyka skroni palcami, jej ucho jest brzydkie, nieforemne, duże.

Baronowa, cicho:

— Po tym, co się stało, moja biżuteria nie jest przecież ważna. Ta kobieta nie żyje. To straszne.

Zasłania oczy dłonią, jej podbródek lekko drży. Jest przejęta. W jej wieku bliskość śmierci wywołuje nie tyle lęk, ile niesmak.

Willburn patrzy na baronową i bardzo cicho zadaje pytanie:

— Czy pani zabiła Marię Van?

Ulicą przejeżdża samochód. Dym z papierosów układa się w smugi wysoko, tuż pod sufitem salonu. Baronowa Groeck oświadcza głośno:

— Odmawiam odpowiedzi.

Myszki komisarza Garneta piszczą przerażone. Willburn wzrusza ramionami i powiada lakonicznie:

— Pięknie! Dziękuję pani. Może pani wrócić do swego pokoju. To wszystko!



## ROZDZIAŁ 11

Antoni Hayes pocił się obficie. Ciężkie krople potu spływały mu z czoła na nasadę nosa i kapały na spodnie w okolicy kolan. Od czasu do czasu ocierał twarz wielką czerwoną ręką, a rękę wycierał w kraciatą chustkę. Był przejmujący w swym lęku i nieporadności. Sapał. Przełykał ślinę. Cała fizjologia jego olbrzymiego ciała skoncentrowała się w oczach i zmarszczkach wokoło ust. Willburn odczuwał dla niego litość i odrobinę wstrętu. Sto dziesięć kilogramów mięsa pozbawione samokontroli i wewnętrznej dyscypliny.

— Niech pan nie będzie dziecinny — mówił Willburn, a nieco złośliwy uśmiech nie schodził z jego ust. — Już najwyższy czas, aby przyjąć właściwą postawę. Nie będziemy przecież tracili tylu godzin na towarzyskie rozmowy. Proszę zwięźle odpowiadać na pytania.

Hayes zamrugał powiekami, sapnął i zapytał:

— Czy stawia mnie pan w stan oskarżenia?

— Czy ja wiem? — powiedział powoli Willburn. — Kto wie, może i na to zdecydujemy się po upływie kwadransa. Wyłącznie od pana zależy, aby nasza rozmowa skończyła się przyjaźnie. Jeżeli pan jest rzeczywiście niewinny...

— Jestem niewinny — przerwał Hayes.

— Obawiam się, że nie istnieją niewinni na tym najlepszym ze światów — oświadczył z uśmiechem Willburn. — Wszystko zależy przecież od interpretacji naszych ułomnych praw. Jak panu wiadomo, według niektórych kodeksów i pojęć teologicznych nawet nie narodzone dzieci są obarczone straszną winą...

Roześmiał się i natychmiast powiedział:

— Co pan robił w pokoju kredensowym o dziewiątej rano w dniu, kiedy Maria Van została zamordowana?

— W pokoju kredensowym? — powtórzył Hayes i zbladł. Jego ogromne ręce wykonały szybki ruch ku górze i równie szybko opadły na kolana, jak dwa celnie trafione ptaki.

— Tak. W pokoju kredensowym. Właśnie ten pokój szalenie mnie interesuje.

Hayes wpatrywał się w Willburna załzawionymi oczyma.

— Proszę pana... — wyszeptał i umilkł. Ale nagle zmienił się. Szeroki uśmiech odsłonił duże zęby i różowe dziąsła. — Ależ oczywiście. Coś podobnego. No, wie pan...

Śmiał się cicho, wylewnie. Brzmiało to jak gruchanie gołębic. Ale jego oczy pozostały czujne.

— Panu chodzi o ten nieszczęsny nóż... Zupełnie o tym zapomniałem. Tego dnia rano

zabrałem nóż z pokoju kredensowego, aby...

— Nóż do żyłowania mięsa — przerwał Willburn z uśmiechem.

— Tak jest — skwapliwie podjął Hayes. — W moim pokoju jest wentylator. Chciałem go nieco uchylić, ale klapka się zacięła. Potrzebowałem noża, aby ją podważyć. Właśnie dlatego wzięłem nóż z pokoju kredensowego.

Willburn kiwał głową z aprobatą. Powiedział:

— No, widzi pan. Wszystko się wyjaśniło. Szkoda, że pan dopiero teraz powiedział o tym nożu, panie Hayes.

Hayes uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

— Doprawdy zapomniałem. To zupełnie idiotyczne, ale doprawdy zapomniałem.

— O, tak — odparł Willburn. — To zupełnie idiotyczne. Wprost przerażająco idiotyczne. Zapomniał pan o nożu, który tkwił w sercu zamordowanej. Coś niebywałego, panie Hayes.

Hayes uśmiechał się dalej, ale to był już martwy uśmiech, pozbawiony wszelkiej treści. Pusty grymas, sparaliżowany na wargach.

— A więc otworzył pan sobie wentylator, żeby było chłodniej i przyjemniej — kontynuował Willburn. — A potem? Co pan potem zrobił z tym nożem? Czy wbił go pan w pierś Marii Van, drogi przyjacielu?

— To nieprawda! — krzyknął Hayes.

— Pan lepiej wie, czy to jest prawda, czy nie, panie Hayes. Tylko od pana zależy, czy i ja będę wiedział dokładnie, co stało się z tym nożem.

Hayes milczał. Willburn mówił dalej, spokojnie i cicho:

— To jest właściwie dobry interes dla obu stron, panie Hayes. Ale stanowczo lepszy dla pana niż dla mnie. Mnie zależy tylko na wykryciu sprawcy, a panu zależy na własnej głowie. Jeżeli nie dogadamy się dzisiaj, ja stracę satysfakcję, ale nie stracę nic ponadto. Wyjadę do Londynu przez Folketone, a potem dalej na północ. Mam tam swój cichy kącik. Hodowla róż, pan pojmuje. Tymczasem pan zostanie tutaj, w tym mieście, zapewne na bulwarze Raspail, nie opodal Cherche-Midi. Komisarzu Garnet! To jest nie opodal Cherche-Midi, jeśli mnie pamięć nie myli...

Komisarz Garnet uśmiechnął się słodko i powiedział:

— Bardzo blisko, panie nadinspektorze. Ale stamtąd nie widać żadnej ulicy. Okna w celach są umieszczone szalenie wysoko.

— Co za brednie! — krzyknął Hayes i wytarł twarz ręką. — Co za brednie!

— Panie Hayes — podjął Willburn bez szyderstwa. — Proszę zrozumieć moje położenie. Najkrótsza droga jest najwygodniejsza. Zawsze wybieram właśnie taką drogę.

Milczeniem skazuje się pan na straszną tragedię. Nóż, który miał pan w ręku, znaleziono w pierśi zamordowanej. Niech pan ode mnie nie wymaga zbyt wiele. Nie zamierzam bronić pańskiej głowy przeciwko panu. Obrona pana jest prosta. Proszę wskazać nam ślad. Gdzie pan podział ten nóż po operacji z wentylatorem?

— Ależ tak — zawołał Hayes — oczywiście! Nie mogłem dojść do głosu. Ten nóż zostawiłem na stoliczku w korytarzu, obok schodów.

— W korytarzu, obok schodów — powtórzył Willburn.

— Tak jest.

— No, cóż — powiedział Willburn. — Myślę, że komisarz Garnet obejrzy sobie ten wentylator...

Hayes zmarszczył brwi, siedział chwilę milcząco, potem rzekł:

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy...

— Tylu rzeczy nie rozumiemy, ale zgadzamy się na nie — odrzekł Willburn, a komisarz Garnet z uśmiechem wyszedł z salonu.

Hayes odprowadził go wzrokiem, a potem powiedział:

— Panie nadinspektorze, ja naprawdę nic więcej nie wiem!

— Rzeczywiście?

— Naprawdę. Ja ten nóż wziąłem, aby otworzyć klapkę wentylatora. Chodziło o wentylator...

— Jeżeli rzeczywiście chodziło o wentylator, to dlaczego pan się denerwuje? Wobec tego wszystko jest w porządku...

— Ja się wcale nie denerwuję. Nie mam nic do ukrycia.

— Oczywiście, oczywiście — rzekł Willburn i wstał. Podeszedł do okna. Hayes obserwował go uważnie.

Willburn popatrzył na niego i obdarzył serdecznym uśmiechem.

— Głowa do góry. Wszystko zaczyna się i kończy na niewinnym wentylatorze...

— No, tak — mruknął Hayes i kropelka potu stoczyła się po jego czole.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł komisarz Garnet. Jego twarz zwiastowała sensację. Już na progu powiedział z triumfem:

— Oto co znalazłem w wentylatorze...

I położył na stole zawiniątko. Hayes zmarszczył brwi, a jego oczy zaczęły biegać niespokojnie. Willburn podeszedł do stołu. Ujrzał mały skórzany woreczek, związany skórzany rzemykiem. Rozplótł rzemyk i wysypał na stół zawartość woreczka. Była to biżuteria. Kilka pierścionków, ciężka złota bransoletka, niewielki, ale piękny rubin

w platynowej oprawie, wreszcie kilka brylantów luzem.

— Jest pan nieostrożny — rzekł Willburn. — Trzymać takie rzeczy w wentylatorze!

Hayes wyjąkał:

— Co to znaczy?

— Jak to? — zdziwił się Willburn. — Pan wydaje się zaskoczony. Czy to nie jest pańska własność?...

Hayes oblizwał wargi, przełknął ślinę.

— Właściwie... — powiedział — właściwie to...

Urwał i patrzył na kosztowności zażawionymi oczyma. Willburn roześmiał się głośno.

I nagle krzyknął:

— Mam tego dość! Bez głupstw, Hayes! Czy to jest pańska biżuteria?

— Nie — rzekł cicho Hayes. — Ale doprawdy...

— Bez wielu słów. Skąd pan to ma?

— Ja nie wiem!

— Pan oszalał!?

— Może rzeczywiście oszalałem — powiedział Hayes martwym głosem. — Nic z tego nie rozumiem.

I nagle wstał, wyprostował się i zaczął mówić gorączkowo, chrapliwie:

— Nie wiem nic o tych kosztownościach. Ja tego nie ukradłem. Przecież gdybym schował ukradzioną biżuterię w wentylatorze, nie wskazywałbym właśnie na wentylator. Jestem zupełnie niewinnym człowiekiem. Ktoś wmieszał mnie w straszną grę... Nie mam z tym nic wspólnego...

— Dość — przerwał Willburn. — Ja dobrze wiem, że pan nie ma z tym nic wspólnego.

Zgadza się w tym punkcie. Powiedział pan to, co właśnie myślałem! Pan jest zaskoczony odkryciem komisarza Garneta. Bardzo pięknie. Niemniej pan ukradł te klejnoty!

— To nieprawda! — krzyknął Hayes.

— To prawda! Włamał się pan do sekretery baronowej Groeck i zabrał schowane tam klejnoty!

— Mój Boże! — zawołał Hayes i usiadł ciężko. Miał zamknięte oczy i nabrzmięte żyły na skroniach. Willburn obserwował go w skupieniu. Rzekł:

— Czas najwyższy złożyć zeznanie, panie Hayes!

Hayes siedział milcząco, nieruchomo i tylko drzenie palców splecionych na brzuchu ujawniało jego wewnętrzne napięcie. Oddychał z trudem, przez nos. Oczy miał ciągle zamknięte, głowę opuszczoną na piersi. Willburn czekał spokojnie. Trwało to przeszło

minutę. Wreszcie Hayes otworzył oczy, spojrzął przed siebie, unikając spojrzenia Willburna. Powiedział cicho:

— A więc dobrze! Jestem gotowy do złożenia zeznań.

— To ładnie z pana strony — rzekł Willburn.

— Zrobiłem głupstwo — oświadczył Hayes nieco spokojniej, wyraźniejszym głosem i odchrząknął. — Zrobiłem wielkie głupstwo. Jestem w kłopotach. To się zdarza.

— Oczywiście — wtrącił Willburn.

— Coś mnie opętało — ciągnął Hayes. — Byłem przyzwoitym człowiekiem. I nagle coś mnie opętało.

— Zdarza się — znowu wtrącił Willburn ciepło, przyjaźnie.

— Baronowa Groeck jest zamożna. Bardzo zamożna... Cóż, stało się. Ukradłem te klejnoty. Szczerze tego żałuję!

— Rozumiem pana, Hayes — rzekł Willburn. — To smutne tak się obnażać przed obcymi ludźmi. W metodach policyjnych jest coś, co przypomina katolicyzm! Taka spowiedź twarzą w twarz. Bardzo nieprzyjemne, ale niestety konieczne. Jeżeli zaszedł pan już tak daleko, to niech pan zrobi jeszcze jeden krok. Proszę nam powiedzieć, jak pan ukradł te klejnoty...

Hayes znowu przymknął oczy, odsapnął i powiedział szybko:

— Wiedziałem, że baronowa trzyma biżuterię w sekreterze. Wziąłem nóż i podważyłem zamek. To było nawet proste. Potem zabrałem kosztowności.

— A nóż?

— Nóż! — powtórzył zaskoczony. I dodał szybko: — Nie pamiętam!

— A może jednak postara się pan przypomnieć sobie, co stało się z nożem — rzekł szorstko Willburn. — To jest dla nas bardzo istotne...

Hayes milczał chwilę, po czym powiedział z wysiłkiem:

— Zdaje się, że ktoś mnie przestraszył wtedy... i wówczas...

— I wówczas...

— Rzuciłem nóż i uciekłem do siebie.

— Gdzie pan rzucił nóż?

— Tego dokładnie nie pamiętam. Może na korytarzu, a może na progu pokoju baronowej.

— Pan ma słabe nerwy, Hayes — rzekł Willburn i wstał. Przeszedł się po salonie, wrócił, zatrzymał się przed Hayesem.

— Miał pan szalone szczęście — powiedział. — Wszystko panu sprzyjało. Niech pan sobie wyobrazi, co za niebywały przypadek. Baronowa, która zawsze trzymała biżuterię w szafie, tego dnia przełożyła ją zapewne do sekretery. Biżuteria, która znalazła się

w pańskich rękach, powędrowała do wentylatora bez pańskiego udziału. Nóż, porzucony przez pana dosłownie w ostatniej chwili — wpadł w ręce mordercy Marii Van. Wynika z tego, że zawsze działał pan w ostatniej niemal chwili i Opatrzność kierowała pańskimi krokami. Bóg czuwa nad panem, Hayes, gdyż ma pan czystą duszę... Jednakże na pańskie nieszczęście w tym kraju nie Bóg układał kodeks karny, ale ci okropni bezbożnicy z pałacu burbońskiego. I co pan powie na to, że kara za kradzież z włamaniem wcale nie jest niższa niż kara za usiłowanie szantażu!

— Nie rozumiem — powiedział Hayes ochryple.

— Powtarzam — rzekł Willburn. — Bóg opuścił pana na krok przed ocaleniem! Pan kiepsko zna przepisy prawne ojczyzny. Wydawało się panu, że za kradzież biżuterii człowiek sobie siedzi trzy, może cztery lata, a za szantaż dłużej! Tymczasem popełnił pan błąd, Hayes.

Hayes był bardzo blady, ale powtórzył:

— Nie rozumiem!

— Ach, jest pan pozbawiony francuskiej błyskotliwości — rzekł wesoło Willburn. — Ponieważ wydawało się panu, że ma prawo wyboru, więc wybrał pan kradzież biżuterii. Ostatecznie można posiedzieć te kilka lat za brylanty pani Groeck. Ale komisarz Garnet nie chce pana zamykać na bulwarze Raspail za kradzież brylantów. Komisarz Garnet jest łaskawy i proponuje panu lepszy interes. Zamiast siedzieć pięć lat za kradzież, której pan nie popełnił — posiedzi pan cztery lata za usiłowanie szantażu.

Hayes siedział bez ruchu i patrzył na Willburna wilgotnymi oczyma. Jego wargi poruszały się bezgłośnie. Zapadło milczenie. Wreszcie Hayes rzekł cicho:

— O co panu chodzi?

— Pan przecież nie ukradł tej biżuterii, Hayes — oświadczył spokojnie Willburn. — Pan włamał się do sekretery i ukradł zupełnie co innego. Chciałbym wiedzieć: co? Poza tym, pan nie zgubił noża na korytarzu. Chciałbym wiedzieć: gdzie? Pan nie schował biżuterii do wentylatora. Chciałbym wiedzieć: kto? Chętnie z panem pogawędzimy. Przecież lepiej rozmawiać w tym salonie, prawda? Te okropne przesłuchania w celi! To budzenie ze snu w środku nocy. Po co panu takie komplikacje, Hayes? Przecież jesteśmy dorosłymi ludźmi...

Hayes z zamkniętymi oczyma, znużonym głosem powiedział:

— Ma pan rację. Powiem całą prawdę.

— Jest pan rozsądny — oświadczył Willburn. — Bóg pana nie opuścił...

Komisarz Garnet roześmiał się cierpko, jego cień zasłonił niemal całe okno.

## ROZDZIAŁ 12

Pani Perret pojawiła się na progu i rzekła:

— Przepraszam.

Przeszła przez pokój miłym, lekkim krokiem i zasłoniła story w oknach. Nagle zapadł mrok, lecz pani Perret nacisnęła kontakt i światło zalało salon.

Wtedy usiadła w fotelu w typowej dla siebie dziecinnej, może niewygodnej pozycji z ramionami opuszczonymi ku dołowi, obejmując kolana splecionymi rękoma. Uśmiechała się łagodnie, ale jej oczy były skupione i poważne.

— Jestem do pana dyspozycji — powiedziała.

Willburn patrzył na nią długo w milczeniu. Była niepozorna, słaba fizycznie, a poza tym nie wchodziła wcale na górę. Czy rzeczywiście? Pani Perret ma umiejętność poruszania się jak kot. Hayes również był przekonany, że w pokoju kredensowym jest zupełnie sam. Kto wie, czy pani Perret naprawdę cały wieczór spędziła w mieszkaniu na dole. Willburn nagle przypomniał sobie zdanie pewnego pisarza o jego bohaterce: „Należała do tych kobiet, które przez długie lata cierpią milcząco, aby u schyłku życia zdobyć się na zbrodnię”.

Oczywiście każdy może zdobyć się na zbrodnię. Wszelako każdym powodują określone przyczyny, jest jakiś motyw, który popycha do przestępstwa. Jakie porachunki mogła mieć pani Perret z Marią Van?

Pytanie raczej spóźnione. Z zeznań Antoniego Hayesa wynika wyraźnie, że to nie ręka pani Perret wyciągnęła się po nóż leżący w pościeli na łóżku. Obecnie znamy cały przebieg wydarzeń, chodzi nam tylko o odkrycie motywów. Pani Perret pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. Jej skłonność do szpiegowania bliźnich może się jednak przydać.

Willburn stwierdził nagle, że odczuwa do pani Perret szczególną niechęć. Nie był z tego zadowolony. Człowiekowi, który szuka prawdy, wszelkie uprzedzenia utrudniają dotarcie do celu.

Pani Perret uśmiechała się łagodnie. Milczała, oczekując pytań.

— Tak więc — powiedział Willburn — była pani przez cały czas na dole tamtego wieczoru...

— Tak — odparła pani Perret. — Poszłam na górę, kiedy usłyszałam krzyk profesora...

— Pani poszła?

— Tak jest...

— A więc poszła, nie pobiegła?

Pani Perret lekko wzruszyła ramionami. Na jej twarzy pojawił się rumieniec.

— Oczywiście, że pobiegłam. Nie dobieram słów podczas rozmowy z panem.

Willburn skinął głową. Wiedział, że kłamała. Oczywiście poszła swoim lekkim, spokojnym, niemal skrzydlatym krokiem. Nie biegła po schodach, lecz stopień po stopniu bezszelestnie weszła na pierwsze piętro. Ten fakt można wytłumaczyć dwojako: albo pani Perret ma mocne nerwy i niczym nie potrafi się przejąć, albo... oczekiwała tego krzyku, była przygotowana na ten krzyk!

— Co pani robiła, kiedy rozległ się krzyk?

— Czytałam książkę — odparła pani Perret natychmiast.

— To się zgadza — rzekł Willburn z uśmiechem. — Czytała pani powieść sensacyjną i była pani właśnie na stronie 34, gdy Duplessis podniósł alarm...

Pani Perret zmarszczyła brwi, jej oczy wyrażały zdumienie.

— Jesteśmy dobrze zorganizowani — powiedział Willburn. — Komisarz Garnet był przecież w pani pokoju natychmiast po przybyciu tutaj. Książka leżała na stoliku przy lampie.

— Tak jest — wtrąciła pani Perret z napięciem.

— Książka była zamknięta — kontynuował Willburn — a zakładka tkwiła na stronie 34...

Pani Perret roześmiała się swobodnie. Jej napięcie minęło.

— To bardzo zabawne — rzekła. — Nie przypuszczałam, że panowie z policji notują nawet takie drobiazgi.

— To nie są drobiazgi — odparł Willburn. — Proszę tylko pomyśleć! Nauczę panią naszej metody rozumowania. Książka została spokojnie zamknięta, nawet włożono między strony zakładkę. Wynika z tego, że nie śpieszyła się pani na górę. Mówiąc: „Poszłam na pierwsze piętro”, mówiła pani prawdę. Właśnie „poszłam”, nie „pobiegłam”!

Pani Perret znowu zarumieniła się, zacięła usta.

— I cóż z tego? — zapytała wyzywającym tonem.

— Płynie stąd wniosek — odparł Willburn powoli — że pani oczekiwała krzyku na górze. Ten krzyk nie był dla pani zaskoczeniem!

— Nonsens — rzekła pani Perret. — Pan się posuwa zbyt daleko.

— Droga pani — oświadczył Willburn chłodno — wiemy o pani niemal wszystko, tak jak i o innych mieszkańcach tego domu. Znamy całą pani przeszłość. Udało się nam przejść pani śladami przez ostatnie dwadzieścia lat. Zapewniam panią, że nie posuwam się zbyt daleko. Mogę zrobić jeszcze niejeden krok naprzód!

Kiedy to mówił, pani Perret zmieniła się na twarzy. Teraz była blada, a jej głębokie oczy stały się niemal granatowe. Kiedy się odezwała, głos jej drżał:



— A więc dobrze! Wiecie o mnie wszystko, ale wiecie też wszystko o innych... Nie mam z tą zbrodnią nic wspólnego. Moja przeszłość należy do mnie, nie do was. Nigdy nie przekroczyłam prawa. To, co robiłam, robiłam na własny rachunek. Nie wolno panu wykorzystywać mojej przeszłości. Nie wolno!

Był to już krzyk. Jej twarz wydała się Willburnowi umęczona, zrozpaczona.

— Nie chcę wykorzystywać pani przeszłości — rzekł nieco łagodniej. — Między nami mówiąc, właśnie ta przeszłość jest pani najlepszą tarczą. Ale chcę znać prawdę. I wydobędę z pani prawdę... — głos jego zabrzmiał groźnie — nawet posługując się brzydkimi metodami.

— Co pan ma na myśli?! — zawołała.

— Policja nie składa się z dżentelmenów — odparł spokojnie, patrząc przed siebie, w ścianę nad jej głową. — Bywają takie chwile, kiedy gotowi jesteśmy uznać, że cel uświęca środki. Jestem z panią szczery.

— To szantaż! — krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

— Tak — powiedział chłodno. — To szantaż! Co więcej, grożąc pani szantażem, jesteśmy w porządku z naszymi sumieniami. Czyż nie, komisarzu Garnet?

Garnet, stojący pod zegarem, zaśmiał się nieszczerze.

— Właśnie! — mówił dalej Willburn. — Zasluguje pani na najgorsze traktowanie, bo pomaga pani mordercy. Czy policja może mieć litość dla współnika zbrodni? Dlaczego wymaga pani od nas wyższego poziomu moralnego? Bronimy interesu społecznego. Zniszczymy panią, jeżeli stanie pani na drodze prawa i sprawiedliwości...

— A czy to będzie sprawiedliwe? — powiedziała cicho pani Perret.

— Nie myślę o tym — odparł żywo Willburn. — Przez cały czas myślę tylko o tej ładnej dziewczynie w wannie, której zabrano życie.

Nagle pochylił się ku pani Perret, położył dłoń na jej dłoni. Pani Perret podniosła oczy. Błyszczały w nich łzy. Willburn powiedział cicho:

— Ta dziewczyna była pani bliższa niż tamci wszyscy! Wiem o tym! Maria Van przypominała pani jej własną młodość... To jest cenne. Dwadzieścia lat temu Paulina Perret też drażniła ustabilizowany, moralny, zasobny świat swoim stylem życia... Paulina Perret była piękna i często zmieniała bogatych kochanków...

— Niech pan przestanie — wyszeptała pani Perret.

— Nie — odparł Willburn i ujął jej rękę w dłonie. — Nie przestanę. Nie jestem kaznodzieją i nie robię pani wyrzutów. To należy do przeszłości... Ale Maria Van zasługiwała przecież na pani współczucie. Nie udało się jej dopłynąć do tej cichej przystani,

o której marzą wszystkie kobiety, takie jak pani i ona... Maria Van także marzyła o przyszłości. Odkładała pieniądze na taki sam skromny, miłutki pensjonat przy ulicy Laos...

Dlaczego pani płacze?

Pani Perret płakała cicho i przejmująco. Willburn delikatnie położył jej rękę na oparciu fotela, wstał i odszedł na środek pokoju. Rzekł:

— Maria Van zasługuje na pani współczucie. Jest pani obowiązana pomóc nam w odkryciu prawdy. Podobny los mógł panią spotkać przed dwudziestu laty. Trzeba, żeby pani o tym pamiętała...

Cisza. Pani Perret siedzi nieruchomo w fotelu, twarz zasłania rękoma. Już nie płacze, ale ciągle milczy. Willburn oschle:

— Proszę powiedzieć wszystko! W przeciwnym razie zniszczymy panią bez litości! Nie za przeszłość, która dla nas jest zupełnie nieistotna, ale za teraźniejszość...

Pani Perret milczy uparcie. Willburn wyjmuje papierośnicę, wyciąga playersa, zapala go i mówi:

— Pani była przedtem na górze, prawda?

Pani Perret potwierdza ruchem głowy.

— W pobliżu łazienki? — pyta Willburn.

Znowu ruch głowy.

— Pani widziała zwłoki?

Ledwie słyszalny szept, jak najlżejszy podmuch wiatru w liściach drzewa:

— Nie...

Willburn zbliża się szybko do fotela, łagodnym ruchem ujmując głowę pani Perret i podniósł ją ku górze. Patrzą sobie w oczy. Willburn:

— Jak to było?

Pani Perret z trudem panuje nad szlochem. Mówi łamiącym się głosem, zrezygnowana, zmiądzona. Nie można uciec przed własnym losem. Nie można uciec od przeszłości. To, o czym chciała zapomnieć od tylu lat, wypływa teraz z całą wyrazistością. Upiory dławią gardło pani Perret. Jednak opowiada. Opowiada, gdyż to jest jej ostatnia szansa ocalenia.

Czytała książkę u siebie w pokoju, ale nie mogła opędzić się od przykrych myśli. Dręczyły ją domysły związane z Hayesem i nożem do żyłowania mięsa. Hayes był człowiekiem wzbudzającym jej podejrzenia. Nie była zadowolona z tajemniczych wizyt, składanych mu przez jegomościa nazwiskiem Martin, którego twarz napawała ją lękiem.

Czytała książkę u siebie, ale ciągle zerkała w stronę oszklonych drzwi do holu. Kilka minut po godzinie dziewiątej wszedł Duplessis, uklonił się i zniknął na schodach. Niemal

zaraz po nim zjawił się Antoni Hayes. On również pozdrowił ją uśmiechem. Szybko wstała i wyszła do holu. Zobaczyła barczystą postać Hayesa na górze, na podeście schodów. Lampa jarzeniowa oświetliła go wyraźnie. Stał przez chwilę niezdecydowany i nagle zbliżył się do pierwszych drzwi na prawo. Były to drzwi do pokoju baronowej.

Pani Perret szybko weszła na schody, aby lepiej obserwować Hayesa. Gdy zniknął w pokoju baronowej, pobiegła na górę i stanęła we wnęce korytarza, między łazienką a pokojem baronowej, ale z drugiej strony. Działo się z nią coś niedobrego. Wiedziała, że Hayes dopuszcza się przestępstwa, ale życzyła mu w duchu sukcesu. Tylko jeden Bóg wie, jak bardzo nienawidziła zawsze baronowej Groeck i jak bardzo się jej obawiała. Baronowa wiedziała o niej wszystko. Znała każdy jej krok od trzydziestu kilku lat. Wiedziała, za jakie pieniądze został kupiony pensjonat przy ulicy Laos.

Ileż razy pani Perret życzyła baronowej Groeck męczącej, strasznej śmierci! Baronowa była ostatnim świadkiem jej burzliwej przeszłości, o której świat już dawno zapomniał i o której sama pani Perret chciała wreszcie zapomnieć. Chciała ze wszystkich sił, lecz było to niemożliwe. Codziennie rano krzyżowały się spojrzenia baronowej Groeck i Pauliny Perret. Baronowa Groeck codziennie rano mówiła z uśmiechem: „Dzień dobry, droga Paulino!”, a pani Perret myślała: „Jestem w jej ręku...” Musiała żyć w zgodzie z baronową. Musiała uśmiechać się do niej, musiała każdego wieczora, od lat, grzać gorącą wodę do butelek w jej łóżku, musiała załatwiać jej drobne sprawunki w sklepach. Baronowa nigdy nie powracała w rozmowach do przeszłości i to właśnie wydawało się pani Perret najgroźniejsze. Ręce baronowej, te tłuste, upierścienione ręce były jak pułapki na myszy, w które dostał się los pani Perret. Najdrobniejszy konflikt z baronową mógł się skończyć dla pani Perret tragicznie.

Dwadzieścia lat temu Paulina Perret żyła zgodnie ze swymi upodobaniami. Była ładna, inteligentna i oszczędna. Miała racjonalne poglądy na życie i nie pozwalała mężczyznom wydawać pieniędzy na stroje i wystawne libacje. Brała od nich po prostu gotówkę i odkładała ją w banku. Ubierała się gustownie, solidnie, ale bez wyszukanej, drogiej elegancji. Nie żywiła odrazy do swoich kochanków. Kiedy przestawali płacić, po prostu wyrzucała ich za drzwi. Czasami było to nawet przykre, ale konieczne i zgodne z ustalonym planem. Kiedy wreszcie nadszedł dzień upragniony i dawno oczekiwany, rozstała się z przyjaciółmi, kupiła pensjonat i pierwszy raz od wielu lat poszła do kościoła. Teraz robiła wszystko, aby zapomnieć o przeszłości. Mogła sobie pozwolić na maniery damy i miała maniery damy.

Jedno słowo baronowej Groeck mogło pogrzebać dwadzieścia lat starań i zabiegów. Pani Perret zawarła więc w duszy milczący sojusz z baronową, polegający na układnej uległości. W gruncie rzeczy uważała to za pakt z diabłem, ale musiała nieść to brzemię do końca.

Stojąc w niszy korytarza, myślała o tym z wściekłością. Była bezbronna wobec tej kobiety, która mogła wedle własnej woli decydować o jej pozycji i bycie. I dlatego nieruchomo stała w niszy, oczekując rozwoju wydarzeń. Włamywacz Hayes był jej stokroć bliższy, niż okradana baronowa Groeck.

Właśnie wtedy usłyszała ostrą wymianę zdań w łazience. Spojrzała w tamtą stronę i w mroku zobaczyła Duplessisa, który skradając się na palcach przesuwał się obok drzwi łazienki do swego pokoju. To ją rozbawiło. Stary, szanowany profesor, który podgląda kąpiącą się Marię przez dziurkę od klucza. „Zuzanna i starcy”.

Po chwili Duplessis znikł w swoim pokoju. Było zupełnie cicho, Hayes widocznie miał wprawę w drobnych kradzieżach. Słuchała uważnie. Dobiegł ją podniesiony głos baronowej. Nie uchwyciła sensu słów, ale była w nich groźba. Chciała podejść bliżej, gdy wtem drzwi od łazienki otworzyły się i baronowa wyszła na korytarz.

Pani Perret zdrętwiała z przerażenia. Baronowa minęła ją szybko i weszła do siebie, zapalając światło. Pani Perret pomyślała, że teraz wybuchnie skandal. Baronowa stanie oko w oko z Hayesem, który ją okrada.

Cisza. Jakiś szelest w pokoju baronowej, jęk sprężyn w łóżku i znowu cisza. To było niepojęte. A więc baronowa nie jest zaskoczona obecnością Hayesa w pokoju? A więc Hayes nie jest zaskoczony pojawieniem się baronowej?

Pani Perret stała w niszy i myślała intensywnie. Czyżby? Czy rzeczywiście los włożył jej do ręki niezawodną broń przeciwko pani Groeck? Widocznie sam Bóg chce, aby pani Perret została uzbrojona na wypadek ataku. Odetchnęła z ulgą. A więc to tak! A więc pani baronowa Groeck, ta matrona o nieskazitelnych obyczajach, która od czasu swego słynnego rozwodu udawała, że żyje jak zakonnica — ma kochanka! Stary, łysy Hayes, człowiek o podejrzanej przeszłości, jest wybrańcem serca pani baronowej.

Pani Perret poczuła się nagle lekka i szczęśliwa. Teraz wreszcie uwolniła się od zmory lęku. Baronowa przestaje być groźna. Pułapka zaczyna działać dwustronnie.

Plusk wody z łazienki. Cichy płacz z pokoju baronowej. Pani Perret znowu czuje się niepewna. Wszystko dzieje się tak, jakby baronowa po prostu nie zauważyła obecności Hayesa. Czy to możliwe? W pokoju pali się światło, a przecież Hayes to nie szpilka.

Drzwi uchylają się nagle, na progu staje baronowa w wiśniowym płaszczu kąpielowym. Coś zamigotało w jej prawej dłoni.

Baronowa idzie szybkim krokiem w stronę łazienki. Kiedy przechodzi obok wnęki, pani Perret dostrzega jej szeroko otwarte, oszalałe oczy.

Skrzyp drzwi wiodących do łazienki. Smuga światła na kokosowym chodniku. Pani Perret

stoi jak skamieniała. Dochodzą ją z różnych stron dźwięki, których nie rozumie, których nie chce zrozumieć.

Z łazienki śmiech Marii, cichy, dobitny, szyderczy. Z pokoju baronowej uderzenie. Z łazienki głos baronowej, wibrujący, niemal piskliwy. Z pokoju suchy trzask łamiącego się drzewa. Z łazienki plusk wody i śmiech. Z pokoju szybkie kroki.

Na korytarzu pojawia się Hayes. Niemał biegnie. Jego twarz jest spocona, lśni wilgocią.

Kroki Hayesa w głębi korytarza. Słowo z łazienki: „Zabiję!” Trzask otwieranych drzwi w pokoju Hayesa. Głośny plusk wody w łazience. Trzask zamykanych drzwi w pokoju Hayesa. Smuga światła na kokosowym chodniku rozszerza się, staje w niej baronowa. Wygląda jak człowiek umarły.

Pani Perret odzyskuje siły i odrobinę rozsądku. Jeżeli zostanie tutaj, w niszy — grozi jej zdemaskowanie. Nie wie, co się wydarzyło, ale podejrzewa coś strasznego. Nie wolno jej pozostać na miejscu, za żadną cenę.

Pani Perret szybko przesuwa się wzdłuż ściany w kierunku schodów. Nie patrzy już teraz na baronową. Pani Perret ma przed oczyma jasny snop światła spływającego z lampy jarzeniowej nad schodami. Wszystkie jej myśli związane są z tą lampą. Czy uda się jej prześliznąć niezauważenie. To tylko dwa kroki, ale za plecami czuje niebezpieczeństwo.

Pani Perret dotyka dłonią poręczy schodów. W tym momencie słyszy za plecami odgłos otwieranych drzwi i mimo lęku odwraca się szybko.

Nie widzi baronowej, zapewne baronowa cofnęła się za próg łazienki. Widzi Hayesa, który wielkimi krokami, w płaszczu kąpielowym, przemierza korytarz. Pani Perret jednym skokiem jest na schodach. Całym ciałem łągnie do chłodnej ściany. Hayes znika na moment w pokoju baronowej, natychmiast ukazuje się z powrotem. Odchodzi szybko do siebie.

Pani Perret widzi teraz, sama niewidoczna dla nikogo z korytarza — postać w wiśniowym szlafroku, która wychodzi wreszcie z łazienki. To baronowa. Chwiejnym krokiem idzie ku schodom.

Pani Perret zbiega kilka stopni niżej. Nie widzi już teraz nic, ale słyszy wszystko dokładnie. Każdy szelest chłonie całym ciałem.

Stąpienie baronowej na kokosowym chodniku. Cisza. Trzask drzwi. Cisza. Męskie kroki daleko, w głębi. Cisza. Trzask drzwi. Trzask drzwi. Cisza. Skrzyp drzwi, lekki, ledwie słyszalny. Jakieś słowo, którego niepodobna zrozumieć, krótkie słowo wypowiedziane głosem, którego niepodobna rozpoznać. Trzask drzwi. Cisza. Kroki. Skrzyp drzwi ledwie uchwytny. Kroki w głębi. Głos, zapewne Hayesa. Głos, zapewne Duplessisa. Cisza. Znowu trzask drzwi, jeden po drugim, bliżej i nieco dalej. Długa, męcząca cisza. Krzyk pana

Duplessis: „Maria Van nie żyje!”

Pan Duplessis pojawia się w górze schodów, pani Perret już wchodzi z powrotem. To wszystko!

— Dziękuję pani — powiada Willburn.

Jest zamyślony, stoi na środku salonu, pod żyrandolem. Wygląda teraz staro, oczy ma zaczerwienione, zmarszczki na czole i wokoło ust. Pani Perret utkwiała w nim spojrzenie pełne niepokoju. Mówi:

— Wiem, o co pan teraz zapyta. Dlaczego nie powiedziałam tego wszystkiego natychmiast? Ach, Boże... Niechże pan zrozumie moją sytuację. Bałam się tej kobiety. To oskarżenie nie mogło wyjść ode mnie. Cóż z tego, że ona zostanie skazana. Ona może mnie przedtem zniszczyć... Na procesie musiałabym zeznać wszystko dokładnie. Umiąaby się bronić przede mną. Powiedziałyby wszystko, co wie! Tysiące ludzi czyta relacje z sądu... Nie zależy mi na jej życiu. Zależy mi na własnym życiu...

Pani Perret mówi to wszystko głosem zboliałym, z trudem wydiera słowa z piersi. Jej oczy błagalnie patrzą na Willburna. Pani Perret mówi dalej:

— Skierowałam wasze podejrzenia w jej stronę. Uważałam, że tak trzeba. Ale nie mogłam otwarcie przyznać się do tego, co wiem, co widziałam. Ona może mnie zmiażdżyć siedząc na ławie oskarżonych. Błagam pana... Niech pan nie żąda ode mnie publicznych zeznań. Ona nie może się dowiedzieć o tym, o czym teraz mówimy...

Willburn milczy, jest zasluchany we własne myśli, słowa pani Perret nie docierają do niego. Pani Perret widzi to, czuje to, rozumie to. Jest przerażona... Powtarza gorączkowo swoją prośbę, niemal woła:

— Macie ją teraz. Weźcie ją sobie. Zasłużyła na to! Ale pozwólcie mi żyć! Nie mogę stracić tego wszystkiego, co stworzyłam i chroniałam przez całe lata upokorzeń i strachu. Nie wolno wam mnie niszczyć...

— Tak, tak, oczywiście — powiada Willburn automatycznie i dalej patrzy przed siebie. Prześladowuje go pewien motyw, pewien dźwięk, który nagle wdarł się w melodię całej sprawy i brzmi fałszywie. A może brzmi jak wielkie odkrycie?

## ROZDZIAŁ 13

Garnet był mile zdziwiony, gdy Willburn po wyjściu z salonu pani Perret powiedział niedbale:

— Myślę, że możemy sobie stąd pójść!

Garnet o niczym innym nie marzył. Rola, którą sam dla siebie wybrał, irytowała go. Już drugi dzień od rana do zmierzchu tkwił w tym salonie pod ścianą jako niemy świadek nużących rozmów. Znał każdy skrawek ściany i każdą klepkę połyskliwej posadzki. Przestudiował wszystkie wzory na dywanie i umiał niemal na pamięć tytuły wszystkich książek w szafie bibliotecznej.

Pytania Willburna, które tutaj padały, pozbawione były w ocenie Garneta dynamiki i drapieżności, jaka powinna cechować pytania doświadczonego funkcjonariusza na wysokim policyjnym szczeblu. Miały w sobie coś powolnego, niesłuchanie żmudnego i usypiającego. Nie był to ogień nękający nieprzyjaciela od czoła, lecz poszukiwanie celu ciągle w tym samym miejscu, ciągle bez skutku.

Z drugiej jednak strony Garnet przyznawał, że metoda, pozornie pozbawiona efektu, przyniosła zaskakujące rezultaty. Godzina po godzinie odpadały od sprawy nieważne uwagi, błahostki, fałszywe akcenty. Powoli wyłaniała się konstrukcja, niepełna jeszcze, ale coraz wyraźniejsza. Garnet uznał, że metoda Willburna polega na rozbieraniu prawdy, tak jak się rozbiera kobietę. Wszystko jest nieważne, poza samą nagością. Gdy zostali sami w salonie, powiedział to Willburnowi.

Willburn roześmiał się i odparł:

— Francuzi wszystko zawsze sprowadzają do jednego mianownika. Naga kobieta jest jak wytrych w waszych rękach: pasuje do wszystkich drzwi.

Willburn śmiał się, ale Garnet dostrzegł znużenie w jego oczach. Zapytał:

— Daruje pan sobie na dzisiaj Duplessisa i tego smarkacza?

— Tak — odparł Willburn. — Niewiele mogą mi powiedzieć. Chodźmy stąd!

Gdy wychodzili, pani Perret pożegnała ich błagalnym spojrzeniem. Garnet przesłał jej pokrzepiający uśmiech.

Było już ciemno, wiał ciepły, ale silny wiatr. Na bulwarze Grenelle wstąpili do małej restauracyjki i wypili po szklance *citron-pressé*. Właśnie tam Willburn powiedział z żalem:

— Hayes jest życiowym niedołęgą. Doprawdy nie rozumiem, jak można ukraść cenne listy i wcale ich nie przeczytać.

— Hayes na pewno chciał je przeczytać, ale morderstwo pokrzyżowało mu szyki. Uznał, że powinien możliwie najszybciej pozbyć się kompromitującego materiału i dlatego oddał listy Martinowi...

— Czy pan ma nadzieję, że uda się wam schwytać tego Martina możliwie szybko? Garnet wzruszył ramionami.

— To doprawdy drobiazg — odparł. — Martin należy do elity przestępczej. Jutro rano będzie go pan miał w brygadzie kryminalnej.

— Doskonale — rzekł Willburn. — Mam nadzieję, że treść tych listów może być wskazówką w labiryncie, którym wędrujemy.

Garnet zachnął się.

— Nie rozumiem, panie nadinspektorze — powiedział — co tutaj jest jeszcze tajemniczego... Sprawa wydaje się dostatecznie jasna.

— Tak pan sądzi? — odparł Willburn i uniósł brwi. — Wobec tego chciałbym wysłuchać pańskiej opinii.

Garnet wypił *citron-pressé*, skrzywił się i powiedział:

— Zeznanie kochanej Perret rozwiało wszelkie wątpliwości. Myślę, że baronowa Groeck nie będzie mogła się obronić.

— Przed czym? — zapytał Willburn.

Garnet znowu się skrzywił. Nie lubił absurdalnych pytań.

— Przed oskarżeniem o morderstwo, oczywiście — odpowiedział.

Willburn milczał przez chwilę, po czym rzekł:

— To nie jest takie proste, komisarzu Garnet. I pan dobrze o tym wie. Nie oszukujmy się. Zeznanie pani Perret ma wątpliwą wartość.

— Dlaczego? — przerwał Garnet.

— Każde zeznanie ma wątpliwą wartość, a szczególnie zeznanie podyktowane nienawiścią. Ale przyjmując nawet, że pani Perret mówi prawdę, jej słowa przecież nie są decydujące. Czy sąd wyda wyrok, opierając się na jednym zeznaniu świadka, który wprawdzie widział dużo, ale nie wszystko?

— To jest bardzo obciążające zeznanie — odparł Garnet.

— Tak. Ma pan rację. Ale to zeznanie nie wyjaśnia całej zagadki. Na rękojęści noża pozostały ślady palców Filipa Bendina.

— To prawda — rzekł Garnet i zasępił się.

— To nie wszystko — kontynuował Willburn. — Tak czy inaczej sprawa morderstwa jest ściśle związana z kradzieżą kosztowności. Musimy odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób



bizuteria baronowej Groeck znalazła się w wentylatorze w pokoju Hayesa. A poza tym...

Przerwał i zamyślił się. Garnet obserwował go uważnie. Zdawał sobie sprawę z faktu, że Anglik ma rację. Byli jeszcze daleko od celu. Te przekłete ślady palców Filipa Bendina komplikowały wszystko. Garnet buntował się przeciwko myśli, że właśnie Filip, ten miły, ładny chłopiec, jest zabójcą Marii Van. Głupi, zakochany po uszy smarkacz, nic więcej! Jakaś silna i zręczna ręka wmieszała go w ten dramat. Czy Willburn rzeczywiście podejrzewa Filipa? Garnet pomyślał nagle, że to przecież zupełnie naturalne. Filip musiał dotykać noża, inaczej trzeba by uwierzyć w cud. Powiedział głośno:

— Bendin nie wychodził wcale z pokoju.

— Właśnie — odparł Willburn. — Właśnie to jest najbardziej dziwne.

— Ale wobec tego — rzekł znowu Garnet w zamyśleniu — jak wytłumaczyć te ślady?

Przyjmując, że Filip zostawił je wcześniej, powiedzmy poprzedniego dnia, nie znajdziemy wyjaśnienia w ogóle.

— Dlaczego? — zapytał Willburn, myśląc o czym innym.

— Dlatego, że potem i Hayes, i baronowa dotykali tego noża. Nawet gdyby dotykali noża w rękawiczkach, ślady Filipa zostałyby zatarte.

— Zapewne — odparł Willburn.

Patrzył w lustro przed sobą. Widział swoje odbicie, a obok twarz Garneta ocienioną kapeluszem. Światło lamp raziło go w oczy.

— Chciałbym mieć tego Martina — rzekł. — Wydaje mi się, że listy mają decydujące znaczenie.

— Przejdźmy się — powiedział nagle Garnet.

Na bulwarze Grenelle było pusto. Wiatr wydymał markizy nad sklepami.

Szli równym, spokojnym krokiem w stronę Ecole Militaire. Nad Polem Marsowym unosiła się poświata reflektorów i neonów. W pewnej chwili Willburn powiedział cicho:

— Chciałbym wiedzieć, czy pani Perret ma rzeczywiście dobry słuch.

Garnet spojrzał na niego uważnie, z odrobiną szyderstwa.

— Czy to ma decydujące znaczenie?

— Nie wiem — odparł Willburn. — Każdy ich czyn jest wieloznaczny. Każde ich słowo ma podwójne dno. Nikomu nie wierzę wprost. Mamy worek żyta, które trzeba wyczyścić. Oddzielić ziarno od plew.

— Obawiam się, że pan trochę komplikuje sprawę — powiedział Garnet. — Może jestem w błędzie, ale uważam, że zawsze trzeba opracować koncepcję. Trzeba ustalić zasadnicze fakty i potem...

— Jakie fakty? — przerwał Willburn niegrzecznie. — Gdzie pan je ma?

— Nie przesadzajmy — odparł Garnet, siląc się na ton przyjazny. — Zeznanie pani Perret jest dość znamienne.

— Skąd się w panu bierze ta niezachwiana wiara w słowa pani Perret? Dlaczego właśnie pani Perret ma mówić prawdę, a inni mają kłamać?!

— Ktoś przecież na pewno mówi prawdę — odpowiedział Garnet chłodno.

— Tak! Ale kto? A poza tym, czy rzeczywiście prawda jest tak bardzo nieodzowna? Może zabili ją wszyscy razem?

— Ależ pan w to nie wierzy! — zawołał Garnet.

— Oczywiście, że nie! W nic nie wierzę! Wiem na pewno, że Maria Van została zamordowana między dziewiątą a dziewiątą trzydzieści. Wiem, że Hayes zabrał nóż. Wiem, że włamał się do sekretery baronowej. Wiem, że baronowa wzięła nóż ze swego pokoju i weszła do łazienki z zamiarem pozbawienia życia Marii Van. Wiem, że Bendin zostawił ślady palców na rękojeści noża. Wiem, że Duplessis kłamie. Wiem, że baronowa kłamie. Wiem, że Hayes powiedział całą prawdę. Wiem, że listy są w posiadaniu Martina... — Przerwał i wzruszył ramionami. — To wszystko, co wiem.

— To bardzo wiele — rzekł Garnet. — Wystarczy, żeby sporządzić akt oskarżenia. Willburn roześmiał się cierpko.

— O, tak — powiedział. — Oskarżenie jest najłatwiejszą rzeczą na świecie. Ale dowód jest nieco trudniejszy.

— Mamy zeznanie dwóch świadków, którzy widzieli, jak baronowa Groeck weszła do łazienki z nożem — oświadczył Garnet.

— Zeznanie złodzieja i szantażysty oraz zeznanie bylelej prostytutki.

Teraz Garnet wzruszył ramionami.

— To przecież nie ma znaczenia.

— Może u was nie ma znaczenia — odparł agresywnie Willburn. — U nas takie zeznanie nie przedstawia żadnej wartości. Nasze sądy nie dają wiary osobom, których postawa moralna pozostawia tak wiele do życzenia!

Nagle dodał łagodniej.

— Niech pan się nie gniewa, Garnet! Jestem bardzo zmęczony. Może po prostu nie nadaję się do waszej atmosfery i tylko utrudniam panu zadanie.

Garnet stanął, ujął Willburna delikatnie za ramię.

— Chce się pan teraz wycofać? — W jego słowach brzmiało rozczarowanie i odrobina lęku.

— Nie — odparł Willburn łagodnie i wyswobodził ramię. — Chcę tylko podkreślić, że mam własne metody. Jestem trochę *old fashioned*. Błądzą, bo nie jestem u siebie w domu. Francuzi kłamią inaczej niż Anglicy. W waszych kłamstwach jest więcej finezji, ozdobników, dwuznacznych słów, ale mniej zdecydowania.

Garnet zaczął się cicho i wesoło śmiać. Skręcili teraz w Motte–Picquet, gdzie było jaśniej, ludniej i wiatr mniej dokuczał. Wysoka brunetka w futrze i fiołkowym kapelusiku minęła ich szybkim krokiem. Obejrzeni się obaj, zachwyceni jej urodą. Kołysała się w biodrach, szczupła, efektowna, pewna siebie.

Garnet powiedział:

— Może pojedziemy na Pigalle?

— O, nie — odrzekł szybko Willburn. — Na to zawsze byłem za stary.

I właśnie, gdy mówił te słowa, zobaczył przed oczyma diabła. Zatrzymał się na środku chodnika, zacisnął powieki. Czuł zamęt w głowie i przez moment bał się, że straci równowagę.

— Chwileczkę — wyszeptał w obawie, by Garnet nie spłoszył jego myśli.

Garnet patrzył na niego zdumiony, zażenowany.

Zasłabł — przemknęło mu przez głowę. Ale rychło odrzucił tę myśl. Willburn stał prosto, oczy miał zamknięte, głowę opuszczoną na piersi. Trwało to może sekundę, może dwie.

— Proszę o nic nie pytać — powiedział Willburn bardzo cicho. — Przeżyłem zupełnie niezwykły moment. To było coś olśniewającego...

Garnet zmarszczył brwi, ale ujął go pod ramię.

— Odprowadzę pana — powiedział. — Powinien się pan położyć...

Willburn otworzył oczy, spojrział w twarz Garneta.

— Nie czuję się wcale źle — oświadczył silnym głosem. — Po prostu nagle zrozumiałem pewne rzeczy. Nie jestem oczywiście jasnowidzem, ale...

Przerwał i roześmiał się głośno. Ten śmiech zabrzmiał w uszach Garneta zdumiewająco młodo. Szli teraz szybciej, Willburn nagle nabrał energii. Mówił z pozornym spokojem, ale Garnet wyczuł w jego tonie podniecenie:

— Mam czasem takie momenty w życiu. Widzi pan, w głębi każdego człowieka siedzi taki krasnoludek, który intensywnie myśli za niego. I zupełnie niespodziewanie krasnoludek zaczyna krzyczeć wielkim głosem. To jest zaskakujące. To jest wspaniałe...

Szli dalej milcząc, Willburn z uśmiechem na ustach, Garnet strapiiony i zaciekawiony. Minęli masyw Ecole Militaire, weszli w rozjarzone neonami skrzyżowanie Motte–Picquet i alei Bosquet. Wtedy Willburn powiedział:

— Niech pan wydobędzie spod ziemi tego Martina do jutra rana. Zaczynam odczuwać wielki szacunek dla uszu pani Perret. Ta kobieta ma słuch jak zając i nawet nie ma pojęcia, co takiego usłyszała.

Zaczął się głośno śmiać, a gdy przechodzili przez jezdnię, dodał:

— A to przecież zwykła arytmetyka, najprostsze działanie arytmetyczne...

Garnet był już trochę zirytowany. Powiedział:

— O czym pan właściwie mówi?

Willburn położył palec na ustach.

— Nic nie powiem, Garnet. Nic nie powiem! Na razie mam jedno ogniwo w ręku. Wszystko może się okazać zupełnym absurdem. Niech mi pan pozwoli milczeć jeszcze przez tę jedną noc.

— Ależ oczywiście — odparł Garnet z tłumioną złością.

Rozstali się przed hotelikiem przy ulicy Cler. Willburn nie zauważył nawet, że Garnet z trudem panuje nad swoim złym humorem.

— A więc do jutra — rzekł wesoło. — Niech pan pamięta o tym Martinie!

Garnet skinął głową, dotknął palcami róna kapelusza, odwrócił się i odszedł.

Willburn patrzył za nim z uśmiechem, a gdy zniknął mu z oczu, wszedł do holu. Wchodząc po schodach do siebie, zawołał w stronę portiera:

— Czy mógłby pan przynieść mi do pokoju filiżankę mocnej kawy?

Portier odparł:

— Oczywiście, *monsieur*.

## ROZDZIAŁ 14

Garnet powiedział ze złością:

— Martin przepadł! Przed północą widziano go, jak wsiadał do marsylskiego ekspresu. Nie będziemy mieli go wcześniej, jak dzisiaj późnym wieczorem.

Willburn machnął ręką.

— Ostatecznie możemy poczekać — rzekł i usiadł wygodnie w fotelu. Garnet zauważył, że Anglik jest niewyspany. Miał opuchnięte powieki i zaczerwienione oczy. Dwie głębokie bruzdy biegły ku dołowi od kącików ust.

— Nie wypoczął pan w nocy — rzekł Garnet.

— Nie — odparł Willburn. — Od chwili przyjazdu do Paryża nie zmrużyłem oka. Mam jednak nadzieję, że dzisiaj będę spał mocno i zdrowo.

Roześmiał się krótko i z pewną złośliwością.

Siedzieli teraz naprzeciw siebie w głębokich, miękkich fotelach w salonie, który powoli stawał się dla Garneta niemal obsesją. Była godzina dziesiąta czterdzieści rano.

Postaram się działać możliwie szybko — powiedział — Willburn. — Zależy mi na szybkim zakończeniu tej sprawy. Chciałbym prosić pana o pomoc.

— Oczywiście — rzekł Garnet.

— Czy mógłby pan regulować tutaj ruch przez jakiś czas?

Garnet uśmiechnął się.

— Nie bardzo rozumiem...

— Chcę narzucić tempo. Będę jeszcze raz rozmawiał ze wszystkimi, ale niejako systemem egzaminacyjnym. Jedno, dwa pytania i przerwa. Następny. Potem znowu jedno, dwa pytania i znowu przerwa... Pan pojmuje?

— Tak — odpowiedział Garnet. — Chodzi panu o to, aby to szybko się odbywało. Bez straty czasu.

— Otóż to — przytaknął Willburn. — Najważniejsze będzie tempo!

Garnet znowu się uśmiechnął i wstał z fotela.

— Jaką ustala pan kolejność?

— Nie wiem. To będzie zależało od poszczególnych odpowiedzi. Na razie niech pan tutaj zaprosi baronową Groeck. Jej wizyta potrwa nieco dłużej!

Garnet wyszedł natychmiast. Willburn spojrział na zegar, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko. Kiedy weszła baronowa, powitał ją uśmiechem.

— Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje? — powiedział.

— Tak — odparła zdawkowo. Stała na progu w ciemnej sukni i szalu zarzuconym na ramiona. — Męczy mnie pan — rzekła po chwili. — Kiedy wreszcie będzie koniec z tym wszystkim...

— Dzisiaj — odparł Willburn. — Proszę usiąść wygodnie.

— Nie sędzę, aby to było konieczne!

— Jak pani uważa — powiedział i sam usiadł w fotelu. — Tylko kilka pytań, pani baronowo!

— Kiedy wreszcie mnie pan oskarży?! — zawołała agresywnie. Jej oczy były gniewne, cała twarz wyrażała niezadowolenie. — Mam tego dosyć. Ustawiczne pytania, które do niczego nie prowadzą.

— Nie postawię pani w stan oskarżenia — odrzekł spokojnie. — Chodzi mi tylko o kilka uczciwych odpowiedzi. Jak pani trzymała ten nóż?

— Co za nonsens! — krzyknęła i postąpiła krok naprzód.

— Pytam, jak pani trzymała nóż? To przecież nie jest nonsens. Pani dobrze o tym wie, baronowo Groeck!

Oparła się o poręcz fotela i milczała. Patrzył na nią z wyrazem zadowolenia na twarzy i mówił cicho:

— Nóż leżał na łóżku, prawda?! Wzięła go pani do prawej ręki i poszła do łazienki. Maria Van pluskała się w wodzie. Była pani tak podniecona, że nie zauważyła wcale świadka tego wydarzenia...

— Duplessis — wyszeptła baronowa i nagle ledwie dostrzegalny uśmiech wypłynął jej na wargi. — A więc widział i chciał mnie bronić...

Willburn udał, że nie słyszy tego szeptu. Powiedział głośno:

— Jak pani trzymała nóż?

Przymknęła oczy i zaraz otworzyła je szeroko, jak człowiek zbudzony ze snu. Na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności, niemal dzieciennego zażenowania.

— Ach, czy ja wiem — powiedziała z wahaniem. — Tak zupełnie zwyczajnie...

Nagle stała się młodsza, patrzyła spokojnie, jasny płomyk rozświetlał jej oczy blaskiem. Była teraz nawet ładna wzniosłą urodą, która już przekwitła, ale nie zamierza się bronić przed nieubłaganym czasem. Na policzkach ukazały się nikle rumieńce, na usta wypłynął zrezygowany, smutny uśmiech.

Willburn obserwował jej przemianę czujnie, z uczuciem przygnębienia i żalu. Oddalała się teraz od niego, była już poza zasięgiem jego pytań, zapatrzona w siebie, zasluchana w swoje

myśli i wspomnienia.

Wstał, wyprostował się i powiedział z naciskiem, aby wyzwolić się z uczucia niemocy, jakie nim owładnęło:

— Niech pani pokaże, jak pani trzymała nóż...

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. A potem wzięła w prawą dłoń metalowy nóż do rozcinania papieru, który leżał na stoliku, zacisnęła na nim palce, trzymała w nieruchomej ręce przez chwilę i wreszcie wypuściła bezwładnie.

Upadł z brzękiem na stół.

Willburn nie patrzył na jej dłoń, ale na jej twarz. Była to twarz nieobecna, zamyślona, rozjaśniona wewnętrznym, łagodnym światłem.

— I ugodziła pani Marię Van prosto w serce — rzekł cicho. Baronowa Groeck, patrząc ciągle przed siebie, na niewidzialny przedmiot nad jego głową, odparła spokojnie.

— Tak. Prosto w serce.

Miał ochotę parsknąć śmiechem w tę jej zadumaną, ładną, starą twarz, ale opanował się i tylko wzruszył ramionami.

— Dlaczego — rzekł z niechęcią — nie powiedziała pani całej prawdy podczas naszej pierwszej rozmowy? Na co pani liczyła?

Milczała, stojąc nieruchomo przed nim i patrząc prosto przed siebie, z umęczonym, ale łagodnym uśmiechem na ustach. I właśnie wtedy zapytał takim samym niechętnym, zrezygnowanym tonem:

— Gdzie pani położyła nóż?

— Na krawędzi wanny — odparła cicho.

Nagle zachwiała się. Znowu była starą, otyłą baronową Groeck, brzydką kobietą o podwójnym podbródku i tłustej cerze. Tylko oczy miała ciemne z gniewu i pasji. Wyciągnęła rękę i chwyciła Willburna za klapę marynarki.

— Jest pan oszustem! — zawołała ochryplym głosem. — Wstrętnym oszustem. Powiedziałam panu prawdę! Tak, zabiłam ją! Zabiłam ją z nienawiści. To już wszystko. Niczego więcej nie powiem!

Zabrakło jej tchu, dyszała ciężko, w kącikach ust osiadła spieniona ślina.

— Niech się pani uspokoi — rzekł Willburn, zdejmując siłą jej rękę. — Oczywiście, że to pani zabiła Marię Van. Proszę teraz odejść do siebie i czekać na przyście komisarza z nakazem aresztowania.

Stała oszołomiona, cała drżąca, patrzyła na niego oniemiała. Po chwili odwróciła się i niepewnie odeszła w stronę drzwi. Kiedy była już na progu, Willburn rzekł surowo:

— Niech pani nie próbuje uciekać! To tylko pogorszy sprawę...

Wyszła bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi. Willburn patrzył za nią przez chwilę, a potem szybko wyszedł do holu. Garnet siedział tam samotnie i palił papierosa. Baronowa zniknęła właśnie na schodach wiodących na piętro.

— Duplessisa! — rzekł Willburn. — Ale szybko!

Garnet wstał i odparł:

— W porządku. Zaraz ich tutaj zgromadzę. Nie chce mi się łączyć tam i z powrotem na górę...

— Zgoda — powiedział Willburn. — Ale baronową niech pan zostawi w spokoju.

Po chwili znowu siedział w fotelu przy oknie. Kiedy wszedł Duplessis, podniósł się, aby go przywitać.

— Mamy mało czasu, profesorze! Domagam się odpowiedzi na kilka pytań.

— Oczywiście — odparł Duplessis niepewnie.

— Wiem, że pan niczego nie widział wtedy, na tym przeklętym korytarzu. Ale wiem, że pan coś słyszał...

— Ależ... — wtrącił profesor.

— Niech pan mi nie przerywa. Pani Groeck przyznała się do morderstwa. Nie ma powodu, aby pan nadal milczał. Wszystko jest jasne.

Duplessis zbladł. Powiedział z trudem:

— Jestem wstrząśnięty... To wprost nie do wiary!

— Ja też jestem wstrząśnięty. — Willburn mówił tonem suchym, niemal niegrzecznie. — To rzeczywiście nie do wiary, ale pan przecież od pierwszej chwili ją podejrzewał... Niech pan nie zaprzecza. Ta historia z paczką papierosów jest dostatecznie wymowna. Postąpił pan jak dżentelmen i jednocześnie jak sztubak. Nie wolno osłaniać morderców!

Duplessis poruszał bladymi wargami, lewa powieka drżała mu nerwowo.

— A więc — rzekł Willburn — niechże pan wreszcie mówi!

Stary profesor przełknął ślinę, rozłożył ramiona bezradnym gestem.

— Doprawdy — wyjąkał. — Słyszałem bardzo niewiele... Mówiły o brylantach.

— Co takiego mówiły o brylantach?

— Maria Van zapewniała baronową, że wszystko będzie załatwione. Powiedziała: „Ja to wszystko załatwię” czy coś podobnego... Maria Van była bardzo zirytowana, wybuchła obraźliwym śmiechem.

— Tak, tak — przerwał Willburn. — Z powodu obraźliwego śmiechu nie zabija się człowieka. Co mówiła baronowa?



Duplessis starał się skupić, marszczył brwi, ale nie mógł zapanować nad nerwami. Jego kościste, blade dłonie wykonywały chaotyczne ruchy w powietrzu.

— Nie podsłuchiwałem, panie inspektorze — powiedział wreszcie. — Nie pamiętam słów, ale baronowa mówiła tonem bardzo podnieconym. Nie panowała nad sobą!

— Pan jej bez przerwy broni — przerwał ostro Willburn. — To rola adwokata, nie pana. Mnie chodzi o fakty: Co pan słyszał? Szybko!

— Ach — jęknął Duplessis. — To było straszne. Baronowa mówiła coś o ostatnim papierosie w życiu Marii Van. Powiedziała, że nigdy jej nie daruje... Ale jak sądzę, nie miała na myśli brylantów.

— A co?

— Nie wiem... Nie mam pojęcia.

— Z czego pan wnosi, że nie chodziło o brylanty?

— Usłyszałem imię „Filip”!

— Kto je wymówił?

— Nie wiem. Może baronowa, może Maria Van. Nie mam pojęcia.

— Co łączyło baronową z Filipem Bendinem, panie profesorze?

Duplessis zachnął się. Jego oczy wyrażały niesmak i oburzenie.

— Ależ to brednie! — krzyknął z nagłą energią. — Nic ich nie łączyło!

— Pan jest nielogiczny — odparł zimno Willburn. — Sam pan przed chwilą powiedział, że padło w rozmowie jego imię. Sam pan powiedział, że nie brylanty były ważne, lecz właśnie Filip... A więc? Co łączyło tych dwoje?!

— To oszczerstwo — wyjąkał Duplessis. — Nic z tego nie rozumiem. Może źle usłyszałem. Jestem stary, mam słaby słuch.

— Dziękuję — uciął Willburn. — Może pan odejść. To wszystko.

Duplessis wyszedł natychmiast. Na progu pojawił się Garnet.

— Czy Bendin jest tutaj? — zapytał Willburn.

Garnet skinął głową i odwracając się w stronę holu, rzekł:

— Panie Bendin. Proszę wejść.

Filip Bendin stanął na progu. Był w jasnym, popielatym garniturze. Patrzył na Willburna melancholijnie, miał bladą cerę i cienie pod oczyma.

— Panie Bendin — zapytał Willburn — co pana łączyło z baronową Groeck?

Filip spojrział na niego ze zdumieniem.

— Z baronową Groeck? — powtórzył niepewnie. — A cóż może mnie z nią łączyć...

— Właśnie pytam — rzekł Willburn ze złością.

Filip nie ukrywał zaskoczenia.

— Nie rozumiem, czego pan chce ode mnie. Pani baronowa Groeck jest starą znajomą moich rodziców. Znam ją od dawna. To wszystko.

— Czy pan ją lubi? — spytał Willburn.

Filip Bendin zawahał się przez chwilę i odparł:

— Nie bardzo. Jest taka sztywna...

— No, tak. Rzeczywiście jest sztywna — powiedział Willburn i przyjrzał się Filipowi, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— Niech pan siada. Pogadamy chwilę...

Filip usiadł spokojnie na kanapie. Dłonie położył na kolanach jak grzeczny uczeń pierwszej klasy.

— To pan ukradł biżuterię baronowej Groeck — rzekł Willburn.

Filip zerwał się raptownie. Zacisnął pięści.

— Ona mnie o to oskarża?! — krzyknął. — Co za podłość!

Willburn roześmiał się swobodnie. Powiedział:

— Niechże pan siedzi spokojnie, młody człowieku. Ona pana nie oskarża. Ciekawe jednak, skąd pan wiedział o tej kradzieży?!

Filip stał niezdecydowany, poblady.

— Ależ nie — wyjąkał. — Wcale nie wiedziałem... Pan teraz właśnie...

— Niech pan nie udaje! — rzekł Willburn groźnie. — Pan wiedział o tym dobrze. Człowiek, który dowiaduje się nagle o takiej sprawie, nie woła: „Ona mnie o to oskarża?...” Po prostu wyraża zdumienie i zaskoczenie samym faktem. Czy to pan sam ukradł brylanty z pokoju baronowej Groeck? Czy też zrobiła to Maria Van...

Filip znowu zacisnął pięści, jego oczy wyrażały wściekłość.

— To są insynuacje! — zawołał. — Ostrzegam pana, że mój ojciec ma wpływy i...

— Jestem Anglikiem — przerwał ostro Willburn. — U nas w Anglii nie ma miejsca na wpływy, kiedy chodzi o świństwa. Mam nadzieję, że tutaj również panują rozsądne obyczaje. Jeszcze jedno słowo, a oskarżę pana o obrazę policji. Siadać.

Filip zamilkł i usiadł posłusznie. Natychmiast stracił pewność siebie.

— Kiedy pan ukradł te brylanty? — zapytał Willburn.

— Nie ukradłem żadnych brylantów — odparł Filip. Patrzył w dywan, nerwowo zaciskał dłonie. Wyglądał teraz jak mały, śliczny chłopiec, złajany przez nauczyciela za figle podczas przerwy na boisku szkolnym.

— Kiedy pan ukradł brylanty — powtórzył Willburn.

— Nie ukradłem ich — odpowiedział Filip płacząco.

— Kiedy ukradła je Maria Van?

Milczenie.

Willburn ze złością:

— Odpowiadaj!

— Nie wiem dokładnie — wyszeptał Filip. — Nie mam z tym nic wspólnego...

Willburn zbliżył się do niego. Prawą ręką ujął włosy Filipa, czarne, miękkie, delikatne włosy, i podniósł jego głowę. Powiedział:

— Gdybym mógł, dałbym ci w pysk, ty wstrętny szczeniaku...

Odwrocił się i odszedł na środek pokoju. Czuł na plecach wzrok chłopca, nienawistny i bezsilny. Powiedział, stojąc plecami do Filipa:

— Maria Van już nie żyje. Możesz wszystko na nią zwalić, prawda? Twoja miłość pozwala ci na to! Daleko zajedziesz, Bendin!

— Pan nie ma prawa! — powiedział Filip siląc się na agresywny ton. Wypadło to żałośnie i nieprzekonująco.

— Żal mi cię, Bendin — mówił dalej Willburn, nie odwracając głowy. — Jesteś obrzydliwy. Ale odniosłeś nie lada sukces... Pierwszy człowiek, który wyprowadził z równowagi nadinspektora Willburna!

W tej chwili odwrócił się szybko. Filip siedział blady, jego zaciśnięte wargi były niemal sine, powieki opuszczone, czoło zroszone potem.

— Byłem szefem wydziału morderstw, Bendin — powiedział Willburn. — Widziałem w życiu wielu zbrodniarzy. Ale nigdy nie odczuwałem do nich wstrętu i osobistej nienawiści. A ciebie nienawidzę, Bendin... Czy wiesz za co? Za twoją podłość i tchórzostwo!

Filip Bendin patrzył teraz prosto w oczy Willburna. Było to spojrzenie zimne i nienawistne. Willburn rzekł:

— I ty mnie nienawidzisz, co? Gdybyś mógł, gdybyś tylko mógł, roztrzaskałbyś mi czaszkę. Ale jesteś na to za słaby. Idź stąd precz!

Filip Bendin wstał i powoli odszedł do drzwi. Stojąc na progu, wyrzekł dwa słowa:

— Policzymy się!

— O, tak — odparł Willburn i roześmiał się złym śmiechem. — Policzymy się i to niedługo. Ale może odpowiesz mi wreszcie, kiedy ukradłeś brylanty?

Filip Bendin odwrócił się na pięcie i wyszedł, głośno zamykając za sobą drzwi. Po chwili zjawił się Garnet.

— Ten cherubin wyszedł od pana w kiepskim humorze — powiedział wesoło. — Czy

mam dostawić następną ofiarę?

— Tak — odparł Willburn. — Czekam z niecierpliwością na panią Perret.

## ROZDZIAŁ 15

Paulina Perret miała zaczerwienione oczy. Łzy i bezsenna noc zniszczyły niemal bez reszty ujmujący wygląd tej twarzy miłej i ładnej. Teraz pani Perret była po prostu starzejącą się, chudą kobietą, która ma wielkie zmartwienie.

Gdy weszła, natychmiast zaczęła mówić szybko i nerwowo. Była to prośba o zachowanie w tajemnicy jej zeznań dotyczących postępu baronowej Groeck.

— Nie zasługuję na potępienie — mówiła gorączkowo, szarpiąc palcami chusteczkę. — Cierpiałam w życiu zbyt wiele. Pozwólcie mi teraz żyć spokojnie i uczciwie...

— Ależ oczywiście — przerwał jej Willburn wesołym tonem. — Zapewniam panią, że umiemy zachować dyskrecję. Proszę się nie obawiać.

Pani Perret zamilkła, ale w jej oczach czaiła się niepewność.

— Dzisiaj — podjął Willburn — przestaje mnie interesować to, co pani widziała, natomiast bardzo mnie interesuje to, co pani słyszała. Czy ma pani dobry słuch?

Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale przytaknęła żywo.

— Doskonale. Niech pani usiądzie!

Przyglądał się jej uśmiechnięty, nieco zaaferowany.

— A więc — mówił — stoi pani na schodach między holem a podestem pierwszego piętra. Nie widzi pani nic poza stopniami schodów wiodącymi w górę. Ale usiłuje pani za wszelką cenę usłyszeć, co dzieje się w korytarzu, gdzie wzrok pani już nie sięga. Czy tak było?

— Tak — odparła w skupieniu, patrząc mu w oczy.

— Wczoraj starała się pani odtworzyć ten ciąg poszczególnych dźwięków, które udało się pani usłyszeć. Ale pani relacja była nieco chaotyczna. Niech pani jeszcze raz, z największą dokładnością opowie mi, jakie odgłosy dotarły na schody, gdzie pani stała.

Uśmiechnęła się blado i odparła:

— Nie wiem, czy mi się to uda, proszę pana. Jestem taka roztrzęsiona...

— Proszę się niczego nie obawiać — rzekł łagodnie. — Proszę zapomnieć o wszystkim innym... A więc jest pani na schodach. Co pani słyszy?

Przymknęła oczy, drobnymi palcami zwiijała chusteczkę w twardy, gruby węzeł. Na jej czole ukazała się zmarszczka, oddychała głęboko.

— Słyszałam kroki baronowej na chodniku... — rzekła wreszcie powoli. — Baronowa szła w stronę schodów... To znaczy od łazienki do swego pokoju.

— Tak — wtrącił Willburn. Patrzył na panią Perret szeroko rozwartymi oczyma,

pochylony do przodu jak hipnotyzer. — Tak. Co dalej?

— Potem kroki zatrzymały się. To baronowa stanęła na progu swoich drzwi. Usłyszałam, jak zamyka je za sobą.

— Czy jest pani pewna, że to były właśnie drzwi pokoju baronowej? — zapytał.

— Tak. Odgłos zamykanych drzwi rozległ się bardzo blisko. Jej pokój znajduje się na początku korytarza, tuż przy klatce schodowej.

— Dobrze — wtrącił Willburn. — Co działo się potem?

— Pamiętam dokładnie, że natychmiast rozległy się męskie kroki w głębi korytarza. Kiedy baronowa zamknęła za sobą drzwi, chciałam wejść znowu na piętro i te kroki mnie spłoszyły.

— Czy te kroki zbliżały się, czy oddalały od pani.

— Oddalały się. Były wyraźne, a potem zrobiło się cicho...

— To znaczy — rzekł Willburn — że ten mężczyzna szedł od strony schodów w głąb korytarza.

Pani Perret zaprzeczyła.

— Nie, nie... On był oddalony od schodów. Szedł z połowy korytarza, z okolicy łazienki w stronę przeciwną od miejsca, gdzie stałam.

— Tak jest — przerwał niecierpliwie Willburn — od schodów w głąb!

— Nie — upierała się pani Perret. — Chcę być dokładna. Nie od schodów w głąb, lecz od łazienki w głąb...

— To nie ma znaczenia, proszę pani. Mnie chodzi wyłącznie o kierunek, odległość nie gra teraz roli... Co było dalej?

— Kiedy te kroki zamilkły, zaraz potem usłyszałam zamknięcie drzwi.

— W głębi?

— Tak. To były drzwi Duplessisa.

— Skąd pani wie, że właśnie te?

— Ten odgłos był bardzo odległy. Ostatni albo przedostatni pokój...

— A więc możliwe, że to były drzwi Hayesa?

Zawahała się przez chwilę, odłożyła chusteczkę i uczyniła niepewny ruch dłonią.

— Tak — rzekła. — Możliwe, że to były drzwi Hayesa...

— A potem? — zapytał. W jego głosie dźwięczało napięcie.

— Właśnie — podjęła. — To mnie zaskoczyło... Drzwi trzasnęły i po sekundzie znowu trzasnęły. Tak jakby poprzednio były źle domknięte. Może zagiął się róg chodnika i drzwi przycięły go, odskoczyły... Potem zaraz drugi trzask, silniejszy.

— Z tej samej odległości? Czy pani jest pewna, że to były te same drzwi?

Znowu zawahała się i odparła:

— Nie wiem. Ale przypuszczam, że te same.

— Pani się myli — powiedział i szybko dodał: — Ale to nie ma znaczenia. Co pani usłyszała następnie?

— Ach, potem to już wszystko się pomieszało. Wszystkie dźwięki następowały tak szybko, jeden po drugim...

Podniosła dłoń do czoła, poprawiła włosy, uśmiechnęła się prosząco.

— Zupełnie się zgubiłam.

— Niech się pani skupi — powiedział z odrobiną irytacji w głosie. — Wczoraj mówiła pani o tym dość dokładnie.

— Wczoraj — odparła — mówiłam o tym, nie przywiązując wagi do słów. Teraz wymaga pan dokładności. Jeżeli coś przekręcę...

— Niech pani się nie obawia. Wszystko będzie dobrze. A więc?

— A więc kiedy zapadła znowu cisza, chciałam pójść na górę. Weszłam na następny stopień i wtedy usłyszałam, że w głębi korytarza otwierają się drzwi.

— Jakie drzwi?

— Nie mam pojęcia. Chyba Duplessisa... ale nie jestem pewna.

— Zgoda, co dalej?

— Wtedy padło jakieś słowo, jedno słowo.

— Głos męski czy kobiecy?

Spojrzała na niego zdumiona i nagle uśmiechnęła się.

— To przecież nie mógł być głos kobiecy, proszę pana.

— Dlaczego?

— Baronowa była w swoim pokoju, jestem tego pewna. A Maria Van już wtedy przecież nie żyła...

Utkwił w niej spojrzenie uważne, zamyślane. Powiedział:

— No, tak. Oczywiście... Ma pani rację. Słucham, słucham...

— Nie zrozumiałam tego słowa. Było wypowiedziane cicho i z daleka. Potem dobiegł mnie odgłos kroków i znowu trzask drzwi. Następnie znowu otworzyły się drzwi w głębi, a po chwili znowu drzwi w głębi.

— Chwileczkę — przerwał jej Willburn. — Za szybko. A więc jeszcze raz: jakieś słowo, jakieś ciche kroki, trzask drzwi. Tak?

— Tak jest...

— Potem chwila ciszy i otwarcie drzwi w głębi, najpierw jednych, zaraz potem drugich...

Tak?

— Tak jest.

— Następnie?

— Usłyszałam podniesiony głos Hayesa, ale nie zrozumiałam słów. I dużo ciszej jakieś zdanie wypowiedziane przez Duplessisa. I znowu zamknęły się drzwi, jedno po drugim. Zapadła cisza, trwało to dosyć długo. Może nawet kilka minut. Ale ponieważ przedtem na korytarzu panował taki ruch, więc bałam się wejść na górę. Czekałam długo... i już chciałam zrobić krok naprzód, kiedy pan Duplessis zaczął krzyczeć, że Maria Van nie żyje.

Willburn stał przy oknie i patrzył na Paulinę Perret. Czuł się osłabiony, jak po wielkim wysiłku fizycznym.

— Dziękuję pani — powiedział. — Jeszcze jedno pytanie. Czy pani nie zwróciła kiedykolwiek uwagi na fakt, że ktoś z pani domowników ma zwyczaj mówić do siebie?

— Nie — odparła. — Raczej nie... Jeżeli, to tylko pan Duplessis. Jest już stary. Starsi ludzie miewają czasem takie nawyki.

— Ten głos — podjął Willburn — ten głos, który wyrzekł jedno słowo. Czy był niski? Wysoki? Znajomy?

Znowu spojrzała na niego z odrobiną zdziwienia i sarkazmu.

— Oczywiście, że był znajomy. Przecież nikogo obcego nie było w pensjonacie.

— Niech pani przestanie się czymkolwiek sugerować — rzekł z naciskiem. — Jeżeli to był głos znajomy, to wobec tego czyj?

Rozłożyła ręce bezradnie. Odparła:

— Nie wiem. To było przecież w głębi korytarza. On mówił bardzo cicho...

— Dlaczego on?

— To był mężczyzna.

— Skąd ta pewność u pani?

Zmarszczyła brwi, jej oczy były zniecierpliwione.

— Przecież już mówiłam, że baronowa...

— A ja prosiłem panią, aby przestała się czymkolwiek sugerować.

— Proszę pana. Fakty narzucają się z taką siłą, że doprawdy nie umiem...

— Ba, gdybyż tak właśnie było — przerwał jej, lecz nagle machnął ręką i uśmiechnął się swobodnie.

— Dobrze — rzekł weselszym tonem. — Powiedziała mi pani bardzo wiele. To chyba wystarczy. Dziękuję. I niech pani będzie spokojna.

Wstała żywo, skłoniła lekko głowę i już bez słowa, uspokojona do reszty, wyszła z salonu.



Willburn przeszedł się po salonie, usiadł w fotelu i zamyślił się.

Wszystko wydawało mu się teraz jasne i nie budzące wątpliwości. Ta prawda napawała go goryczą i zniechęceniem. W sferze faktów sprawa okazała się zenująco prosta, zeznania wszystkich osób wskazywały wyraźnie przebieg zbrodni. Natomiast w sferze uczuć wszystko było zawile i skomplikowane i Willburn dochodził do przekonania, że bez dodatkowych szczegółów rozwiązanie tego węzła będzie niepodobieństwem.

Siedział z głową pochyloną na piersi, zasluchany we własne myśli. Miał przed oczyma wzór matematyczny, może trudny, ale nie dla niego. Metoda eliminacji, stara, niemodna metoda odejmowania, do której z nieufnością, a nawet pogardą odnosili się młodszy od niego specjaliści, była w jego umyśle niezawodna. Powoli, krok za krokiem odrzucał wszystkie czynniki, które nie pasowały żadną miarą do stwierdzonych faktów, i wreszcie zostały mu w rękach tylko ostatnie elementy. Z tych elementów budował konstrukcję oskarżenia, tak precyzyjną, że nikt już nie potrafił jej obalić, czy nawet wytknąć nieścisłości.

Kiedy tak siedział w milczeniu, zamyślony i przygnębiony, drzwi otworzyły się nagle i wszedł Garnet. Był podniecony, z trudem tłumił złość.

— Niech pan to przeczyta! — zawołał wymachując trzymaną w dłoni kartkę papieru. — Ależ ze mnie dureń!

— Co się stało? — zapytał Willburn z niepokojem. Garnet podał mu kartkę. Był to skrawek papieru, nierówno oddarty z zeszytu. Widniały na nim skreślone pośpiesznie i niewyraźnie słowa:

*Jestem gotowa walczyć o życie. Nie znajdziecie mnie. Przeklinam pana...*

— Co to w ogóle jest? — rzekł Willburn ze złością. Garnet relacjonował pośpiesznie, głosem podniesionym, ochrypniętym:

— Chciałem mieć ich wszystkich na oku. Kiedy Perret stąd wyszła, zatrzymałem ją na dole, choć twierdziła, że pan już wyczerpał z nią wszystkie tematy. Także Bendinowi nie pozwoliłem udać się na górę, do pokoju. Sam poszedłem tam, żeby poprosić baronową do holu. Nie chciałem ciągle biegać po schodach...

— Dalej, dalej — naglił Willburn, mnąc kartkę w dłoni.

— Drzwi pokoju baronowej były zamknięte od wewnątrz. Mimo moich próśb nie odzywała się wcale. Zbiegłem na dół i zabrałem zapasowy klucz. Nie chciałem panu przeszkadzać i dlatego nie zawiadomiłem.

Willburn już szedł w kierunku drzwi zdecydowanym krokiem.

— Jej nie ma! — zawołał Garnet. — Kiedy otworzyłem pokój, zastałem tylko przymknięte okno i tę kartkę na stoliczku.

— Oknem? — powiedział Willburn ze zdumieniem. Stał, zupełnie wytrącony z równowagi, na progu salonu.

— Nie bardzo oknem — odparł Garnet. — Tam biegnie galeryjka wzdłuż całego piętra. Kończy się drewnianymi schodami. Wyszła po prostu na galerię i stamtąd przez dziedziniec na ulicę...

— To przecież nonsens! — krzyknął Willburn i rzucił zmiętą kartkę na dywan. — Co pan teraz zrobi?

— Znajdę ją — odparł Garnet z pasją. — Niech pan będzie spokojny, że znajdę ją nawet w piekle...

— Chwileczkę — przerwał Willburn, który opanował już zdumienie i gniew. — Niech pan pozwoli mi się skupić... Może popełniłem poważny błąd. Ale może nie popełniłem wcale błędu...

Urwał i patrzył na Garneta nieobecny wzrokiem. Powtórzył cicho.

— Może nie popełniłem wcale błędu...

Garnet odparł cierpko:

— Nie wiem, czy pan popełnił błąd. Ja popełniłem! Teraz muszę działać.

— Tak, tak... — potwierdził Willburn. A gdy Garnet wyszedł szybko z salonu, aby udać się do sztabu brygady kryminalnej, Willburn mruknął:

— Wcale nie wiem, czy to jest takie konieczne...

## ROZDZIAŁ 16

Na ulicy Cler było już cicho i ciemno. W małym pokoju na pierwszym piętrze hotelu Willburn z nogami owiniętymi pledem pił kawę, parząc sobie wargi. Garnet obserwował go z ciekawością. W głębokim fotelu pod oknem siedział sztywny, przystojny brunet w ciemnym garniturze i pykał fajkę. Był to pan Thirier, pełnomocnik prokuratora okręgu Grenelle.

Pan Thirier pozował na Brytyjczyka, ale bez większego rezultatu. Jego południowa, smagła i żywa twarz w niczym nie przypominała szczupłych i nieruchomych twarzy dżentelmenów z drugiej strony Kanału.

— Czekamy z niecierpliwością — rzekł pan Thirier i już to zdanie wyraźnie wskazywało, że oprócz dobrej woli nie ma w nim nic brytyjskiego.

Willburn przesłał mu uśmiech i odparł:

— Jutro rano przedstawię kierownictwu brygady kryminalnej szczegółową relację z przebiegu dochodzenia. Oczywiście teraz jestem również do panów dyspozycji. W ogólnych zarysach sprawa nie przedstawia się wcale sensacyjnie. Jest to bardzo smutna historia i powinna zainteresować nie tylko wasze sądy, ale również socjologów i wychowawców młodzieży. Z drugiej strony jest w niej dużo wzniosłości i wzruszającego człowieczeństwa. Oczywiście, że to już nie moja dziedzina. Ja zajmuję się wyłącznie kryminalną substancją wydarzeń...

Przerwał i wypił łyk kawy z filiżanki. Pan Thirier czyścił fajkę z pozornym spokojem, ale jego oczy błyszczały ciekawością. Garnet siedział na parapecie okna i machał nogami jak chłopiec. Willburn powiedział:

— Początkowo zgubiłem się w lesie faktów. — A raczej w lesie kłamstw. Gdyby w pensjonacie przy ulicy Laos zebrali się rutynowani przestępcy, sprawa byłaby niemożliwa do rozwikłania. Fachowcy potrafią kłamać i trwać przy swoich kłamstwach. Niepodobna ich zaszokować jednym celnym pytaniem. Są przygotowani na wszystko... Przy ulicy Laos mieszkali jednak inni ludzie. Zwyczajni, słabi ludzie.

Na początek, kiedy zorientowałem się, że osaczają mnie kłamstwa, niezręczne i nie uzgodnione przez wszystkich zainteresowanych, doszedłem do przekonania, że trzeba zrobić jakiś wyłom w tym murze niedorzeczności. Duplessis okazał się najsłabszy. Już pierwszego dnia stwierdziliśmy z komisarzem Garnetem ponad wszelką wątpliwość, że Duplessis nie mieści się w czasie. Kwadrans między dziewiątą piętnaście a dziewiątą trzydzieści był zupełnie pusty, ciążył mu jak ołów. Duplessis popełnił błąd. Zasłaniając się dyskrecją,

wskazał nam osobę baronowej. Kiedy zorientował się w tym — stracił całą pewność siebie. Zrozumiałem, że właśnie tego obawiał się najbardziej. Zajście z paczką papierosów zdemaskowało jego zamiary. Biedak chciał osłaniać panią Groeck, a tymczasem własną niezręcznością ją nam wskazał.

Wszystkie ślady wiodły do niej. Pani Groeck była osią całej sprawy. Paulina Perret podczas pierwszej rozmowy ze mną dawała do zrozumienia, że baronowa Groeck miała podstawy, aby nienawidzić Marii Van. Perret jest bardzo sprytna. Jej spryt należy do najgorszej kategorii ludzkiej inwencji — narodził się z cierpienia, jako rodzaj samoobrony.

Po zeznaniach pani Perret nóż do żyłowania mięsa w rękach Hayesa stał się kluczem do dalszych tajemnic. Hayes włamał się do sekretery z polecenia Martina, znanego wam szantażysty. Martin wiedział, że baronowa Groeck jest w posiadaniu kompromitujących ją dokumentów. Był to kąsek nie lada. Dzisiaj wiemy, co to były za dokumenty, i ten fakt rzuca nowe światło na ciemne strony całej tragedii. Jednakże udało się nam odsłonić prawdę już poprzednio. Te dokumenty potwierdziły nasze przypuszczenia, to wszystko.

Najbardziej skomplikowana była dla mnie sprawa czasu. Wszystko odbywało się błyskawicznie, trzaskały drzwi, ludzie wchodzili do pokojów i wychodzili na korytarz, działali niemal na oczach innych, każdy ukrywał swoje czyny przed pozostałymi. Każdy miał coś do ukrycia. Przestrzeń tych działań ograniczała się do kilkunastu metrów kwadratowych korytarza w pobliżu łazienki i do czterech pokojów na pierwszym piętrze. Wszystko odbyło się między godziną dziewiątą dziesięć a dziewiątą trzydzieści. Przyznacie, panowie, że na takiej przestrzeni i w tak krótkim czasie dokonanie czegokolwiek w tajemnicy było sztuką nie lada.

W końcu musiałem uciec się do wykresu graficznego, aby ogarnąć czas i przestrzeń, w których rozegrał się dramat. Niepodobna teraz opowiedzieć z drobnymi szczegółami, jak tego dokonałem. Zatrzymam się więc na najważniejszych sprawach.

Podstawą stała się chronologia. Założyłem, że o godzinie dziewiątej Maria Van wyszła od siebie, zostawiając w pokoju Filipa Bendina. Minutę po dziewiątej była już w łazience i napszczała wodę do wanny. W tym czasie Duplessis i Hayes są jeszcze poza miejscem wypadków, baronowa jest u siebie, Filip w pokoju Marii. Baronowa zamierza się wykąpać, nie planuje wcale rozmowy z Marią. Kiedy jednak wchodzi do łazienki i zastaje ją tam, postanawia wykorzystać niezwykłą sytuację, aby skończyć sprawę, która ją dręczy od dawna. Rozmowa, początkowo spokojna, zaostrza się.

Godzina dziewiąta siedem lub osiem. Hayes wchodzi do hotelu. Tej nocy planuje włamanie do pokoju baronowej. Ale spotyka go miła niespodzianka. Drzwi pokoju baronowej

uchylone, w pokoju pusto. Wymarzona sytuacja. Hayes wchodzi do pokoju baronowej.

Chwilę przedtem pojawia się Duplessis. Zmierza do swego pokoju na końcu korytarza. Przechodząc obok łazienki, słyszy sprzeczkę. Jest tym zaskoczony i zmieszany. Orientuje się, że sprawa jest poważna, ale nie podejrzewa jeszcze tragedii. Przez chwilę uważnie słucha, potem oddala się do siebie.

Jest godzina dziewiąta piętnaście, może osiemnaście. Układ następujący: baronowa i Maria w łazience prowadzą brzemioną w skutki rozmowę. Hayes usiłuje otworzyć sekretkę w pokoju baronowej. Duplessis czeka u siebie na dogodną chwilę, aby porozmawiać z baronową i uspokoić ją. Filip rozmyśla w pokoju Marii. We wnętrzu korytarza stoi ukryta pani Perret, która przyszła tutaj śladami Hayesa.

Dziewiąta dwadzieścia. Baronowa wychodzi z łazienki. Widzi ją pani Perret. Baronowa wraca do siebie. To był właśnie ten punkt, którego bardzo długo nie umiałem wytłumaczyć. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że baronowa była w pokoju razem z Hayesem i nie zauważyła go. Teraz to rozumiem. Była w stanie wielkiego podniecenia, zajęta swymi myślami, zrozpaczona i bezsilna.

Hayes ze swej strony wykazał bardzo silne nerwy. Stał bez ruchu, ukryty za szafą, nie zdradził swojej obecności nawet oddechem. Ale ponieważ był amatorem w trudnej sztuce włamywania, rzucił ten piekielny nóż na łóżko.

Baronowa odkryła nóż w pościeli. Kierując się impulsem, niemal nieprzytomna z rozpacz i nienawiści, bierze nóż i wychodzi do łazienki. Co wtedy myślała? Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć... Może chciała rzeczywiście zabić, może tylko przerazić Marię Van.

Dziewiąta dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwie. Baronowa i Maria w łazience. Baronowa ukrywa w ręku nóż. Maria obrzuca ją obelgami. Gra toczy się o wielką stawkę. Tak przynajmniej wyobraża sobie baronowa. Gdyby wiedziała, gdyby знаła całą prawdę — sprawa przybrałaby inny obrót.

W tym czasie Perret, ukryta w niszy korytarza, zafascynowana widokiem noża w ręku baronowej — czuje się jak sparaliżowana. Hayes odzyskuje natomiast zimną krew i szybko otwiera podważoną przedtem szufladę. Chwila i cenne dokumenty są już w jego posiadaniu. Wybiega z pokoju i, na oczach Perret, co sił pędzi do swego pokoju. Wtedy rozlega się głos baronowej. „Zabiję!” Plusk wody. Cisza... Pani Perret gotowa byłaby przysiąc, że właśnie wtedy wszystko się skończyło.

Pani Perret umyka na schody. Godzina dziewiąta dwadzieścia trzy, może cztery.

Teraz proszę uważać. Każda sekunda się liczy. Niechaj będą błogosławione uszy dzielnej pani Perret!

Baronowa jest jeszcze w łazience. Ta kobieta, jak widać, zabija szalenie powoli. Niemal całą minutę. To mnie dręczyło bardzo długo. Przecież wbicie noża w pierś obnażonej kobiety nie może trwać dłużej jak sekundę. Dlaczego Maria Van nie krzyczy? Dlaczego nie walczy? Przecież jest silniejsza od starej, otyłej damy, która nie panuje zupełnie nad nerwami, drży, zalewa się łzami. Człowiek, który jest tak podniecony, że we własnym pokoju nie zauważa intruza i ujmuje w dłoń nóż, nie zastanawiając się wcale, jakim sposobem ten nóż znalazł się w pościeli, taki człowiek nie może zadać celnego, dokładnego i szybkiego ciosu...

A więc baronowa jest w łazience. Duplessis u siebie. Filip w pokoju Marii. Pani Perret na podeście schodów. A Hayes? Hayes biegnie korytarzem z powrotem do pokoju baronowej Groeck. Targa nim lęk. Zostawił tam nóż, na nożu ślady palców. Za wszelką cenę musi zabrać ten nóż...

Dziewięta dwadzieścia cztery. Hayes wraca do siebie szybkimi krokami. Nie znalazł noża. Ale już jest spokojny. Nóż wzięła baronowa. Ślady jej palców nakładają się na jego odciski.

Baronowa na progu łazienki. Duplessis u siebie. Filip u Marii Van. Perret na schodach...

Uszy pani Perret zasługują na Legię Honorową. Jest to najlepszy instrument, jakim dysponowałem w całej tej sprawie.

Mamy następujące dźwięki, panowie. Analizowałem je dziesiątki razy, eliminowałem, eliminowałem, eliminowałem... Ale wreszcie wszystko stało się jasne. Proszę uważać!

Kroki. To baronowa wraca z łazienki do siebie. Trzask drzwi. To baronowa weszła do pokoju. Czy rozpacza? Nie wiem. Czy wyrzuca sobie ten absurdalny gest, tak niebezpieczny i niewłaściwy? Nie wiem. Może chce uspokoić oszalałe serce modlitwą?

Trzask drzwi w głębi korytarza. To Hayes dotarł wreszcie do swego pokoju. Zamyka się tam, może dyszy ciężko, może chwyta się za serce... Wraca do równowagi. Cenne dokumenty ma przy sobie. Nóż przestał być groźny. Hayes zrzuca z siebie płaszcz kąpielowy. Staje przy umywalni.

Trzask drzwi. Pani Perret uważa, że to trzasnęły te same drzwi, lecz ja wiem co innego. To Duplessis chce pójść do baronowej, aby ją pocieszyć, uspokoić.

Ale natychmiast rezygnuje z tego zamiaru. Płoszy go jakiś szmer. Ktoś obok wychodzi również na korytarz... Duplessis cofa się w głąb pokoju i cicho zamyka drzwi.

Pani Perret podczas pierwszej rozmowy na temat tych ustawicznych hałasów powiedziała, że trzaskowi otwieranych drzwi towarzyszył cichy skrzyp. Tylko jedne drzwi skrzypią w tym pensjonacie. Drzwi pokoju Marii Van, panowie!

Na korytarzu ukazuje się Filip Bendin. Proszę pamiętać, że wszystkie te odgłosy, o których mówię teraz, niemal nakładały się na siebie. Bendin wychodzi z pokoju Marii Van w kilka

sekund po ukryciu się Hayesa. Tak więc od momentu opuszczenia łazienki przez baronową upłynęło zaledwie dziesięć, piętnaście sekund. Baronowa szła korytarzem bardzo powoli, opierając się o ścianę... Gdy Filip stoi na progu, baronowa właśnie wchodzi do siebie, a Hayes właśnie zamyka za sobą drzwi. Wszystko rozgrywa się niemal jednocześnie. Filip kieruje się do łazienki, aby pomówić z Marią. Nie należy sądzić, że ten chłopak idzie zabić z premedytacją! Nie.

Jednakże jego żywy umysł szybko kojarzy obrazy. Baronowa w płaszczu kąpielowym. Skąd wyszła? Z łazienki. W łazience kąpie się Maria. Czy mówiły o jego, Filipa, tajemnicy? Czy Maria, która zapewne kilkakrotnie uprzedzała go o swych planach — spełniła teraz groźbę? Filip niczego tak nie obawia się, jak właśnie rozmowy w cztery oczy pomiędzy panią Groeck a Marią Van. Dlaczego? To wyjaśnię za chwilę...

Teraz ważny jest sam przebieg zdarzenia. Filip wchodzi do łazienki. Pani Perret stojąca na schodach słyszy jakieś słowo, jedno słowo. Zapewnia mnie, że wypowiedział je mężczyzna. Ale pani Perret jest przekonana, że baronowa weszła już do siebie, a więc nie mogła to być ona. I to nie była ona. To był głos Marii Van, panowie... Pani Perret, która uważa, że Maria już wówczas nie żyła, nie może tego pojąć. Ale ja nie jestem panią Perret. Maria Van żyła wówczas. Była pod wrażeniem gróźb baronowej, była zdenerwowana, była zła. Chciała przecież w miarę swych sił ułożyć wszystko jak najlepiej i spotkały ją straszne, tylko częściowo zasłużone, wyrzuty ze strony pani Groeck.

Jest godzina dziewięta dwadzieścia pięć. Filip staje na progu łazienki. Zadaje Marii pytanie, decydujące pytanie. Nie znam jego treści. Brzmiało zapewne krótko. Może powiedział: „Co z brylantami?” Maria odparła również krótko: „Oddałam!”

To było właśnie to jedno, ciche słowo, które pani Perret usłyszała na schodach... Oczywiście niepodobna tego udowodnić. Należy jednak przypuszczać, że było to słowo: „Oddałam!”

Maria Van kłamała. Nie zdążyła przecież oddać kosztowności, skradzionych pani Groeck przez Filipa. Ponieważ jednak wiedziała, że Filip nie zamierza ich oddać, ponieważ wiedziała, że Filip wiele obiecuje sobie po tym nieoczekiwanie zdobytym majątku, postarała się wcześniej ukryć przed nim skradzione przedmioty. Była to sprytna, uczciwa dziewczyna. Kochała tego młodego diabła i chciała nauczyć go uczciwości. Ukryła kosztowności w pokoju Hayesa, zamierzając zwrócić je pani Groeck nazajutrz, a może nawet jeszcze tego wieczora. Ale nie powiedziała tego baronowej podczas rozmowy w łazience. Rozumiem ją doskonale. Baronowa uważała ją za ulicznicę, która nakłania Filipa do kradzieży i tysiąca innych niemoralnych czynów. Maria Van była ambitna. Należała do nieszczęsnego pokolenia

powojennej młodzieży, która chce udawać gorszą, niż jest w istocie.

Na obelgi i oskarżenia baronowej odpowiedziała obelgami. Kpiła z tej starej kobiety, śmiała się jej prosto w twarz! Maria Van uważała widocznie, że lepiej uchodzić w oczach baronowej za ulicznicę i złodziejkę, niżeli przyznać się do szlachetnych intencji swego postępowania. Poza tym brała całą winę na siebie. Baronowa zarzucała jej, że demoralizuje Filipa Bendina, i Maria Van przyjmowała te zarzuty z uczuciem satysfakcji. W ten sposób manifestowała swoją amoralność i złe instynkty, których w rzeczywistości wcale nie miała.

Tak więc Filip usłyszał odpowiedź, która rozbiła w jednej sekundzie wszystkie jego plany. Bizuteria jest znowu w rękach baronowej, a Maria zdradziła go przed tą otyłą, niesympatyczną kobietą, bliską znajomą jego ojca...

Filip działa szybko. Maria wydaje na siebie wyrok śmierci. Mówi szeptem: „Baronowa groziła, że mnie zabije...” Nóż, który wypadł z drżącej dłoni pani Groeck, leży na krawędzi wanny. Papierosy granada — również. Wszystkie poszlaki będą wskazywały na panią Groeck. Baronowa Groeck jest przekonana, że to Maria ukradła jej biżuterię. Ma powody do zemsty. Ręcznik, w ręczniku nóż. Filip pochyła się nad Marią. Obejmuje ją lewym ramieniem. Jeden cios, silny, zdecydowany, celny!

I znowu cichy skrzyp drzwi wiodących do pokoju Marii Van. Potem trzask drzwi Duplessisa. Duplessis zjawia się w łazience, odkrywa zbrodnię. Wraca do siebie zupełnie złamany. Jest przecież pewny, że to pani Groeck dokonała morderstwa. Musi zebrać myśli. Idąc, spotyka Hayesa, który przechodzi korytarzem i rozkoszuje się swoją bezkarnością. Wymieniają pozdrowienia. Cisza. Wreszcie Duplessis podejmuje decyzję i podnosi alarm... Wszyscy zjawiają się w łazience prócz Filipa. On jeden siedzi najspokojniej w pokoju Marii Van. To jego zasadniczy błąd. On jeden bowiem oczekiwał krzyku. Spokojnie siedzi w fotelu, spodziewając się oddzielnego zawiadomienia. I oto zjawia się Hayes. Przynosi hiobową wieść.

Hayes jest przerażony, jego plany runęły w gruzy. Zobaczył ten przeklęty nóż w piersi zamordowanej. Drży na myśl o przybyciu policji... Gdyby Hayes był wtedy bardziej opanowany, trzeźwy — mielibyśmy mordercę jeszcze przed północą. Ale Hayes zapamiętał tylko ogólny obraz pokoju Marii Van. Szczegóły nie dotarły do niego. Mimo to jednak z zeznań Hayesa wyłania się plastycznie przebieg tej doniosłej sceny.

Filip siedzi sobie w fotelu i patrzy w lakierki na nogach. Nie mógł nie słyszeć donośnego krzyku profesora Duplessis, a jednak nie stoi na środku pokoju, nie jest w pobliżu drzwi, lecz siedzi w fotelu pod oknem. Gdy Hayes komunikuje mu, że Maria nie żyje, Bendin wstaje sztywno i oświadcza, że to bzdura... Idzie powoli za Hayesem. Dlaczego nie biegnie do



łazienki? Dlaczego nie rzuca się ku drzwiom, nie odtrąca Hayesa? Przyjmujemy, że jest chłopcem bardzo zrównoważonym, opanowanym. Ale jeżeli jest właśnie taki, to dlaczego w łazience nagle wybucha płaczem, całuje włosy zmarłej, jej usta i oczy?

Ten marny gracz wygrywa swoje lata. Jest to jego jedyna broń. Dwudziestoletnie łzy są szczególnie wzruszające. Dwudziestoletni kochanek jest szczególnie godny współczucia.

To, czego nie uchwycił zdenerwowany Hayes, ja uchwyciłem. Ten chłodny spokój młodzieńca, który stracił ukochaną! I wybuch rozpaczony nad ciałem zabitej...

Filip Bendin nie orientował się, jak bardzo okoliczności sprzyjają jego planom. Los był jego obrońcą i protektorem. Nie wiedział, że Maria skłamała. Bał się śmiertelnie zeznań baronowej, która mogła przecież wyznać, że klejnoty zostały jej zwrócone. Nie wyznała tego, gdyż nie otrzymała klejnotów. Leżały spokojnie w wentylatorze w pokoju Hayesa. To było tarczą Filipa. Ale on nie miał pojęcia, jak potężną tarczą jest dla niego sama baronowa.

Każde jej słowo miało zamierzony cel. Oślaniała Filipa, gdyż podejrzewała go o zbrodnię. Ale kochała go szaleńczą miłością, jaka jest dana przez Boga tylko francuskiej kobiecie.

Dokumenty, znalezione przy Martinie, wyjaśniły wszystko. Baronowa Groeck była kochanką doktora Bendina przez wiele lat. Stało się to przyczyną jej głośnego rozwodu. Doktor Bendin pozostał przy żonie, zerwał romans z panią Groeck. Kochała go jednak dalej. Widywali się początkowo często, potem coraz rzadziej. Stary doktor Bendin bywał na ulicy Laos. Ponieważ pani Perret była wspólną znajomą małżeństwa Bendinów, doktor miał doskonałą tarczę. Pozornie odwiedzał panią Perret, w rzeczywistości odwiedzał baronową. Oboje umieli to ukryć tak dobrze, że nawet pani Perret dała się oszukać...

Ale idylla nie mogła trwać wiecznie. Baronowa starzała się. Namiętności wygasaly. Syn Bendinów — Filip, dorastał.

Ten chłopak jest podobny do ojca jak dwie krople wody. Doktor Bendin dwadzieścia pięć czy trzydzieści lat temu wyglądał tak, jak dzisiaj wygląda Filip. Czy można się dziwić, że stara, samotna kobieta, porzucona przez wszystkich, dręczona wyrzutami sumienia, zamknięta z własnej woli w małym, skromnym, niemal klasztornym pokoju na ulicy Laos — dała się opanować złudzeniom?! Filip był dla niej wspomnieniem najszcześniejszych dni życia. Filip przypominał jej kochanka, czarującego, pięknego, młodego lekarza, który wszedł w jej życie, uniósł ją do nieba, a potem strącił na dno rozpaczony...

Baronowa Groeck nigdy nie miała dziecka, Filip stał się dla niej całym światem. Była ślepa, tak jak tylko może być ślepa kobieta, która kocha jednocześnie jak matka, i jak kochanka... Była gotowa uczynić wszystko dla tego chłopca, byle tylko oglądać go, rozmawiać z nim czasem. Tragiczna, milcząca miłość.

Była o niego zazdrosna jak matka. Nienawidziła Marii Van. Wydawało się jej, że Maria Van będzie nieszczęściem dla Filipa. Kiedy stwierdziła kradzież kosztowności, natychmiast skierowała podejrzenia na Marię. Maria wiedziała o kradzieży, chciała naprawić wybryk Filipa. Baronowa nie przypuszczała nawet, że to właśnie Filip jest złodziejem.

A kiedy oświadczyłem jej, że ślady jego palców pozostały na rękojeści noża, natychmiast znalazła wytłumaczenie, którego nikt nie potwierdził...

Jej chłopiec zabił! Była to straszna wiadomość, ale jednocześnie otwierała olśniewające perspektywy dla tego zadręczonego serca.

Baronowa Groeck przyznała się do zbrodni, której nie popełniła. Była naiwna w swej niezręczności, była ślepa w swej miłości do tego okrutnego dziecka. Aby nas przekonać o swojej winie, uciekła. Przyznam, że to zachwiało mnie w przypuszczeniach. To był dobrze wymierzony cios. Na moment uwierzyłem, że naprawdę ona zabiła Marię Van... Ale trwało to krótko. Kiedy zastanowiłem się nad całością sprawy, doszedłem do wniosku, że ucieczka baronowej potwierdza moje przypuszczenia. Oślaniała Filipa Bendina. Oślaniała do końca i była szczęśliwa, że pójdzie za niego do więzienia.

Dlaczego natychmiast nie zdemaskowałem Filipa? Jego ślady na rękojeści noża były niezbitym dowodem. Dlaczego więc wahałem się tak długo?

Po pierwsze przez pewien czas wierzyłem baronowej Groeck. Oświadczyła, że Filip na jej oczach ujął nóż w łazience. Po drugie zaskoczyła mnie odpowiedź samego Filipa. Na wieść, że ślady jego palców zostały na narzędziu zbrodni, okazał prawdziwie szczerze, niemal dziecinne zdumienie. Nie załamał się, nie zdradzał lęku, był tylko zdziwiony. To mnie zbiło z tropu. Potem doszedłem do przekonania, że ten chłopak miał po prostu niewzruszoną pewność, że noża nie dotykał. Wierzył w zwinność własnych palców, tak jak się wierzy w Boga. Przecież ujął nóż przez szorstki ręcznik. I rzeczywiście tak było.

W umyśle Filipa ślad palca to ślad palca wskazującego lub wielkiego. Tak rozumuje każdy laik, każdy przechodzień na ulicy. Filip nie wiedział, że jego ręka w chwili ciosu osunęła się nieco ku dołowi. Został ślad małego i serdecznego palca, tam gdzie kończy się rękojeść, a zaczyna metalowe ostrze.

On popełnił błąd, ale i ja popełniłem błąd. Komplikowałem sprawę, zamiast ją upraszczać. Oszczędzałem tego chłopca. Przybywam z kraju, gdzie przestępczość wśród młodzieży jest zjawiskiem rzadkim. Przybywam z kraju, gdzie zbrodnie są z zasady dokonywane solidnie, z rozwagą, ośmielę się powiedzieć, że nawet z poczuciem odpowiedzialności. Sugerowałem się dotychczasowymi doświadczeniami w kraju, który rządzi się przecież innymi prawami. Komisarz Garnet prosił mnie o pomoc, gdy był o krok od rozwiązania. Zagmatwałem mu

zadanie, zamiast je wyjaśnić...

Komisarz Garnet zeskoczył z parapetu i żywo zaprotestował.

— To nieprawda, panie nadinspektorze! — zawołał energicznie. — Jest pan stanowczo zbyt skromny... Tak wiele panu zawdzięczamy.

Willburn spojrział na niego z lekką ironią.

— Bez przesady, Garnet — rzekł. — Stanowczo za długo szedłem fałszywym śladem... Jeżeli wygrałem, to tylko dzięki niezręczności innych.

— Tylko tak można wygrać — powiedział pan Thirier przez zęby. — Policja wygrywa dlatego, że nie istnieją dostatecznie sprytni przestępcy.

Może intencje pana Thirier były szlachetne, ale jego słowa zabrzmiały dość obraźliwie zarówno dla Willburna, jak i dla Garneta.

— A jednak — rzekł Willburn chłodno — nie mógłby pan obejść się bez tej marnej policji, panie Thirier...

Pełnomocnik prokuratora wykrzywił wargi, co miało wyrażać kurtuazyjny uśmiech. Willburn wypił ostatni łyk zimnej kawy, odstawił filiżankę na stolik i spojrział spod oka na komisarza Garneta. Komisarz Garnet patrzył na swoje lśniące, jaskrawożółte buty.

Willburn zaczął się śmiać cicho, potem głośniejszym, wreszcie wybuchnął serdecznym, silnym śmiechem człowieka, który zrzucił z siebie dręczący go koszmar.

Pan Thirier podniósł brwi, zdumiony.

*Noël Randon*  
*(Tadeusz Kwiatkowski)*

**WEEKEND W PENSJONACIE**  
**„CYPRYS”**

Alicja Cortier, przystojna i energiczna sekretarka firmy „E. Betacourt — Transport — ląd — morze” uzyskała wreszcie połączenie i wśród trzasków na linii oznajmiła swojemu szefowi, że wszystkie sprawy udało jej się pomyślnie załatwić, a ona sama będzie w biurze najpóźniej we wtorek rano.

— Dlaczego dopiero we wtorek? — jęknął w Paryżu pan Betacourt, który bez sekretarki czuł się kompletnie bezradny.

— Dlatego we wtorek — odpowiedziała z Tuluonu panna Cortier — że mam zamiar zrobić sobie mały odpoczynek. Weekend, panie Betacourt.

— Weekend w kwietniu? Boże drogi, leje przecież od rana do wieczora...

— No widzi pan, a tutaj jest piękna pogoda. Lato w pełni. Zachciało mi się odetchnąć świeżym powietrzem. — Z tonu Alicji Cortier wynikało, że nie co innego, tylko własne chęci decydują o jej czynach.

— W poniedziałek na dziesiątą naznaczyła pani konferencję z kierowcami — przypomniał sobie pan Betacourt.

— Zastąpi mnie Duplan, mówiłam z nim przed wyjazdem.

— Więc ta wycieczka była z góry ukartowana? — rozżalił się przełożony. Dobięły go trzaski zmieszane ze śmiechem.

— Niech pan nie będzie dziecinny. Przypuszczaliśmy, że sprawy w Tulonie zajmą mi kilka dni. Załatwiłam wcześniej, chcę trochę odsapnąć. W okolicach Tuluonu jest tyle pięknych miejscowości. Do widzenia, panie Betacourt, strasznie źle słyhać. Do wtorku!

— Przyjemnej zabawy! — powiedział rozżalonym głosem pan Betacourt.

Alicja odłożyła słuchawkę.

Któreż to cechy sprawiają, że w każdym miejscu pracy staje się od razu nie do zastąpienia.

Co ja takiego mam? — pomyślała. — Szybką orientację? Spryt? Zimną krew? Czy może po prostu łut szczęścia... — niełatwo oceniać samą siebie, a co do szczęścia, to nie we wszystkim tak znowu dopisywało. — Moje szczęście pozostawia wiele do życzenia — orzekła pełnym zdaniem, chociaż bezgłośnie. — Ale nie upadajmy na duchu, każdy dzień niesie nowe perspektywy.

Pomyślała przelotnie o zamierzonym weekendzie. Na jej czole ukazała się drobna zmarszczka.

Wyrównawszy u portiera należność za pokój, poprosiła o rozkład jazdy. Walizkę miała już

spakowaną. Nie należało tracić czasu.

Mniej więcej za godzinę siedziała w pociągu, obłożona gazetami i stertą kolorowych magazynów. Dochodziło południe, ciepło coraz mocniej dawało się we znaki; po paryskich slotach Alicja z satysfakcją chłonęła to niespodziewane lato. Spuściła szybę, zdjęła trenecz, rękawy angielskiej bluzki podwinęła powyżej łokci. Na składanym stoliku pod oknem przygotowała starannie przybory do palenia: papierośnicę, zapalki, cygarniczkę. Postanowiła palić nie częściej niż co godzinę. Systematyczność i silna wola były ważnymi składnikami jej natury. Już jako dziecko nie znosiła bałaganu, a teraz, w dwudziestym szóstym roku życia, doprowadziła te zalety do perfekcji. Zresztą, jak łatwo się domyślić, posiadała i inne cechy i nie zawadzi już na wstępie podkreślić, że niektóre z nich mocno odbiegały od rysów charakteru przeciętnych francuskich urzędniczek.

Pociąg jechał z umiarkowaną szybkością, chrzęścił wagonami, demonstrując spokojnym oczom Alicji wesoły film pod tytułem „Wiosna na południu Francji”. Siedziała w przedziale sama, lekko oparta o brzeg stolika. Pociąg sapnął i zatrzymał się, konduktor wywołał nazwę stacji, panna Cortier zapaliła pierwszego papierosa.

Do przedziału weszła zażywna dama w tabaczkowym kostiumie i głębokim altem pozdrowiła Alicję. Alicja oddała ukłon, po czym kobieta zajęła miejsce przy oknie na przeciwległej ławce. Ledwo pociąg ruszył, wyjęła z przepaścistego koszyka papierową torbę, pełną zapachu wanilii.

— Ciastka domowej roboty — oświadczyła kategorycznie i zarazem towarzysko. — Może pani pozwoli?

Alicja grzecznie wyjęła z torby lukrowany rogalik, nadgryzła go i szybko pochwaliła:

— Znakomity.

— Tak, te ciastka są znakomite — przyznała obiektywnie podróżna. — Rozpływają się w ustach. I proszę sobie wyobrazić — kontynuowała temat — na samym serze. Ani grama masła. Po prostu trudno uwierzyć. Wojna nauczyła nas takich sposobów. — Westchnęła. — Można wiedzieć, dokąd pani jedzie?

— Ja?

— Tak, pani. Przecież poza panią nie ma tu nikogo. Bo ja na przykład jadę do Catalouse. Mieszkam tam.

— A ja na weekend. Parę dni odpoczynku po pracy.

W Tulonie załatwiałam sprawy służbowe, mieszkam w Paryżu...

Dama ucieszyła się.

— Od razu poznać paryżankę. Niby nic, a zupełnie inne wzięcie i inny, że tak powiem,

sznyt. Jeżeli chodzi o Catalouse, to jest tam starożytna bazylika. W ogóle niebrzydkie miasteczko. Polecam. Warto odwiedzić także Hautes Murailles. — Dama odznaczała się pewną apodyktycznością. — Jeszcze mniejsze od Catalouse, położone nad zatoką wśród łagodnych zboczy. Proszę bardzo, niech pani bierze. Widzi pani, ile tego jest. — Ostatnie zdanie odnosiło się do ponownie wyciągniętej torby.

— Dziękuję, rzeczywiście świetne. Ja, proszę pani, jadę do Bleucamp — powiedziała Alicja.

— Ach, tak? Bardzo przyjemna miejscowość. I w sezonie coraz modniejsza.

— Doprawdy?

— A jakże. Pierwszy raz jedzie pani do Bleucamp?

— Pierwszy.

Przez jakiś czas trwało milczenie; przemówiła znowu właścicielka rogalików.

— Czy mogę przejrzeć gazetę?

— Ależ naturalnie — Alicja zgarnęła całą stertę.

Dama wyjęła ze stosu pism lokalny „Głos Południa” i pogrążyła się w lekturze.

Tymczasem za oknem było coraz bardziej lazuruwe. Przez spuszczoną szybę wdzierał się słony powiew od morza, zwyciężając zapach waniliowego cukru. Alicja spojrzała na zegarek: mogła zapalić następnego papierosa.

Pani w tabaczkowym kostiumie uniosła wreszcie głowę znad gazety i powiedziała:

— Piszą tu, że w Bleucamp nocą zamordowano dwie kobiety. Nie wiadomo, kto jest sprawcą zbrodni. Policja prowadzi dochodzenie. Istnieją poszlaki, że morderstwa dokonał ukrywający się w okolicznych lasach włóczęga. Wojna okropnie ludzi zdemoralizowała. Życie nie ma żadnej wartości. No, tak — dodała po pauzie — mam nadzieję, że ten przykry fakt nie zepsuje pani odpoczynku.

Alicja nie podjęła tematu. Spokojnie, choć bez specjalnej uwagi, wertowała ilustrowane pisma. Jej towarzyszka z pedanterią mieszkanki małego, nudnego miasteczka czytała dziennik strona za stroną. Mijały kwadransy — nic się nie działo.

Czy rzeczywiście nic się nie działo? Czy podobna wyobrazić sobie czas, w którym nic się nie dzieje? Już to, że wagon łagodnie unosi się i opada według własnej, oryginalnej melodii, lokomotywa jak pies gończy rwie się do upragnionego celu, wśród podróżnej lektury to i tamto budzi wspomnienia i refleksje — choć pamięć ludzka nie zawsze bywa precyzyjna — już to skłania do ostrożności przy stwierdzaniu, że w jakichś kwadransach „nic się nie działo”. A spotkania, na oko pozbawione dramatycznego sensu, okazujące się właśnie zapalną iskrą, od której płoną później całe lasy? Dywagacje o czasie łatwo mogłyby pchnąć nas

w samo sedno teorii Einsteina, a zbyt subtelna analiza wpływu nieuchwytnych faktów na tragiczne losy bohaterów wiedzie prosto do nieprzyjemnej filozofii, zwanej fatalizmem. Alicja Cortier odłożyła kolorowy magazyn.

Pociąg przeciągle gwizdał, zbliżając się do stacji. Na tle żółtawej zieleni, pokrywającej wzgórze, zakwitły małe domki. Alicja wstała, by przejść do okna w korytarzu. Zobaczyła z tej strony kilka białych willi o płaskich dachach i pospuszczanych żaluzjach. Przy torze stał kolejowy budynek, filigranowy jak zabawka, niebieski, oparty o równo przystrzyżony żywopłot. Pod tablicą z napisem B l e u c a m p bieleł się rząd pustych ławek. Wagony skrzypiąc zakołysały się, pociąg stanął. Konduktor zawołał:

— Bleucamp!

Alicja odeszła od okna i stanąwszy w drzwiach powiedziała:

— Właśnie Bleucamp.

— Tak, to jest Bleucamp, śliczne Bleucamp — odrzekła towarzyszka podróży.

Alicja zdjęła z wieszaka płaszcz, pozbierała pisma, schowała przybory do palenia.

Trzymając w ręku neseser, powiedziała:

— Do widzenia.

Pani w tabaczkowym kostiumie roześmiała się głośno. Była rubaszną, prowincjonalną damą, w głębi serca przychylną całemu światu.

— Do widzenia! Życzę dobrego odpoczynku.

— Dziękuję.

Alicja przebiegła szybko korytarz i wyskoczyła na gładki peron. Zaraz potem lokomotywa westchnęła, pociągnęła opieszale wagony, lżejsze o jedną młodą paryżankę, która rozpoczęła właśnie weekend. Weekend w Bleucamp.

Spojrzała na zegarek, było pięć po wpół do drugiej, czyli dwadzieścia minut do papierosa i nie wiadomo ile do obiadu. Rozejrzała się wokoło; mimo soboty, czy może właśnie z powodu gospodarskich sobotnich zajęć, panowała tu zupełna pustka, jedynie szczupły i dostosowany wzrostem do tej niewielkiej stacji zawiadowca tkwił samotnie przed błękitnym domkiem.

Poszła zdecydowanym krokiem w stronę letniskowej części Bleucamp. Wąskie, zakrzewione uliczki oddziaływały z geometryczną regularnością jedną posesję od drugiej. Pensjonaty stały przeważnie w ogrodach, ciche o tej porze roku i pozamykane na cztery spusty. Istniał tu melancholijny ład, charakterystyczny dla miejsc opuszczonych przez ludzi. Brzęczenie owadów i daleki odgłos pociągu podkreślały monotony spokój.

A jednak nie wszystko pogrążone było w tym przedsezonowym śnie. W jakimś momencie



rozdarł ciszę potężny głos paryskiego spikera: „Zbrojne oddziały...” — powiedział i umilkł. Nastąpiła fortepianowa fraza bez początku i końca i zaraz po niej kawałek bulwarowej piosenki o jesiennych liściach, rzewnej i nie na czasie. Czyjaś ręka wskrzesiła na parę sekund dźwięki fortepianu i widać, zniechęcona programem, wyłączyła radio. Alicja przyspieszyła kroku.

Pensjonat nazywał się „Cyprys”. Nie ulegało wątpliwości, że był zamieszkaný: z głębi dochodziły stłumione głosy, jakieś niewyraźne dźwięki i woń smażonego tłuszczu. W uchylonych drzwiach garażu połyskiwał bagażnik czarnego samochodu. Budynek miał zresztą i inne cechy wyróżniające go spośród miejscowych willi. Po pierwsze był nieco większy, a po wtóre zaprojektowano go według zupełnie innego wzoru.

Szukając furtki Alicja obeszła metalową siatkę ze wszystkich stron i stwierdziła, że willa składa się z trzech skrzydeł, tworzących wewnątrz kwadratowe patio zamknięte galeryjką zamiast czwartej ściany. Na środku patio trzeba się było koniecznie domyślać basenu z fontanną. Prostopadle do ażurowej, porośniętej winem galeryjki rosły dwoma rzędami cyprysy. Wszystko to wydało się Alicji trochę pretensjonalne i nie bardzo sensowne.

Minęła bramę przeznaczoną dla samochodów i zatrzymała się przy żelaznej furtce, wykonanej z ozdobnych esów–floresów. Furtka ustąpiła za naciśnięciem klamki, drzwi prowadzące do wnętrza domu stały otworem. Najwidoczniej nie obawiano się tutaj złodziei. Ani bandytów. Ta myśl zjawiała się i zmarła jak efemeryda. Alicja szybko przemierzyła hol. Przeciwległe, szeroko rozsunięte, szklane drzwi wiodły do patio, gdzie już z daleka widać było betonową sadzawkę z nieczynną w tej chwili fontanną.

Kiedy stanęła u progu, zauważyła, że pod ścianą, tyłem do wejścia, na leżaku spoczywa kobieta. Alicja zobaczyła małą, ciemną głowę, czerwone sandały na uniesionych w górę stopach i brzeg książki. Obrazek miał zdecydowane walory kolorystyczne, co zresztą nie wzruszyło szczególnie Alicji.

— Dzień dobry — powiedziała głośno. Gdyby wypaliła z armaty, skutek nie mógłby być bardziej piorunujący. Kobieta przeraźliwie krzyknęła i skoczyła na równe nogi, upuszczając książkę.

— O Boże, jak okropnie się przestraszyłam — mówiła nerwowo, zmiierzając do Alicji. W zakłopotaniu poprawiała włosy i obciążała kolorową spódnice. Była młoda, ładna i w tej chwili śmiertelnie blada. Czarne, przerażone oczy próbowały uśmiechnąć się, ale bez rezultatu albo — jeśli kto woli — z żalonym rezultatem.

— Przestraszyłam się — powtórzyła i tym razem w głosie jej zadźwięczała złość. — Sama nie wiem dlaczego. Muszę być przemęczona. Przyjechałam tu dopiero dzisiaj rano. Dużo

ostatnio pracowałam... Tak, tak, muszę być przemęczona. Nerwy. — Ni stąd, ni zowąd roześmiała się. — Strasznie tu cicho. Zjawiała się pani jak jakiś duch.

— Bardzo przepraszam — rzekła spokojnie Alicja. — Szukam pensjonatu, w którym mogłabym zatrzymać się przez dwa dni. Drzwi zastałam otwarte, więc pozwoliłam sobie wtargnąć trochę bezceremonialnie. Jeszcze raz panią przepraszam.

— Ale za co? Za co mnie pani przeprasza? To ja zachowałam się jak wariatka. Coś mi się stało, sama nie wiem. Bo nerwy właściwie mam jak postronki. — Teraz mówiła lekko i bagatelizująco. Musiała być histeryczką. — Niech pani poczeka, pójdę po właścicielkę...

— Chwileczkę — zatrzymała ją Alicja. — Pani, zdaje się, jest tu gościem. To by znaczyło, że pensjonat już uruchomiono i można w nim mieszkać?

— Tak, na pewno... Zresztą ja właściwie nie wiem. Jestem tu pierwszy raz, dopiero przyjechałam...

— Z Paryża — domyśliła się Alicja.

— Tak, z Paryża. Pani mnie zna? — Dziewczyna nie mogła ukryć zadowolenia. — Ze sceny?

— Ze sceny? Nie... Zauważyłam w garażu samochód z paryską rejestracją. — Alicja uśmiechnęła się przepaszająco.

— To nie mój samochód. Przyjechałam pociągiem.

— Więc są tu i inni goście?

— Prawdopodobnie. Zdaje się ktoś z rodziny. Proszę zaczekać, poszukam pani Morissot.

— Dziękuję, zaczekam.

Dziewczyna w barwnej spódnicy zniknęła. Alicja postawiła na podłodze neseser i ulokowała na nim złożony we dwoje płaszcz przeciwdeszczowy. Długo nikt nie nadchodził, spacerowała więc wzdłuż i wszerz holu, przystając od czasu do czasu u wejścia do patio; szafirowy kwadrat nieba zdawał się rozpostarty tuż nad głową. Elegancki dziedziniec przypominał rozżarzony piekarnik. Ogarnęło ją znużenie i tęsknota za chłodnym Paryżem. Nie czuła się w tej chwili dobrze.

— Słucham panią.

Drgnęła i zrobiła szybki zwrot w tył, jak przyłapana na gorącym uczynku. W tej ciszy ludzkie głosy musiały mieć jakieś dziwne brzmienie.

— Słucham panią — rozległo się ponownie.

Przed Alicją stała kobieta w podeszłym wieku, ubrana w długą, szarą suknię z alpaki. Mimo upału jej plecy i ramiona osłaniała trójkątna, fioletowa narzutka z krótkimi frędzlami. Chuda, niska, trochę przygarbiona staruszka unosiła do góry wyblakłe oczy, spoglądając na

przybyłą chłodno i uważnie.

— Przyjechałam do Bleucamp na weekend. Marzę o krótkim odpoczynku. Wszystko dookoła pozamykane. Byłam już w rozpacz, bo nie znam tu nikogo, kiedy właśnie zauważyłam „Cyprys” i pulsujące w nim życie... — Przymiotnik „pulsujące” zawierał w sobie przesadę, ale użyła go świadomie: chciała być wymowna, swobodna i sympatyczna. — Myślę, że mi pani nie odmówi schronienia oraz łyżki stawy. Załatwiałam w Tulonie interesy firmy, w której pracuję, i zachciało mi się spędzić dwa dni na świeżym powietrzu. Odczułam chętkę wprost nieposkromioną... Dwa dni nad południowym morzem.

— Dlaczego właśnie w Bleucamp? — spytała lodowato właścicielka „Cyprysu”.

— Nazwa mi się spodobała i stacja przypadła mi do gustu. Ktoś jadący ze mną w pociągu, widząc, że jestem niezupełnie zdecydowana, zachęcił mnie.

— I wysiadła pani w Bleucamp?

— Tak, i wysiadłam w Bleucamp.

— Nie gdzie indziej, tylko w Bleucamp?

— Przecież gdzieś musiałam wysiąść, jeżeli zdecydowałam się na weekend.

— Oczywiście. Czy pani jest znajomą panny Teresy Fortin?

— Nie znam nikogo o tym imieniu i nazwisku.

— Myślałam. Widzi pani, nie zdążyłam jeszcze przystosować pensjonatu do potrzeb gości...

— Niech mi pani nie odmawia — Alicja złożyła dłonie w sposób imitujący modlitwę. — Okropnie zgłodniałam i bolą mnie nogi, i chciałabym się umyć, i przebrać, i gdzież ja teraz, biedna, pójdę? Nazywam się Alicja Cortier, pracuję w firmie „E. Betacourt — Transport — ląd — morze”, bardzo solidna instytucja, mieszkam w Paryżu.

Krygowała się przed tą staruszką, ale gotowa była nawet pocałować ją w rękę, byle raz wreszcie rozpocząć już na dobre zaplanowany weekend.

— Na wsi można wynająć pokój z utrzymaniem. Tutejsi ludzie chętnie przyjmują gości z miasta.

— O nie, proszę pani. Ja wolę mieszkać w „Cyprysie”. Mnie się tutaj bardzo podoba. Nie mam żadnych szczególnych wymagań, nie sprawię pani kłopotu — nalegała. — Mnie się tutaj bardzo podoba — podkreśliła raz jeszcze przypochlebnie. — Lubię wytworne pensjonaty, zwłaszcza kiedy nie są przepełnione.

— Tak, mój pensjonat cieszy się w okolicy najlepszą opinią. W sezonie bywa zajęty do ostatniego miejsca. Już dziś przyjmuję zamówienia. Czy pani ktoś o nim wspominał?

— Nie. Wysiadłam przecież w Bleucamp przypadkiem.

— Prawda, pani wysiadła w Bleucamp przypadkiem. — Zasnute starczą mgiełką oczy właścicielki pensjonatu „Cyprys” natarczywie i nieufnie lustrowały młodą kobietę.

— Chętnie zapłacę z góry, cena nie gra roli... — powiedziała Alicja.

— Ach, nie. Nie o to chodzi. — Między spłowiałymi brwiami pogłębiała się pionowa zmarszczka. — Jeżeli pani zostanie, to zapłaci pani wyjeżdżając. Taki tu panuje zwyczaj. Pani jest bardzo ładna, panno Cortier. Dlatego tak się pani przyglądam.

Alicja stropiła się nieco.

— Stanowczo więc chce pani zamieszkać w „Cyprysie”?

— Stanowczo.

— Hm. Mam w domu niespodziewanie dwie osoby, więc ostatecznie trzecia nie zrobi wielkiej różnicy... Musi pani jednakże darować pewne braki. Tak, tak, nie wszystko działa jak należy. Mam tylko jedną dziewczynę do pomocy, klucze oddałam wczoraj do ślusarza... Nie będzie się pani mogła zamknąć, no cóż, to drobiazg. Są i inne felery... — nagle ożywiła się, jakby pod działaniem jakiejś nowej myśli. — Jadać pani będzie przy ogólnym stole.

— Naturalnie. Jedynie może śniadanie...

— Śniadanie przyślę pani jutro do pokoju. Zaraz zawołam Zuzannę, weźmie walizkę i wskaże pani pokój. Za pół godziny siadamy do stołu, usłyszysz pani gong. Jadalnia znajduje się na parterze, po lewej stronie holu, wejdzie pani tymi oto drzwiami. Życzę przyjemnego odpoczynku w Bleucamp — skończyła z zawodową uprzejmością.

Już druga osoba życzyła Alicji przyjemnego odpoczynku w Bleucamp.

W chwilę później Alicja kroczyła śladem pokojówki Zuzanny, która niosła jej podróżną torbę z zatkniętymi za klapę pismami oraz przeciwdeszczowy płaszcz. Wstępowały na pierwsze piętro. Miękki, zielony chodnik tłumiał kroki.

— Tutaj — powiedziała Zuzanna otwierając pierwsze drzwi w korytarzu i puszczając Alicję przodem.

Postawiła walizkę na taborecie, otworzyła okno, podniosła żaluzję. Zrobiło się bardzo jasno. Okno wychodziło na zalany słońcem dziedziniec, martwą fontannę, nieruchome wierzchołki cyprysów i leżak z porzuconą obok książką.

Leżak i książka dodają temu nieludzkiemu miejscu trochę życia — pomyślała Alicja i wdrygnęła się, bo jednak leżak był pusty, a książka w p o p ł o c h u upuszczona na ziemię.

— Zaraz przyniosę pościel — powiedziała Zuzanna. Jej wąskie, złotawe oczy, ocienione zdumiewająco długimi rzęsami, obrzuciły Alicję spieszonym, taksującym spojrzeniem. Miała najwyżej dwadzieścia lat, śniadą cerę i bujne kształty dorodnej wiejskiej dziewczyny.

Kiedy Zuzanna wróciła, Alicja siedziała sztywno na krześle, paląc spóźnionego papierosa.

Tym papierosem ustalała nową miarę czasu. Na taborecie stał otwarty neser. Słońce padało na złożoną na wierzchu pidzamę, niebieską w czarne paski, tworząc niezwykle kolorową, przykuwającą wzrok plamę. Zuzanna krzątała się po pokoju z zawodową rutyną. Po wyszorowaniu umywalni splukała ręce i zabrała się do oblekania pościeli. Alicja śledziła sprawne ruchy milczącej dziewczyny z półzainteresowaniem, jakie wykazują niektórzy ludzie, obserwujący w parku zabawy dzieci lub igraszki psów.

Nagle pochylona nad łóżkiem Zuzanna znieruchomiała, a następnie powoli uniosła ręce. Ściskając nimi skronie obróciła się ostrożnie i wpół zgięta przysiadła — na brzegu posłania.

— Niech mi pani da trochę wody.

— Co się stało?

— Wody...

Alicja skoczyła do kranu.

Pokojówka piła małymi łykami, siorbiąc z wiejska.

— Mdli mnie — powiedziała osowiałym głosem. — Musiało mi coś zaszkodzić.

— Proszę się na chwilę położyć — zaproponowała Alicja.

Zuzanna potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie trzeba. Już mi lepiej. — Na czole i po obu stronach nosa wystąpiły jej kropelki potu. — Może to od gorąca. W kuchni strasznie gorąco. Żar na dworze i żar bije z pieca — tłumaczyła Alicji z nagłą skwapliwością. — Przyjechali goście, to i obiad większy, i roboty więcej. Albo może coś zjadłam...

Otarła rękawem zroszone czoło, podeszła do umywalni, wymyła starannie szklankę i odstawiła ją na półkę.

— Przepraszam — powiedziała zbierając szczotki i ścierki. — Pani Morissot kończy obiad. Za piętnaście minut będzie gong.

Ostatecznie nic szczególnego — myślała Alicja po wyjściu pokojówki. — Każdemu może się zrobić niedobrze. A jednak dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie trzy kobiety, spotkane w pensjonacie „Cyprys”, zachowały się niezupełnie naturalnie. Przestrasch dziewczyny na leżaku, niedyspozycja pokojówki, nieufne oczy pani Morissot, dziwaczne bredzenie o urodzie Alicji i odsyłanie jej na wieś...

Gong rozległ się, kiedy była już umyta, starannie uczesana i przebrana w nieskazitelną bluzkę. Schodziła na dół, zostawiając za sobą smugę perfum. W ręce trzymała papierośnicę, cygarniczkę i zapalki.

W jadalni nie było jeszcze nikogo. Stół nakryto na cztery osoby. Tylko na cztery osoby, z czego jasno wynikało, że oprócz Alicji, pani Morissot i dziewczyny w kolorowej spódnicy

do obiadu zasiądzie jeszcze czwarta, niewiadoma osoba, oczywiście właściciel czarnego samochodu.

Właśnie otwarły się drzwi, weszła pani Morissot w długiej, popielatej sukni i fioletowej narzutce, za nią Zuzanna z tacą, a za Zuzanną dziewczyna we wzorzystej spódnicy i czerwonych sandałach.

— Proszę bardzo, niech pani siada — rzekła właścicielka pensjonatu, wskazując Alicji miejsce. — Panna Fortin, panna Cortier — przedstawiła. — Ale panie, zdaje się, już zawarły znajomość przed chwilą w holu. Zuzanno, proszę raz jeszcze uderzyć w gong, panna Cortier, jak mi wiadomo, jest bardzo głodna.

Alicja skurczyła się wewnątrz na myśl o tym przejmującym dźwięku.

— Jaki ten gong ma dziwny ton — powiedziała mimowolnie.

— Niezwykle piękny — podjęła natychmiast z małą afektacją panna Fortin.

— Raczej przykry — sucho oświadczyła pani Morissot. — Mój syn przywiózł go z któregoś ze swych licznych podróży.

— Z Chin — podpowiedziała prędko panna Fortin.

— Rzeczywiście? — rzuciła ironicznie stara dama i posłała spojrzenie ku drzwiom. Ktoś nadchodził niezbyt szybkim krokiem. Za plecami Alicji skrzypnęły drzwi.

Gość, dla którego przeznaczone było czwarte nakrycie, przystanął i podał Alicji dłoń, białą dłoń połyskującą pierścionkami.

— Moja synowa — zaprezentowała stara pani Morissot.

— M o r i s s o t — rzekła piąta w tym domu kobieta, a tak dobitnie wymówiła nazwisko, jakby chciała nim kogoś wychłostać.

Szumiąc zwiewną, jedwabną suknią okrążyła stół i zajęła miejsce po prawej ręce świekry.

Druga pani Morissot także nie była już młoda. Jak dalece zdawała sobie z tego sprawę — nie wiadomo, w każdym razie nie zdjęła przy stole dużych, ciemnych okularów, szczelnie osłaniających oczy z ważnymi przyległościami. Nosiła na tym pustkowiu strojną toaletę, dużo precjozów i modnie spiętrzoną fryzurę. Gdyby nie dwie bruzdy, biegnące od nosa do brody, można by mieć co do jej wieku złudzenia. Lecz na tle dwóch autentycznie młodych kobiet i ślicznej dwudziestoletniej pokojówki prawda ujawniła się nieubłaganie.

Zuzanna wniosła cztery filiżanki bulionu. Obiad rozpoczęło w milczeniu.

Chcąc nie chcąc trzeba ponownie zrobić wzmiankę o czasie. Ta z punktu widzenia nauki fikcyjna wartość nabiera niekiedy olbrzymiej wagi. Wagi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Minuty odczuwa się jak konkretne brzemie, uciskające plecy i barki, jak przeładowany bagaż, któremu z każdym krokiem trudniej sprostać. Bulion został wypity, z talerzyków zniknęły

kruche paszteciki. Zuzanna zbierała filiżanki, a dotąd — poza słowami towarzyszącymi prezentacji — nie padło przy stole ani jedno zdanie. Milczały obydwie panie Morissot, milczała panna Fortin, milczała Alicja Cortier.

Przy pieczystym Alicja poczuła się nieswojo. Ta cisza stanowczo nie była normalna. Wypełniała pokój zbyt cieleśnie, rosła w miarę upływających chwil, a z nią rosło w ustach jedzenie, potęgował się niepokój. Kilka razy Alicja pochwyciła badawcze spojrzenie trzech mieszkanek „Cyprysu”, skierowane w jej stronę, zastanowił ją też nikły grymas młodszej pani Morissot, w chwili gdy Zuzanna podawała jej półmisek z mięsem. Młodsza pani Morissot ostentacyjnie nakładała na talerz duże porcje, ale jadła pomału, jakby z wysiłkiem.

Coś się stało — pomyślała Alicja. — Coś się stało albo te kobiety czują, że coś się stanie... Co za wstrętny gong i cały dom jakiś dziwny — myślała dalej bezładnie, z trudem przeżuując bardzo smaczną pieczeń. — Same baby i w dodatku niesamowite. Jasne, że moja obecność działa tu paralizująco, wszystkich krępuje, ale z drugiej strony stara kazała mi zejść do stołu, więc musiała mieć w tym jakiś ukryty cel. Trzeba koniecznie się odezwać, jak najprędzej przerwać ciszę, usłyszeć własny głos. Jak gorąco...

Alicja mogła powiedzieć, że jest gorąco, ale jak na nią byłoby to zbyt banalne. Miała zimną krew i lubiła ryzyko, powiedziała więc coś innego.

— Podobno w Bleucamp zamordowano dwie kobiety? — rzuciła w tonie lekko pytającym i z punktu pojechała dalej: — Policja przeprowadza śledztwo, ale w prasie nie ma żadnych szczegółów. Czy panie słyszały o tej sprawie?

— W Bleucamp? — powtórzyła dobitnie stara pani Morissot.

— Tak, w Bleucamp — upewniła ją Alicja.

— Zuzanno — właścicielka „Cyprysu” zwróciła się do pokojówki — czy słyszałaś o jakiejś zbrodni w Bleucamp?

— Nie, proszę pani — odrzekła Zuzanna. — Byłam rano we wsi, ale nic nie słyszałam.

— To widocznie gdzieś indziej, panno Cortier. Przesłyszała się pani.

— Nie, na pewno. Jest wzmianka w gazecie — obstawała przy swoim Alicja. — Istnieją poszlaki, że morderstwa dokonał włóczęga, jakiś podejrzany typ, grasujący w tutejszych lasach.

— U nas nie ma lasów — przerwała jej ostro stara pani Morissot. — Podejrzane typy zdarzają się czasami, owszem. — Wymówiła te słowa tak znacząco, że jej synowa nagle parsknęła śmiechem. — Ale lasów nie ma — ciągnęła dalej. — Wojna widać za mało ludzi wytraciła, trzeba ustawicznie w gazetach kogoś mordować, bo w przeciwnym razie Francuzi poumieraliby z nudów. Nie czytam gazet, słucham czasem radia, to mój jedyny kontakt ze

światem. Bardzo jestem z tego zadowolona — zakończyła ze złością.

Po wypowiedzi Alicji i replice starej pani Morissot nastąpiło odprężenie, a nawet coś więcej: gwałtowne ożywienie, choć trochę nienaturalne.

— Zrobiłam, kochana Floro, twój ulubiony suflet — powiedziała niespodziewanie głośno właścicielka pensjonatu do synowej. — A na kolację będzie sorbet pomarańczowy z rodzynkami.

— Och, jak to dobrze, mamó! — zawołała Flora Morissot z entuzjazmem godnym lepszej sprawy. — Bardzo się cieszę. Chciałabym też wziąć trochę tego specjału do domu. Wiesz, jak Alfred przepada za twoimi przysmakami. Pani, zdaje się, mieszka w „Cyprysie” pierwszy raz? — Z nagłą zagadnęła Alicję. — W takim razie nie ma pani pojęcia o talentach kulinarnych Heleny Morissot. Ten deser pomarańczowy, którym uruczmy się wieczorem, jest po prostu arcydziełem. Skończone dzieło sztuki, tak to trzeba nazwać. Ilekroć wracam z Bleucamp, mąż już od progu pyta mnie, czy przywiozłam sorbet. — Flora przez zadymione szkła posłała spojrzenie w głąb jadalni, jakby rzeczony pan Morissot stał za plecami Alicji i mógł świadczyć o prawdziwości słów małżonki. — Wczoraj, gdy wyjeżdżałam z Paryża, biegł jeszcze za samochodem, wołając: „Floro, sorbet. Nie zapomnij o sorbecie!”

Stara pani Morissot spuściła oczy. Odłożyła nóż i widelec, jakby w jednej chwili zniechęciła się do jedzenia; małe starcze dłonie zacisnęła na dwóch luźnych końcach fioletowej, trójkątnej chustki.

Alicja miała słabe rozeznanie w kwestiach gastronomicznych, pomyślała jednak, czy dla podtrzymania tak gwałtownie rozkwitłej rozmowy nie napomknąć o kruchych rogalikach, wykonywanych z samego tylko sera, bez grama masła — kiedy przy stole zaszedł fakt nieoczekiwany i mocno zenujący. Panna Fortin załamującym się, histerycznym głosem krzyknęła:

— To kłamstwo! Bezczelne kłamstwo!

Alicja natychmiast zrezygnowała z zamierzonej wzmianki i ogarnęła młodą artystkę wzrokiem pełnym zdumienia. Oczy panny Fortin biegły w głąb pokoju, ku jakiemuś punktowi za krzesłem Alicji, omijając twarze pań Morissot.

Znowu zrobiło się nad wyraz nieprzyjemnie, tym bardziej, że świadkiem sceny była również pokojówka Zuzanna, która właśnie wносиła zapiekany deser. Stara pani Helena Morissot poczekała, aż służąca opuści pokój, po czym rzekła:

— Pani się zapomina, panno Fortin. — To zawołanie z nazwiska zabrzmiało jak na rozprawie sądowej. — Stan pani nerwów musi być oplakany.

— Tak, proszę pani — zgodziła się z nagłą pokorą Teresa Fortin. — Sama nie wiem, co



mówię.

Flora przypatrywała się łagodnie swoim wypielęgnowanym paznokciom. Alicja postanowiła sprostac sytuacji. Spojrzała na zegarek: dochodziła trzecia. Sięgnęła po papierosa i przesunęła towarzysko na środek stołu papierośnicę. Ale żadna z pań nie paliła. Zuzanna wniosła kawę; istotnie, jadano tu bardzo przyzwoicie.

— Zuzanno, podaj pannie Cortier popielniczkę — rozkazała pani domu.

Zuzanna postawiła obok nakrycia Alicji dużą, kryształową popielniczkę w kształcie pucharu, przedmiot równie pretensjonalny, jak cała willa „Cyprys” i tak ciężki, jak panująca w willi atmosfera.

Na razie nic więcej się nie zdarzyło.

Obiad dobiegł końca. Helena Morissot wstała, a za nią trzy pozostałe kobiety. Lecz Alicja wróciła z połowy drogi po zapomnianą papierośnicę. Nie byłyby sobą, to jest bystrą, czujną i dociekliwą sekretarką, gdyby zrezygnowała ze sprawdzenia, co w tyle zajmowanego przez nią w czasie obiadu miejsca przyciągało tak sugestywnie wzrok Flory Morissot i Teresy Fortin. Zastała Zuzannę zbierającą nakrycia, wzięła papierośnicę, a następnie podeszła do stojącej w głębi pokoju empirowej szafki, na której połyskiwał złoceniami duży, stary i mimo to brzydki zegar. Przy zegarze spostrzegła fotografię.

— Czy ten zegar chodzi? — spytała tonem turysty zwiedzającego muzeum.

— Nie, proszę pani, jest zepsuty — odpowiedziała dziewczyna.

— Szkoda — zmartwiła się nieszczerze Alicja. — Taki piękny przedmiot.

— Nasz pan lubi ładne rzeczy.

— To ten na fotografii? — zainteresowała się nieobowiazująco Alicja. — Pewnie syn pani Morissot.

— Tak, proszę pani, syn.

— Bardzo podobny do znanego aktora.

— To właśnie on.

— Jak to, syn pani Morissot? — niedowierzała Alicja. — Tamten nazywa się Alfred Morrot. Zaraz, zaraz... Morrot, Morissot, brzmi dosyć podobnie. Ach, rozumiem, pseudonim sceniczny. Naturalnie nazwisko aktora musi być krótkie.

— Pan na scenie nosi właśnie nazwisko: Morrot.

Alicja klasnęła w dłonie, co miało dla Zuzanny oznaczać zachwyty.

— No, coś podobnego! Powiedziano mi w pociągu, że Bleucamp staje się coraz modniejsze. Teraz już rozumiem. To oczywiście z powodu Alfreda Morrot. Taki sławny artysta, wyobrażam sobie, ile kobiet zjeżdża tu latem, żeby go zobaczyć.

— Tak, proszę pani. — Na twarzy Zuzanny zakwitł nikły uśmiech.

— „Cyprys” jest oczywiście jego własnością? — indagowała beztrąsko Alicja.

— Pan Alfred zbudował dom dla starszej pani. Trzy lata temu.

— Ach, musi być zatem dobrym synem?

— Jedynek...

— Sam pewnie projektował tę oryginalną budowlę?

— Słucham panią?

— Nie, nic. Mówię, że od razu można poznać gust słynnego gwiazdora. O której jest kolacja, Zuzanno?

— O ósmej, proszę pani.

— Jak samopoczucie?

— Och, zupełnie dobrze. Już zapomniałam... Jak się pani podoba Bleucamp? — zrewanżowała się Zuzanna.

— Ogromnie. Właśnie, trzeba poznać okolice. Chyba pójdę teraz na spacer.

— Przy tak pięknej pogodzie wręcz powinna pani to zrobić.

— Pójdę, tak, pójdę — zgodziła się z roztargnieniem Alicja. — Na śniadanie piję mocną herbatę.

— Dobrze, proszę pani. — Przechodząc koło Alicji z tacą pełną naczyń przystanęła, jakby chcąc zadać jakieś pytanie, ale widocznie nie miała odwagi, bo zaraz przyspieszyła kroku i zniknęła za drzwiami.

Alicja wchodząc na pierwsze piętro, gdzie mieścił się jej pokój, zauważyła ze zdziwieniem wszystkie trzy panie stojące u szczytu schodów w pozycjach przypominających żywy obraz — bez słów albo raczej ze słowami, które tylko co zamarły na ich ustach, lecz nie zgasły jeszcze w wykrzywionych twarzach.

— Zapomniałam papierosnicy — zaczęła tłumaczyć się kobietom, jakby popełniła przed chwilą przestępstwo. Wlepiły w nią złe spojrzenia rozszerzonych oczu i milczały. Przeszedł ją dreszcz, spieszenie weszła do pokoju i zamknawszy drzwi, stała na progu z bijącym sercem i uchem przytkniętym do szpary. Ona, Alicja Cortier, osoba o stalowych nerwach, gotowa na wszystko.

Usłyszała, że odchodzą w przeciwnym kierunku. Mieszkały widocznie w drugim skrzydle. Chciała przekręcić klucz, ale w zamku klucza nie było. Sprawdziła z drugiej strony i wtedy przypomniała sobie niedawno mało znaczący szczegół: Helena Morissot uprzedziła, że klucze oddano do ślusarza.

Na palcach zbliżyła się do łóżka, unikając gwałtowniejszych ruchów. Dziwaczne

zachowanie mieszkanki willi zdeprimowało ją, wprawiając jednocześnie w stan przykrego podniecenia. Kiedy upuściła niechcący pudełko zapalek, o mało nie krzyknęła z przerażenia, tak była podminowana. Zaapelowała jednak do zdrowego rozsądku, który — jak wiemy — rzadko ją opuszczał. Zdjęła spódnicę i bluzkę, powiesiła je porządnie w szafie, włożyła pidżamę, niebieską w czarne paski i wyciągnęła się na czystej chłodnej pościeli. Pod wpływem codziennych czynności zaczęła przychodzić do siebie i odnajdywać upragnioną równowagę ducha. Parę chwil poświęciła myśli o sposobie zabezpieczenia drzwi na noc, zresztą nieobowiązująco.

— Wszyscy w kwietniu są zmęczeni całoroczną pracą; łatwo popada się w urojenia na skutek gorszego stanu zdrowia... — Oparła stopy na poręczu łóżka dla lepszej cyrkulacji krwi. A jednak myśl, że wychodząc z pokoju mogłaby jeszcze raz natknąć się na jakąś niejasną scenę, odwiodła ją chwilowo od zamierzonej przechadzki. Zależało jej na tym weekendzie, swoje plany zawsze doprowadzała do końca, tymczasem wdepnęła oto w jakąś idiotyczną sytuację. Każdy ma trochę tajemnic i ona je miała — ale mieszkanki „Cyprysu” najwyraźniej łączyła w s p ó l n a sprawa. Jaka? Przyszły jej na myśl dwie zamordowane w Bleucamp kobiety, prawdę powiedziawszy nie zapomniała o nich ani na chwilę. Trzeba przyznać, że wzmianka dotycząca zbrodni nie zrobiła przy stole szczególnego wrażenia: zbyt ją lekko, jak nieodpowiedzialną plotkę. Może zbyt lekko?

Alicja spojrzała na zegarek. Mimo zdenerwowania ciągle paliła tylko jednego papierosa na godzinę. Skoro nie dane jej było inaczej — chciała przynajmniej w ten sposób podtrzymać fizyczną kondycję. Weekend.

— Weekend — powiedziała półgłosem i roześmiała się. — Weekend, czyli odpoczynek — wyrecytowała jak na lekcji języka obcego. Przymknęła oczy i od razu zjawily się pod powiekami obrazy, sytuacje z dawno minionych dni: słoneczne lub ociekające deszczem wakacje w rzeńskim chłodzie gór i w patelnianym skwarze, dziecinne rozmowy, igraszki, dąsy. W pewnej chwili poprzez ogarniającą ją senność ujrzała bez najmniejszego zdziwienia na jasnej, piaszczystej plaży obydwie panie Morissot i Teresę Fortin. Trzymały się z gracją za ręce, pływając w kółko pod melodię bulwarowej piosenki o jesiennych liściach. Wewnątrz tanecznego ronda stała Zuzanna, unosząc nad głową monstrualnej wielkości suflet. Suflet czy sorbet? — zastanowiła się Alicja. Powietrze było przesycone zapachem pomarańcz.

Zdrzemnęłam się widocznie i śnią mi się jakieś bzdury — myślała, nie przestając z lękiem patrzeć na tańczące kobiety. Równocześnie zauważyła, że wielki suflet na półmisku, trzymany oburącz przez Zuzannę, jeszcze się wydłuża, rośnie nabierając niepokojących kształtów. Nagle... Tak, od początku należało się tego spodziewać: suflet zamienił się

w rycerza. Rycerz miał zbroję, szyszak, tarczę i kopię. Spod lśniącego hełmu wyglądała przystojna i zupełnie bezmyślna twarz Alfreda Morrot.

Jaki to zły aktor — pomyślała z irytacją Alicja. — Kompletne zero.

Tymczasem na plaży zaszły pewne zmiany. Taniec należał już do przeszłości. Teresa Fortin czytała na leżaku książkę, Flora Morissot przed złożonym, empirowym lustrem układała włosy w skomplikowany czub, stara pani Morissot stała teraz obok Alicji i szeptała jej znacząco do ucha: „Pani jest bardzo ładna, panno Cortier...” Alicja chcąc zmienić temat spytała niedbale: „Czy nie wie pani przypadkiem, co to za film?” i wskazała szerokim gestem wszystkie dookoła osoby. „Ten film nosi tytuł «Weekend w pensjonacie ‘Cyprys’»,”. I jeszcze pani Morissot spytała: „Czy jest pani zadowolona?” „Tak, naturalnie — odpowiedziała konwencjonalnie Alicja — tylko że ona go długo na tym półmisku nie utrzyma”. W tym momencie rycerz zaczął się chwiać w prawo i w lewo, a Zuzanna, czerwona z wysiłku, próbowała rozpaczliwie utrzymać równowagę. „Katastrofa jest nieunikniona” — oznajmiła starsza pani Morissot. „Tak, katastrofa jest nieunikniona” — powtórzyła jak echo Alicja. Wtedy rozległ się przejmujący krzyk Zuzanny.

Alicja, gwałtownie wyrwana ze snu, usiadła na łóżku. W jej uszach ciągle dźwięczał kobiecy krzyk, zacierając granicę między jawą i przywidzeniem. Czy to był jeszcze sen? Czy przed chwilą naprawdę dom zadrżał od czyjś przeraźliwego wrzasku?

Wyskoczyła z łóżka, podbiegła do okna i uniosła żaluzję. Zobaczyła betonową sadzawkę, suchą fontannę w dali rząd cyprysów — wszystko nieruchome, zakrzeple w upale. Czyżby uległa złudzeniu? Nic nie mąciło ciszy.

Postanowiła przejść się przed kolacją, a po kolacji wziąć kąpiel. Wyszedłszy na korytarz, rozejrzała się za łazienką. Znalazła drzwi z napisem „Wanna” i inne z napisem „Natryski”, ale tak jedne, jak i drugie były zamknięte na klucz, na te klucze, które w tej chwili spoczywały prawdopodobnie u ślusarza. No cóż, Helena Morissot nie tała, iż pensjonat nie został jeszcze przystosowany do potrzeb gości. Pewnie w lewym, zamieszkanym skrzydle znajduje się łazienka zdalna do użytku. Przemogła wahanie, minęła mały hol u szczytu schodów i weszła w przeciwny korytarz. Rzeczywiście tu łazienka była otwarta, pełna przyborów toaletowych i zapachu wody kolońskiej. Z kranu sączyła się ciepła woda. Okno wychodziło na pustą, ale zieloną i pogodną uliczkę. Samopoczucie Alicji z miejsca uległo poprawie.

Ładna historia. Może ja ciągle jestem tchórzem? — pomyślała. — Czyżby praca nad sobą nie dawała żadnych rezultatów?

Kiedy znowu znalazła się na korytarzu, dobiegł ją przez zamknięte drzwi równy głos starej pani Morissot. Przystanęła wstrzymując oddech.

— Sama nie wiem, kochana Floro, co o tym sądzić. Na co ta dziewczyna liczy, odrzucając tak wielką sumę?

Inny głos odpowiedział:

— Ach, głupstwo, mamó. Jakie to ma znaczenie? Myślę ciągle o tej drugiej, ta druga wydaje mi się naprawdę niebezpieczna. — To mówiła młodsza pani Morissot.

— Przesadzasz — podjęła znowu stara dama. — Stanowczo przesadzasz. W pierwszej chwili i ja się przestraszyłam, ale nie, to zupełna gęś. Tyle, że ładna. No, ale wszystkie one są ładne...

— A list? — spytała Flora Morissot.

Naraz w głębi korytarza ktoś otworzył drzwi i w następnej chwili Alicja ujrzała idącą ku niej Teresę Fortin.

— Pani czego szuka? — spytała panna Fortin.

— Tak, łazienki.

— Łazienka jest tutaj, za pani plecami.

— Dziękuję bardzo. Chciałam się wieczorem wykąpać, a po mojej stronie wszystko pozamykane. Wybiera się pani może na spacer?

— Nie, idę na patio, przed dom. Posiedzę trochę na leżaku. Jestem zmęczona.

— Nie spała pani po południu?

— Nie, nie spałam.

— A ja zdrzemnęłam się, ale bardzo krótko. Były jakieś hałasy — powiedziała ostrożnie.

— Tak, Zuzanna zaniemogła — odrzekła panna Fortin. — Jakiś atak czy coś w tym rodzaju.

— Czy wezwano pogotowie?

— Ależ nie, już wszystko w porządku. Leży w swoim pokoju.

— Może da się pani jednak namówić na małą przechadzkę — Alicja uśmiechnęła się zachęcająco. — Zrobiło się nieco chłodniej.

Zeszły już ze schodów i stały w holu na parterze. Przez szklane drzwi widać było pusty dziedziniec, leżak, porzuconą książkę. Emaliowana pokrywa nieba strzegła atrium przed najłżejszym podmuchem.

— Nie, dziękuję pani — rzekła Teresa Fortin. — Nie pójdę. Marnie się czuję. Dzisiaj od rana marnie się czuję. Jestem wrażliwa na zmianę klimatu.

— Zmiana rzeczywiście olbrzymia — zgodziła się Alicja. — W Paryżu od kilku dni pada deszcz. — I dodała z właściwym sobie rozsądkiem: — Nie powinna pani siedzieć na patio, tu zupełnie nie ma przewiewu. Stąd bierze się pani złe samopoczucie.

— Co? — zdziwiła się Teresa. — Ależ ja mam bardzo dobre samopoczucie — i wybuchnęła śmiechem, w którym zadźwięczał ostry, nieprzyjemny ton.

Alicję zastanowił nie tylko wyraźny brak konsekwencji w wypowiedziach Teresy, ale także jej nadzwyczajnie zmienna mimika. Odnosiło się wrażenie, że panna Fortin ustawicznie coś odgrywa i to kilka ról za jednym zamachem, nie mogąc się na żadną zdecydować.

— Wspomniała pani dziś przed obiadem, że jest aktorką. Można wiedzieć, w którym teatrze pani występuje? — spytała Alicja, żeby na zakończenie sprawić Teresie przyjemność.

— Jestem tancerką. Występuję w rozmaitych teatrach. Obecnie czekam na bardzo korzystne *engagement* — wyznała Teresa już zupełnie spokojnie.

— W takim razie życzę powodzenia — skinęła głową Alicja, po czym rozeszły się w dwie przeciwne strony.

Bleucamp było miejscowością dosyć rozległą. Składało się z części letniskowej i osady rybackiej. O tej porze roku, kiedy sezon jeszcze się nie zaczął, prawie wszystkie wille świeciły pustką. Wprawdzie tu i tam w ogrodach krzątali się ludzie, tu i tam wietrzono pościel i malowano okna, ale czynności te miały charakter sporadyczny i na przykład przed kilku godzinami w ogóle uszły uwagi Alicji. Wieś, pochylona ku morzu, tętniła normalnym życiem, dla niej sezon nie miał większego znaczenia. Alicja postanowiła dla odprężenia pójść na dalszą przechadzkę; szła szybkim krokiem, poddając się działaniu słońca i ciepłego wiatru, który poza granicami „Cyprysu” od razu rozpoczął swoje dobroczynne działanie. Zwiedziła skrupulatnie cały obszar letniskowy, przeszła skrajem wąskiej, sierpowatej plaży i znalazła się wśród rybackich zabudowań. W obejściach gdakały kury, przed domami bawiły się dzieci, podwórka zalegał przeróżny sprzęt rybacki; gdzieś tam naprawiano sieci. Jakiś starszy mężczyzna, siedząc na progu, wyjadał coś smakowicie z czerwonego garnka. Alicja serdecznie pozazdrościła tym ludziom bezpieczeństwa i spokoju. Kto inny, być może, jeszcze teraz spróbowałby przenieść się z wykwintnego, ponurego pensjonatu do sielskich domków, ale nie ona. Nie ona.

Kiedy w drodze powrotnej Alicja ponownie mijała osadę, siedzący na progu mężczyzna tkwił w tej samej pozycji. Opróżniony garnek postawił opodal na stopniu, a sam pykał kontemplacyjnie fajeczkę.

Nie wszystko, co robimy, ma głębszy, przemyślany sens. Czasem ulegamy odruchom albo przelotnej słabości. Alicja, ujrawszy na schodku czerwony garnuszek, poczuła silne pragnienie. Bądź co bądź zrobiła sporą wycieczkę, nie kryjąc się przed słońcem.

— Czy mogłabym prosić o trochę wody? — spytała.

— A pewnie — odpowiedział rybak. — Niech pani wejdzie, woda stoi w sieni. —

I wskazał kierunek fajką.

Alicja przepchnęła się między siedzącym a brzegiem drzwi, zobaczyła dużą kadh, zaczerpnęła fajansowym kubkiem wody, ugasiła pragnienie i grzecznie podziękowała. Już oddaliła się od domu o dobre kilkanaście kroków, kiedy nagle coś ją powstrzymało.

— Czy to w Bleucamp zamordowano niedawno dwie kobiety? — zapytała, jakby chodziło o zwykłą turystyczną informację.

— Co takiego? — zdumiał się rybak. — Co też panienka wygaduje? W imię Ojca i Syna...

— No, to musiało mi się pomylić — powiedziała tym samym nieobowiązującym tonem i szybko poczęła zmierzać w stronę bardziej cywilizowanej części Bleucamp, bo dochodziła już godzina ósma.

Rybak pokiwał sceptycznie głową.

Zanim jeszcze znalazła się w obrębie „Cyprysu”, usłyszała ostry ton gongu.

Obrzydliwy dźwięk — pomyślała znowu. — Prezent godny tego dumia, kabaretowego firyka z porcelanową twarzą.

Przy stole siedziała już Flora Morissot. Strojną suknię zamieniła na spodnie i sweter. Zwykle drelichowe spodnie i podniszczony sweter. Ciemne okulary nadal osłaniały jej oczy i część twarzy. Zamiast górnej lampy zapalono boczny kinkiet, skupiający pod zielonym kloszem niewiele chłodnego światła. Gdy Alicja zajęła miejsce przy swoim nakryciu — rozwarły się drzwi i wkroczyła pani Helena Morissot z półmiskiem; za nią szła Teresa Fortin niosąc tacę, ciasno zastawioną rozmaitego rodzaju salaterkami. Teresa miała na sobie białą suknię, odsłaniającą ramiona i szyję, długi sznur czerwonych koralu i mały, kokieterijny fartuszek. Wyglądała bardzo ładnie, a jej szczupła twarzyczka wyrażała w tej chwili pogodne zadowolenie.

— Zuzanna źle się czuje — powiedziała pani Morissot. — Zastępujemy ją. Wyszło na jaw, że panna Fortin jest dobrą gospodynią. Sama przyprawiła wszystkie sałaty, sama ugotowała rybę.

Flora skwitowała informację milczeniem, więc Alicja poczuła się w obowiązku zareagować.

— Umiejętność rzadko spotykana u artystek.

Panna Fortin zademonstrowała kaskadę śmiechu, jakiej nie powstydzilaby się Michele Morgan.

— Jestem wszechstronną artystką. Aktorką, pieśniarką, tancerką, kucharką, praczką, krawcową i czym pani chce. O, dużo potrafię! W czasie wojny pracowałam jako dziewczyna do dzieci. To mi się chyba najbardziej podobało. Przepadam za dziećmi.

— Dziwne, że pani dotychczas nie wyszła za mąż — powiedziała Flora Morissot. — Mogłaby pani prawdziwie uszczęśliwić jakiegoś młodzieńca na dorobku.

— Skończyłam dopiero dwadzieścia trzy lata — odrzekła Teresa. — Nie spieszy mi się. Zresztą mam narzeczonego.

Na stole stały dwie okazałe karafki, jedna z białym, druga z czerwonym winem. Alicja podziękowała za wino, co przyjęto bez zdziwienia, a nawet przy sposobności starsza pani Morissot pochwaliła wstrzemięźliwość jako ogólną zasadę życiową. Niemniej wszystkie trzy damy zakrapiały jedzenie suto, napełniając kieliszki raz za razem.

Panna Fortin w ciągu ostatnich godzin jakby rozkwitła; zupełnie wyzbyła się poprzedniej nerwowości. Ustawicznie zwracała ciemną główkę w stronę sędziwej gospodyni, bądź podsuwając jej półmiski, bądź dolewając szlachetnego trunku. Mówiono niewiele, lecz atmosfera panująca obecnie przy stole niczym nie przypominała obiadowego klimatu, tak — w odczuciu Alicji — naładowanego elektrycznością.

Na zakończenie uczty pani Morissot przyniosła z kuchni zapowiadany sorbet; nad dzbanem unosiła się delikatna woń pomarańcz.

Alicja, jak za pociśnięciem magicznego guziczka, przypomniała sobie obiadowy incydent, żywy obraz na górnym podejściu schodów, popołudniowy sen zakończony krzykiem Zuzanny, podsłuchaną rozmowę, a nawet niesamowity dźwięk gongu i — zrobiło się jej nieprzyjemnie.

— Doskonały sorbet — powiedziała przede wszystkim po to, żeby usłyszeć własny, spokojny głos.

Teresa Fortin, pochylona nad swoją porcją, zachichotała.

— Z czego się pani śmieje? — spytała Alicja, trochę zaskoczona. — Bardzo smaczny deser.

Pytanie i powtórna pochwała jeszcze mocniej rozbawiły Teresę. Aż poczerwieniała od hamowanego śmiechu, który wbrew wysiłkom ogarniał ją coraz przemoźniej.

— Cóż ja takiego powiedziałam? — dziwiła się Alicja. — Nie rozumiem...

Teresa, krztusząc się i ocierając łzy, jęła bełkotać poprzez śmiech:

— Ach, bo mój narzeczoney... doprawdy... on nie cierpi pomarańczy... Ojej, pęknę ze śmiechu. Absolutnie nie znosi tego smaku. Sam zapach przyprawia go o mdłości...

— I to panią tak rozbawiło? — zdumiała się Alicja.

— Tak. Nie... czy ja wiem? Nie tylko... — jako tako się opanowała. — Stańło mi przed oczami, jak żywe, jedno zdarzenie okropnie komiczne. Urządzaliśmy przyjęcie dla najbliższych znajomych w moim mieszkaniu. Często urządzamy takie spotkania...

Panie Morissot siedziały sztywno, z dłońmi opartymi o brzeg stołu. Teresa kontynuowała:



— Wcisnęłam do koktajlu pomarańczę i on to wypił. A potem, dosłownie za pięć minut, dostał wysypki. Cała głowa mu spuchła jak czerwony, karnawałowy balon...

— Alergia — stwierdziła rzeczowo Alicja.

Panna Fortin znów poddała się paroksyzmowi wesołości.

— „Kochana Tereso”, powiedział do mnie, a on w takich razach przemawia głosem ojca Hamleta. „Kochana Tereso, u nas w domu nie będzie wolno podawać tych owoców pod żadną postacią”. Z każdym wypowiedzanym uroczyście słowem rosła mu trochę głowa...

— Panna Fortin po prostu się upiła — rzekła Flora Morissot. — Za dużo wina.

Alicja zduśliła papierosa w kryształowej popielnicy. Stara pani Morissot rzekła:

— Panno Fortin, proszę iść do siebie i czekać na mnie. Zawiodłam się na pani.

Twarz Teresy natychmiast przybrała spłoszony, pokorny wyraz, jaki towarzyszył jej zawsze, ilekroć Helena Morissot przemawiała ostro, z dezaprobatą.

Kolacja była skończona.

Alicja uspokoiła się zupełnie. I cóż w tym wszystkim dziwnego? Narwana pannica, źle znosząca starzenie się żona modnego gwiazdora i nieufna staruszka ze skłonnością do strofowania. Jeżeli te panie nie żyją ze sobą w zgodzie — tym gorzej dla nich.

— Tym gorzej dla nich — powiedziała prawie głośno, gotując się do spania.

Wykonała krótką gimnastykę, wzięła kąpiel. Wróciła do pokoju i zapaliła ostatniego papierosa. Rzuciła okiem na stertę przywiezionych z Tulu pism. Kilka godzin temu, bezpośrednio po wrażeniach odniesionych w czasie obiadu, postanowiła sprawdzić kryminalną notatkę w „Głosie Południa”, ale postanowienia dotąd nie zrealizowała. Najpierw zasnęła, później poszła na spacer, ze spaceru trafiła prosto do jadalni, posłuszna dźwiękom chińskiego gongu. Teraz mogła nareszcie zaspokoić ciekawość, tylko że nagle całe zainteresowanie sprawą gdzieś pierzchnęło. Ziewnęła przeciągle i zbliżyła się do okna, żeby podnieść na noc roletę. Odetchnęła przyjemnym wieczornym chłodem. Ujrzała *vis-à-vis* trzy prostokąty, poprzecinane poziomo paskami światła. Dwa w niedalekim sąsiedztwie i trzeci na końcu willi, przy galeryjce.

W ciągu pięciu minut zasnęła. W nocy zbudziła się tylko raz.

Niedzielny poranek w Bleucamp zapowiadał nowy, pogodny dzień. O ósmej było już ciepło i trochę duszno. Upał rósł z minuty na minutę; w późniejszych godzinach można się było spodziewać wiosennej burzy. Przed pensjonatem „Cyprys” stał niemłody mężczyzna, w wiejskim ubraniu. Twarz miał nienaturalnie bladą, a małe, szeroko rozwarte oczy wbił w wylot uliczki, jakby spodziewał się zobaczyć tam lada chwila coś nadzwyczajnego. Tymczasem wszystko pogrążone było w niedzielnym spoczynku. Brzęczenie owadów i daleki odgłos pociągu podkreślały monotonną ciszę. Mężczyzna nagłym ruchem uniósł ręce i przysłonił wykrzywioną twarz, potem kilka razy skubnął palcami gęste, szpakowate wąsy i zaczął nerwowo spacerować przed ogrodzeniem willi. Znowu przystanął, zmarszczył brwi: prawdopodobnie złowił jakiś odgłos, bo puścił się pędem w stronę zakrętu alejki, stamtąd przez moment obserwował widoczny odcinek szosy i znowu pędem wrócił na stanowisko przed furtką. Robił wrażenie człowieka niezwykle wzburzonego i kompletnie wytrąconego z równowagi.

W chwilę później w uliczkę prowadzącą do willi „Cyprys” wjechały dwa samochody — były to policyjne Citroeny z Tulonu. Zahamowały przed wejściem i wkrótce zaroilo się od mężczyzn. Jedni byli w mundurach, inni po cywilnemu. Do wieśniaka podszedł sprężystym krokiem niski człowiek w jasnej marynarce i powiedział:

— Jestem inspektor Randot z tulońskiej prefektury. Czy to wyście telefonowali na policję?

— Tak jest, proszę pana. W tym domu zdarzyło się okropne nieszczęście.

— W jaki sposób dowiedzieliście się o tym?

— Jestem ogrodnikiem. Pani Morissot kazała mi przyjść w niedzielę rano, żeby omówić robotę na przyszły tydzień. No to przyszedłem... Drzwi wejściowe były otwarte...

— Rozumiem. Przesłucham was po zbadaniu domu. Idziemy, panowie — zwrócił się do podwładnych. — Doktorze, sierżancie, proszę ze mną.

Weszli do przestronnego holu. Za nimi w pewnym oddaleniu, pod wodzą porucznika, kroczyli z wolna pozostali funkcjonariusze. Szklane drzwi do patio były zamknięte.

— Tędy idzie się do jadalni i do kuchni — wskazał ręką ogrodnik.

Inspektor Randot odwrócił się na pięcie i odmierzył kilkanaście sprężystych kroków. Jednym krótkim gestem zatrzymał w holu swoich ludzi, drugim wezwał do asysty ogrodnika.

Weszli we czwórkę do jadalni, gdzie z powodu spuszczonej żaluzji panował mrok; stół pełen był resztek jedzenia i nie pobieranych naczyń. Mała, wąska sionka poprowadziła ich

z jadalni do kuchni. Leżała tam na podłodze młoda dziewczyna. Była śmiertelnie blada: na rozciętym czole zakrzepły drobne krople krwi.

— To pokojówka Zuzanna Leroux — powiedział ogrodnik. — A na górze leży martwa jej pani.

— Doktorze, proszę zbadać tę kobietę — rzucił szybko Randot. — Idziemy dalej. — Przechodząc przez hol wydawał dyspozycje: daktyloskop, zaczynajcie od kuchni, potem jadalnia, piętro, strych... Poruczniku Blace, piwnica!

Wbiegł na schody, zielony dywan stłumił kroki. Sierżant Foxe szedł ramię w ramię z ogrodnikiem; nie spuszczał z niego wzroku.

Na podeście pierwszego piętra inspektor rozejrzał się.

— W lewo — powiedział ogrodnik. Schrypnięty głos odmawiał mu posłuszeństwa.

Pierwsze drzwi w lewym skrzydle stały otworem. Okno także było otwarte. Na wysokim, czarnym łóżku, jak na katafalku, w blasku słońca spoczywała stara kobieta — drobna, przerażająco nieruchoma, z wysadzonymi na wierzch porcelanowymi oczami, z obwisłą szczęką. Chude dłonie ścisnęły brzegi trójkątnej, fioletowej chustki; jej końce, miast krzyżować się na piersiach, związane były w węzeł i obejmowały wątłą szyję. Dłonie zakrzepły w spazmatycznym geście: takim gestem na obrazach alegoryczni bohaterowie zrywają pęta. Stara kobieta nie mogła już zerwać żadnych pęt, ponieważ za pomocą trójkątnej wełnianej chustki została uduszona. Ten fakt nie budził wątpliwości.

— To właścicielka pensjonatu? — rzucił pytanie inspektor Randot.

— Tak. Pani Morissot. Helena Morissot. Mieszkała w Bleucamp trzy lata, od kiedy jej syn pobudował ten dom.

— Czy byli w pensjonacie jacyś goście? — dręczył wieśniaka Randot.

— Goście? Nie wiem. — Orodnik z trudem łapał oddech. — Kiedy Zuzia kilka dni temu, chyba w środę, zaszła do mnie z poleceniem od pani Morissot, nie mówiła, że ktoś przyjechał. Sezon jeszcze się nie zaczął.

— Wasze nazwisko?

— Marcin Davide.

— Gdzie mieszkacie?

— W osadzie nad morzem.

— Sierżancie, proszę otworzyć wszystkie drzwi w tym korytarzu.

Sierżant Foxe wyjął z torby rękawiczki i wytrych. Przycisnął ostrożnie klamkę najbliższych drzwi: nie były zamknięte na klucz. Tymczasem inspektor oglądał przedmioty leżące na nocnej szafce przy łóżku zamordowanej. Orodnik Davide stał w progu ze

spuszczonym wzrokiem.

— Panie inspektorze! — zawołał bardzo głośno Foxe. — Panie inspektorze!

Randot momentalnie zorientował się, że sierżant odkrył coś ważnego. Wykonał skok w stronę korytarza, pchnął tarasującego przejście ogrodnika i zobaczył ogłupiałą twarz Foxe'a, który wpatrywał się we wnętrze trzeciego z kolei pokoju.

Pokój, podobnie jak pierwszy, tonął w jaskrawym świetle, bo i tu okno było otwarte. Na szerokim łożu leżała kobieta, do połowy przykryta pledem, w różowej cienkiej koszuli, z policzkiem przyciśniętym do rogu poduszki. Na płóciennym kwadracie ciemniała nienaganna fryzura. Sine powieki ciasno przylegały do oczu. Struga zastygłej krwi przecinała pergaminową twarz od skroni do końca brody. Ręka, zwisająca z pośłania, bezwolnym ciężarem ściągnęła górną część korpusu aż do krawędzi materaca. Sztywny palec, jak drogowskaz wycelowany w podłogę — zdawało się — poprzez warstwę pluszu i drewna oskarżał sprawcę rozegranego tu ostatecznie dramatu. Na ręce połyskiwały brylanty.

Inspektor milcząc przyswajał sobie wszystkie szczegóły makabrycznej scenerii. Za jego plecami sierżant Foxe dzielnie walczył z potrzebą wymiany zdań.

— Sierzancie, proszę otwierać dalsze drzwi — rozkazał Randot i zwrócił się do ogrodnika, który ciągle jeszcze tkwił na progu pierwszego pokoju. Przywołał go znaczącym kiwnięciem palca. Davide podszedł niepewnie, ociągająco.

— W imię Ojca i Syna... — zajęczał.

— Wyście tego nie widzieli?

— Skądże. Najpierw wszedłem do kuchni i zobaczyłem martwą Zuzannę, więc pobiegłem do pani Morissot. Jak zrozumiałem, że ona też nie żyje, zatelefonowałem na policję. To wszystko. O Matko Przenajświętsza, co tu się działo tej nocy!

— Skąd wiecie, że tej nocy?

— A kiedy?

— Nie wiem kiedy. To wy wiecie, bo mówicie, że tej nocy.

— Ja mówię, że tej nocy?

— Wy.

Widać było, że wysiła umysł:

— No pewnie. Kto by tam w dzień zabijał ludzi. — Wreszcie dodał: — Wczoraj widziałem Zuzannę we wsi.

— Skoro tak, to co innego — przystał Randot.

— W żadnych drzwiach nie ma kluczy — informował sierżant Foxe, który zbliżał się już do końca korytarza. — Wszystko zamknięte tylko na klamki i wszędzie pusto.

— Halo, panie inspektorze! — wołał z dołu porucznik Blace. — W garażu stoi samochód z paryską rejestracją.

— Dobrze! — odrzyknął Randot. — Chodźcie tu, poruczniku, mamy na górze dwie zamordowane kobiety!

Porucznik biegł, przeskakując co drugi stopień, puszysty chodnik tłumiał jego kroki. Marcin Davide odmawiał półgłosem modlitwę za zmarłych.

Sierzant Foxe otworzył ostatnie drzwi w lewym skrzydle. Pokój był ciemny, przepojony dobrze mu znaną wonią. Sierzant skrzywił się. Przez spuszczoną żaluzję wpadały wąskie pasemka słońca. Zobaczył młodą twarz dziewczyny i krótkie ciemne włosy. Poczł mdłości.

Nie wszedł do środka, tylko niezgrabnie szukał po kieszeniach papierosa. Był w rękawiczkach i to utrudniało manipulację. Nawet kiedy już znalazł zmiętą paczkę i zapalki, nie mógł uporać się z ogniem.

— Foxe, leć po doktora! Co ten stary niedołęga tam robi? Operację ślepej kiszki?!... — wołał Randot wychodząc z porucznikiem z pierwszego pokoju. — Foxe!

— Przepraszam, panie inspektorze... Znaleźliśmy czwartą zamordowaną kobietę.

Przykro było na to patrzeć. Ta czwarta została pozbawiona życia najokrutniej. W zaciemnionym pokoju brzęczały owady. Przez oparcie krzesła przewieszona była biała suknia. Na kłamce od okna wisiał sznur purpurowych koralii. Sandały na cienkich obcasach odcinały się od dywanu dwiema czerwonymi plamami. Kobiecie podcięto gardło.

— No tak — powiedział po dłuższym milczeniu Randot. — Z taką rzezią dawno już się nie spotkałem.

— Jak u Szekspira — dodał porucznik Blace, który lubił w swoim zawodzie powoływać się na klasyków. Zresztą nie bardzo wiedział, jak się zachować.

Randot spojrział na młodszego kolegę z wyrzutem. Ogrodnik nie ustawał w modlitwie, sierżant zdusił papierosa o podeszwę. Porucznik Blace powiedział:

— Zwariowałeś, Foxe? Zostawiasz nowe ślady w miejscu zbrodni? Doświadczony policjant!

— Niech to cholera! — sierżant wyładowywał złość nie zważając na obecność inspektora. — Pierwszy raz mam do czynienia z taką jatką.

— Sierzancie Foxe, zabierzcie tego człowieka — rzekł Randot wskazując Davide'a. — Niech się nim zajmą na dole. — Nadał głosowi urzędowy ton, który działał na jego podwładnych jak zimny prysznic po przepiciu. — Daktyloskop i lekarz na górę!

— Tak jest, panie inspektorze.

U szczytu schodów pokazał się agent.

— Panie inspektorze, ta dziewczyna żyje. Doktor doprowadzą ją do przytomności. Ktoś przeszukiwał jej rzeczy, ale nie ma śladów kradzieży.

— Wreszcie coś krzepiącego — powiedział inspektor Randot. — Idę. Zostanie pan tu z porucznikiem Blace'em. Teraz, panowie, prawe skrzydło! Miejmy nadzieję, że było nie zamieszkane.

\*

Między trzecią i czwartą po południu spadł krótki, gwałtowny deszcz. Od razu zrobiło się chłodniej. Drzwi wiodące do patio rozsunęto i dla lepszego przewiewu otworzono także drzwi wejściowe. Policjant Martin wyniósł z jadalni do holu krzesła i ustawił na stoliku filiżanki. W środku ulokował wielką popielniczkę w kształcie pucharu.

— Zaraz będzie kawa — powiedział głośno i bezosobowo. Przy dłuższych operacjach w terenie ten człowiek był wprost niezastąpiony. Gdy chodziło o zaparzenie kawy lub herbaty, nie istniały dla niego trudności techniczne, gdy chodziło o zdobycie odpowiedniego materiału do tej czynności — nie istniały skrupuły. Inspektor Randot, surowy szef tulońskiej prefektury, wykazywał wobec inicjatywy Martina roztargnioną tolerancję, porucznicy po kilkugodzinnej, wyczerpującej nerwy pracy jawnie domagali się wzmacniającego napoju. Ale Martin i bez dopingu znał swoją powinność. Umiał też znaleźć właściwy moment dla właściwej sprawy.

— No, to siadajmy, panowie — powiedział ostro inspektor. — Poruczniku, doktorze. Martin, niech tu przyjdzie Foxe. Zbierzemy sobie wszystko do kupy.

Po chwili rozległ się dźwięk gongu. Martin wniósł olbrzymi dzbanek kawy — przyjemny, napawający bezpieczeństwem zapach wypełnił podejrzone wnętrze.

Sierzant Foxe schodził szybko ze schodów. Zielony chodnik tłumiał jego kroki.

— To na mnie ten gong? — zapytał.

— Tak, sierzancie — zameldował Martin. — Kawa na stole.

Foxe zasiadł na czwartym, wolnym krześle.

— Niebywała historia — rzekł posepnie.

Martin lał do filiżanek gorący płyn.

— Weź tę popielniczkę, Martin — porucznik zrobił płaski ruch dłonią. — Ten przedmiot mnie mierzi. Mam chyba prawo przez pół godziny nie patrzeć ani na umarlaków, ani na narzędzia zbrodni.

— Rozkaz, panie poruczniku. — Martin mrugnął okiem.

— Zuzannę Leroux już niedługo dobudzimy. Mam nadzieję, że szok minął — rzekł doktor.  
— To zdrowa, wiejska dziewczyna.

Randot pił kawę w milczeniu. Doktor dobył z kieszeni notatki.

— Na razie podam panom przybliżone informacje. Sekcja ustali szczegóły i dokładne godziny zejścia. Jedno jest pewne: wszystkie trzy zbrodnie, nie licząc czwartego, nieudanego zamachu, wykonano w znacznych odstępach czasu. Między pierwszą i ostatnią minęło około pięciu godzin. Niewykluczone, że nawet więcej. Ta mała udzieli nam ważnych wskazówek.

— Udzieli albo nie udzieli — powiedział leniwie porucznik Blace. — Powinniśmy postępować tak, jakby i ona była martwa. Z reguły nie mamy zaufania do świadków, którzy uszli z życiem tam, gdzie wszyscy inni je stracili.

— Nie znam się na tym — stwierdził lojalnie lekarz. Z kolei głos zabrał sierżant Foxe:

— Przede wszystkim trzeba ustalić, kto zajmował pokój numer jeden. W prawym skrzydle mieszkała tylko jedna osoba. Silny zapach perfum wskazuje, że była to kobieta. W koszu niedopałki i popiół z papierosów. Ten sam, który odkryliśmy na włosach jednej z ofiar, ten sam, który znajdował się w wiadrze z kuchennymi odpadkami. Żadna z zamordowanych kobiet ani też ranna pokojówka nie paliły. To pewnik.

— Nie ma pewników, są tylko hipotezy — stwierdził naukowo porucznik i w obawie, że się zagalopował, dorzucił pojednawczo: — W tym wypadku prawie pewnik.

Sierżant ciągnął dalej:

— Rany na głowie wybrylantowanej kobiety i ranę na głowie Zuzanny Leroux zadano twardym i ostrym narzędziem, według wszelkiego prawdopodobieństwa kryształową popielniczką w kształcie pucharu. Tę popielniczkę znaleziono na stole w jadalni, czystą, pozbawioną jakichkolwiek śladów i odcisków. Z tego wniosek, że przestępca umył ją po dokonaniu zamachu na życie pokojówki. W pierwszym przypadku, to jest mordując właścicielkę brylantów, posługiwał się popielniczką z resztkami popiołu.

— Co z tego wynika? — zapytał tonem egzaminatora porucznik.

— Bardzo wiele. Albo w pierwszym przypadku morderca działał w afekcie, a w drugim z premedytacją. Albo dopiero w końcu krwawej akcji świadomie usunął ślady. Albo było dwóch morderców. Albo...

— Albo trzech muszkietarów — wtrącił porucznik. — Jak jest tyle „albo”, to nic z nich nie wynika.

— Doprawdy? Jestem trochę innego zdania. Na początku śledztwa ma się do czynienia z samymi „albo”. W każdym razie lokatorka spod jedyńki zniknęła jak kamfora. Daktyloskop znalazł w tym pokoju odciski palców pokojówki, Zuzanny Leroux. To mi się wydaje

naturalne. Ale na klamce od okna są i inne ślady. Ciekawe, że nigdzie się nie powtarzają, z wyjątkiem filiżanki po herbacie, zostawionej na stole w jadalni wśród nie sprzątniętych naczyń. Ręczę, że ten ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby usunąć ślady. Jak zwykle nie wszystkie miejsca wziął pod uwagę.

— Daktyloskop na pewno też nie wszystkie miejsca wziął pod uwagę — powiedział z satysfakcją porucznik. — Nie dam pięciu franków, czy nie znajdziemy jeszcze czwartego trupa.

— Wykluczone — zachnął się sierżant. — Każdy metr kwadratowy przeszukany, od piwnicy do strychu. Cudów nie ma.

— O cudach to sobie możemy kiedyś pogadać. Chwilowo mi się nie chce. A co do przeszukiwania domu, uważam, że nietrudno przeoczyć jakąś skrytkę — sierżant drażnił porucznika. — Nietrudno, a nawet bardzo łatwo. Ten zbiorowy mord wygląda mi na dzieło zbrojnego. Przed kilku dniami zbrojny zamordował dwie kobiety w Gricamp. Nie zapominajmy o tym.

Sierżant nagle poddał się sugestii porucznika.

— Ta spod jedynki może uszła z życiem dzięki ucieczce...

— Brawo, Foxe — ucieszył się porucznik. — Wyrывая z domu w panice, spakowała walizeczkę i usunęła odciski palców.

— Zawsze mi pan w końcu zamąci w głowie — rzekł z goryczą sierżant. — Tak czy siak trzeba się zdecydować na jakąś koncepcję, nawet jeżeli niebawem przyjdzie ją odrzucić.

— Nonsens. Nic gorszego niż koncepcja na początku śledztwa. One najbardziej zaciemniają późniejsze dochodzenie. Grunt to dowody rzeczowe, mój kochany, i znajomość okoliczności. Nie przesłuchaliśmy jeszcze ani jednego świadka, bo Davide'a trudno w ogóle brać pod uwagę, a już rodzą się koncepcje.

— To pan wysunął koncepcję ze zbrojnym.

— Ja? Zwykły dowcip.

— Bardzo dobry.

Z dawien dawna było ustalone, że przy kawie policjanta Martina — Randot, milczał zamysłony, a porucznik i sierżant bawili się swobodną wymianą zdań. Doktor występował najczęściej w roli rozjemcy. I teraz odezwał się w tonie ugodowo-refleksyjnym:

— Żarty zawsze są dobre, a zwłaszcza w naszym zawodzie. Poniekąd higiena i konieczność psychiczna. Człowiek ciągle ma do czynienia z ponurymi tragediami, nie można się tym wszystkim zanadto przejmować. „Niech umarłe grzebią swoich umarłych” powiedziane jest w pewnej książce, którą notabene przedkładałam nad inne. Ech, proszę



panów. Weźcie do ręki *Pismo Święte*, bardzo was o to proszę. Tam się dopiero roi od zbrodni, tam się dzieją różne różności. Brat brata, syn ojca, nałożnica prawowitą żonę... Mało się na świecie zmieniło. Tyle że obecnie na arenę wkracza inspektor Randot, a dawniej załatwiał te sprawy bezpośrednio Pan Bóg. — Łyknął trochę kawy i mówił dalej: — Słabo znam się na kryminalistyce, to jest, chciałem powiedzieć, znam się w sam raz, ale pod kątem mojej specjalności i dlatego nie dorzucam swoich trzech groszy, gdzie nie trzeba. Co to ja chciałem właściwie powiedzieć? Aha. W sprawie granic czasowych jutro rano udzielę szczegółowych danych. Jest żywa pacjentka, więc siłą rzeczy wynik tamtych sekcji odrobinę się opóźni. Na razie pragnę podkreślić pewien znamieny fakt. Podany roboczo przeze mnie i tak niezmiernie długi okres pięciu godzin, proszę panów, rozciąga się. Zabójstwa dokonane zostały w przybliżeniu między dwunastą w nocy i piątą rano, ale zamach na pokojówkę miał miejsce znacznie później. Chyba o jakiejś ósmej...

— Tak, to nam sporo mówi — przyznał porucznik. — Mocno się nad tym zastanawiam.

— Nie rozumiem — sierżant spojrzał na lekarza. — W jaki sposób pan doktor uzyskał godzinę ósmą? Przecież dziewczyna jeszcze nic nie mówiła. Ktoś mógł ją zdzielić poprzedniego wieczoru; jest w sukience i białym fartuchu, pewnie się od wczoraj nie rozbierała. To przypuszczenie potwierdza nie sprzątnięty po kolacji stół.

— Panie Foxe — spytał uprzejmie porucznik — czy pan słyszał o metodzie myślowej, zwanej dedukcją? Jeżeli tak, to niech pan przyjmie do wiadomości, że w kuchni pod oknem stoją trzy tace, a na nich można zauważyć trzy przygotowane śniadania. Bułki, ser, dżem, masło. W momencie naszego przybycia na piecu kuchennym parzyła się świeża herbata. O której w pensjonatach podają śniadanie? O ósmej, o dziewiątej? Chyba coś koło tego. Otóż śniadanie było gotowe, dlatego pan doktor wydłuża działalność przestępcy jeszcze o trzy godziny. Jasne? Z góry uprzedzam, że teza, jakoby przestępca sam dla niepoznaki przygotował w nocy te trzy śniadania, jest absurdem, zwłaszcza że na dzbankach, talerzykach i filiżankach widnieją odciski palców pokojówki.

— Chyba, że pokojówka jest przestępcą — powiedział nie bez sarkazmu sierżant. — Zresztą zaznaczam, że w kuchni badań nie przeprowadzałem.

Porucznik znowu popadł w wesołość.

— Pokojówka Leroux walnęła się kryształową popielniczką w głowę, padła zemdlna, po czym odstawiła ciężki przedmiot na stół w jadalni.

— Nie wiem. To pan zaznaczył, poruczniku Blace, że nie ma pan wielkiego zaufania do świadków, którzy uszli z życiem w miejscach, gdzie wszystkich innych wymordowano. Tak właśnie pan powiedział.

— Wcale się nie wypieram. Niepotrzebnie podnosi pan głos. Ale trzeba pamiętać o dwóch ważnych okolicznościach: Leroux została ciężko ranna, a jej walizkę otworzono i splądrowano.

— Zapewne szukano tam skarbów korony, bo brylanty, złoto, samochód i garderoba zostały nietknięte. Mord na tle rabunkowym chyba wszyscy wykluczamy. — Foxe łypnął okiem w stronę inspektora, ale Randot wydawał się nadal wyłączony.

— Kuferek pokojówki — rzekł porucznik — jest przesycony tym samym zapachem, co pokój numer jeden.

— No, widzi pan! — sierżant parsknął śmiechem. — Sam pan sobie przeczy. I to już drugi raz. Jeżeli pensjonariuszka spod jedyńki rewidowała rzeczy służącej, to musiała mieć w tym jakiś niewiadomy dla nas, ale z pewnością przestępczy cel. Oto morderca. Czwartego trupa szukać nie trzeba, poruczniku Blace. Mówi to panu sierżant Foxe.

— Jestem wdzięczny za tak cenne zapewnienie.

— Drobiazg. Pan inspektor znalazł w pokojach pewne dokumenty. One rzucają na sprawę więcej światła, niż moje dociekania...

Nagle wszyscy trzej — porucznik, doktor i sierżant — podskoczyli na krzesłach. To inspektor Randot zawołał nienaturalnym głosem:

— Martin!

Martin wyrósł jak spod ziemi.

— Martin, to jest lura, nie kawa.

— Melduję posłusznie, panie inspektorze, wziąłem ćwierć kilograma na litr wody. Niepodobieństwo. Kawa jak samo piekło.

Randot westchnął.

— Dobrze. Możesz odejść.

Inspektor, póki nie uchwycił byka za rogi, to jest na początku każdego niemal śledztwa, zachowywał się bardzo oryginalnie. Wysilek umysłowy i napięcie nerwów skłaniały go bądź do nieprzewidywanych wybuchów, bądź też wprawiały w stan złowrogiego spokoju. Czasem obydwie imperatywy jawiły się na zmianę aż do pierwszych osiągnięć. Wtedy dopiero wracał do równowagi oraz ukochanej ponad wszystko dyscypliny wojskowej. Wstępne kroki w śledztwie niweczyły zasadę jakiegokolwiek hierarchii. Dlatego Martin pozwolił sobie na stosunkowo śmiałą replikę, a porucznik i sierżant przekomarzali się, nie bacząc ani na różnicę w rangach, ani na obecność przełożonego.

— Czy panowie skończyli już salonową rozmowę? — spytał w zamyśleniu inspektor.

— Oczywiście — pospieszył z odpowiedzią porucznik. — Skończyliśmy. To było ściśle

związane z wypadkami dnia.

— Mordercę już macie?

— Niezupełnie — uśmiechnął się młody człowiek. — Chociaż, przepraszam, sierżant Foxe, zdaje się, już ma.

— Masz mordercę, Foxe?

— Porucznik Blace, jak zwykle, żartuje sobie ze mnie — odrzekł powściągliwie sierżant.

— Pan doktor twierdzi, że to bardzo korzystne dla higieny psychicznej.

Randot sięgnął po płaską teczkę, która spoczywała na podłodze u jego stóp.

— Komunikat przez radio nadany? — zapytał wydobywając z teczki papiery.

— Tak jest, panie inspektorze.

— Dobrze. Teraz zaznajomię panów z moimi notatkami oraz z treścią pewnej korespondencji.

Foxe napemnił ponownie wszystkie filiżanki. Zapalono papierosy.

— Na początek dane personalne. Trzy zamordowane kobiety są to: Helena Morissot, lat 72, zamieszkała w Bleucamp, Florentyna Morissot, lat 49, zamieszkała w Paryżu, i Teresa Fortin, lat 23, również zamieszkała na stałe w Paryżu. Pierwsza to właścicielka pensjonatu „Cyprys”, druga jest synową pierwszej, trzecia — trzecia nie pozostaje z dwiema pierwszymi w żadnych związkach rodzinnych. Mam już na to dowody — relacjonował przesadnie cicho inspektor. — Marcin Davide, ogrodnik z Bleucamp — wsi, rozpoznał zarówno Helenę, jak i Florentynę Morissot, ponadto stwierdził, że samochód stojący w garażu jest własnością Florentyny, która kilkakrotnie odwiedzała siostrę, zawsze wspomnianym wozem. Przy wszystkich trzech denatkach znalazłem dokumenty z fotografiami, stwierdzające tożsamość. Przy zwłokach uduszonej Heleny Morissot spostrzegłem na nocnej szafce szereg przedmiotów. Oto one: książka do nabożeństwa, szklanka z kwiatem lipowym (na niej odcisk palców Zuzanny Leroux), staroświecki zegarek, lampa stojąca. To na razie, z grubsza. Na stoliku przy zwłokach Florentyny Morissot znalazłem książkę pt. *Listy panny de Lespinasse*, pustą szklankę, złoty zegarek wysadzany rubinami, w szufladzie natomiast dwie fiołki po luminalu i nader interesujący list, skierowany do policji. Za chwilę odczytam panom treść tego listu. Popiół z papierosa we włosach i na ramionach Florentyny Morissot świadczy na okoliczność ciosu popielniczką. W pokoju Teresy Fortin na książce leżała brzytwa oblepiona krwią. Książkę z brzytwą, co jest znamienne, znaleziono na okrągłym stole pośrodku pokoju. Na tym samym stole leżała damska torba, w niej list adresowany do Teresy Fortin do Paryża i karta pocztowa, pisana ręką Teresy Fortin, tak by należało sądzić z treści, do niejakiego Alfreda Morrot...

— Alfred Morrot to znany aktor filmowy — wtrącił żywo porucznik Blace. — Jego fotografia stoi w jadalni na komodzie.

— Teraz ja mówię — zwrócił uwagę inspektor, po czym ciągnął dalej. — Sprawa jest trochę zagmatwana, bo Florentyna Morissot w krótkim liście skierowanym do mnie i do panów oświadcza, co następuje: — Randot wyjął spośród kilku dokumentów białą kartkę, nierówno wydartą z notesu. — „Do władz policyjnych” — odczytał nagłówek. — „Zabiłam i sama wymierzam sobie sprawiedliwość. Majątek zapisuję mojej teściowej, Helenie Morissot, biżuterię Zuzannie Leroux”. Ciekawe, co? Ten świstek znajdował się między stronicami *Listów panny de Lespinasse*. Jeszcze jeden list, chociaż nie miłosny.

— Zabiła? Ale kogo zabiła? — zdumiał się sierżant. — Dwóm zamordowanym zapisuje majątek?... To się kupy nie trzyma!

— Sprytny chwyt! — zawołał porucznik, wyraźnie poruszony. — Fałszywa poszlaka. I to szczególnie perfidna.

— Dlatego powiedziałem, że sprawa jest trochę zagmatwana — podjął chłodno inspektor. — Przeprowadzimy badania grafologiczne...

Tym razem przerwał doktor:

— Florentyna Morissot otrzymała śmiertelny cios w głowę. Ten cios nie ma nic wspólnego z samobójstwem. Jeżeli chodzi o fiołki po luminalu, sekcja ustali dawkę. Pozycja zmarłej istotnie świadczy o tym, że ofiara nie broniła się, być może z powodu głębokiego snu. Ale proszę pamiętać, że żadna z kobiet w tym domu nie stoczyła z napastnikiem zaciętej walki.

Inspektor znów zabrał głos:

— Karta pocztowa, którą Teresa Fortin napisała wczoraj, prawdopodobnie wieczorem, bo nie zdążyła jej wysłać, brzmi następująco:

***„Kochany Alfredzie, jestem w «Cyprysie», pogoda wspaniała. Zostanę tu chyba przez dwa tygodnie, tak jak sobie życzysz. Twoja matka jest bardzo miła i gościnna. Leżę na słońcu, czytam, trochę też krzątam się w kuchni. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Ściskam cię. Daj o sobie znać jak najszybciej. Twoja Teresa”.***

***A d r e s : „Paryż, ulica Ludwika Filipa 7”.***

Kartka jest ewidentną odpowiedzią na list, który Teresa Fortin otrzymała od Alfreda Morissot *vel* Morrot. List był również w torebce Teresy Fortin. Zawiera nader interesującą treść, w pewnym sensie nawet rewelacyjną...

W drzwiach prowadzących do jadalni ukazał się agent. Spiesznie przeciął hol i zameldował:

— Panie inspektorze, pokojówka się obudziła. Jest zupełnie przytomna.

Doktor szybko wstał, ale inspektor Randot ujął go za rękę i delikatnie skłonił do pozycji siedzącej.

— Jeżeli zajdzie potrzeba, wezwę pana. Chciałbym porozmawiać z tą dziewczyną na gorąco.

W progu zatrzymał się, odwrócił głowę i przez ramię rzucił dyspozycję:

— Alfred Morrot, Ludwika Filipa 7. Połączcie się z paryskim biurem numerów, uzyskajcie telefon i wezwijcie do aparatu syna Heleny Morissot.

\*

— Nazwisko?

— Leroux.

— Imię?

— Zuzanna.

— Wiek?

— Dziewiętnaście lat kończę w marcu.

— Zawód?

— Jestem pokojówką w „Cyprysie”.

— Od jak dawna?

— Od zeszłego lata. To moja pierwsza praca.

— Co pani robiła przedtem?

— Kiedy?

— Zanim przyjęła pani posadę w „Cyprysie”.

— Pracowałam na wsi, u krewnych.

— W jakiej miejscowości?

— W Bleucamp, w osadzie. Pochodzę stąd.

— A rodzice?

— Nie mam rodziców, umarli.

— Kto uderzył panią w głowę? Cisza.

— Uderzono panią ciężkim przedmiotem w głowę i straciła pani przytomność. Kto to zrobił?

Zuzanna leży na wąskim, żelaznym łóżku w małym pokoiku za kuchnią. Inspektor Randot siedzi na wyszorowanym do białości taborecie. Zuzanna ma zabandażowaną głowę, rozszerzone gorączkowo źrenice utkwiała w profilu inspektora, który spogląda w ścianę prostopadłą do łóżka dziewczyny.

Cisza przedłuża się.

— No i co? — mówi wreszcie Randot.

— Nic, proszę pana — odpowiada Zuzanna.

— Jak to nic? — Inspektor zwraca ku dziewczynie głowę. — Jak to nic?

— Nie rozumiem, o co chodzi? O co pan mnie pyta?

— Kto panią uderzył w głowę?

— Stałam tyłem do drzwi...

Zuzanna ma trochę nieprzytomne spojrzenie, zaczyna szybko mrugać powiekami, potem spuszcza je. Długie rzęsy pogłębiają cienie na mizernych policzkach.

— Więc? — przynagla Randot.

— Zaraz... Opowiem wszystko po kolei. Wczoraj zamieszkała pod jedyneką kobieta, młoda kobieta, nieznajoma. Mówiła, że chce spędzić w Bleucamp dwa dni. Okropnie mi się kręci w głowie, proszę pana, mało pamiętam. Ta pani zjadła obiad, kolację, a dzisiaj przed śniadaniem... Tak, stałam przodem do pieca, bo parzyłam akurat herbatę... Nagle usłyszałam skrzypnięcie drzwi. Myślałam, że to moja pani schodzi na dół, chciałam się odwrócić... Wtedy ktoś mnie mocno popchnął. Zobaczyłam, proszę pana, rękę, a w tej ręce popielniczkę. Tę dużą, kryształową popielniczkę z jadalnego... potem straciłam przytomność. — Po chwili dodaje: — Ręka była w niebieskim rękawie, jestem pewna, bo zobaczyłam mankiet. Taką właśnie pidżamę miała lokatorka spod jedyнки. Niebieską w czarne paski, zauważyłam, jak rozpakowywała walizkę. Tak, zwróciłam uwagę, bo spodobała mi się ta pidżama.

— Dobrze. Czy zna pani nazwisko osoby, która zajmowała pokój numer jeden?

Zuzanna marszczy czoło, myśli z wysiłkiem:

— Cortier... — mówi wreszcie.

— Cortier — powtarza inspektor. — Imię?

— Nie wiem. Pani Morissot powiedziała: „Panna Cortier jest głodna”. Zapamiętałam.

— Czy pani Morissot zameldowała gościa?

— Nie, skądże. Ta pani przyjechała na krótko, sezon jeszcze się nie zaczął. W ogóle żadnych gości nie było.

— A panna Teresa Fortin?

— To gość prywatny, znajoma pani. Pani już przedtem wiedziała, że panna Fortin

przyjedzie.

— Często bywała?

— Nie, za mnie pierwszy raz. Ale panna Fortin ma zostać w Bleucamp dwa tygodnie. Pani już z góry zapowiedziała.

— Rozumiem. Kto jeszcze był wczoraj w domu?

— Synowa pani Morissot... pani Flora.

— A synowa pani Morissot często odwiedzała „Cyprys”?

— Przez rok była tylko raz, zeszłego lata.

— Czy przyjechała wczoraj?

— Nie, w piątek wieczorem.

— A Teresa Fortin?

— W sobotę rano. A ta Cortier zjawiała się przed samym obiadem, pani była z początku niezadowolona, bo nie liczyła na żadnego gościa, ale ona się podobno uparła, pani mówiła potem w kuchni, że nie mogła odmówić. — Ostatnie zdania Zuzanna mówi jakby tytułem uzupełnienia.

— Kto przyjechał samochodem?

— Pani Flora.

— Dlaczego w pokojach nie ma kluczy?

— Pani kazała zanieść wszystkie do ślusarza, bo pordzewiały.

— Kto w sobotę, to jest wczoraj, zamykał na noc drzwi wejściowe?

Zuzanna unosi się na łokciu.

— Ja nie wiem — wyznaje z napięciem. — Chyba pani, ale nie wiem. Zwyczajnie ja zamykam, ale byłam wieczorem trochę chora, leżałam... coś mi zaszkodziło. Pani sama gotowała kolację. Może zapomniała zamknąć?

— Zupełnie możliwe — godzi się Randot i przez jakiś czas milczy.

— Proszę pana — pyta nieśmiało i z lękiem Zuzanna — czy coś się stało?...

— Kiedy ostatni raz widziała pani Helenę Morissot?

— Wczoraj późnym wieczorem — odpowiada szybko Zuzanna. — Zaniósłam jej ziółka, kwiat lipowy. Specjalnie wstałam z łóżka, żeby naparzyć tych ziółek, bo pani bez nich nie może zasnąć. Pani Morissot kazała otworzyć okno, mówiła, że jej duszno. Więc otworzyłam... Potem wróciłam do siebie.

— O której godzinie?

— Nie wiem, nie patrzyłam na zegarek. Była może dwunasta.

— Teresie Fortin ktoś podciął brzytwą gardło — stwierdza raptem inspektor Randot.

Zuzanna zdumionym gestem unosi rękę do zabandażowanej głowy.

— O Jezu! — krzyczy przenikliwie, po wiejsku, na cały głos. — O mój Boże, jakie straszne nieszczęście! To ona, to ta Cortier wszystkich pomordowała!

— Doktorze! — woła Randot, wychodząc z pokoiku służbowego. — Niech pan uspokoi tę dziewczynę. Atak hysterii. Zrobimy przerwę.

Inspektor Randot zastał w holu tylko sierżanta Foxe'a. Foxe skończył właśnie rozmowę telefoniczną i odłożył słuchawkę.

— Dzwoniłem do Paryża i niech pan sobie wyobrazi, inspektorze, ci Morissotowie mają lokaja. W dzisiejszych czasach, psiakość. Służący nic jeszcze nie wie, widocznie nie słucha radia, bo oświadczył, że pani wyjechała do Bleucamp w piątek, a pan opuścił Paryż w środę i nie będzie go przez dwa tygodnie. Adresu nie umiał podać, tłumacząc, że Alfred Morrot załatwia na południu Francji jakieś sprawy zawodowe i stale jest w rozjazdach.

— W porządku.

— To jeszcze nie wszystko. Przy sposobności ściągnąłem do telefonu tutejszego zawiadowcę stacji. I dobrze zrobiłem, bo zawiadowca przypomniał sobie, że rano telefonowała jakaś kobieta i pytała o najbliższy pociąg do Tulonu. Podał jej pociąg odchodzący z Bleucamp o 10.20. Potem widział na peronie młodą kobietę z neseserem w ręku. Tym właśnie pociągiem odjechała.

— Nazywa się Cortier — rzekł inspektor.

— No, to już coś wiemy, chwała Bogu — zatarł rękę sierżant. — A jakie imię?

— Może jeszcze podyktować wam miejsce zamieszkania?!

— Myślałem, panie inspektorze...

— Już dobrze. Jakoś to będzie. Zbierzcie informacje o wszystkich Cortier na terenie Francji — powiedział serdecznie Randot, mroząc sierżantowi krew w żyłach. — Gdzie jest Blace?

— Porucznik rozmawia przed domem z jakimś rybakiem, którego agent sprowadził ze wsi.

— Dawać mi tego rybaka!

Foxe wybiegł z holu.

Wszedł rybak z fajką w zębach. Był to starszawy człowiek, z godną miną.

— Dobry wieczór — skłonił się Randotowi i wyjął z ust fajkę.

— Dobry wieczór. Co mi macie do powiedzenia?

— Niby ja? Ano nie tak wiele. Był we wsi jeden z policji i rozpytywał wszystkich o pensjonat „Cyprys” i o gości z „Cyprysu”. Pytał wciąż i pytał, czy nie zauważył kto podejrzanej osoby, włóczęgi jakiegoś albo obcego człowieka. Nikt nie mógł nic powiedzieć,



bo okolica spokojna, a sezon się jeszcze nie zaczął. Tylko u mnie wczoraj przed wieczorem była jedna panna i wypytywała się, czy w Bleucamp nie zamordowano czasem jakichś kobiet...

— Co? — Randot uniósł się na palcach i z impetem opadł na pięty.

Na rybaku ewolucja inspektora zrobiła pewne wrażenie. Przyjrzał się z szacunkiem błyszczącym butom małego policjanta, pyknął z fajki i powtórzył:

— Przyszła do chałupy napić się wody i nagle powiada: „Czy to w Bleucamp zamordowano niedawno dwie kobiety?”

— Dwie?

— Dwie.

— I co dalej?

— Nic. Podziękowała za wodę i poszła sobie.

— Młoda?

— Nie można powiedzieć: młoda.

— Podziękowała i poszła?

— Przecież mówię.

— Doskonale. Wy też możecie odejść. Niech zanotują wasze imię i nazwisko.

— Ale, ale... wszystko już zanotowali. — Pokiwał dobrodusznie głową. — Jakie to nieszczęścia chodzą po domach. Taki elegancki pensjonat i aż trzy trupy. Ludzie będą latami pchać się z samej ciekawości.

— Skąd wiecie, że trzy trupy?

— Jakże to? Przecież przez radio już z pięć razy nadawali.

— Aha. Macie radio. Bardzo dobrze. Możecie iść. Do widzenia.

— Kiedy ja nie mam radia.

— Co?

— Powiadam, że nie mam radia. Sąsiedzi mają.

— Uwziął się na mnie, daję słowo. Jesteście wolni, chyba mówię wyraźnie. Do widzenia.

— Do widzenia. Pan komisarz zdenerwowany. Nie dziwota, nie dziwota, ciężka będzie sprawa...

— Martin! — wrzasnął przeraźliwie Randot i od razu się uspokoił. — Martin, bądź tak dobry i daj jeszcze filiżankę kawy.

— Rozkaz, panie inspektorze. Jest kawa dla wszystkich. Za sekundę policjant Martin uderzył w gong.

— Na czym to ja stanąłem? — zapytał Randot, kiedy znowu we czterech siedzieli przy

okrągłym stoliku.

— Na liście tego aktora do tej z podciętym gardłem — przypomniał doktor. — Pan inspektor powiedział, że treść listu jest rewelacyjna. Chętnie bym posłuchał, bo przyznaję, że sprawa mnie wciągnęła. Za kwadrans chciałbym stąd wyruszyć. Dziewczyna uspokoiła się, dałem jej zastrzyk z largactilu. Wynik sekcji przygotuję na dziewiątą rano. Uważam, że ten gong ma bardzo nieprzyjemne brzmienie.

— Chińszczyzna — błysnął erudycją porucznik Blace.

— *„Moja mała, śliczna Tereniu”* — rozpoczął z uczuciem inspektor, spoglądając na zapisany na maszynie arkusz. — *„Jakieś fatum prześladowuje nas od czasu mego powrotu z Hollywood. I tym razem się nie zobaczymy, ponieważ dziś jeszcze muszę wyjechać z Paryża, żeby omówić letnie występy na Jasnym Brzegu. Z miejsca wzięli mnie w obroty, o mało ducha nie wyzionę. Domyślasz się, jaki jestem wściekły, jak mi te zajęcia nie w smak, cóż jednak mam robić? Zupełnie już do siebie nie należę. Zwykli śmiertelnicy zazdroszczą mi losu, a ja zazdroszczę im wolności. Nawet Tobą po dwumiesięcznej rozłące nie mogę się nacieszyć. Z drugiej strony może to i lepiej, moje Maleństwo, bo będziesz mogła spokojnie zrealizować plan, który tak bardzo leży mi na sercu. Wiem, że jestem okropnym pantoflarzem, ale dopóki nie zjednasz sobie mojej matki, póki jej nie podbijesz swoim czarem, o czym zresztą ani na chwilę nie wątpię, dopóty ja nie ośmielę się wspomnieć o naszym małżeństwie. Stworzyłem matce raj na ziemi, nie szczędzę pracy, by otoczyć ją komfortem i powszechnym szacunkiem, ale ciągle drzę przed nią jak mały chłopiec, mimo moich czterdziestu dwu lat. Przez całe życie krótko mnie trzymała i do dziś nie może mi darować, że nie obdarzyłem jej wnukiem. Dlatego też nie lubi mojej żony, z którą zresztą, jak wiesz, łączy mnie tylko wspólne mieszkanie. Twój przyjazd zapowiedziałem w Bleucamp na najbliższe dni, nie później jednak niż w sobotę. Matka cię oczekuje. Pewny jestem twego zwycięstwa, a jednak mam tremę, nie ukrywam, że mam tremę. Och, Ty nie znasz mojej matki. W ciągu najbliższych dwóch tygodni będę nieuchwytny, w stałych rozjazdach, dlatego nie zostawiam Ci adresu. Za to postaram się załatwić Twoje engagement. Tęsknię i tulę Cię do stęsknionego serca.*

*Twój A.”*

Randot umilkł. Sierżant pomyślał, że gdyby inspektor pisywał takie listy, to byłoby coś nie w porządku.

— Koniec i kropka — rzekł nieco innym głosem Randot i rozejrzał się po obecnych.

— Ładnie — wyraził opinię doktor. — Żona i narzeczona pod jednym dachem.

— Florentyna Morissot w przypiływie rozpaczy wymordowała wszystkich w domu, a następnie odebrała sobie życie — zaryzykował sierżant. — Najpierw zażyła luminal, potem zraniła się w głowę.

— Co za dziecinada — skrzywił się Blace. — A testament? Autentyczny testament wyklucza zbiorowe morderstwo, sfalszowany zaś jeszcze pewniej wyklucza czynny udział Florentyny Morissot w zbrodni. Chyba, że była to zdeklarowana psychopatka. Nonsens.

— Dużo pan wie o kobietach — zrewanżował się Foxe.

— Prawdopodobnie więcej niż pan.

— Panowie, panowie... — łagodził doktor.

— Zuzanna Leroux zeznała — podjął Randot — że uderzono ją w głowę popielniczką.

Zdażyła spostrzec dłoń w obramowaniu niebieskiego materiału. Ściśle: niebieskiego w czarne paski. Taką pidżamę miała niejaka Cortier zamieszkała w pokoju numer jeden.

— Proszę. Dla mnie to jasne, że trzeba przede wszystkim stawiać na osobę, która uciekła.

— Albo zgoła na kogoś z zewnątrz — wtrącił nieśmiało doktor.

— Nic nie zginęło.

— Nie wiadomo. Przypominam o walizce pokojówki.

— Jednak okna w dwóch pokojach zastaliśmy otwarte.

— W czasie upałów okna na noc się otwiera. A zresztą wychodzą na patio.

— Przez galerijkę można bez trudu dostać się na dziedziniec.

— Można, ale nie trzeba — zaśmiał się porucznik Blace. — Zbrodniarz, w tym przypadku zbrodniarka, przebywała wewnątrz domu. Po wykonaniu zadania ulotniła się skuteczniej niż zapach jej perfum. Zgładziwszy ze świata wszystkie cztery mieszkanki pensjonatu „Cyprys” — bo oczywiście i Zuzannę Leroux zamierzała uziemić — liczyła i nadal liczy na bezpieczne *incognito*. Usunęła przecież wszystkich świadków. Nie sądzę, żeby „Cortier” było prawdziwym nazwiskiem, zresztą prawdziwe czy fikcyjne miało raz na zawsze zniknąć z areny zdarzeń, podobnie jak i inne szczegóły dotyczące jej osoby. Ta kobieta to niezwykła indywidualność: żelazny charakter i niesamowite, wprost fenomenalne opanowanie. Chciałbym ją kiedyś zobaczyć. Miejmy nadzieję, że zobaczę. Rozmowa z przygodnie spotkanym rybakiem o zamordowanych w Bleucamp kobietach jest jawną kpinią z policji i otoczenia. Powiedziałbym: jest kpinią z całego świata. Zaczynam podejrzewać domniemaną

Cortier, młodą francuską dziewczynę, o morderstwo bez motywów. Ta myśl od kilku godzin nie daje mi spokoju... Broń Boże nie chcę niczego sugerować, proszę mnie źle nie zrozumieć — rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Randota — ale doprawdy znam trochę filozofię tego pokolenia. To moi rówieśnicy, proszę panów. Nie wszyscy, jak ja, postawili na praworządność. Wśród lepkiej nudy wielu z nich szuka silnych wrażeń. O, tak. W oczekiwaniu wielkiej przygody wykreślili moralność ze swego kodeksu. Życie, tak cudze jak i własne, nie przedstawia dla nich wartości. Wiem, co mówię. Sprawa jest piekielnie pasjonująca. Raskolnikow, Lafcadio czy lady Makbet?

Randot z zainteresowaniem wysłuchał przemówienia porucznika Blace'a, po czym rzekł:

— Wszystko możliwe, mój drogi. Tak, tak, wszystko jest dzisiaj możliwe... Pańska hipoteza, poruczniku Blace, ogromnie mnie zaintrygowała. W każdym razie jest inteligentna i efektowna, a to dużo. Jak na policjanta nawet za dużo. Osobiście uważam, że morderczynią jest Zuzanna Leroux, ale cóż, w pierwszym dniu śledztwa każdy może się mylić.

— Zuzanna Leroux? — zdziwił się doktor.

A sierżant Foxe zauważył rzeczowo:

— Przed domem zahamował jakiś samochód.

Ucichli i zaczęli w skupieniu nadsluchiwać. Wtedy otworzyły się drzwi. W progu stanął wysoki mężczyzna. Niezwykłą błądź jego pięknej twarzy mocno podkreślała czerń ubrania.

— Panowie, na miłość boską, co tu się stało? — powiedział niskim, drżącym głosem.

\*

Za oknami szarzało, kończył się upalny dzień. W jednym z ustronnych pokoi pensjonatu „Cyprys” inspektor Randot relacjonował tragiczne okoliczności, jakie tego ranka tulońscy policjanci zastali w Bleucamp. Inspektor mówił zwięźle, bez najmniejszego patosu, z obiektywną dokładnością. Próbował łączyć takt delikatnego człowieka z obowiązkami funkcjonariusza policji. Bardzo mu w tym pomagał monotony marsz po linii łączącej okna z drzwiami. Alfred Morrot siedział w fotelu; ręką wspartą o krawędź stołu przysłaniał oczy.

— Straszne, straszne... — powtarzał co chwila łamiącym się głosem. — Straszne, niesamowicie okrutne.

— Widzi pan — podjął Randot — mnie, wytrawnemu policjantowi, podobna sprawa przydarza się, mogę śmiało powiedzieć, pierwszy raz w życiu. Nie pod względem liczby ofiar i nie wskutek zetknięcia ze szczególnym okrucieństwem... Nie. A nawet stwierdzam z wszelką pewnością, że okrucieństwa było tu stosunkowo niewiele.

Alfred Morrot odsłonił zdumioną twarz.

— Naturalnie, sama śmierć jest zjawiskiem okrutnym, a zbrodnia jeszcze pogłębia to okrucieństwo przez swoją gwałtowność i zaskoczenie. Ale niech pan wierzy doświadczonemu w tej dziedzinie człowiekowi. Żadna z kobiet zmarłych tej nocy w „Cyprysie” nie przeżywała panicznego lęku, żadna nie stoczyła przed śmiercią zaciętej walki. Helena Morissot w momencie zadzierzgnięcia trójkątnej chustki, uczyniła obronny gest, lecz był to jedynie instynktowny odruch na chwilę przed zgonem. Dwie pozostałe ofiary leżały w łóżkach jakby uśpione. Pokojówka zdążyła spostrzec jedynie skrawek rękawa napastnika i jego dłoń z ciężką, kryształową popielniczką. Tak, proszę pana, nie morduje zwyrodnialec, który syci zmysły sadystyczną sytuacją, tak morduje działający chyłkiem bandyta. Ale w „Cyprysie” niczego cennego nie zrabowano. Brylanty, rubiny, złoto, sporo pieniędzy i kosztowna odzież, wszystko to zostało. Wchodzi więc w grę jakiś inny motyw. Zazdrość, nienawiść? Tak, to częste pobudki ludzkich, a zwłaszcza kobiecych czynów. Ale czy podobna, by w takim przypadku musiały zginąć aż cztery osoby? Zbrodniarz usuwa niekiedy wszystkich świadków, owszem, to się zdarza, ale przecież morderstwa w „Cyprysie” wykonywane były bez świadków i taka zapobiegliwość przestępcy, zwłaszcza rozłożona w czasie na wiele godzin, dowodziłaby niezwyklej wprost mentalności, jakiegoś niebywałego igrania z niebezpieczeństwem. Pozostaje zbrodnia dla zbrodni, to jest dla emocji albo dla wykazania siły charakteru, albo dla realizacji jakichś założeń filozoficznych...

— Niesłychane!...

— Tak — zgodził się inspektor. — Zbrodnia dla zbrodni to zjawisko ogromnie rzadkie, spotykane raczej w utworach literackich. W życiu może być, na przykład, pożałowania godnym rezultatem obcowania z pewnym typem książek. Zresztą i wtedy na dnie duszy zbrodniarza tkwi zazwyczaj realna przyczyna, konkretny interes, chociaż nieświadomiony.

— Randot zrobił krótką pauzę dla zebrania myśli. — Co jeszcze? Psychopatia? Jakaś specyficzna, ponura psychopatia, bo przecież tak po trosze w każdym z nas pokutuje trochę anormalności. Powiedzmy więc ciężki kompleks nienawiści do kobiet i to występujący u kobiety. Młoda dziewczyna, obarczona tego rodzaju obsesją, przyjeżdża na weekend do cichego, odosobnionego pensjonatu i zastaje w nim same kobiety. W ciągu kilku godzin dojrzewa obłąkany plan...

— Potworne...

— Według mnie to bzdura. Osoba tak precyzyjnie działająca montowałaby raczej w życiu sytuację, niż zdawała się na przypadek. Szaleńcy wykazują w szaleństwie olbrzymią metodyczność. Chyba że skład osobowy pensjonatu „Cyprys” z soboty na niedzielę był jej

dziełem.

— Skądże znowu, to przecież ja namówiłem Terenię, to jest Teresę Fortin, żeby odwiedziła moją matkę. Jestem pewny, że Flora zjawiła się w Bleucamp zupełnie przypadkiem.

— Widzi pan — mówił dalej Randot — dzielę się z panem myślami, bo bardzo liczę na pana pomoc. Nie będę pana męczył, postaram się ograniczyć do niewielu pytań, głęboko szanuję pańskie przeżycia, jednak zależy mi niezmiernie na niektórych informacjach, zależy mi też na pośpiechu. Odkryliśmy ślady, mamy w ręku poszlaki. W tej chwili jedno i drugie zaciemniają tylko sprawę. Niech mi pan pomoże.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ułatwić panu zadanie.

— Dziękuję. Niestety muszę być trochę niedyskretny. Chodzi mi o to, jak układało się pana pożycie z żoną? Przede wszystkim czy żona była o pana zazdrosna?

— Moje pożycie z żoną było po prostu żadne — powiedział Alfred Morrot. — Śmiało używam tego określenia. Żona zostawiała mi zupełną swobodę. Była zresztą ode mnie o kilka lat starsza.

— I nigdy nie objawiała zazdrości?

— Nie. Ostatnio już nie. Zresztą myślałem o rozwodzie. Postanowiliśmy się rozwieść.

— Pan zamierzał wstąpić w nowy związek małżeński?

— Miałem zamiar ożenić się z Teresą Fortin, ale uzależniałem to od woli matki.

— A matka miała co do tego związku jakieś zastrzeżenia?

— Nie wiem. Teresa przyjechała do Bleucamp, żeby się jej przedstawić. Od opinii matki o tej dziewczynie uzależniałem swoją decyzję.

— Wynika z tego, że bardzo się pan liczył z matką.

— Bardzo.

— Czy pana żona była zamożna?

— Była bogata.

— A matka?

— Matkę ja utrzymywałem. Także jestem bogaty. Zbudowałem matce ten pensjonat, bo zawsze lubiła samodzielność.

— Można wiedzieć, kiedy pan poznał Teresę Fortin?

— Zeszłej wiosny.

— Czy pan ostatnio wyjeżdżał gdzieś na dłużej? Alfred Morrot spojrzał na inspektora ze zdziwieniem.

— Ależ tak. Cała prasa podawała to do wiadomości. Byłem w Stanach Zjednoczonych,

kręciłem film w Hollywood.

— Kiedy pan wrócił?

— Przed dziesięciu dniami.

— Czy nie zauważył pan u żony objawów jakiegoś szczególnego podniecenia, zdenerwowania?

— Mało w ciągu tego czasu ją widywałem.

— A w jakim stanie psychicznym zastał pan Teresę Fortin?

— Czy ja wiem? Z nią również prawie się nie widywałem. Natychmiast po powrocie wpadłem w wir zawodowych spraw, które na mnie czekały. Nowe kontrakty filmowe, *tournées*, konferencje. Na przykład dzisiaj byłem w Nicei, tam usłyszałem przez radio ten straszny komunikat... Powiem panu szczerze: Teresa nigdy nie była zrównoważona, to potwierdzą jej koleżanki z teatru, rodzina. Była skończoną histeryczką. Wybuchową i nieobliczalną.

— A mimo to wybrał ją pan na żonę — powiedział inspektor.

— Miała inne zalety.

— Czy pana żona nigdy nie objawiała skłonności samobójczych?

— Flora? Och, nie traktowałem tego poważnie. Niemal wszystkie kobiety w pewnych momentach grożą samobójstwem. Łapią się rozmaitych sposobów, żeby zatrzymać mężczyznę. Mam w tym zakresie duże doświadczenie. — Uśmiechnął się melancholijnie. — Moja żona była osobą trudną... — urwał, jakby nagle powstrzymała go lojalność wobec zmarłej.

— Więc jednak groziła kiedyś samobójstwem? — Randot podjął swój wątek.

— Owszem. Przed kilku laty targnęła się na życie. Naturalnie została bez trudu odratowana. To zawsze tak bywa. Moralny szantaż. — Westchnął.

— Chciał pan odejść od żony?

— Wspomniałem już, że żona była ode mnie starsza, pobraliśmy się wiele lat temu. Tak, panie inspektorze, nie chcę niczego przed panem ukrywać. Już wówczas, przed czterema laty, zamierzałem się ożenić. To była młoda dziewczyna, córka znanego przemysłowca, Charlotte Fischer. Florentynie wtedy bardzo jeszcze na mnie zależało...

— Tak, dziękuję. Czemu pan przypisuje pojawienie się w Bleucamp pańskiej żony?

— Fatalnemu zbiegowi okoliczności. — Morrot zasępił się. — Mógł wchodzić też w grę jakiś anonim. Żona i matka nie najlepiej ze sobą żyły. To znaczy panowały między nimi stosunki poprawne, ale nic więcej. Wątpię, by Flora odwiedziła „Cyprys” bez wyraźnego powodu... Tak, wątpię... Jestem, niestety, bardzo popularny, ludzie dużo o mnie wiedzą...

— Pojmuję — przerwał inspektor. — Czy mówi panu coś nazwisko „Cortier”?

— Cortier? — zmarszczył brwi. — Nie przypominam sobie.

— Młoda kobieta.

Na zmęczonej twarzy aktora zakwitł nikły uśmiech.

— Znam bardzo dużo młodych kobiet... Cortier — powtórzył. — Cortier. Nie przypominam sobie.

— A Zuzanna Leroux? Czy ta dziewczyna długo pracowała w „Cyprysie”?

— Zdaje się, że dosyć długo. Chyba rok. Matka mówiła, że jest z niej zadowolona.

— Czy pana sprawa rozwodowa jest już w toku?

— Nie, jeszcze nie.

— Kiedy ostatni raz był pan w Bleucamp?

— Przed wyjazdem do Ameryki. Przyjechałem pożegnać się z matką.

— Czy wspominał pan wtedy matce o Teresie Fortin?

— Tak, ogólnikowo...

— A kiedy wspominał pan bardziej szczegółowo?

— Po powrocie z Hollywood napisałem do matki list, bardzo krótki zresztą; cierpię na chroniczny brak czasu. W tym liście powiadomiłem ją o moich planach życiowych i o przyjeździe Teresy do Bleucamp.

— Sądzi pan, że ten list znajduje się w papierach pańskiej matki? — zapytał Randot. — Czy może Helena Morissot niszczyła korespondencję?

— Doprawdy nie wiem — odrzekł z prostotą aktor. — Nigdy się tym nie interesowałem.

— Pana żona zostawiła kartkę, w której przyznaje się do samobójstwa, a także do zabójstwa.

Morrot zerwał się na równe nogi.

— Nic mi pan o tym nie mówił!

— Teraz mówię. A na początku oświadczyłem, że sprawa nie jest jasna, przeciwnie, wydaje się ogromnie zagmatwana. Nie wiem, czy list Florentyny Morissot jest autentyczny.

— Ależ ja rozpoznam jej pismo! — Morrot był wzburzony, głos mu się łamał.

Randot wyjął dokument z płaskiej teczki. Aktor rzucił okiem na kartkę i powiedział cicho:

— Tak, to jest pismo Flory. — Na jego poblądłej twarzy malowała się groza.

— Nie myli się pan?

— Nie mogę się mylić. Te słowa pisała moja żona.

— Dziwne, bardzo dziwne — powiedział inspektor Randot. — Proszę przeczytać do końca. Tu jest ostatnia wola zmarłej.



Alfred Morrot czytał w milczeniu zdania skreślone ręką żony. Wreszcie zapytał:

— Panie inspektorze, czy moja żona naprawdę odebrała sobie życie?

— Florentyna Morissot otrzymała śmiertelny cios w głowę. Znaleźliśmy przy niej puste opakowanie po luminalu.

— To jakaś potworna mistyfikacja — Morrot podniósł głos. — Może ktoś wymógł na niej ten testament, może... Czy pan przesłuchiwał pokojówkę?

— Częściowo. W tym rzecz, proszę pana, że nocująca wczoraj w tym domu piąta kobieta na razie zniknęła bez wieści. W jej rękach, jak sądzę, spoczywa klucz do tej ponurej zagadki.

— Nie rozumiem, nic nie rozumiem, wszystko to jest straszne... Komu przeszkadzała biedna staruszka? Po powrocie z Ameryki nie znalazłem czasu, żeby ją odwiedzić, nigdy sobie tego nie daruję... nigdy. Bardzo kochałem matkę. — Oczy zaszyły mu mgłą. Inspektor pierwszy raz pomyślał, że Alfred Morrot nie jest już taki młody. — Panie inspektorze — powiedział z nagłą pasją. — Kobiety są podle i zdolne do wszystkiego, ale dlaczego taki straszny koniec spotkał tę staruszkę? Dlaczego? Za co? Miała takie ciężkie życie...

— Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi — rzekł Randot. — Wie pan, odkryłem interesującą rzecz. W torebce Teresy Fortin znaleźliśmy list, pisany przez pana, w którym informuje pan ją o wyjeździe z Paryża. Znaleźliśmy także jej kartkę pocztową, skierowaną do pana na adres paryski, napisaną wczoraj wieczorem. Teresa Fortin pisała, że ma udany urlop i że nawiązała serdeczne stosunki z pańską matką. W dodatku kartka nie została wysłana. To jednak trochę podejrzanę, nie uważa pan?

— Tak — przyznał znękany głosem Morrot. — Ale Teresa nigdy niczego nie pamiętała. Była nieobliczalna.

— Właśnie, to mam na myśli — stwierdził dosyć enigmatycznie inspektor. — Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Czym się pan goli?

— Jak to? — aktor stropił się rodzajem pytania. — Używam maszynki elektrycznej.

— Od dawna?

— Tak, od dosyć dawna. Przedtem goliłem się żyłkami.

— I nigdy nie używał pan brzytwy?

— Owszem, ale właściwie tylko dla sportu, sam nie wiem, jak to określić. Nauczył mnie tego ojciec, bardzo dawno temu. Kiedy mam dużo czasu, golę się brzytwą. Ale nieczęsto miewam dużo czasu. Ach, rozumiem — raptem zorientował się i urwał. — Tak, panie inspektorze — powiedział z przygnębieniem. — Zostawiłem brzytwę w Bleucamp.

— Czy mówił pan komuś w domu o brzytwie zostawionej w Bleucamp?

— Nie przypominam sobie. Zdaje się, że mówiłem służącemu.

— Dziękuję. Sekcja zwłok odbywa się w Tulonie. Jutro rano zechce pan wydać odpowiednie dyspozycje co do pogrzebu. Proszę przyjąć wyrazy głębokiego współczucia.

Uścisnęli sobie dłonie.

W holu czekała na inspektora dama w tabaczkowym kostiumie. Oświadczyła tubalnie, że mieszka w Catalouse i przybywa na wezwanie radiowe. Połączyła się telefonicznie z posterunkiem w Bleucamp, gdzie powiedziano jej, że sławny inspektor Randot jest od szeregu godzin na miejscu zbrodni. Więc, by oszczędzić sobie drogi do Tulonu i doceniając wagę każdej informacji, zgłasza się jeszcze dzisiaj, mimo niedzieli. Podała imię, nazwisko, wiek, szacowny urząd męża i powiadomiła inspektora, że ubiegłego dnia, tj. w sobotę, jadąc pociągiem z Tulonu o 11.50, zetknęła się z kobietą, która wysiadła w Bleucamp.

— Była to młoda, przystojna dziewczyna — grzmiała tabaczkowa dama. — Poczęstowałam ją ciastkami własnego wypieku, które bardzo jej smakowały. Mam w sobie coś takiego, że ludziom w moim towarzystwie rozwiązują się języki. Ta kobieta powiedziała, że mieszka stale w Paryżu, że załatwiają w Tulonie sprawy służbowe i zamierza spędzić weekend w Bleucamp. Zaznaczyła, że jedzie do Bleucamp po raz pierwszy.

— Jeżeli miała zamiar wkrótce wymordować cały dom, to przypuszczam, że próbowała trochę wprowadzić panią w błąd — uśmiechnął się Randot.

— Może mnie wprowadziła w błąd. Może nie miała zamiaru mordować. A może miała zamiar, ale powiedziała prawdę. Co my wiemy o ludziach, panie inspektorze? O sobie mało wiemy, no nie? Ja tylko spełniam obywatelski obowiązek, co nawiasem mówiąc, budzi we mnie mieszane uczucia. Dziewczyna była bardzo elegancka, prawdziwa paryżanka. Jeżeli zajdzie potrzeba, rozpoznam ją. To wszystko.

— Czy paliła papierosy?

— Owszem; ale bardzo mało; wypaliła najwyżej jednego czy dwa.

— Nazwiska nie wymieniła? — zapytał Randot.

— Nie, proszę pana. A przecież gdyby jej zależało na zmyleniu mnie, mogła mi się przedstawić jakim bądź wymyślonym nazwiskiem, prawda? Jednak tego nie zrobiła. Czyli niewinna. Albo winna, tylko inteligentna. Tak, tak, panie inspektorze. Nic nie wiemy, człowiek jest zagadką. I jeszcze jedno chciałam panu powiedzieć. Miała w sobie coś szczególnego, coś nieprzyjemnego. Z wierzchu spokój, a w środku jakaś uporczywa myśl. Dlatego przyszłam. Śmieszne? Paniusia z prowincji, która odczytuje ludzkie myśli... Stokrotnie przepraszam, jeśli zajęłam panu zbyt wiele czasu.

— Cóż znowu. To ja pani dziękuję. — Randot skłonił się. — Każda, nawet najdrobniejsza informacja ma dla mnie znaczenie.

— Tak też myślałam. Do widzenia, inspektorze Randot.

Po odejściu mieszkanki Catalouse Randot raz jeszcze przesłuchał Zuzannę Leroux, trochę pokręcił się po willi, kazał przewieźć pokojówkę do szpitala w Tulonie, pożegnał odjeżdżającego wspaniałym wozem Alfreda Morrot, klepnął przyjacielsko w plecy Martina, wyszedł wreszcie na patio, gdzie przez parę minut spacerował dokoła nieczynnej fontanny. Kiedy wrócił, jego ruchy i mina obwieściły pracownikom tulońskiej prefektury kres koleżeńskiej swobody. Nastawał czas twardej, wojskowej dyscypliny.

Tego samego wieczoru w drodze powrotnej z Bleucamp do Tuluonu Randot powiedział:

— Opublikujcie komunikat, że policja poszukuje kobiety nazwiskiem Cortier, która z soboty na niedzielę nocowała w pensjonacie „Cyprys” w miejscowości Bleucamp. Gdy kobieta zgłosi się w prefekturze, dacie mi natychmiast znać.

— Tak jest, panie inspektorze! — zawołali jednocześnie porucznik i sierżant, nie pozwalając sobie na żaden odruch zdziwienia.

Po powrocie do Paryża Alicja Cortier resztę niedzieli spędziła przy radiu. W poniedziałek rano poszła do firmy, gdzie — jak wiadomo — była sekretarką szefa. Pan Betacourt przywitał ją z ulgą: Alicja oświadczyła, że po namyśle zrezygnowała z długiego weekendu.

Odbyła wyznaczoną na ten dzień konferencję z kierowcami, po czym opuściła biuro, co było zupełnie naturalne, ponieważ zwykle załatwiała część spraw na mieście.

Wyszedłszy z przedsiębiorstwa „E. Betacourt — Transport — ląd — morze”, wzięła taksówkę i pojechała do domu. Pierwszą czynnością, jaką wykonała, znalazłszy się w mieszkaniu, było włączenie radia. Punktualnie o dwunastej usłyszała anons władz bezpieczeństwa: poszukiwano kobiety nazwiskiem Cortier, która z soboty na niedzielę nocowała w pensjonacie „Cyprys” w miejscowości Bleucamp pod Tulonem. Krew silnie uderzyła jej do głowy, drżącymi dłońmi zapaliła papierosa.

Decyzję powzięła w ciągu pięciu minut. W podświadomości zrodziła się ona pewnie już wcześniej.

Alicja zebrała spieszenie do nesesera niezbędne przedmioty i pojechała na lotnisko. W Tulonie skierowała kroki w stronę ulicy, na której mieścił się gmach prefektury.

\*

— Nie pojmuję, na co pani liczyła? — powiedział inspektor Randot. — Na co pani liczyła opuszczając przed przybyciem policji dom, w którym dokonana została zbrodnia?

— Na nic — odrzekła Alicja Cortier.

— A nie, to nie jest odpowiedź. Na coś przecież pani liczyła. Każdy czyn ma swoje motywy.

— Ja nie liczyłam na nic. Nie mogłam dłużej zostawać w miejscu pełnym trupów. Nerwy odmówiły mi posłuszeństwa, uległam panice. W każdej chwili sama mogłam zostać ofiarą zbrodni.

— Hm... Dlaczego nie czekała pani w takim razie na zewnątrz domu. Przypuśćmy na ulicy?

— Bleucamp jest zupełnie puste. Czułam się równie bezbronna w willi, jak i poza jej murami.

— Więc na stacji?

— Miałam początkowo taki zamiar, ale kiedy znalazłam się na peronie, podjechał właśnie tuloński pociąg. Pchnęła mnie ku niemu gwałtowna potrzeba oddalenia się od tego koszmarnego miejsca. Czyżby pan nie był w stanie zrozumieć tego rodzaju reakcji?

Ostatnią złośliwość inspektor zlekceważył.

— Mija się pani z prawdą, panno Cortier. Zanim znalazła się pani na peronie, zadzwoniła pani do zawiadowcy w Bleucamp i sprawdziła rozkład jazdy. Pensjonat „Cyprys” opuściła pani dziesięć minut przed nadejściem wspomnianego pociągu, zyskując w ten sposób pewność, że zdąży pani wyjechać.

Przesłuchanie odbywało się w gabinecie inspektora Randot. Inspektor siedział za biurkiem. Alicja naprzeciw, w pewnym oddaleniu. Zapadał zmierzch. Pokój równomiernie wypełniało mdłe światło górnej lampy. Na biurku działał bezszmerowo wentylator, stwarzając pozory chłodu. Po gwałtownej wiosennej burzy — wbrew panującym w naturze prawom — upał nic nie stracił z dojmującej siły. W nocy należało spodziewać się dalszych wyładowań atmosferycznych. Jeśli chodzi o atmosferę wypełniającą gabinet — do wyładowań mogło dojść znacznie wcześniej.

Zarówno przesłuchujący, jak i przesłuchiwana ocierali czoła wierzchem dłoni od czasu do czasu. Rozmowa dała dotąd znikome rezultaty.

— Jest pani osobą zrównoważoną, panno Cortier, nie uległa pani żadnej panice — ciągnął inspektor. — Ma pani zdolność precyzyjnego myślenia i dlatego właśnie nie rozumiem, co panią skłoniło do tak ryzykownej ucieczki. Widział panią zawiadowca stacji. Mogli panią w drodze na stację zauważyć jacyś przechodnie. Już rozsądniej byłoby na przykład skorzystać z samochodu Flory Morissot, stojącego w garażu, naturalnie w ramach psychiki zbiega.

— Nie umiem prowadzić samochodu — odrzekła Alicja — a poza tym ani mi w głowie było uciekać, w dodatku cudzym wozem. Psychika zbiega nie wchodzi w grę, panie inspektorze. Rozkład pociągów sprawdziłam, żeby jak najszybciej wydostać się z tego koszmarnego miejsca.

— Proszę się zdecydować: czy potrzeba oddalenia się od koszmarnego miejsca powstała na peronie, czy już w „Cyprysie”. Notuję pierwszą niezgodność w zeznaniach.

— Ach, co za różnica. Pan mnie łapie za słowa, a ja ledwo żyję.

— No więc dobrze. Dajmy temu na razie spokój — powiedział inspektor Randot, pełen wyrozumiałości i jak najlepszej woli. Był to wytrawny funkcjonariusz: w jego jasnych oczach gościł bezbrzeżny spokój, szczelnie osłaniający tak emocje, jak i wszelkie wątpliwości. — Może pani zapali? — Wyjął z szuflady pudełko papierosów.

— Bardzo chętnie. Dziękuję. — Uniosła się w krzesło, przyjmując z rąk inspektora ogień.

— Dużo pani pali? — W jego głosie brzmiała niemal troska.

— Tak sobie, średnio. W Bleucamp paliłam jednego papierosa na godzinę. Zdawało mi się, że ten weekend wyjdzie mi na zdrowie... — dodała z wyraźną goryczą.

— O ile się nie mylę, mieszkanki pensjonatu „Cyprys” nie używały tytoniu?

— Raczej nie. Częstoowane przeze mnie przy stole, odmawiały.

— Tak, to się zgadza. Więc pani stanowczo twierdzi, że pani wczoraj ani dzisiaj nie słuchała radia?

— Nie słuchałam.

— I zgłasza się pani z własnej, nieprzymuszonej woli?

— Tak jest.

— Ciekawe. Według mnie trochę późno.

— Wiem. Ale przez ten czas byłam nieprzytomna z przerażenia. Nie mogłam zebrać myśli ani powziąć żadnej decyzji.

— Co pani zauważyła na nocnej szafce przy zwłokach właścicielki pensjonatu, Heleny Morissot? — rzucił inspektor. Pytanie miało charakter zaskakujący. Na zaskakujących pytaniach od dawien dawna opierają się metody śledcze, ale inspektor uczynił z tego sposobu własną, indywidualną umiejętność, czerpiąc z niej sporo zasłużonej i zmitologizowanej chwały.

Alicja poczęła z wolna wyliczać:

— Lampa z złotym abażurem, książka do nabożeństwa w czarnej oprawie, pełna szklanka herbaty albo kwiatu lipowego, jak się pan domyśla, nie kosztowałam, staroświecki zegarek na łańcuszku. To chyba wszystko.

Inspektor Randot roześmiał się.

— Zazdroszczę pani spostrzegawczości.

— Dzięki tej zalecie jestem bardzo dobrą urzędniczką. Proszę zapytać pana Betacourt, mego szefa i szefa firmy „E. Betacourt — Transport — ląd — morze”.

— Sam chciałbym mieć taką sekretarkę. Biorąc zatem pod uwagę pani talent, poproszę o możliwie dokładny opis wszystkich wypadków, jakie miały miejsce w pensjonacie „Cyprys” od chwili pani przybycia. Chodzi mi, powtarzam, o wypadki, a nie o refleksje.

Ton inspektora stwarzał pozory, że rozmowa jest natury towarzyskiej i obydwu stronom może sprawić satysfakcję. Niemniej Alicja westchnęła. Może dlatego, że raz już opowiadała inspektorowi pokrótce przebieg weekendu:

— Wsiadłam w Bleucamp w sobotę pięć minut po wpół do drugiej — rozpoczęła nerwowo. — Pamiętam dokładnie czas, bo spojrzałam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że

dzieli mnie jeszcze dwadzieścia pięć minut od następnego papierosa i nie wiadomo ile od obiadu. Pod niebieskim budynkiem kolejowym stał zawiadowca stacji, maleńki i bardzo zabawny — w tym miejscu zmieszała się, zdawszy sobie sprawę, iż siedzący naprzeciw inspektor jest niewiele wyższy od wspomnianego kolejarza i być może poczuł się dotknięty.

— Co dalej? — ponaglił Randot.

— Szłam pustymi uliczkami, wśród zamkniętych na cztery spusty domów, wreszcie dobiegły mnie dźwięki radia. Ich śladem trafiłam do pensjonatu „Cyprys”. Zobaczyłam przez uchylone drzwi garażu samochód z paryską rejestracją, poczułam smakowitą woń jedzenia. Byłam głodna, zmęczona upałem, willa wydała mi się oazą. Komfortowa, choć nieco pretensjonalna przystań, doskonała na dwudniowy azyl. Tak sądziłam... Drzwi zastałam otwarte, najwidoczniej nie obawiano się tutaj złodziei. Przeszłam przez hol; na patio tyłem do wejścia spoczywała na leżaku Teresa Fortin, wtedy oczywiście nie znałam jeszcze jej imienia i nazwiska. Powiedziałam „dzień dobry”, na co panna Fortin wydała okrzyk przerażenia. W następnej chwili przeprosiła mnie za swoje nieopanowanie, tłumacząc się złym stanem nerwów. Zresztą w parę godzin później, kiedy rozmawiałam z nią, podkreśliła mi przypiętą, ni przytępatą, że nerwy ma znakomite. Ale wróćmy do pierwszych chwil tej znajomości. Gdy powiedziałam, że chciałabym spędzić w „Cyprysie” weekend, poszła po właścicielkę. Stara pani Morissot przyjęła mnie bez entuzjazmu. Powiedziała, że pensjonat nie został jeszcze przygotowany do potrzeb gości, i radziła szukać pokoju na wsi. Ale ja byłam zmęczona i głodna, a ponadto lubię wygodę. Bardzo chciałam zamieszkać w „Cyprysie”. Ostatecznie przemogłam niechęć starej damy. Na zakończenie wstępnej rozmowy zafundowała mi nawet coś w rodzaju komplementu.

Chętnie bym to opuściła, gdyby nie okoliczność, że mocno mnie zastanowił jako absolutnie nie pasujący do zachowania pani Morissot. Powiedziała, przeszywając mnie nieufnym wzrokiem: „Pani jest bardzo ładna, panno Cortier, dlatego się tak pani przyglądam”.

— Pani jest bardzo ładna, panno Cortier. Dlatego tak się pani przyglądam — powtórzył inspektor Randot.

— Co? — zdziwiła się Alicja.

— Nic. Powtarzam słowa Heleny Morissot, żeby je dobrze zapamiętać.

— A tak, naturalnie. Następnie pokojówka Zuzanna wzięła moje rzeczy i zaniósła je na pierwsze piętro. Dostałam pokój w prawym skrzydle, zaraz na początku korytarza po prawej ręce. Numer jeden.

— Wiem.

— Och, nie wątpię — zadrwiła. — Wracam jednak do relacji. Zuzanna zaczęła sprzątać

i wtedy zrobiło jej się słabo. Powiedziała, że pewnie zaszkodziła jej jakaś potrawa. Poprosiła o wodę, podałam jej. Zwracam uwagę, że wszystkie trzy kobiety w „Cyprysie” przedstawiały mi się jakoś nienaturalnie, a w każdym razie niewesoło. Potem był obiad. Zeszłam do jadalni na wezwanie gongu. Ta perkusja brzmiała wyjątkowo wstrętne, powiedziałabym: złowieszczo...

— Chińszczyzna — zauważył inspektor i spieszenie dorzucił: — Proszę o fakty, same fakty.

— Przepraszam. Jeżeli wspomniałam o przykrym dźwięku gongu, to dlatego, żeby uzmysłowić panu, że już wtedy nastrój tego domu zaczął mnie przerażać. W czasie obiadu poznałam Florę Morissot. Była bardzo elegancko ubrana, trochę zbyt sztywnie jak na tę wyludnioną miejscowość. Duże, ciemne okulary kryły część jej niemiłej twarzy. Pomyślałam: ta kobieta chciałaby ująć sobie nieco lat. Prawda, pana moje myśli nie interesują. Teresa Fortin miała wzorzystą spódnicę i skromną bluzkę. Stara pani Morissot nosiła szarą alpakową suknię i trójkątną, fioletową chustkę, tę samą, której używała w łóżku. Nie jest to zbyt higieniczne, ale stare kobiety marzną nawet w bardzo ciepłe dni, a Helena Morissot zapewne przed zaśnięciem odmawiała wieczorne modlitwy, skoro miała na nocnej szafce książkę do nabożeństwa. Przy stole panowało fatalne skrzępowanie. Zuzanna w ciszy roznosiła potrawy. Ta cisza dławiała mnie w gardle, czułam jej niemal dotykalne brzemie. Ogarnął mnie wewnętrzny niepokój, któremu chciałam się przeciwstawić. Wtedy powiedziałam głośno o dwóch zamordowanych.

Inspektor Randot uniósł brwi i poruszył się w fotelu.

— Czułam, że między kobietami dzieje się coś niedobrego — ciągnęła Alicja. — Owładnął mnie lęk, lęk, że wdepnęłam przypadkiem w jakąś zasadzkę. Że w tym pustym domu będę zdana na łaskę i niełaskę dziwacznych lokatorek, ponurych, histerycznych, kto wie, czy nie skrywających ohydnej tajemnicy. Postanowiłam z miejsca uderzyć. Rzuciłam wyzwanie. Bo przecież moja podejrzliwość miała uzasadnione źródło, miała swój ciężki kryminalny temat. Od godziny karmiłam wyobraźnię zasłyszana wiadomością o niedawnym zdarzeniu w Bleucamp. Powiedziałam: „Podobno w Bleucamp zamordowane zostały dwie kobiety”.

— Cóż to za brednie, panno Cortier? — Oblicze inspektora o mało nie utraciło chlubnego spokoju.

— No tak. Powiedziałam: „Podobno w Bleucamp zostały zamordowane dwie kobiety?” A kiedy wywołało to szczere zdziwienie i pani Morissot stwierdziła, że zachodzi widocznie jakaś omyłka, że nic podobnego nie miało miejsca, mocno obstawałam przy swoim.

— Ale dlaczego? Na jakiej podstawie? — pytał Randot.



— Na tej, że w pociągu, którym jechałam z Tulonu, towarzysza podróży odczytała mi z mojego własnego numeru „Głosu Południa” taką mniej więcej wzmiankę: „W Bleucamp nocą zamordowano dwie kobiety. Istnieją poszlaki, że zbrodni dokonał ukrywający się w okolicznych lasach włóczęga”.

— W okolicach Bleucamp nie ma lasów — rzekł inspektor.

Alicja wzdrygnęła się.

— Może wyłączyć wentylator? — spytał nie bez ironii inspektor.

— Och, nie. Boże drogi... To zdanie wraca z za grobu. Wygłosiła je niedawno Helena Morissot.

— Każde dziecko wie, że w pobliżu Bleucamp nie ma lasów. Niech się pani uspokoi. Dwie kobiety zamordowano nocą o wiele dalej, aż za Catalouse, w Gricamp. Złapaliśmy już mordercę. Owszem, włóczęga — zwyrodnialec, to się zgadza, i lasy też tam są. Dziwne, że pani przejąwszy się tak informacją z kroniki kryminalnej, nie sprawdziła jej.

— Tak, dziwne. Wszystko tego dnia było dziwne. Chciałam zajrzeć do „Głosu Południa” i ciągle do tego nie dochodziło. Zapominałam, odkładałam, może podświadomie pragnęłam uniknąć pewności. Może po zaprzeczeniu pani Morissot wołałam wierzyć, że to istotnie omyłka... Kto lubi przyznawać się do strachu?

— Za dużo miejsca poświęca pani psychologii, a za mało konkretnym zdarzeniom.

— Czy istnieją konkretne zdarzenia bez psychologii? — zapytała Alicja.

Inspektor, opanowawszy mały atak kaszlu, powiedział:

— Przyznam, że nie wygląda pani na osobę bojaźliwą.

— Odwaga jest też pewną odmianą strachu.

— Wśród pism przytroczonych do pani neseseru znajduje się sobotni „Głos Południa”, a w nim prawidłowa notatka. Współpasażerka w przedziale kolejowym omyliła się. Gricamp, Bleucamp — podobne nazwy.

— Niezbadane są losy każdego słowa. Słyszac, że w Bleucamp popełniono zbrodnię, poczułam specyficzny dreszczyk, coś w rodzaju podniecenia, jakiego doznajemy, gdy późno wieczorem ktoś opowiada o duchach... To moment, w którym postanowiłam spędzić weekend w Bleucamp. Bo przedtem wcale jeszcze nie byłam zdecydowana. Całe życie jest jednym, wielkim zbiegiem okoliczności, nie uważa pan?

— Uważam. Jednak w tym wypadku zachodzi wyjątkowo nie zbieg okoliczności, lecz z góry powzięta decyzja. Pani już wcześniej zamierzała wysiąść w Bleucamp.

— Przecież ja chyba wiem lepiej?

— Nie. Ja wiem lepiej. Zresztą na razie przyjmuję pani wersję. Proszę mówić dalej.

— Znowu pan podważy prawdziwość moich słów. To jednak deprymuje.

— Już milczę i zamieniam się w słuch. Alicja przeszła na ton zdecydowanie epicki:

— Zuzanna, zagadnięta przez panią domu w kwestii zamordowanych w Bleucamp kobiet, oświadczyła, że kiedy była rano we wsi nic o tym nie słyszała. Moja ponura wypowiedź została niejako skwitowana. Krótko i bezwzględnie. Zaraz potem wybuchło nienaturalne ożywienie. Rozmowa toczyła się wokół talentów kulinarnych pani Morissot. Na kolację stara dama zapowiedziała „specjalność domu” — sorbet pomarańczowy, ulubiony przysmak Hory. Wówczas Flora powiedziała, że chce zabrać trochę sorbetu do Paryża, podkreślała, że mąż ją o to prosił. Pozwoli pan, że zacytuję słowa Flory Morissot, wydają mi się ważne dla późniejszych wypadków. „Ilekróć wracam z Bleucamp, mąż już od progu pyta mnie, czy przywiozłam pomarańczowy sorbet. Wczoraj, kiedy wyjeżdżałam z Paryża, biegł jeszcze za samochodem, wołając: Floro, sorbet, nie zapomnij o sorbecie”. Teresa Fortin krzyknęła na to: „Bezczelne kłamstwo”. Starsza pani zgromiła ją za to i Teresa natychmiast spokorniała. Jej wybuchowość ustawicznie walczyła z chęcią przypodobania się Helenie Morissot. Na kolację był rzeczywiście sorbet pomarańczowy... Naturalnie na zakończenie, bo przedtem podano wiele innych znakomitych potraw. Prawie wszystkie zrobiła własnoręcznie Teresa Fortin i ona również podawała do stołu. Zuzanna rzekomo źle się czuła. Teresa, moim zdaniem, dużo robiła tego dnia, żeby zjednać sobie właścicielkę pensjonatu. Wszystkie trzy panie obficie zakrapiały jedzenie winem. Wyjątkowo obficie. Jakby w winie chciały utopić troski, jakby wino miało im pomóc w decyzjach... Są to, ma się rozumieć, moje przypuszczenia, powstałe z rozmaitych osobistych doświadczeń. Tego wieczora nie piłam. Sądzę, że właśnie na skutek alkoholu zaszedł w czasie kolacji pewien incydent. Teresa Fortin, upojona winem i pochwałami starej pani Morissot, nie zapanowała nad nerwami, pozwalając sobie na wyskok zgoła nieoczekiwany. Kiedy uprzejmie pochwaliłam sorbet pomarańczowy, Teresa zaczęła dusić się ze śmiechu, a zapytana o powód, opowiedziała chichocząc, jak to jej narzeczony cierpi na komiczną, jej zdaniem, awersję do pomarańczy. Poczęstowany kiedyś koktajlem z sokiem pomarańczowym, zaczął puchnąć, aż upodobił się do czerwonego balonika.

— Alergia — wtrącił Randot.

— Nie ulega wątpliwości, że alergia. Syn Heleny Morissot, małżonek Flory, głośny gwiazdor filmowy, Alfred Morrot w jednym z wywiadów zwierzał się wielbicielom z uczulenia na pomarańcze. Czytam wszystkie czasopisma filmowe i dobrze zapamiętałam ten idiotyczny wywiad z fotografią na pół kolumny. Flora Morissot musiała tego dnia być bardzo wzburzona, skoro zapomniała o tej ułomności własnego męża. Teresa Fortin, miotana paroksyzmem szaleńczego śmiechu, wybełkotała: „Powiedział wtedy: kochana Tereso,

w naszym domu nie wolno będzie podawać pomarańczy”. W ten sposób Teresa Fortin zdemaskowała Florę Morissot, która podczas obiadu chciała stworzyć wrażenie dobrego pożycia z niewiernym małżonkiem. Nie tylko zdemaskowała ją. Ona ją straszliwie zraniła. Ze słów Teresy wynikało jasno, że Alfred Morrot wkrótce będzie jej mężem, mężem Teresy Fortin, nie Flory Morissot, leciwej, wyelegantowanej i już niepotrzebnie bogatej. Przypuszczam, że Flora nie wyobrażała sobie życia bez tego urodziwego amanta. Może za daleko posuwam się w domysłach. Tak czy inaczej w sobotę wieczorem zyskałam pewność, że w pensjonacie „Cyprys” toczy się walka o mężczyznę, o jednego mężczyznę. Jego fotografia na empirowej komodzie w sali jadalnej urastała do rozmiarów symbolu. — Alicja głęboko odetchnęła. — Teraz, panie inspektorze... zdaje się, Randot?

— Tak, Randot — skinął głową mały szef tulońskiej komendy i raptem porzucił miejsce za biurkiem, puszczając się w szybki, rytmiczny marsz wzdłuż pokoju. Mimo niewielkiego wzrostu i cywilnego ubrania miał w postawie coś z generała spacerującego po linii frontu.

Dzień chylił się ku końcowi, lecz w tym ustronnym, cichym gabinecie nie myślano o odpoczynku. Bitwa dawno została wypowiedziana; padło już kilka pojedynczych strzałów i w każdej sekundzie można się było spodziewać głównego natarcia czy generalnego uniku. Strategia opiera się nie tylko na własnej pomysłowości, ale także na błędach taktycznych przeciwnika. Inspektor pojął w lot, że ma do czynienia z bardzo sprytnym partnerem, Alicja słyszała co nieco o sławie detektywa z Tulonu. Należy przypuszczać, że niepewność co do nazwiska „Randot” była raczej chwytem. Czy inspektor, specjalista od trików, poznał się na tym manewrze? Chyba tak. W każdym razie, kiedy puszczał w ruch swoje zwinne, filigranowe ciało, wiadomo było, że zdwaja uwagę, ta właściwość George’a Randota miała już w kręgach kryminalnych swoją sławę i dostarczała dowcipnisiom niewyczerpanego tematu do anegdot.

— Teraz, panie inspektorze Randot — ciągnęła Alicja, a w tonie jej obok zwykłej pewności siebie zabrzmiało coś, co śmiało mogło być poczuciem przewagi — podam jeszcze kilka faktów z pobytu w pensjonacie „Cyprys”. Ujmę je w punkty, żeby oszczędzić panu moich nieznośnych refleksji. Punkt pierwszy: po obiedzie spotkałam w holu Helenę Morissot, Florę Morissot i Teresę Fortin w pozycjach świadczących o silnym wzburzeniu. Punkt drugi: z popołudniowej drzemki wyrwał mnie czyjś ostry krzyk. Punkt trzeci: wkrótce potem, wychodząc z łazienki, mieszczącej się w prawym skrzydle (zgodnie z oświadczeniem właścicielki pensjonat nie został jeszcze przystosowany do potrzeb gości i czynna była tylko jedna łazienka) usłyszałam przez zamknięte drzwi fragment rozmowy pań Morissot. Starsza mówiła: „Nie wiem, co o tym sądzić? Na co ta dziewczyna liczy o d r z u c a j ą c t a k

wielką sumę?” Niech pan zwróci uwagę na słowa: „odrzucając tak wielką sumę”. Młodsza odpowiedziała: „Ach, głupstwo, mamo, jakie to ma znaczenie? Ja ciągle myślę o tej drugiej, ta druga wydaje mi się naprawdę niebezpieczna”. „T a d r u g a ” proszę pana. Na to stara dama: „Stanowczo przesadzasz. W pierwszej chwili i ja się przestraszyłam. Ale to przecież zupełna gęś. Tyle że ładna. One wszystkie są ładne...”

Dłużej nie mogłam podsłuchiwać, bo nagle wyszła ze swego pokoju w końcu korytarza Teresa Fortin. Była rzeczywiście bardzo ładna. W tym domu nie obawiano się złodziei, nie obawiano się bandytów, obawiano się ładnych kobiet. Punkt czwarty: w czasie kolacji, jak już wspomniałam, Zuzanna nie podawała do stołu. Moim zdaniem p o o d r z u c e n i u k w o t y o f i a r o w a n e j p r z e z F l o r ę M o r i s s o t z a n i e m o g ł a n a d o b r e. Przedtem, wiejskim obyczajem, podniosła krzyk, który wyrwał mnie z popołudniowego snu.

— Co za niebywała bystrość w wyciąganiu wniosków — zadziwił się Randot.

— Przepraszam, znowu się zagalopowałam. To pan jest od wyciągania wniosków. Mogłabym w tym miejscu uraczyć pana także opisem snu, jaki miałam w czasie popołudniowej drzemki, obawiam się jednak, że pan nie wierzy w prorocze sny. Przejdźmy zatem do punktu piątego: po kolacji Helena Morissot surowym głosem nakazała Teresie Fortin iść do pokoju. „Proszę iść do siebie i czekać tam na mnie” — rzekła. Och, sądzę, że rozmowa, która później nastąpiła, musiała zniweczyć marzenia Teresy o pozyskaniu przyszłej świekry. Zniweczyła chyba marzenia o czymś więcej... — Alicja nerwowo się roześmiała. — Jestem niepoprawnie gadatliwa. Taka już widocznie moja natura. Punkt szósty: przed położeniem się spać podniosłam żaluzje, żeby oddychać świeżym chłodnym powietrzem. Zauważyłam w przeciwległym skrzydle trzy światła dobywające się spod spuszczonej żaluzji. Świeciło się w pokoju Teresy na końcu skrzydła i u pań Morissot, które mieszkały w pobliżu holu, przedzielone jednym pustym pokojem. Stąd właśnie następnego ranka wiedziałam, gdzie kogo szukać, nie musiałam kolejno dobijać się do wszystkich drzwi, i dlatego nie znaleźli panowie na pozostałych klamkach odcisków moich rąk, z wyjątkiem oczywiście drzwi Flory Morissot i Teresy Fortin, bo pokój Heleny Morissot zastałam otwarty.

— Znowu mija się pani z prawdą. Na klamkach drzwi do pokoi Florentyny Morissot i Teresy Fortin również nie znaleziono pani odcisków. Dziwne, nie uważa pani?

— Dziwne — przyznała z lodowatą obojętnością Alicja Cortier. — Prawdopodobnie stał je któryś z nieudolnych policjantów.

— Być może. Co dalej?

— O godzinie dziewiątej rano szłam do łazienki, która mieści się, jak panu wiadomo, *vis-à-vis* pokoju Heleny Morissot. To, co zobaczyłam, nie budziło wątpliwości. Małą, wątlą

staruszkę uduszono jej własną chustką, okręcając wokół starczej szyi dwa długie końce. Ten stan rzeczy nazwijmy punktem siódmym. Punkt ósmy: Flora Morissot leży martwa, jej policzek przecina zakrzepłe pasmo krwi. Punkt dziewiąty: Teresa Fortin ma podcięte gardło. Stwierdzam fakty lakonicznie, pod kątem tego, co interesuje policję. Pan czy też pańscy podwładni na własne oczy przekonaliście się, do jakich fantastycznych rozmiarów może dojść groza, jak monstualny obraz zostawił po sobie zbrodniarz w pensjonacie.

— Przeraziła się pani, zobaczywszy ten „monstualny obraz?” — zapytał z niedowierzaniem inspektor.

— Tak, proszę pana — odpowiedziała Alicja. — Przeraziłam się. Ciągle jeszcze nie mogę ochłonąć.

— Ale mimo to z niezwykłą spostrzegawczością i, powiedziałbym, fachowym znawstwem ustaliła pani rodzaj morderstwa i charakterystyczne ślady.

— Jestem wybitnie spostrzegawcza. Był pan uprzejmy już raz to podkreślić.

— Który teraz punkt mamy na wokandzie? — inspektor tym sarkastycznym pytaniem proponował powrót do przerwane go toku i zarazem dawał do zrozumienia, że jednak on zyskał przewagę.

— Punkt dziesiąty. W punkcie dziesiątym pozwolę sobie zwrócić pana uwagę na otwarte okna w pokojach pań Morissot oraz na zamknięte okno u Teresy Fortin. Po stwierdzeniu makabrycznej sytuacji na pierwszym piętrze, zeszałam na parter. Panowała tam absolutna cisza. Przemierzyłam pusty hol, następnie jadalnię, gdzie na stole zastałam nie zebrane naczynia z kolacji. Jadalnię od kuchni dzieli ciemna sionka. Drzwi do kuchni były lekko uchylone. Pchnęłam je łokciem. Ujrzałam Zuzannę leżącą bez życia na podłodze.

Inspektor Randot strzelił obcasami, przerywając wędrówkę.

— O ile się nie mylę, doszliśmy w tym momencie do punktu jedenastego?

— Tak — zgodziła się skwapliwie Alicja i nie odrywając wzroku od jakiegoś punktu, który pomagał jej w skupieniu, ciągnęła dalej: — Potem musiałam się ubrać, bo ciągle jeszcze byłam w pidżamie, musiałam też spakować neseser.

Inspektor Randot przerwał:

— Czy można wiedzieć, w jakiej pidżamie pani była?

— W kretonowej.

— Chodziło mi o kolor.

— Błękitna w czarne paski.

— To gustowne. A zatem?

— Już prawie wszystko. Zeszałam na dół po raz drugi, zatelefonowałam na stację

i rzeczywiście spytałam o połączenie z Tulonem, wreszcie opuściłam pensjonat. Tak skończył się mój wiosenny weekend.

— On się jeszcze nie skończył, panno Cortier. — Sprostował z podejrzanym humorkiem, choć nieprzeniknionym obliczem Randot.

Alicja śledziła delikatne obłoczki, które nagle zaczęły wypełniać zielonkawą przestrzeń wokół księżyca.

— Przydałby się deszcz — stwierdził inspektor, idąc za wzrokiem młodej kobiety. — Burza niewiele pomogła. Myślę, że będzie jeszcze jedna.

— W Paryżu leje od rana do nocy, mam już dosyć niepogody. Mam dosyć deszczu i Paryża! — Podniosła głos. — Tak się cieszyłam na te parę dni odpoczynku. Parę dni nad morzem. W zupełnym spokoju. W zupełnym spokoju... w zupełnym spokoju... — powtarzała krzywiąc usta jak do płaczu. — Cisza, odpoczynek, słońce. Znalazłam! Co za koszmar! Co za okropne zdarzenie. Odechce mi się na całe życie. Dlaczego musiała mi się przydarzyć taka ohydna przygoda? Dlaczego? Diabli mnie chyba tam zanieśli... i rzucili w sam środek greckiej tragedii. Nieczynna fontanna, patio, żałobne cyprysy i pensjonat „Cyprys”, jakby ktoś umyślnie to wyreżyserował dla sensacji i bez umiaru! Z Alfredem Morrot w roli głównej! — zaśmiała się histerycznie. — Ale kogo on mógłby zagrać? Martwą fontannę?... Zawiadowcę stacji?... Ach, już wiem, inspektora policji. Czemu się pan tak na mnie gapi?

— Gapię się — powiedział spokojnie inspektor Randot — ponieważ od pewnego czasu krzyczy pani i wymachuje rękami jak osoba niepczytalna. Zastanawiam się, czy to atak nerwowy, czy komedia. Nie wątpię, że pani możliwości są olbrzymie, ale jeżeli istotnie źle się pani czuje, panno Cortier, skłonny jestem dalszy ciąg naszej pogawędki odłożyć do jutra.

Uspokoiła się.

— O nie, załatwmy tę sprawę jak najszybciej. Pan Betacourt na mnie czeka. Wyobrażam sobie bałagan, jaki powstanie w biurze. W dodatku nie powiedziałam, że wyjeżdżam. Mogę prosić o papierosa?

Po chwili mówiła już zupełnie innym tonem. Inspektor nie spuszczał oka z jej ładnej, obdarzonej regularnymi rysami twarzy.

— Nie wiem, czemu to przypisać, ale w każdym miejscu pracy od razu staję się nieodzowna. Bardzo to kłopotliwe i zobowiązujące. Swego rodzaju niewola. Brzydzę się wszelką niewolą, dlatego pewnie często zmieniam posady. W ogóle lubię odmianę, chociaż z drugiej strony bardzo się przywiązuję do ludzi. Nie jest wykluczone, że byłabym dobrą żoną. — Znowu wybiegła wzrokiem w dal za oknem. — Ale jakoś nie wychodzę za mąż.

Mam ogromne wymagania, po prostu nieosiągalne. Mężczyzna winien być szlachetny, poważny, olśniewająco inteligentny. I przy tym wszystkim nie pozbawiony wrażliwości. No i odważny. Przyzna pan, że to spore wymagania. Pan Betacourt, na przykład, nie spełnia tych warunków, a nawet jest wyjątkowo daleki od mojego ideału, mimo to Cecylia Gaudeaux, główna księgowa przedsiębiorstwa „E. Betacourt — Transport — ląd — morze”, już czterokrotnie skakała do Sekwany, za każdym razem bezskutecznie, bo nadal żyje, a pan Betacourt ciągle pozostaje głuchy na ten krzyk namiętności. Kobiety mają przeróżne gusty i posuwają się do rozmaitych ostateczności. Mówię to na podstawie wielu przykładów, Cecylia Gaudeaux nie wyczerpuje zagadnienia. Mam kuzynkę; śliczna, młodziutka dziewczyna i proszę sobie wyobrazić: zakochała się w starcu. Nie w jakimś starszym panu ze szpakowatymi skrońmi, ale w zupełnym starcu z długą siwą brodą i uginającymi się kolanami. Przez dyskrecję nie wymieniam nazwiska, bo to profesor Sorbony, wykładający co najmniej od pięćdziesięciu lat, więc dosyć znany. Ma żonę, kupę leciwych synów i córek oraz kilkanaścioro wnuków, z których najstarszy studiuje właśnie w Sorbonie. Ten byłby dla mojej kuzynki w sam raz, ale ona nie chce nawet słyszeć o młodych mężczyznach. Mówi, że sama jest młoda i ma z tym wystarczająco dużo kłopotów. Tylko bardzo starzy ludzie jej odpowiadają. Uwielbia ich rezygnację i mądrość. Niektóre kobiety szaleją za mędrkami, innym znowu odpowiadają patentowani durnie. Można się też zakochać wyłącznie w czyimś piegowatym nosie. Otóż to. Plotę tak trzy po trzy, trochę dla odprężenia, a trochę z wrodzonego gadulstwa, tym bardziej że na temat tragedii w willi „Cyprys” nie mam już nic więcej do powiedzenia. Pierwszy raz siedzę oko w oko z policjantem; skłania mnie to do szczególnej szczerości. Dawno, widzi pan, nie byłam u spowiedzi i nie mam zwyczaju zwierzać się. Korzystam więc z wyjątkowej sytuacji. Pan jako reprezentant prawa i szeroko pojętego bezpieczeństwa nie jest dla mnie ani mężczyzną, ani nawet człowiekiem. — Zawiesiła głos: — Jest pan abstrakcją, idealnym autorytetem, czymś w rodzaju Boga. Boga cywilnego czy, powiedzmy, wojskowego, bo zdaje się ma pan w tym kierunku upodobania, co wnoszę ze sprężystego kroku i skłonności do marszu. Otóż żadną miarą nie umiałabym pana okłamać. Więcej: odczuwam chęć zwierzenia się panu z moich najtajniejszych sekretów. Ale nie zrobię tego, niech pan będzie spokojny. Cenię pański czas, zamiłowanie do rzeczowości i już i tak fenomenalną cierpliwość. Chcę jedynie pana zapewnić o bezwzględnej prawdzie moich zeznań. Tylko o to mi chodzi, o nic więcej.

Wszystko to zakrawało na kpinę, niemniej inspektor Randot słuchał monologu Alicji z nie słabnącą uwagą. Od paru chwil siedział znowu za biurkiem. Jego jasne oczy wyrażały skupienie nie pozbawione i żywszych refleksów. Jeżeli nie przerwał Alicji jej oryginalnego

przemówienia, to znaczy, że dostrzegł w nim coś interesującego, coś, co dawało do myślenia.

— Panno Cortier — powiedział wreszcie — rzadko bywam w kinie i, przyznam się, nigdy nie widziałem na ekranie Alfreda Morrot. Jest ponoć wybitnym aktorem i bożyszczem kobiet. Może pani, jako stała czytelniczka rubryk filmowych i z pewnością bywalczyni kin, powie mi coś o nim?

Alicja wzruszyła ramionami.

— Mierny talent i banalna uroda. Tuzinkowy uwodziciel kobiet, w dobrze skrojonym garniturze. Ma sporo wdzięku, dziś już podtatusiałego, ładne akrylowe zęby i umiarkowaną kulturę artystyczną. Zanim jeszcze dowiedziałam się, do kogo należy pensjonat, zastanowiła mnie pretensjonalność tego budynku. Widział pan fotografię umieszczoną na honorowym miejscu w jadalni?

— Pozwoliłem sobie nawet ją zabrać.

— Według mnie gładkie czoło Alfreda Morrot wolne jest od jakiegokolwiek głębszej myśli. Nie sądzę, żeby to było poważnym felerem w oczach kobiet. Podstarzała żona i histeryczna kochanka na pewno nie wyczerpują listy kobiet zainteresowanych panem Morrot *vel* Morissot.

— Jest pani tego pewna?

— Najzupełniej. Nie dalej jak przed kilku dniami wstąpiłam do małego bistro w Dzielnicy Łacińskiej. Alfred Morrot siedział tam w towarzystwie młodziutkiej, bardzo urodziwej dziewczyny, chyba Amerykanki. Wiem, jak wyglądają zakochane pary, chroniące się przed okiem ciekawych...

Inspektor Randot był specjalistą od przeskakiwania z tematu na temat.

— Przy obdukcji zwłok Flory Morissot znaleziono na włosach i ramionach zamordowanej popiół z tytoniu. Pani jedna w całym domu paliła, panno Cortier.

Natarcie miało charakter frontalny. Alicja zastosowała unik, mianowicie wysiliła się na dowcip.

— Myśli pan, że morduję ludzi z papierosem w zębach? Byłby to rzeczywiście szczyt nonszalancji.

— W takim razie jak pani wytłumaczy wspomnianą okoliczność?

— Nie wiem. Dlaczego mnie właśnie zadaje pan to pytanie? Może ktoś uderzył Florę Morissot w głowę popielniczką, w której znajdowały się resztki popiołu?

— No proszę! Co za domyślność. Niech sobie pani wyobrazi, że jestem ściśle tego samego zdania.

— Pochlebia to mojej inteligencji.



Randot mówił dalej z troskliwą dbałością o dykcję:

— Pokojówka Zuzanna otrzymała cios w głowę tą samą kryształową popielniczką w kształcie pucharu. Popielniczką stojącą w jadalni na stole przy pani nakryciu.

— Tak. Przypominam sobie ten niegustowny przedmiot, bardziej nadający się na narzędzie zbrodni niż do ozdoby mieszkania. Czy i na Zuzannie odkryto popiół z moich papierosów?

— O, nie. Zuzanna sama zeznała, że ugodzono ją w głowę tym niegustownym przedmiotem. — Inspektor oznajmił tę informację jak najnaturalniej w świecie... — Bo tym razem cios okazał się nie bardzo celny lub też nie dosyć silny i ofiara pod fachową opieką lekarza sądowego odzyskała życie, a wraz z nim pamięć. Tuż przed atakiem mordercy stała przy kuchennym stole, zwrócona plecami do drzwi. Kiedy drzwi skrzypnęły, odwróciła się — i wtedy została ugodzona w głowę. Na szczęście udało jej się rozpoznać napastnika. Domyśla się pani, kogo Zuzanna zobaczyła z popielniczką w ręce?

— Kogo? — spytała spokojnie Alicja.

Randot parsknął śmiechem.

— Zuzanna jest prostą dziewczyną — mówił dalej. — Jej umysł nie może się równać z pani subtelną inteligencją i godną podziwu bystrością. Przesłuchiwałem ją kilkakrotnie; odpowiadała na pytania niezdarnie, rozwlekle i po prostaku, ale sporo mi wyjaśniła. Łącznie z rezultatem badań w pensjonacie „Cyprys” i biorąc pod uwagę pani cenne zwierzenia, mam już mniej więcej pełny obraz tragicznych zajęć w Bleucamp. Pani uwaga o moich boskich cechach głęboko mnie wzruszyła, panno Cortier, jak również pani solenne zapewnienie, że mówi mi pani prawdę i tylko prawdę. Posunęła się pani w owej prawdomówności tak daleko, że nawet zwierzyła mi się z części swoich myśli i obdarowała porządną porcją aforyzmów. Nie dociekam, czym się pani kierowała: czy chciała mnie pani wypróbować, oszołomić, wywieść w pole, czy miała pani jakieś inne cele. Zastanowimy się nad tym później. W każdym razie powiedziała pani dużo prawdy, udzieliła mi ważnych, logicznych i potwierdzających się informacji. Nie wiem tylko, po co pani to zrobiła, skoro mówiąc p r a w d ę nie wyznała całej prawdy. Stąd w niezwykle misternym łańcuszku brak mi ogniwa. Bez tego małego ogniwa na nic cała delikatna robota. Ale ja je znajdę. Pani mnie jeszcze nie zna, panno Cortier.

— Nic z tego wszystkiego nie zrozumiałam — powiedziała niegrzecznie Alicja.

— Nie szkodzi. Mamy przecież trochę czasu. Mnie się do pana Betacourt nie spieszy. Jestem zwolennikiem działań systematycznych i właściwej chronologii. Od tragicznej nocy w Bleucamp minęły dwa dni. Pani zgłosiła się dzisiaj w tulońskiej prefekturze posłuszna wezwaniu przez radio. Tak, panno Cortier, to nie ulega wątpliwości. Gdy wyszło na jaw, że

policja zna pani nazwisko i pani poszukuje, uprzedziła pani niechybną demaskację i sama nawiązała ze mną kontakt. Byłem pewny, że tak się stanie. Niestety, te dwa dni pani zyskała i dzisiaj nie na wiele by się zdało zarządzenie rewizji.

— Posądza mnie pan o kradzież kosztowności Flory Morissot? — zapytała z nieprzyjemnym skurczem policzków. Pod tym sztucznym grymasem mogła kryć się nadzieja, że przebrnąwszy przez łatwy próg klejnotów i kosztowności trafi na gładszą, bezpieczniejszą drogę. Ale niewykluczone, że działała jedynie na zwłokę.

— Klejnoty Flory Morissot zostały nietknięte — powiedział inspektor. — Co nie zmienia faktu, że uzbrojona w ciężką popielniczkę dokonała pani zamachu na życie Zuzanny.

— Ta dziewczyna kłamie albo ulega halucynacjom! — krzyknęła Alicja. — Na taki zarzut trzeba mieć świadków.

— A jednak walizka Zuzanny została splądrowana!

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Jest pani pewna?

— Tak...

Randot wciągnął nosem powietrze.

— Proszę powiedzieć, co pani czuje w tym pokoju? — zapytał.

— Nieprzyjemny zapach policyjnych donosów.

— To swoją drogą — zgodził się Randot. — Ale co poza tym? Niech pani dobrze wącha.

— Nic nie czuję.

— Nic pani nie czuje. A ja czuję perfumy Coty'ego „Laimant”!

— Bardzo możliwe. Używam tych perfum.

— Nadużywa pani. I dlatego już ich pani nie wyczuwa. Walizka Zuzanny jest przepojona wonią „Laimant” firmy Coty. Tak się właśnie wpada.

— Ależ to bardzo popularny zapach, co druga kobieta go używa.

— Popularny, ale nie wśród wiejskich dziewcząt. Zaniechajmy sprzeczki, moja droga — poprosił dobrotliwie. — Zostało sprawdzone, że Zuzanna używa zwykłej lawendowej wody kolońskiej.

— Zuzanna jest skończoną idiotką.

Inspektor Randot z rozmachem odsunął fotel i jak z procy wystrzelił na środek pokoju. Zaległo milczenie. Wojskowy krok odmierzał upływające minuty. I znowu bardzo stosowne miejsce na dygresję o czasie. Rytmiczna wędrówka inspektora przeciągała się w nieskończoność. Wskazówki na zegarku Alicji pokonywały maleńkie przestrzenie, a cisza rosła do kataklizmu potopu. Kiedy głos inspektora położył kres denerwującemu milczeniu,

wiadomo było, że śledztwo wkroczy na nowe tory.

— Niech mnie pani posłucha, panno Cortier.

Alicja uniosła powieki.

— Czy mogę wziąć jeszcze jednego papierosa?

— Naturalnie, proszę się nie krępować. Według zebranych materiałów — bo my, proszę pani, także potrafimy szybko pracować — Flora Morissot usiłowała kiedyś popełnić samobójstwo — rozpoczął opowieść inspektor. — Jej mąż, chciał ją wtedy rzucić dla bardzo młodej Charlotte Fischer. Panią Morissot uratowano, niewierny małżonek opamiętał się. Minęły cztery lata. Na parę miesięcy przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych Alfred Morrot nawiązał romans z Teresą Fortin, występującą w jednym z paryskich teatrów lżejszego kalibru. Nie mam zbyt dużego doświadczenia jako uwodziciel kobiet, ale wyobrażam sobie, że mężczyzna cieszący się powodzeniem popada niekiedy w tarapaty. Być może Alfred Morrot obiecał małżeństwo i Teresie Fortin, i na przykład Zuzannie Leroux, bo mężczyźni są w tych sprawach pochopni, a pani — dzięki zręcznemu podsłuchowi — utwierdza mnie w tym mniemaniu. Pieniądze się odrzuca, licząc na coś więcej. Propozycję pieniężną uwierzytelnia znaczna suma znaleziona w torbie Florentyny Morissot. Pani zeznania są wprost nieocenione — wtrącił dosyć lekkim tonem. — Przypuszczam, że Flora, powiadomiona przez świekrę o ciąży Zuzanny, przybyła do Bleucamp z zamiarem uciszenia pretensji uwiedzionej przez męża dziewczyny.

— Ohyda. Więc Zuzanna przyznała się, że Morrot ją uwiódł?

— A nie, cóż znowu. Ona do niczego się nie przyznała. Stwierdziła jedynie, że z jej kufra nic nie zginęło. Powiedziała to przy drugim przesłuchaniu, kiedy już czuła się lepiej i mogła sprawdzić.

— A pan twierdzi, że ja splądrowałam walizkę i dokonałam kradzieży...

— O, nie. Walizkę pani splądrowała, owszem, ale kradzież nie doszła do skutku, bo przedmiot, o który pani chodziło, był ukryty gdzie indziej. To ja go znalazłem. Skoro nic z kufra nie zginęło, a zapach dowodził, że warto szukać — zadałem sobie ten trud. Mam od pani większą rutynę i, przyznaję, dysponowałem większą ilością czasu. Dokument, na którym pani tak zależało, był ukryty między dwoma talerzami chińskiego gongu.

— Jaki dokument? — spytała Alicja. Randot roześmiał się.

— Panno Cortier, jest pani w bardzo trudnej sytuacji. Świadczy przeciw pani dużo okoliczności.

— Niczego mi nie udowodniono — odrzekła Alicja i poczuła, że tonie.

— W odpowiednim czasie znajdą się i dowody, znajdą się i świadkowie. Jest pewna dama,

która zezna, że jechała pani pociągiem do z góry oznaczonego celu: do Bleucamp. Drugą fatalną okolicznością jest pani ucieczka z miejsca zbrodni, trzecią: zamach na Zuzannę, czyli fakt, że Zuzanna żyje i oskarża. Tak, tak... Starte odciski palców, zapach pani perfum w rzeczach pokojówki, telefon do zawiadowcy stacji. No i obsesja zbrodni. To wydaje mi się szczególnie dające do myślenia. Rybak z Bleucamp zaświadczy, że nawet w rozmowach z przygodnie spotkanymi ludźmi nie mogła sobie pani odmówić poruszania tego tematu.

Alicja podniosła głos:

— Uważa pan, że jestem zwyrodniałą wariatką? Kubą Rozpruwaczem? To farsa!

— Taką farsę można opłacić życiem, panno Cortier.

— Pan sobie ze mnie kpi.

— Bynajmniej.

— Więc jestem postawiona w stan oskarżenia?

— Nie inaczej.

— A zatem pozbawi mnie pan wolności?

— Cóż robić?

— Dobrze. Będę więc kontynuowała zeznanie w sprawie tragicznej nocy w pensjonacie.

Nie powtórzyłam panu wiernie rozmowy zasłyszanej pod drzwiami Heleny Morissot. Kiedy stara pani powiedziała bagatelizująco: „Nie, to zupełna gęś, tyle że ładna, ale one wszystkie są ładne”, Flora zadała pytanie: „A list?” L i s t , proszę pana. Powiedziała: „A l i s t ?” Może dlatego, że już nic więcej do moich uszu nie dotarło, a może drogą innych skojarzeń albo posłuszna intuicji myślałam ustawicznie o liście, listach, wie pan, za których pomocą nieobecni załatwiają ważne sprawy. Mądrzy nieobecni. Bezpośrednio po usłyszeniu strzępu rozmowy dwóch kobiet poszłam na daleki spacer. Myśl o liście nie opuszczała mnie ani na chwilę. To, że zapytałam przygodnego rybaka o dwie kobiety zamordowane rzekomo w Bleucamp, było już tylko chęcią upewnienia się, że nikt dotychczas nikogo nie zamordował. W nocy wstałam tylko raz i spuściłam żaluzję, by uniknąć rannej spiekoty. Kiedy w kilka godzin później, nie mogąc doczekać się śniadania, wyszłam z pokoju, ujrzałam przez otwarte drzwi martwą Helenę Morissot. Chciałam zaalarmować Florę, następnie Teresę. Nie żyły! Ogarnęło mnie niehumanitarne przerażenie. Postanowiłam sprawdzić, co z Zuzanną? Zuzanna stała przy kuchennym stole, zobaczyłam to przez szparę w drzwiach. Wróciłam na palcach do jadalni i uzbroiłam się w ciężką popielniczkę. One leżały w pokojach pomordowane, a pokojówka stała ż y w a . Panie inspektorze Randot, ja się poczułam zagrożona! Podbiegłam chyłkiem z tyłu — i uderzyłam. Uderzyłam tak, by pozbawić ją przytomności. W tym bezludnym letnisku, w wymarłym domu miałam prawo lękać się

o własne życie.

— Proszę mówić całą prawdę.

— Mówię całą prawdę.

— Cóż potem? — spytał z posępnym spokojem inspektor.

— Potem zdałam sobie sprawę, że jeżeli zatelefonuję na policję i policja nadjedzie, stanę się osobą najbardziej podejrzaną. Ja, jedyna w tej willi żywa i zdrowa. Ja, którą Zuzanna, być może, w ułamku sekundy rozpoznała. Ja, Alicja Cortier, ambitna i nieposzlakowana. W moim umyśle odżyło słowo list. Trwożne pytanie Flory Morissot dotyczące jakiegoś listu. Tajemniczy list mógł wiele wyjaśnić. Za wszelką cenę chciałam zdobyć jakieś dane, by się ratować. Ten list! Mieć koniecznie ten list. Potwierdzić tym listem przypuszczenia.

Alicja urwała. Widać było, że zbiera myśli.

— Proszę mówić całą prawdę — powtórzył inspektor Randot.

— Mówię całą prawdę.

— Słucham więc.

— Snując się po makabrycznych pokojach szukałam listu, tego listu. A szukając trafiłam na coraz to większe niespodzianki. Do walizki Zuzanny zajrzałam znacznie później. Dopiero wtedy, kiedy zaczęłam przypuszczać, że i u Zuzanny kryją się dowody mojej niewinności. Niestety, nie znalazłam ich. Może dlatego, że chiński gong od początku budzi we mnie lęk i złe przecucia. Pan znalazł, bo pan jest realistą.

— Pani też jest realistką. Proszę mówić całą prawdę.

— Mówię całą prawdę. Przeczytałam wyznanie i testament Florentyny Morissot. Przeczytałam list Alfreda Morrot do Teresy Fortin i kartkę Teresy Fortin do Alfreda Morrot. Wyciągnęłam, proszę pana, wnioski. Pomyślałam, że i policja wyciągnie podobne wnioski i da mi święty spokój. Przyjechałam do „Cyprysu” tylko na weekend i Helena Morissot nie dokonała wobec mnie żadnych formalności meldunkowych. Właścicielce pensjonatu przedstawiłam się, mogłam jednak zakładać, że pokojówka nie zna mojego nazwiska, a ściśle mówiąc nie pamięta, bo tylko raz w jej obecności Helena Morissot to nazwisko wymieniła. Postanowiłam uciec. Kto zdoła odszukać mnie w wielkim Paryżu? I po co miałby szukać, skoro sprawa jest jasna. Niedzielny wieczór spędziłam przy radiu. W poniedziałek, to jest dzisiaj, o dwunastej w południe usłyszałam przez radio moje nazwisko. Wtedy opuściłam Paryż. Znalazłszy się w Tulonie, poszłam prosto do prefektury, gdzie pan już na mnie czekał. To wszystko.

— Panno Cortier, proszę powiedzieć całą prawdę!

— Starłam odciski palców ze wszystkich dotykanych przeze mnie przedmiotów, by utrudnić identyfikację. Mogłam przeoczyć jakieś miejsce.

— Przeoczyła pani. Ale to drobiazg. Dlaczego wybrała pani miejscowość Bleucamp i pensjonat „Cyprys”?

— Niech mnie pan nie dręczy. W tym samym wywiadzie, w którym artysta filmowy, Alfred Morrot, zwierzał się czytelniczkom z uczulenia na pomarańcze, była wzmianka o Bleucamp. Ten spryciarz przy sposobności reklamował pensjonat swojej matki. „Lato spędzam w uroczym, przytulnym pensjonacie «Cyprys» w Bleucamp pod Tulonem — cytowała Alicja sztucznie kabotyńskim głosem. — Na malowniczej plaży odpoczywam od gwaru miasta, zdobywając nowe siły do wytężonej pracy”. Coś w tym rodzaju, proszę pana. Zbyt humorystyczne, żeby nie zapamiętać, prawda? Toteż zapamiętałam i kiedy po załatwieniu spraw służbowych w Tulonie zostało mi trochę czasu na odpoczynek, kiedy zamarzył mi się weekend, stanął mi przed oczyma ów „przytulny, uroczy pensjonat «Cyprys»,„. Strasznie to głupie. Wydało mi się za głupie, żeby się tym chwalić w zeznaniach. I dlatego powiedziałam na początku, że jadąc pociągiem nie byłam zdecydowana, gdzie wysiądę. Pan mi to poczytał za okoliczność obciążającą i słusznie, bo kobieta w cynamonowym kostiumie pospieszyła już widać z informacją. Istotnie powiedziałam jej, że wysiadam w Bleucamp. Dopiero teraz przypominam sobie, że powiedziałam, Boże, jak z każdym słowem trzeba się liczyć. W każdej chwili dzieją się rzeczy...

— Jeżeli to ma być aforyzm, to dziękuję. Kogo pani zobaczyła, spuszczać nad ranem żaluzje?

— Pokojówkę Zuzannę — powiedziała z wolna Alicja. — Pan już wszystko wie.

— To się okaże. Oceniam wynik śledztwa jako mój wielki sukces. Dawno nie udało mi się rozgryźć tak interesującej zagadki. Więcej: tak charakterystycznej dla naszej epoki, panno Cortier.

Ich spojrzenia spotkały się przelotnie: Alicji niespokojne, inspektora przymglone tajemniczą ironią.

— Mój pomocnik, porucznik Blace — ciągnął dalej — jest zafascynowany pani osobą. „Chciałbym ją kiedyś zobaczyć” — powiedział. — „Podejrzewam tę młodą francuską dziewczynę o morderstwo bez motywów, bo znam trochę filozofię tego pokolenia. Nie wszyscy postawili na praworządność. Wśród nudy szukają silnych wrażeń”. I jeszcze zastanawiał się, do kogo panią porównać: do Raskolnikowa, Lafcadia czy do lady Makbet? Ale pani nie jest żadną z tych postaci, panno Cortier. Blace się pomylił. Pozwoli pani, że zadam jeszcze kilka ważnych pytań?

— Proszę — zgodziła się czysto formalnie Alicja.

— Pierwsze pytanie: kto udusił Helenę Morissot?

— Teresa Fortin — odrzekła Alicja.

— Tak jest. Obdukcja stwierdziła zgon Heleny Morissot między godziną dziesiątą i jedenastą wieczorem. Po incydencie przy kolacji właścicielka pensjonatu kazała Teresie Fortin pójść do swego, to jest Teresy Fortin, pokoju i czekać. Rozmowa z niedoszlą teściową musiała być nader nieprzyjemna. Kiedy stara dama wróciła do siebie i położyła się, histeryczna, nieobliczalna Teresa w akcie rozpaczy weszła do jej pokoju i zacisnęła chustę na starczej szyi. Okoliczności obciążające: list do Alfreda Morrot, montujący alibi. Udawanie głębokiego snu, snu ludzi sprawiedliwych, w chwili gdy do jej pokoju wszedł morderca z brzytwą w dłoni. Dowody rzeczowe: jeden mały czerwony koralik, znaleziony przeze mnie w kącie pokoju Heleny Morissot.

Następne pytanie, panno Cortier. Kto podciął gardło Teresie Fortin?

— Flora Morissot.

— Tak. Pokój Florentyny Morissot jest jednym z najlepszych pokoi pensjonatu. Tutaj mieszkał też w czasie swego ostatniego pobytu w Bleucamp Alfred Morrot i tutaj zostawił przez zapomnienie brzytwę. Tą brzytwą Florentyna Morissot zabiła kochankę męża, po czym przyznała się do winy, zadysponowała majątkiem i popełniła samobójstwo. Sekcja stwierdziła zażycie dwudziestu pastylek luminalu; jest to dawka śmiertelna. Moje trzecie pytanie: kto ugodził Florentynę Morissot kryształowym pucharem w głowę?

— Pokojówka Zuzanna.

— Tak, właśnie tak: Florentynę Morissot chciała zabić Zuzanna Leroux. A stało się to według opinii medycyny sądowej nad ranem, między godziną piątą i szóstą. Około dwunastej każdego dnia Zuzanna zanosila swej pani ziółka, bez nich sędziwa Helena Morissot nie mogła zasnąć. I tej soboty, mimo niedyspozycji, Zuzanna wstała z łóżka i zaparzyła zioła. Kiedy wniosła je do pokoju chlebobawczyni, skonstatowała bez trudu, że Helena Morissot nie żyje. Uspokoiwszy się po chwilowym wstrząsie, przypomniała sobie zapewne pani słowa, panno Cortier, dotyczące morderstwa w Bleucamp. W praktycznym mózgu zakiełkowała myśl, na razie wątła, ale już ponętna. W jej wyniku Zuzanna nie zaalarmowała domu, postawiła na nocnym stoliku szklankę z kwiatem lipowym i chyłkiem zeszła na dół. Tam przez kilka godzin obmyślała swój plan, pomna na ukryty w chińskim gongu list Alfreda Morrot, w którym zapewniał ją o miłości i pisał, że jego żona jest potworem, stojącym na przeszkodzie pięknej przyszłości dwojga kochanków. Decyzja dojrzewała z godziny na godzinę — o świcie wydała owoce. Zawartość popielniczki, znaleziona w kuchennym

wiadrze, podsunęła mi to przypuszczenie. Zastosowałem metodę śledczą, która już wiele razy przyniosła pożądane rezultaty mnie i moim kolegom. Znałem tylko przyczynę śmierci Teresy Fortin, i dlatego po ocuceniu Zuzanny powiedziałem: Teresa Fortin została zamordowana. Zuzanna krzyknęła: „To ta Cortier w s z y s t k i c h wymordowała”. Zdołem pierwsze nieogłędne słówko „wszystkich”. W następnym przesłuchaniu powiadomiłem Zuzannę o samobójstwie młodszej pani Morissot i o zostawionym testamencie. Wówczas pewność siebie prymitywnej dziewczyny wzrosła tak dalece, iż wyznała mi w przyływie szczerości, iż widziała panią, panno Cortier, nad ranem w oknie pani pokoju. Chciałem naturalnie wiedzieć, z jakiego miejsca poczyniła tę obserwację. Wtedy stropiła się i powiedziała, że wyszła na dziedziniec odetchnąć świeżym powietrzem. Sądzę, że pokojówka Leroux, uderzywszy Florę Morissot w skroń kryształową popielnicą — otworzyła okno, mając na względzie mordującego kobiety włóczkę i późniejsze śledztwo. Teresa Fortin wczesnym wieczorem po zabójstwie Heleny Morissot nie otworzyła okna; liczyła się z bliskim sąsiedztwem Flory. Zrobiła to dopiero Zuzanna nad ranem, uświadomiwszy sobie różnicę w czasie zgonu dwóch pań Morissot. Ewentualnemu zabójcy właścicielki pensjonatu teraz dopiero stworzyła możliwość dostania się do wnętrza domu. Stojąc przez moment w odemkniętym oknie ujrzała naprzeciw panią, panno Cortier. Z tej odległości przy mglistym brzasku nie myślała, by ją pani mogła rozpoznać. Szybko zbiegła z pierwszego piętra. Bojąc się najmniejszego choćby hałasu, nie zamknęła za sobą drzwi. Puszysty chodnik tłumiał odgłos kroków. Oto historia Zuzanny Leroux. Wiele okoliczności obciążających i główny dowód rzeczowy, odsłaniający motyw zbrodni, znaleziony przez sprytnego inspektora policji w chińskim gongu.

Zapanowało brzemienne w skutki milczenie. Przerwał je inspektor Randot.

— Sytuacja dojrzała do następnego pytania.

Alicja siedziała sztywno. Randot powiedział:

— Panno Cortier, przeprowadziłem skrupulatne śledztwo, korzystając ze wszystkich udogodnień aparatu policyjnego, opierając się na doświadczeniu i mając do dyspozycji kilkadziesiąt godzin. Jakim sposobem pani, chwilowa pensjonariuszka willi „Cyprys”, sekretarka w przedsiębiorstwie „E. Betacourt — Transport — ląd — morze”, ogarnięta rzekomą paniką, zdołała tak bezbłędnie rozszyfrować wypadki?

— Na podstawie znajomości mężczyzn i kobiet — odrzekła nierozsądnie Alicja Cortier.

— Bzdura! — krzyknął pierwszy raz tego dnia Randot. — Bzdura — powtórzył ciszej i spokojniej. — Proszę mi natychmiast oddać skradziony dokument, bo w przeciwnym razie każę panią aresztować.

Alicja bez słowa otworzyła dużą skórzaną torbę i wyjęła z niej kopertę, zaadresowaną



pochyłym, zygzakowatym pismem. Widniał na niej adres: *Pani Flora Morissot, Paryż, Ludwika Filipa 7*. Po chwili inspektor czytał:

*„Moja kochana Floro.*

*Dostałam list od Alfreda, pisany już z Paryża. Od lat przyzwyczaiłam się do wariackiej, utrzymanej w stylu telegraficznym korespondencji mojego syna, tym razem jednak przebrał miarę. Dotknął mnie do żywego i zdumiał. A poza tym przeliczył się. Chyba stracił pamięć albo zwariował. Wiesz dobrze, że Alfred zmuszał mnie często do osłaniania jego romantycznych przygód, czy jak tam wy te sprawy nazywacie... Ulegałam jako zaślepiona matka, a także jako stara kobieta, całkowicie zależna finansowo od syna. Powiada, że zbudował mi pałac niczym kasztelance i obsypał wszelakim dobrem, jakbym to nie ja pracowała ciężko przez cały sezon. A potem siedz, człowieku, na tym odludziu w pustym domu i czekaj na jego, za przeproszeniem, lafiryndy. W zeszłym roku powiedziałam: koniec. Cztery miesiące pod jednym dachem z Mulatką, znającą pięć słów po francusku. Straszne, nie do zniesienia. Wierz mi, że przeżyłam wtedy ciężkie chwile pod wieloma względami. Myślałam, że oszaleję. To nie był człowiek, to była dzika kotka, złośliwy i nieobliczalny zwierzak, z którym kazano mnie, starej kobiecie, borykać się przez tyle miesięcy. I co za wstyd, kiedy Ty, Floro, przyjechałaś i wszystko wyszło na jaw. Przysięgłam Ci wtedy, a potem jemu, że to ostatni raz. Koniec. Z jakiej racji mam być nieojalna wobec kobiety, która jest prawowitą żoną i w dodatku swoim majątkiem i stosunkami umożliwiła chłopcu karierę. Nie śmiej się, dla mnie to ciągle chłopiec, niedorosły smarkacz, chociaż wiem przecież, że na jesieni skończy czterdzieści pięć lat. Powiedz, moja Droga, co te baby w nim widzą? Przecież łysieje już, zaczyna tyć i wcale nie ma dobrego serca. Co innego Ty i ja. Ja kocham go jako matka, a Ty przez dwadzieścia lat musiałaś się wszakże przywiązać. Jesteś od niego o parę lat starsza i Opatrzność odmówiła Ci dzieci.*

*Ukrywając miłości Alfreda, wierzyłam, że są to sprawy uboczne, zwykłe męskie głupstwa bez większego znaczenia dla Waszego małżeństwa. Z konieczności, a może i z tchórzostwa, współdziałałam z nim, mając jednak głębokie przekonanie, że Wasze małżeństwo nigdy nie ulegnie rozbiciu. Twoja decyzja odmawiania Alfredowi rozwodu pozwalała mi spać spokojnie. Rozumiałam doniosłe znaczenie tego hamulca. Aż tu otrzymuję ten nieszczęsny list. Doprawdy, gubię się w domysłach. Czy zaszły między Wami jakieś zmiany? Co to jest, co to wszystko*

znaczy? Alfred zawiadamia mnie o przyjeździe do „Cyprysu” niejkiej panny Teresy Fortin, baletnicy, z którą w niedługim czasie zamierza się ożenić. Tak: ożenić. Krótko i węzłowato, bez żadnych wyjaśnień. Twój mąż dobrze wie, że po aferze z popielatą Balbiną przysięgłam Ci lojalność. Więc co sobie wyobraża? Na co liczy? Chyba że zmieniłaś postanowienie i odchodzisz od niego. Dziwne by to było, moja Floro, od dwudziestu lat znam Twój nieugięty charakter i Twoją bezwzględność, tak zresztą korzystną dla kariery i całego życia Alfreda. Znam również Twoją impulsywność. Kiedyż to było? Trzy albo cztery lata temu, wybaczone, że przypominam. Ledwo Cię wtedy odratowano. Odbierałaś sobie życie z powodu jakiejś osiemnastolatki, jakiejś Loli Fischer, z którą ten lekkoduch chciał się ponoć żenić. Chwała Bogu, nic z tą sprawą nie miałam wspólnego. Alfred dotychczas zwał mi na głowę tylko osóbkę lekkiej konduity, bez szans na małżeństwo. Sama już nie wiem, czy to obelga, czy pociecha. I nagle ta Teresa Fortin. Kochana Floro, ona ma tu być najpóźniej w sobotę, a on życzy sobie, żeby została przez dwa tygodnie. Jest rzekomo przepracowana, ma nerwy w złym stanie. Moim zdaniem powinnaś przyjechać, stanowczo powinnaś przyjechać, bo kiedy mężczyzna zaczyna się starzeć, to nigdy nic nie wiadomo. Napisał w liście: «Życie jest piękne, kochana mateczko». Bardzo się przestraszyłam. Powinnaś tę kobietę poznać. Trzeba coś zaradzić, tylko błagam Cię, panuj nad nerwami. W każdym razie pamiętaj, że Ci o wszystkim doniosłam, że nic za Twymi plecami nie knuję, że zawsze stanę po Twojej stronie. On chyba postradał zmysły, przypuszczając, że będę milczała?! Czemuż nie mam większego wpływu na tego kochliwego balamuta? Czemu nigdy nic sobie ze mnie nie robił? Czemu los skazał mnie na to niespokojne i ciężkie życie?

Moje zdrowie nie przedstawia się najlepiej. Starość coraz bardziej mi dolega: źle śpiam i jestem ogromnie słaba. W okresie gdy pensjonat stoi pustką, trzymam jedną tylko dziewczynę. Utrzymanie w całym domu, choćby i nie zamieszkanym, jako takiego porządku to nie lada zadanie. Obie mamy roboty pod dostatkiem.

Strasznie Cię przepraszam, moja Droga, ale przy sposobności mam do Ciebie prośbę. Niemila historia, ale nie denerwuj się, w gruncie rzeczy nic wielkiego. Chodzi właśnie o tę Zuzannę, pokojówkę, która służy w „Cyprysie” bez przerwy od zeszłego sezonu. Ma dziewiętnaście lat i jest wyjątkowo ładna. Ładne pokojówki są zaletą pensjonatu, nie ma na to rady. Alfred przed wyjazdem do Ameryki wpadł do mnie na kilka dni. Wtedy to... Ach, Boże, kto zna Alfreda — ten już wie wszystko,

*moja Floro. Tutejsze wiejskie dziewczyny nie cenią sobie zbyt wysoko cnoty, więc nie przejmuj się, drogie Dziecko, i nie miej do mnie żalu, że nie umiałam dopatrzeć, przypilnować. No, ale jak tu pilnować? Sama powiedz, jak pilnować dorosłego mężczyznę w pustym domu? Przykro mi, że Ci zawracam głowę jeszcze i tym kłopotem, ale widzisz, chodziloby o trochę pieniędzy, o jakąś okrągłą sumkę, która — mam nadzieję — nie zrobi Ci różnicy. Bo ja jestem bez grosza. Alfred za ostatniej bytności zabrał cały dochód z pensjonatu, właściwie pożyczył, na jedno wychodzi, bo i tak nigdy nie odda. Ja się nie skarżę, niech Bóg broni, mam we wsi nieograniczony kredyt, a w sezonie znowu coś się zarobi. Myślę jednak o tej dziewczynie, o Zuzannie. To bardzo dobre dziecko. Nigdzie nie chodzi, z nikim się nie zadaje, a z pewnych objawów wnoszę, że jest w ciąży. Ciągłe tylko mówię o Alfredzie, sprawa jest dla mnie jasna... Zdaje się, że dostała od niego jakiś list, mój Boże, biedactwo. Kochana Floro, to jest sierota, wiejska dziewczyna, pieniądze mają dla niej duże znaczenie. Mam nadzieję, że wszystko da się załatwić bez rozgłosu i bez komplikacji. Nie pierwszy to raz przecież i oby ostatni. Taka już jestem zmęczona.*

*W Bleucamp zrobiło się pięknie, zielono i pogodnie. Wkrótce pojawią się goście i dom będzie tętnił życiem. Wybacz starej, że się tak rozpisałam. Może cały alarm z tą Teresą Fortin okaże się niepotrzebny, może to po prostu głupi żart Alfreda? Może to jednak żart, bo gdyby to jeszcze była jakaś Amerykanka, którą sobie przywiózł z podróży, wyglądałoby prawdopodobniej. Ale Fortin? Teresa Fortin, tancerka z Paryża, o której nic nie wspominał przed wyjazdem i teraz raptem chce się żenić? Nie do wiary. Bądź dobrej myśli, droga Floro, ściskam Cię i stokrotnie za wszystko przepraszam.*

*Helena Morissot”.*

Inspektor Randot złożył starannie list i zamyślił się. Tym razem Alicja przerwała ciszę: — Ten dokument, ten cenny dokument — powtórzyła — tkwił również między kartkami *Listów panny de Lespinasse*. To na jego podstawie rozszyfrowałam zawily dramaty w pensjonacie „Cyprys”, na jego podstawie zdobyłam więcej informacji niż pan, inspektorze Randot, bo dowiedziałam się, kto reżyserował tę koszmarną noc z soboty na niedzielę w Bleucamp. Kto, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności wobec prawa, uzyskał wygodną swobodę, kto za pomocą pomysłowej korespondencji skonfrontował żonę z dwiema kochankami i z dala od podminowanej fortecy czekał na zwycięską eksplozję, żeby na

pobojowisku uwić gniazdko z amerykańskim dziewczęciem. Ten człowiek nie był jak zgłębił naturę otaczających go kobiet. Przycisnął guzik i wśród ogłuszającej muzyki obietnic zagrzał do czynu uciążliwe damy. Plony zebrał nadspodziewanie obfite. Już jeden trup nieźle by mu załatwił sprawę, rzucając na pozostałe osoby odium przestępstwa. Ale jak komu idzie, to już idzie... Och, ale jednak przeliczył się, jednak się przeliczył. Nie myślał chyba, że w tej zabawie straci również matkę!...

Inspektor Randot uczynił za biurkiem gwałtowny ruch, poprzedzający zazwyczaj jego wypad na środek pokoju. Zapanował jednak nad chętką, bo ostatecznie cóż było celem jego wędrówek po gabinecie? Potrzeba zebrania myśli. Wszystkie potrzebne myśli były już zebrane.

— A jednak to pani przyczyniła się do śmierci tych kobiet. Zbrodnia często wisi na włosku, ale nie zawsze ten włos się urywa. Swoją nieodpowiedzialną wzmianką o zamordowanych w Bleucamp kobietach podziałała pani na wyobraźnię mieszkanek pensjonatu.

— Wiem o tym — powiedziała Alicja. — Wiem o tym, ale przecież działałam nieświadomie.

— Czy zdarzenia zachodzą bez psychologicznego uzasadnienia — zacytował smutno jej aforyzm.

— Inspektorze Randot, niech pan zamilknie!

Ale inspektor Randot nie chciał milczeć. Pragnął powiadomić Alicję o swoim prawdziwym triumfie w tym śledztwie. O zwycięstwie godnym nie policjanta, lecz psychologa — mimo że tak często podkreślał, iż na kobietach zna się mało.

— Mówiła pani w pensjonacie „Cyprys” o zbrodni, bo spotkane tam kobiety wzbudziły w pani niechęć, zrozumiały niechęć, być może niezupełnie uświadomioną i tak wstydliwą, że nikt się do niej jawnie nie przyznaje. Pochopnie, intencjonalnie nabiła sobie pani głowę plotką o morderstwie — bo śmierć jednych jest szansą dla drugich. Taki to już ten świat, panno Cortier. Wobec prawa jest pani w porządku. Oczytany porucznik Blace chętnie zobaczyłby w pani współczesną lady Makbet czy jakąś inną postać z literatury. A tymczasem jest pani tylko banalną młodą dziewczyną, która od dawna kocha się beznadziejnie w sławnym gwiazdorze filmowym, depta mu po piętach, stąpa jego śladami, odwiedza miejsca związane z jego osobą. Jest pani sentymentalnym dziewczęciem, zbierającym po pensjonarsku dane o swym ideale, łącznie z epokowymi zwierzeniami na temat uczulenia na pomarańcze. Skromna urzędniczka firmy „E. Betacourt — Transport — ląd — morze”, zakochana bez pamięci, bez powodzenia, bez widoków na przyszłość! Ale wytrwałość bywa nagradzana.

W tragicznie opustoszałym domu znalazła pani wreszcie swój nieodparty atut: list Heleny Morissot do synowej. Ów list, który w świetle zbrodniczo wyreżyserowanej katastrofy istotnie może skompromitować Alfreda Morrot. Z narażeniem wolności postanowiła pani zachować dokument dla siebie, albowiem za tę cenę dałoby się pewnie zdobyć — Randot spuścił oczy — serce Alfreda Morrot.

— Jest pan okrutny.

— Zasłużyła pani na to. Alicja spojrzała na zegarek:

— Za dwadzieścia pięć minut odchodzi pociąg do Paryża — zauważyła tonem roztropnej sekretarki.

— Zdąży pani — odrzekł Randot.

Przesłuchanie było skończone. Cenny list leżał na biurku inspektora policji.

*Maurice S. Andrews*  
*(Andrzej Szczypiorski)*

**POD SZLACHETNYM KONIEM**

Była dokładnie godzina piąta po południu, gdy zaterkotał telefon. Sierżant Kleff pamięta dobrze tę chwilę, gdyż właśnie nastawiał swój srebrny, gruby zegarek według chronometru na stole. Niechętnie podniósł słuchawkę i wypowiedział tyle razy w ciągu dnia powtarzaną formułkę:

— Posterunek policji rzecznej. Sierżant Kleff. Słucham! — Na jego twarzy malował się wyraz znudzenia i rozleniwienia.

Sierżant Kleff miał stanowczo powody, aby czuć się zawiedzionym w swych ambicjach. Kiedy podnosił słuchawkę, pomyślał, że znowu jakiś miejscowy mruk zgubił portfel z dokumentami albo niefortunny automobilista przejechał pasącego się na szosie barana.

I właśnie w tym momencie usłyszał w słuchawce spokojny, zrównoważony męski głos:

— Chciałem pana zawiadomić, że w pensjonacie „Pod Szlachetnym Koniem” popełniono morderstwo!

Sierżant Kleff miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Ale natychmiast przyszło mu na myśl, że byłoby to sprzeczne z jego urzędową godnością. Więc rzekł z naciskiem:

— Tylko bez głupich kawałów!

— Ani mi w głowie kawały — odparł spokojny męski głos. — Niech pan się pofatyguje do pensjonatu „Pod Szlachetnym Koniem”, tam przekona się pan, że w holu leży najprawdziwszy trup.

Sierżant Kleff przełknął ślinę.

— Proszę podać szczegóły — oświadczył wzburzony.

— Nie mam czasu na szczegóły — odparł głos. — Nie płacą mi za to. Niech pan się ruszy z tego przeklętego posterunku i zjawi tutaj.

— Skąd pan telefonuje? — zapytał Kleff.

— Ależ pan niedomyślny — powiedział głos. — Przecież w całej okolicy są tylko dwa aparaty telefoniczne: pański i ten, z którego rozmawiam. Jestem oczywiście w pensjonacie „Pod Szlachetnym Koniem”. Stoję sobie w holu i patrzę na tego biednego nieboszczyka.

W głosie dźwięczała nuta ironii.

— Pana nazwisko! — zawołał zdenerwowany sierżant.

Odpowiedział mu cichy śmiech.

— Niech pan nie wymaga od mordercy, aby się przedstawił!

Sierżant usłyszał cichy stuk.

— Halo! — zawołał. — Halo!

Milczenie. Uderzył w widełki z irytacją. Wreszcie zrozumiał, że rozmówca odwiesił słuchawkę.

— Morderstwo — rzekł do siebie sierżant Kleff. — Prawdziwe morderstwo.

Otarł pot z czoła i nagle ogarnęło go przerażenie.

Rozmawiałem z mordercą — pomyślał sierżant Kleff. — Teraz muszę go odkryć, zdemaskować i oddać w ręce sprawiedliwości. Jeżeli mi się to nie uda, wylecę jak z procy na zieloną trawkę. Cały świat dowie się, że sierżant Kleff jest osłem, który gawędził telefonicznie z mordercą, a potem pozwolił mu uciec w nieznanym kierunku.

Czuł, jak gorycz przepelnia mu serce. Ale był angielskim policjantem, a jak wiadomo angielski policjant ma szczególnie silne poczucie obowiązku. Więc z największą niechęcią wstał, poprawił pas, sprawdził pistolet, z którego od wielu lat nie oddał żadnego strzału, i ruszył do pensjonatu „Pod Szlachetnym Koniem”.

Kiedy zbliżył się do okazałego budynku, zobaczył na tarasie kilka osób, które oczekiwały go z widocznym napięciem. Sierżant Kleff grzecznie zasalutował, jak mają w zwyczaju dobrze wychowani policjanci na Wyspach, i powiedział:

— O godzinie piątej odebrałem dość niezwykły telefon!

Kleff był bystrym człowiekiem, więc natychmiast obliczył, że na ganku zgromadziło się siedem osób, w tym trzy kobiety i czterech mężczyzn. Wszyscy robili wrażenie załęcznionych, podenerwowanych i Kleff odczuł, iż do jego przybycia przywiązują ogromną wagę.

Jeden z mężczyzn, starszy siwy pan, ubrany w kostium do gry w golfa, wysunął się o krok naprzód i powiedział:

— Telefon? Nic o tym nie wiedziałem. Popelniono morderstwo. Ale czy ktoś z państwa zdążył już zawiadomić policję?

Ostatnie zdanie skierowane było do sześciu osób zgromadzonych na ganku. Wszyscy żywo zaprotestowali, a jedna z pań, ładna szatynka o żywych oczach i smagłej cerze, zawołała:

— To przecież nieważne. Jak to dobrze, że pan się tutaj zjawił, sierżancie!

Sierżant wcale nie był tego zdania, ale zachował należną powagę.

— A więc popelniono morderstwo? — powiedział z godnością i odrobiną ubolewania.

— Tak jest — odparł pan w golfowym kostiumie i uczynił gest, jakby zapraszał sierżanta do holu. Kleff przeszedł więc między zgromadzonymi na ganku osobami i przekroczył próg pensjonatu. Jego oczom przedstawił się straszny widok. Na samym środku obszernego holu, na marmurowej posadzce leżały zwłoki mężczyzny.

— Proszę, aby nikt nie opuszczał tego domu! — zawołał sierżant Kleff i ukląkł przy zwłokach.

Zamordowany był mężczyzną lat około trzydziestu. Za życia musiał się odznaczać wyjątkową siłą fizyczną. Był świetnie zbudowany, zwały, wysoki. Miał sympatyczną



twarz, ogorzała od słońca i wiatru, jasne włosy, duże dłonie i muskularne ramiona. W jego piersi tkwił wielki nóż, wbity prosto w serce.

— To straszne — sierżant usłyszał za sobą szept. Odwrócił się i zobaczył pana w kostiumie golfowym, który wszedł tutaj i patrzył teraz jak zahipnotyzowany w twarz zamordowanego.

Mój Boże — pomyślał sierżant Kleff. — Dlaczego nie miałem właśnie dzisiaj wolnego dnia!

W gruncie rzeczy nie wiedział, od czego w ogóle zacząć. Przyszło mu jednak do głowy, że podobnie jak w sprawach o przejechanie barana na szosie, trzeba przecież ustalić, skąd pochodził baran i kim są wszystkie zainteresowane osoby. Ta myśl napełnia go otuchą.

— Kto to jest? — zapytał surowo i wskazał palcem na zwłoki.

— Panie sierżancie, czy Jim naprawdę nie żyje? — zapytała najmłodsza z obecnych pań.

— Naprawdę, droga pani — odparł sierżant Kleff i ta właśnie pewność znowu napełniła go zupełnie nie uzasadnioną nadzieją, że jednak zwyciężą wyrafinowanego mordercę.

Pan w kostiumie golfowym rzekł:

— To jest Jim Harlow. Mój nieodżałowany przyjaciel, Jim Harlow.

— Aha — powiedział inteligentnie sierżant Kleff i wyciągnął gruby notes. Wstał wreszcie z klęczek, obrzucił surowym spojrzeniem zebranych i oświadczył:

— Chciałbym bliżej poznać wszystkich obecnych. Ładna szatynka o żywych oczach i smagłej twarzy oblała się rumieńcem. Nie uszło to uwagi sierżanta Kleffa. W ogóle czuł się coraz lepiej. Okazało się, że trup z nożem wbitym w serce nie jest wcale tak bardzo zagadkowy. Bądź co bądź nazywał się Jim Harlow i był nieodżałowanym przyjacielem pana w golfowym kostiumie. Po kwadransie sierżant Kleff wiedział już o wiele więcej. W chwili dokonania morderstwa w pensjonacie „Pod Szlachetnym Koniem” znajdowało się osiem osób. Byli to — Jim Harlow, nieszczęsna ofiara mordercy, lord Griffin, miłośnik gry w golfa i przyjaciel denata, panna Viola Benson, ładna szatynka o żywych oczach i smagłej twarzy, która oblała się rumieńcem na propozycję sierżanta w sprawie bliższego poznania, pan Archibald Moss, multimilioner z Columbus, Ohio, USA; jego żona pani Patrycja Moss z Columbus, Ohio, USA; panna Howard, osoba nad wyraz szczupła, w licznej biżuterii i beżowej sukni, właścicielka pensjonatu „Pod Szlachetnym Koniem”; pan Biaggi, Sycylijczyk, który nie potrafił powiedzieć o sobie nic więcej ponad to, że kocha słońce, wino, śpiew oraz rącze konie, i wreszcie pan Thomas Sinclair, zamożny przedsiębiorca z Londynu, rozwiedziony niedawno, ojciec ślicznych trzech dziewcząt, które mu jednak nie towarzyszyły w podróży wypoczynkowej.

Tak więc notes sierżanta Kleffa zawierał już okazały materiał do przemyśleń. Nieco gorzej było z możliwościami jego własnej głowy.

Sierżant chciał się skupić, a przecież w tym zimnym, mrocznym holu w bliskiej obecności trupa — było to raczej niewykonalne. Poprosił więc grzecznie pannę Howard o wskazanie mu zacisznego kącika, gdzie mógłby przeanalizować całość zebranego materiału.

— Ależ proszę! — zawołała panna Howard, której głos każdemu przywodził na myśl własne złe dzieciństwo, tak był podobny do głosu wszystkich guwernantek świata. — Ze chce pan przejść do naszej biblioteki. — I wskazała mu drzwi wiodące do ładnego pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Kleff raz jeszcze z naciskiem powtórzył, że nikt nie ma prawa opuścić pensjonatu i dotykać czegokolwiek w holu, wszedł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi.

W ogrodzie zapadł już zmierzch. Ściany pokoju zastawione były ciężkimi, wypchanymi książkami szafami bibliotecznymi.

Ładnie tu — pomyślał Kleff i zagłębił się w wygodnym fotelu. Na kolanach położył notes i zaczął myśleć. Ale przychodziło mu to z trudem. Jakieś dziwne szmery rozlegały się wokoło. Nie mógł określić ich źródła. Przewracał kartki notesu, ale w pewnej chwili strach zmroził mu krew w żyłach. Oto szelest kartek dolatywał jego uszu nawet wówczas, gdy własny notes trzymał nieruchomo tuż przy twarzy, starając się w mroku odczytać niewyraźnie zapisane notatki.

— Nie jestem sam — mruknął, siląc się na spokój, i rozejrzał się bacznie po pokoju.

— Oczywiście, że nie jest pan sam — odparł cichy głos, gdzieś z boku. — Zawsze jestem z panem.

— Nie wierzę w duchy — powiedział sierżant Kleff, choć nie było to zupełnie zgodne z prawdą. — A więc chyba zasnąłem. Kim pan jest, u diabła?!

— Żal mi pana, zacny człowieku — dobiegł go głos i nagle z mroku wynurzyła się dziwna postać. — Dlatego gotowy jestem służyć panu pomocą!

Sierżant Kleff przyjrzał się stojącemu przed nim mężczyźnie. W tej postaci było coś znajomego. Dałby sobie rękę uciąć, że już gdzieś się z nim zetknął. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć okoliczności.

— Kim pan jest? — powtórzył zdjęty nagłym szacunkiem i niepokojem.

— Moje nazwisko Dupin — odparł przybyły.

— Dupin — powtórzył sierżant Kleff niemal w olśnieniu. — Nieba mi pana zsyłają.

— Otóż to — odparł pan Dupin. — Otóż to! A więc — mówił pan Dupin siadając w wygodnym fotelu i wpatrując się w przeciwległą ścianę. — W pana duszy panuje

rozgardiasz! Napotkał pan zagadkę, której niepodobna rozwiązać bez skrupulatnej analizy wszystkich szczegółów. Gotowy jestem użyć panu mojej pomocy.

— Panie Dupin! — zawołał sierżant Kleff, ciągle jeszcze pozostając pod wrażeniem szczęścia, jakie go spotkało. — Błagam pana o ratunek. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Gdyby zechciał pan pofatygować się ze mną do holu...

— W jakim celu — rzekł pan Dupin i przymknął oczy, znużony. — W jakim celu, zacny przyjacielu?! Mniema pan, że widok ciała tak okrutnie doświadczonego przez los, iż widok młodego organizmu, którego nic rozwoju przerwał, a raczej przeciął nóż umieszczony w dłoniach bestii, ułatwi mi rozwiązanie węzła tej tajemnicy?

— Myślałem — rzekł Kleff — że chce mi pan pomóc?

— Otóż to — oświadczył pan Dupin i znowu otworzył oczy. — Ale aby tego dokonać, nie muszę wcale ruszać się z tego wygodnego fotela.

Sierżant Kleff stał oniemiały i coraz mniej pojmował. Ale pan Dupin nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Mówił tonem jednostajnym, nieco ochrypłym. Jego postać w tabaczkowym surducie niewyraźnie rysowała się w mroku. Mówiąc, od czasu do czasu unosił delikatną, szczupłą dłoń i gładził nią siwiejące bokobrody.

— Gospoda, a raczej zajazd przydrożny zwie się „Pod Szlachetnym Koniem” — mówił pan Dupin, a piękny pierścień, jaki nosił na serdecznym palcu, błyskał olśniewająco w promieniach jesiennego słońca. — W zajęzdzie zebrali się przeróżni ludzie, w liczbie ośmiorga. Jeden człowiek został zamordowany wbiciem noża w serce. Z czymże kojarzy się panu nóż, przyjacielu?

Pan Dupin spojrział z uwagą w oczy sierżanta Kleffa.

— Nóż — powtórzył niepewnie Kleff. — Nóż kojarzy mi się... Przerwał, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Śmiało, przyjacielu — rzekł pan Dupin. — Skojarzenia są najprostszą drogą do zgłębienia tajemnicy zbrodni. Otóż to! Zechce pan nakryć moje nogi ciepłym pledem.

Kleff natychmiast spełnił prośbę rozmówcy. Pan Dupin wzdrygnął się nieco, gdyż chłód przenikał do wnętrza pokoju, i mówił dalej:

— Tak więc mamy nóż. Tym właśnie nożem...

— Pragnąłbym dodać — wtrącił Kleff — że na nożu nie ma żadnych odcisków palców.

— He! — rzekł pan Dupin. — Czegóż to nie ma?

— Odcisków palców — powtórzył Kleff.

— Niepodobna, by palec ludzki pozostawiał na drzewie, z którego sporządzono rękojeść narzędzia zbrodni, jakkolwiek odcisk.

— Ależ — usiłował oponować Kleff — przecież odciski stanowią w grupie dowodów materialnych...

— Dość! — przerwał surowo pan Dupin. Jego szpakowate bokobrody drżały, zdradzając zniecierpliwienie i niesmak, a wspaniałe pierścienie rzucały złowróżbne błyski. — Dość! — powtórzył. — O jakichże dowodach materialnych pan mówisz?! Zbrodnia jest domeną ducha. Zechciej pan wysłuchać mnie wreszcie, a podziękujesz za rozwikłanie tych splotów namiętności, jakie sprowadziły na Jima Harlowa tak marny koniec.

Poprawił opadający pled, który okrywał mu kolana, i mówił dalej:

— Tak więc mamy nóż. Gdy mówimy o nożu, przywodzi on myśl o dwóch rodzajach materiału, z którego został sporządzony: metal i drewno. Stajemy przed wyborem, w jaki zapuścić się gąszcz. Wybierając metal, dojdziemy do pieniądza, który także z metalu się wywodzi. Aliści można wybrać drogę wskazaną przez drewno. Drewno to kij, kij to golf, golf to lord Griffin. Czy jednakowoż wymieniony Griffin wyraziłby żal i smutek po śmierci Harlowa, gdyby w istocie był jego zabójcą? Być może. Dodajmy jego krwi chłód anglosaski, który wszak posiada, dodajmy maniery dżentelmena starej daty, dodajmy doświadczenie wieku, a będziemy mieć obraz człowieka, który nie zawaha się działać jak bestia, a potem udawać przejętego bolesną stratą przyjaciela.

Powiadali Rzymianie, zacny mój Kleffie, że ten popełnił czyn, kto zysk zeń osiągnął. Zasada niechybnie słuszna. Kim jest Griffin? Zamożnym arystokratą. Wykupić dlań bilet na kolej żelazną i szkuner przez Kanał byłoby niczym. Może spędzać wywczasy w samym sercu Europy. A jednak przebywa tutaj, „Pod Szlachetnym Koniem”. Czym można to wyjaśnić? Pragnieniem spokoju?

Pan Dupin zaśmiał się krótko i serdecznie.

— Otóż nie! Nie tęsknota za wypoczynkiem zagnała go tutaj, drogi Kleffie! Wszyscy obecni w tym zajezdzie znają się aż nadto dobrze. Łączy ich zażyłość, jakiej w Ameryce nie spotkasz nigdy. W takich warunkach Griffin nie osiągnąłby upragnionej ciszy i wypoczynku. Pcha go więc „Pod Szlachetnego Konia” inny imperatyw. Można to jeno przyrównać do żądzy. Powiadasz, że panna Benson odznacza się szczególną urodą. Zjechała tutaj z Londynu, by wypocząć. Za nią nadciąga Jim Harlow. Te dwie dusze łączy miłość bolesna i gorzka. Ona, biedna panna z nizin społecznych, on zaś dziecię zamożnego domu, wybraniec losu, którego życie darzy wszystkim, co piękne. A przecież są dla siebie stworzeni. Kogóż może kochać ta panna pełna cichego uroku, dziewiczego wstydu i pokory, jeśli nie pięknego młodzieńca o silnych ramionach i gorących ustach? Przebóg! Niechaj mnie nieba bronią, jeśli miałbym rzucić płaskie podejrzenie na miłość tych dwojga! Była to przecież miłość czysta, miłość

dwojga aniołów.

Aliści nie wszystko jest czyste na świecie. Griffin od dawna zabiegał o względy pięknej panny Benson. Bezskutecznie. Nie była żadna jego bogactw i znaczenia. Ten ohydny satyr wiedział, kto stoi na przeszkodzie jego planom. Cóż czyni? Przybywa „Pod Szlachetnego Konia”, dokąd wzywa także swego najemnego zbira z Sycylii. Ten oto Biaggi ma dokonać ohydneho mordu na Jimie. Wszelako oczarowany urodą panny Benson — staje się ofiarą własnego sumienia. Gryzie go ono, jak pies gryzie smakowitą kość!

— Zapomniał pan zupełnie o amerykańskich milionerach — wtrącił nieśmiało Kleff.

Pan Dupin roześmiał się z ironią, lecz jego oczy błyszczące w mroku pokoju wyrażały pobbłazanie i sympatię.

— Amerykanie — powtórzył i znowu zaśmiał się swobodnie — Amerykanie nigdy nie zabijają nożem. Są zwolennikami techniki. Nie mają żadnych tradycji antyku. W porównaniu z Europejczykami są to dusze płaskie, praktyczne. Nóż jest narzędziem klasycznym, tradycyjnym, łączy się z arystokracją przez miecz i z temperamentem sycylijskim przez sztylet. Tak oto tylko dwaj ludzie wchodzą w grę. Arystokrata Griffin i Sycylijczyk Biaggi. Ci Amerykanie po prostu przybyli tutaj, aby oddychać powietrzem starego świata. Nic ich nie łączy ze zbrodnią poza faktem obecności. Ale wracajmy do rzeczy. Tak oto Biaggi, urzeczony urokiem panny Benson, odrzuca precz nóż, który miał przeciąć nić żywota biednego Jima. Zapewniam cię, Kleffie, że nie dalej jak za tydzień twój Biaggi wstąpi do zakonu redemptorystów, aby choć w części odpokutować swe zbrodnie. Taka jest siła dziewiczej niewinności, która nawet najbardziej zatwardziałe serca topi jak wosk.

Griffin wszakże nie zrezygnował z morderstwa. Gdy Sycylijczyk odmówił udziału w ohydnyim czynie, stary lord sam pochwycił nóż. Działo się to w porze poobiedniej, gdy wszyscy wypoczywali w pokojach. Biedny Jim szedł do holu. Po co? Tego już nikt nie odgadnie. Wtedy stary lord, zaczajony za kominkiem, wyskoczył z ukrycia i zadał mu śmiertelny cios!

Pan Dupin pokiwał głową. Jego oczy przygasły.

— Tak, Kleffie — rzekł ze smutkiem. — Oto do czego prowadzi nieczysta namiętność. Teraz ten człowiek zawisnie na szubienicy, ale to przecież nie wróci już życia panu Harlow ani nie ukoj żalu tej dziewczeczki.

Kleff również pokiwał głową, lecz nie był do końca przekonany.

— Zgoda — rzekł z nieco większą niż poprzednio śmiałością. — Ale pan mi nie wyjaśnił tajemnicy tego telefonu!

Pan Dupin znowu zaczął ruszać bokobrodami.

— Telefonu? — rzekł przeciągle. — Drogi Kleffie, przecież za moich czasów nie istniały żadne telefony. Jakże mam wyjaśnić zagadkę istnienia tego, co w ogóle nie istnieje?

— Na drodze skojarzeń — mruknął sierżant Kleff i zaklął. W tym momencie zauważył, że pan Dupin już nie siedzi w fotelu. Sierżant znowu był sam w pokoju, tylko z głębi szaf bibliotecznych doszedł go ponownie cichy szelest przewracanych kartek.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą dwóch sympatycznych dżentelmenów, z których pierwszy był bez wątpienia Sherlockiem Holmesem, a drugi jego nieodłącznym przyjacielem, doktorem Watsonem. Sierżant Kleff pomyślał, że tak właśnie być powinno, i wcale nie czuł zdziwienia. Obecność dwóch słynnych panów uznał za rzecz zupełnie naturalną.

Holmes był ubrany jak zwykle w kraciasty frencz z dobrej szkockiej wełny. Na głowie miał takąż czapkę ze starannie utrzymanym pomponem, w zębach trzymał słynną fajkę.

— Co dobrego, sierżancie? — powiedział, a Kleff znowu pomyślał, że przecież Holmes ma właśnie taki głos, jakiego się spodziewał.

— Ach, panie Holmes — rzekł sierżant. — Byłbym panu wdzięczny za pomoc. Był już tutaj przed chwilą pan Dupin, ale nie zdołał mnie przekonać o winie lorda Griffina.

Sherlock Holmes zmarszczył brwi.

— Griffin — powtórzył w zadumie — więc i Griffin jest tutaj?!

Nagle zwrócił się do Watsona dodając:

— Czy pamiętasz słynną sprawę diademu carskiego, drogi Watsonie? To właśnie lord Griffin użył mi wówczas swego jachtu podczas pogoni za zbrodniczym Hartmannem.

Watson uśmiechnął się szeroko i przytaknął.

— Nie traćmy czasu! — zawołał Holmes. — Obawiam się, że tam, gdzie jest biedny lord Griffin, możemy natknąć się na dalsze dramaty.

Kleff już szedł w stronę drzwi wiodących do holu. Wtem Holmes powiedział:

— Co to? Shelley? — zbliżył się do jednej z szaf bibliotecznych i jął bacznie obserwować niepozorną książeczkę w złoczonej oprawie.

Kleff podążył za jego wzrokiem, ale nie dostrzegł niczego interesującego. Holmes trwał chwilę bez ruchu, po czym odwrócił się, uśmiechnął się i rzekł:

— No, cóż! Nie czas teraz na poezje Shelleya.

Znaleźli się w holu. Kleff zauważył, że osoby zgromadzone w pobliżu zwłok pana Harlowa wcale nie okazały zdumienia na widok nie jednego, lecz trzech wychodzących z biblioteki mężczyzn.

Tylko lord Griffin, który bacznie przyjrzał się nowo przybyłym, nagle wykrzyknął:

— Co widzę?! Holmes tutaj!?

I uściśnił dłoń słynnego detektywa. Holmes nie tracąc czasu zapytał:

— Czy nikt z obecnych nie oddalał się z tego miejsca po odkryciu zbrodni?

Wszyscy jednocześnie oświadczyli, że od chwili przybycia sierżanta nie opuszczali pensjonatu. Holmes wysłuchał tych informacji z przymkniętymi oczami. Potem pochylił się nad ciałem biednego Jima Harlowa i niezauważenie schował coś do kieszeni.

Wstał.

— Skąd pani pochodzi, panno Benson? — zapytał nagle, zwracając się do smagłej szatynki, która już uprzednio zwróciła na siebie uwagę Kleffa.

— Z Yorkshire — odparła młoda dama. Jej powieki trzepotały. Kleff teraz dopiero zauważył, że panna Benson ma twarz pełną niewysłowionej słodyczy, a pod jej oczami rysują się cienie cierpienia.

— Z Yorkshire — powtórzył Holmes. Stał tak przez moment w zadumie, gdy nagle pan Sinclair, przedsiębiorca z Londynu, zagadnął go:

— Drogi panie Holmes, tak wiele słyszeliśmy o pana geniuszu spostrzegawczości. Czy pozwoli mi pan na pewien eksperyment?

Holmes przeszył go stalowym spojrzeniem. Kleff pojął natychmiast, że stanie się coś niezwykłego. Sherlock Holmes powiedział:

— Spostrzegawczość jest najlepszą bronią prawa w walce ze zbrodnią. Czyż nie tak, Watsonie?

Doktor Watson przytaknął.

Napięcie rychło minęło. Holmes znowu był uśmiechnięty i rzekł do pana Sinclaira:

— Proszę. Oczekuję pańskiego eksperymentu!

— Doskonale — zaczął przedsiębiorca, jegomość o rumianej jak jabłko twarzy i dość okazałej łysinie. — Patrzy pan na mnie od kilku chwil, więc jestem ciekaw, co już teraz może pan o mnie powiedzieć?

— Niewiele — odrzekł Holmes i pyknął z fajeczki. — Mogę jednak powiedzieć, że był pan dzisiaj w Stratfordzie i to już po zamordowaniu Jima Harlowa. — Sinclair zbladł straszliwie i lewą dłonią uchwycił się poręczy krzesła.

— Mogę również dodać — kontynuował spokojnie Holmes — że był pan kiedyś marynarzem, że przebywał pan przez wiele lat w Meksyku i że posiada pan...

— Dość! — krzyknął chrapliwie Sinclair. — Pan mnie przeraża!

W tej chwili panna Viola Benson wydała cichy jęk i osunęła się na posadzkę. Amerykański milioner, Archibald Moss, zawołał:

— *Oh, damned!*

Holmes zmierzył go przenikliwym spojrzeniem. Doktor Watson już śpieszył z pomocą prześlizgniętej pannie, która jak podcięty krzew mandragory leżała nieruchomo na ziemi.

Kiedy wszyscy nieco ochłonęli po tym wypadku, Kleff chciał porozumieć się w jakiś sposób z Holmesem i skierował się ku drzwiom biblioteki, dając mu znak, by tam poszedł.

Ale detektyw wcale się nie kwapił do rozmowy. Kleff dostrzegł, że Holmes wdał się w rozmowę z panią Howard, a następnie z lordem Griffinem. Robił wrażenie człowieka, którego leżący obok trup zupełnie nic nie obchodzi.

Po pewnym czasie zwrócił się do swego przyjaciela.

— Kochany Watsonie, jestem zmęczony. Może przejdziemy teraz obaj do biblioteki. — Oddalił się spiesznie, tak że Kleff nie ośmielił się udać za nimi. Po chwili zza przymkniętych drzwi rozległy się pełne i słodkie tony skrzypiec. Sierżant Kleff odczuwał wielką senność. Usiadł więc na krześle pod ścianą i słuchał niewyraźnego szmeru głosów i subtelnej gry na skrzypcach. Panna Benson otworzyła już fiołkowe oczy i wszyscy skupili się przy niej, aby ją pocieszyć. Nagle skrzypce umilkły. Kleff chciał po prostu skorzystać z tej okazji i iść do biblioteki, gdy raptownie zastukano do frontowych drzwi. Panna Howard energicznie podeszła do nich i otworzyła je. Na progu stała żebraczka w chustce na głowie, zgarbiona, blada, o zaczerwienionych oczach.

— O, biedna kobiecina! — zawołała panna Benson z wrodzoną sobie szlachetnością.

Właścicielka pensjonatu usiłowała protestować, ale wszyscy zebrani, a wśród nich Kleff, ujęci wzruszającą postawą dopiero co przywróconej życiu panny Benson, postanowili udzielić nieszczęśliwej kobiecie wsparcia. Archibald Moss zawołał:

— Masz tutaj, dobra kobieto, datek ode mnie. — I wręczył jej czek na bank lioński opiewający na sumę tysiąca suwerenów. Panna Benson również pośpieszyła ku staruszce i włożyła jej w dłoń pięć pensów... Następnie wszyscy kolejno wręczali kobiecie jałmużnę, za którą wylewnie, ze łzami w oczach dziękowała. Gdy wreszcie odeszła, panna Benson zawołała:

— Jaka smutna jest starość i bieda!

To spostrzeżenie wzruszyło obecnych. Pani Patrycja Moss otarła oczy chusteczką.

Za drzwiami biblioteki znów rozległy się tony skrzypiec, a gdy wreszcie zamilkły, na progu pojawił się Sherlock Holmes. Przeszedł przez hol, zbliżył się do pana Sinclaira i zamienił z nim szeptem kilka słów. Sinclair zbladł śmiertelnie, kiwnął głową i oddalił się w stronę jadalni.

Kleff chciał go zatrzymać, lecz Holmes uczynił ręką gest, aby tego zaniechał. Sinclair odszedł, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami wszystkich obecnych.



— Jest dżentelmenem — rzekł powoli Holmes. — Mam nadzieję, że sam wymierzy sobie sprawiedliwość.

W tym momencie gruchnął strzał. Kleff rzucił się ku jadalni, w której drzwiach zniknął przed chwilą Sinclair, i ujrzał go bezwładnie leżącego na dywanie. W zaciśniętej lewej dłoni trzymał dymiący browning.

Siedzieli w bibliotece, Holmes palił fajkę, Kleff cygaro. Watson nie palił nic. Na kominku leżały skrzypce, a Holmes wycierał spokojnie ręce ubrudzone kalafonią.

— Nie pojmuję, drogi Holmesie — rzekł doktor Watson — w jaki sposób odkryłeś tę zbrodnię.

Holmes wyczyścił fajkę i zaczął swoje opowiadanie:

— Joshua Sinclair był kapłanem sekty Azteków na Jukatanie. Jim Harlow należał również do tej sekty, lecz pod wpływem nie znanych bliżej okoliczności, które na zawsze już pozostaną tajemnicą, postanowił z niej wystąpić i powrócić na łono naszego Kościoła anglikańskiego. Zawiadomił o tym niechybnie Sinclaira, z którym był w przyjaźni. Nie wiedział, biedaczysko, że zerwanie z sektą grozi natychmiastową śmiercią. Gdy się o tym dowiedział, było już za późno.

Dzisiaj rano Harlow poszedł do biblioteki i wziął sobie z półki tomik Shelleya. Mam na to dowody. Na okładce książki pozostała wyraźna rysa. Powstała, gdy Harlow nieuważnie zahaczył o okładkę brylantową spinką. Biedny Jim czytał wiersz Shelleya o krwiożerczej religii Azteków. Właśnie w tym miejscu róg kartki w tomiku był zagięty.

Jednakże kiedy oglądałem tomik, nie wiedziałem jeszcze, jakie to ma znaczenie. Byłem po prostu zaciekawiony, kto może w tym pensjonacie czytać wiersze Shelleya o Aztekach. Miałem się o tym niebawem przekonać.

Nasz dzielny sierżant Kleff nie dostrzegł, że zamordowany Jim Harlow trzyma w zaciśniętej dłoni misternie wykonany w złocie posążek boga śmierci, jaki zazwyczaj kapłani azteccy wkładają w ręce swych ofiar. Wiedziałem. Wiedziałem już więc, że Harlow został zabity przez wysłannika sekty jukatańskiej.

Sinclair wzbudził moje podejrzenie, ponieważ kłamał, twierdząc, że nie opuszczał domu w ciągu dnia. Na nogawkach jego spodni zauważyłem źdźbła maku, który jak wiadomo rośnie tylko w okolicy Stratfordu, po drugiej stronie rzeki. Były to świeże źdźbła i kto zna się trochę na roślinach, nie może tutaj popełnić błędu. Tak więc Sinclair już po morderstwie był w Stratfordzie. Po co? I dlaczego to ukrywał?

Polecilem memu przyjacielowi, Watsonowi, aby udał się do Stratfordu, w czasie kiedy

rzekomo obaj przebywaliśmy w bibliotece. Kochany Watson stwierdził, że mężczyzna z opisu przypominający Sinclaira po godzinie drugiej nadał depeszę do Meksyku. To już był pewien dowód. Wszelako jeszcze przedtem nabrałem podejrzeń w stosunku do Sinclaira. Kiedy mu powiedziałem, że był marynarzem i przebywał w Meksyku — zbladł straszliwie. A przecież nie było trudno poznać, że długo pływał po morzach. Jego kołyszący chód, tatuaż na wierzchu dłoni świadczyły dobitnie, że był człowiekiem morza. Opierał się na lasce, sporządzonej z korzenia *Virex placida*. Jest to specjalna odmiana kaktusa rosnącego tylko na Jukatanie i tylko tam wyrabia się podobne laski. Co więcej — Sinclair miał w kieszeni surduta, co wyczułem dotykając go ramieniem, taką samą statuetkę bożka azteckiego, jaką znalazłem w ręku nieszczęsnej ofiary.

Nie miałem jednak ostatniego dowodu. Otóż trzeba wam wiedzieć, drodzy panowie, że Harlow został zasztyletowany przez człowieka posługującego się lewą ręką. Udałem się więc z Watsonem do biblioteki, i podczas gdy mój przyjaciel poszedł na pocztę w Stratfordzie, ja szybko przebrałem się za starą żebraczkę i zjawiłem z prośbą o jałmużnę. Wszyscy obecni, wśród nich i pan, drogi sierżancie, wręczyli mi datki prawą ręką. Tylko Sinclair posłużył się lewą. Wtedy wiedziałem, że mam go w swej mocy. Wróciłem do biblioteki, zrzuciłem przebranie i wszedłem do holu. Tam zbliżywszy się do mordercy, rzekłem: „Sinclairze! Wiem wszystko. Nie uratuje cię już aztecki bóg śmierci!” I dodałem, że liczę na jego dżentelmeńskie maniery! Przyznaję, że w tej mierze Joshua Sinclair nie zawiódł moich nadziei...

Holmes skończył. I znowu zabrał się do nabijania fajki. Natomiast sierżant Kleff poczuł się trochę nabity w butelkę.

Chwila zakończenia niezwykłych przygód sierżanta Kleffa jeszcze jednak nie nadeszła. Nie ochłonął nawet ani trochę po nagłym zniknięciu Sherlocka Holmesa i jego nieodłącznego przyjaciela, doktora Watsona, gdy nagle z kąta biblioteki znów wynurzyła się dziwna postać. Kleff, nauczony poprzednimi doświadczeniami, poznał ją natychmiast.

— Ach, jakże się cieszę, że pana widzę! — zawołał i rozpląnął się w uśmiechach. Wszakże jego uśmiechy były tylko nędzną mgiełką radości w porównaniu z tym nie — wysłowionym szczęściem, które rozlało się na obliczu nowo przybyłego. Sympatyczna okrągła twarz o skośnych oczach wyrażała zachwyt tak szczególny, że niepodobna tego opisać.

— Pies przybywa, aby oddać swój hołd tygrysowi — rzekł przybysz i uklonił się nisko. — Uśmiech pana, czcigodny sierżancie, jest dla mnie jak słońce w skwarne południe i muszę

przymykać oczy, by nie oślepnąć z radości.

— Ależ, panie Chan! — zawołał głęboko zażenowany Kleff. — Nie chcę tego słuchać. Ach, doprawdy! Tak się cieszę, że słynny Charlie Chan z Honolulu pomoże mi wreszcie rozwikłać zagadkę morderstwa.

Charlie znów się uśmiechnął i odparł:

— Bogowie obdarzyli mnie szczególną głupotą. Ale, jak powiadają w moim kraju, nawet najgłupszy człowiek w mieście potrafi wskazać drogę do szkoły. W związku z tym byłbym zaszczycony, gdyby zechciał pan przedstawić mnie tym wszystkim szlachetnym osobom, z których jedna ma na sumieniu pana Harlowa.

— Oczywiście, oczywiście — powiedział Kleff i już po chwili obaj znaleźli się w holu.

Wszyscy obecni ciągle jeszcze byli tam zgromadzeni, właściwie bez celu. Twarze zebranych wyrażały już pewne znużenie, szczególnie lord Griffin nie ukrywał senności i przygnębienia. Jim Harlow leżał obojętny na wszystko, z twarzą zwróconą ku górze, jak gdyby z uwagą obserwował zacieki wilgoci na suficie. Charlie Chan spojrzął na zwłoki przelotnie i powiedział:

— W moim kraju uważa się, że los nie kontrolowany przez ludzi dosięga wszystkich i wszystkiego. Jednakże wieloletnia przyjaźń z moimi amerykańskimi kolegami wpoila we mnie przekonanie, że losem kieruje zazwyczaj czyjaś dłoń.

Uśmiechnął się ciepło i zwrócił się do lorda Griffina.

— Czy mógłby pan poświęcić trochę swego cennego czasu niegodnemu pyszałkowi, który pragnie zmierzać ku prawdzie?

— Z lubością — odparł Griffin.

Odeszli obaj w głąb holu i podjęli ożywioną rozmowę. Kleff, który zbliżył się nieco, słyszał dokładnie jej przebieg. Charlie Chan mówił:

— Kilka pytań, panie Griffin. Kto odkrył zwłoki?

— Ja — odparł Griffin i potarł dłonią podbródek. — Schodziłem właśnie do biblioteki, żeby wybrać sobie coś do czytania. W pewnej chwili dobiegł mnie z dołu głośny śmiech Jima Harlowa. Następnie, kiedy znalazłem się na podeście schodów, usłyszałem trzask.

— Trzask? — powtórzył Charlie i uśmiechnął się.

— Tak. Przypominało to pęknięcie drewnianej listwy lub coś w tym rodzaju. Oczywiście nie zwróciłem na to wówczas uwagi. Ale kiedy po chwili zszedłem nieco niżej, zobaczyłem pana Mossa, który szybko kierował się ku górze. Był blady i na moje pozdrowienie mruknął coś niewyraźnie. Wzruszyłem ramionami i poszedłem dalej...

— Na dół — wtrącił Chan i znowu uśmiechnął się serdecznie.

— Tak. Na dół.

— I zobaczył pan zwłoki Harlowa?

— Ach, nie. Jeszcze przedtem spotkałem w salonie pannę Benson. Ona również zrobiła na mnie wrażenie bardzo zdenerwowanej. Miała bladą twarzyczkę.

— Gdzie wtedy stała? — zapytał Charlie i zajął się baczny obserwowaniem swych błyszczących butów.

— Przy oknie. W rękę trzymała linijkę.

— Linijkę — powtórzył Chan. — I co dalej?

— W następnym pokoju spotkałem panią Howard siedzącą w fotelu, obok niej panią Moss. Obie panie zajęte były robótkami na drutach.

— Niedobrze jest, gdy sarny kręcą się w pobliżu tygrysa — rzekł Charlie Chan.

— Mógłby pan już skończyć z tymi idiotycznymi powiedzonkami — przerwał z irytacją lord Griffin. Ale dobroduszny uśmiech Chińczyka rozbroił go natychmiast, więc ciągnął dalej, nieco spokojniejszym tonem: — Kiedy byłem w małym saloniku i zamieniłem jakieś zdawkowe słowa z panią Moss, wszedł Biaggi. Nie znoszę tego typka. Brutal i prostak! Anglia stała się ostatnio pełna takich właśnie pseudo-dżentelmenów.

— Anglia jest wielka — rzekł Chan — i w zetknięciu z nią nawet opryszek nabiera manier mandaryna.

Nagle spojrział uważnie na lorda i powiedział:

— Miał pan szczególnie interesujący spacer, *sir*. W drodze z pokoju do holu spotkał pan niemal wszystkich mieszkańców pensjonatu. Co za wyborny przypadek.

— To nie wszystko — odrzekł Griffin, który nie wyczuł ironii Chana. — Tuż po Biaggim wszedł do saloniku Sinclair.

— I też był zdenerwowany?

Griffin spojrział uważnie na swego rozmówcę.

— Nie. On chyba nie. Był zupełnie spokojny.

— No, nareszcie jeden spokojny w tym domu — mruknął Charlie. — I co było potem?

— Potem wszedłem do holu i zobaczyłem Jima leżącego bez życia na posadzce.

— Pan krzyknął?

— Tak. Natychmiast przybiegli wszyscy obecni. Było już jednak za późno.

— Dziękuję panu, *sir* — rzekł Chan i znowu się uśmiechnął. Odszedł na środek holu, lecz po chwili zwrócił się ponownie do Griffina: — Momencik, *sir* — rzekł — jestem tępy i nie pojmuję pewnych słów. Trzeba mi je kilka razy powtarzać. Czy z holu do saloniku prowadzi tylko jedno wyjście?

— Tak — odrzekł Griffin.

— Którymi drzwiami weszli do saloniku panowie Sinclair i Biaggi?

— Od strony dużego salonu. Rozumiem, o co panu chodzi, panie Chan.

Charlie uniósł brwi.

— Jest pan tym wobec mnie, czym jest czapla wobec osła. Ja bowiem jeszcze nie rozumiem nic z tego, co się zdarzyło.

Odwrócił się i poszedł na obchód całego budynku. Trwało to niezbyt długo mimo tuszy dzielnego detektywa z Hawajów, ale Kleff miał czas, by wreszcie nieco ochłonać z tak licznych wrażeń ostatnich godzin.

Kiedy Charlie wrócił, zaprosił kolejno wszystkich do biblioteki i odbył z nimi rozmowy. Kleff uczestniczył w nich jako milczący świadek.

— Drogi panie Moss — rzekł Charlie, gdy amerykański milioner usadowił się w fotelu. — Na pana budzącej szacunek i sympatię twarzy dostrzegam niepozorny, lecz niepokojący ślad zadrapania. Czy mógłby mi pan odpowiedzieć, w jaki sposób nabył pan tę pamiątkę.

Moss pobladł, zmełł w ustach przekleństwo i zapalił cygaro. Charlie, który nie znosił dymu tytoniowego, zbliżył się do okna i otworzył je. Z zewnątrz wpłynął do biblioteki chłodny i świeży powiew wieczoru. Było już zupełnie ciemno.

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie pan przebywał między godziną jedenastą a jedenastą piętnaście przed południem? — zapytał Chan patrząc w mrok za oknem.

— Tutaj — odparł Moss. — W pensjonacie.

— Jest pan jak Wu-Pei, który odkrywał niebywałe prawdy. Byłbym jednak rad dowiedzieć się, w którym pomieszczeniu raczył pan spędzić ten czas.

— W dużym salonie, kochasiu — odparł Moss. — Po jakimś czasie poszedłem do siebie na górę. Na schodach spotkał mnie ten wiecznie ponury Griffin. Potem, na górze, usłyszałem krzyk i zbiegłem na dół, do holu.

— Brawo! — zawołał Chan. — A czy przez cały czas był pan sam w dużym salonie?

Moss zawahał się przez moment i odparł:

— Nie przez cały czas. Była tam również panna Benson. Zamieniłem z nią kilka słów.

— Potem wyszła?

— Chyba tak. Nie pamiętam dobrze.

Na tym skończyła się rozmowa z Mossem.

Sinclair oraz Biaggi zeznali, że wraz z panią Moss przebywali w ogródku, gdzie rozmawiali o Italii. Potem rozstali się, pani Moss poszła do małego saloniku, a oni przybyli za nią po kilku minutach, bo poszli obejrzeć jeszcze kwietnik.

— Więc od jedenastej do jedenastej dziesięć byliście wszyscy troje przez cały czas?

— Tak — odrzekł Sinclair, a potem potwierdzili to Biaggi i pani Moss.

Charlie Chan kiwnął głową i uśmiechnął się zadowolony.

— I ja kocham przyrodę — rzekł podczas rozmowy z Sinclairem. — Szczególnie lubię opalać swoje sterane ciało w promieniach słońca.

— Ja nie — odrzekł Sinclair. — Właśnie mówiliśmy o Italii i wyraziłem pogląd, że tam jest dla mnie za gorąco.

— Siedzieliście w cieniu? — zapytał nagle Chan, a Kleff zdumiał się, co to w ogóle może mieć za znaczenie.

— Tak, w cieniu — odparł Sinclair i bacznie przyjrzał się Chanowi.

Potem Charlie uciął sobie pogawędkę z panią Howard, a na koniec z Violą.

Viola Benson weszła do pokoju blada i podenerwowana.

Usiadła naprzeciw sympatycznego detektywa z Hawajów i starała się unikać jego spojrzenia.

— Stare przysłowie mówi, że niedobrze jest, gdy kormoran buduje dwa gniazda — rzekł Charlie i pokiwał ze smutkiem głową.

Panna Benson oburzyła się:

— Co pan ma na myśli?

— Po prostu chciałbym wiedzieć, co pani zrobiła z linijką. Chciałbym ją zobaczyć.

— Z jaką linijką?! — zawołała przejęta do żywego.

Lecz Charlie Chan umiał być nieugięty.

— Byłbym bardzo zadowolony, gdyby pani zechciała mi opowiedzieć, o jakich sprawach rozmawiała pani z Mossem w dużym salonie między jedenastą a jedenastą piętnaście.

— Nie pamiętam. Chyba o pogodzie — odrzekła i zacięła wargi. Nagle zmarszczyła piękne brwi i dodała szybko, jak gdyby przypominając sobie szczegóły.

— Tak jest! Rozmawiałam z nim o zamierzonej podróży do Italii.

Charlie Chan aż podskoczył na fotelu. Ale opanował się szybko i mruknął:

— Nawet słoń ma chwile zdziwienia.

Wstał, przyjrzał się z uwagą twarzy panny Violi, a potem nagle wyciągnął spod marynarki cienką, gładką linijkę.

— Znalazłem to w pani pokoju, panno Benson!

Patrzył teraz na jej twarz, niemal zupełnie pozbawioną krwi.

— To na razie wszystko — rzekł spokojnie i uśmiechnął się ciepło. — Może pani wrócić do siebie.

Wyszła bez słowa. Kiedy zostali sami, Kleff chciał powiedzieć coś na jej obronę, lecz Chan rzekł szybko:

— Najgorsze są chmury, które zwiastują burzę, a nie te, z których pada grom. — I wyszedł z biblioteki. Kleff podążył za nim, nie rozumiejąc absolutnie nic. Otyły, niski, podobny do kulki detektyw z Hawajów przemierzył hol i udał się do ogrodu. Tutaj przechadzał się dość długo, milczący, zapatrzony w ziemię. Gdy wreszcie wrócił do holu, odezwał się do Biaggiego:

— Pragnę panu zadać tylko dwa pytania, panie Biaggi.

Sycylijczyk zwilżył wargi językiem i posłusznie wszedł za Chanem do biblioteki. Kleff towarzyszył im jak cień.

— Kochany panie Biaggi — powiedział Charlie. — Czy podczas waszej przechadzki słońce mocno świeciło.

— Tak — odrzekł Biaggi. — Mnie to nie obchodziło, ale pan Sinclair strasznie cierpiał z powodu upału. Pani Moss również narzekała, że razi ją słońce. Nawet prosiła, żeby przynieść jej parasolkę.

— I przyniósł pan?

— Przyniosłem.

— Pani Moss przechadzała się z wami przez cały czas?

— Tak. Oczywiście! Zamilkł, ale po chwili dodał:

— To znaczy, niezupełnie. Kiedy miała już parasolkę, siadła na wyplatany krzeselku.

Była chroniona przed słońcem i siedziała w cieniu.

Charlie Chan zatarł ręce z zadowoleniem.

— Dziękuję, panie Biaggi — rzekł.

Sycylijczyk wyszedł. Kleff zawołał ze złością:

— Może zechce mi pan wreszcie wyjaśnić, do czego to wszystko zmierza!

— Do wykrycia mordercy, przyjacielu — odrzekł spokojnie Chan. — Jak mało znamy życie... Nie przypuszczamy, że nawet hipopotam może być przedmiotem wielkiej miłości.

Przerwał i po chwili dodał:

— Morderca jest perfidny, dopuścił się czynu haniebnego, a jednak współczuję mu. Niech pan poprosi tutaj pana Sinclaira.

Z Sinclairem rozmowa trwała krótko, ale Kleff nadal nic nie rozumiał. Dlaczego, u diabła, tak zależy Chanowi, aby dokładnie ustalić czas, w którym pani Moss usiadła na wyplatany krzeselku?!

Ciekawość Kleffa została wreszcie zaspokojona. Chan poprosił do biblioteki panią Patrycję

Moss i rzekł krótko:

— Sprawa dobiegła kresu. Wiem wszystko. Mogę pani wszystko opowiedzieć.

Pani Moss zbladła, ale odparła siląc się na spokój:

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

— Zaraz wszystko opowiem — powiedział Charlie Chan. — Pani wiedziała od dawna, że Viola Benson jest kochanką pani męża. Utrzymywał ją. Płacił jej pieniądze, przez nią właśnie panią zaniedbywał. Jednocześnie wiedziała pani, że Viola kocha Jima Harlowa i zamierza za niego wyjść. To właśnie dla Jima zdobywała majątek. Starła się pani od dawna nakłonić męża do zerwania z Violą. Bezskutecznie. Wiedziała pani, że zostanie przy niej, choć ostatnio coraz częściej Viola traktowała go okrutnie. Takie właśnie kobiety najsilniej przywiązują do siebie mężczyzn. Baran żyje z owcą, lecz marzy o wilczycy.

Chan westchnął, a potem kontynuował:

— Wiedziała pani, że sprawa jest na zawsze przegrana. Pan Moss postanowił pójść za Violą nawet na koniec świata. Nie mogła pani zabić Violi, gdyż byłoby to zbyt proste. Nie chciała pani przecież reszty życia spędzić w celi więziennej. Chciała pani po prostu odzyskać męża. Tylko istnienie Jima Harlowa trzymało Violę przy Mossie. Gdyby Jim zniknął, zniknęłyby i Viola. Znalazłem pani list do Jima Harlowa, ukryty w jego papierach w pokoju na górze. Błagała go pani, aby odszedł na zawsze. Widocznie odmówił. Widocznie był zadowolony z roli sutenera i nie chciał rezygnować z łatwych zarobków. Mleko z piersi mamki ma słodszy smak niż mleko matczyne, jak powiadają w prowincji Fukien. Zdecydowała się pani zlikwidować Jima Harlowa. Przyznaję, było to wspiane morderstwo.

Tylko jeden drobny szczegół naprowadził mnie na właściwy ślad. Słońce o godzinie jedenastej padało na budynek od tej strony, gdzie znajdują się okna holu i małego saloniku. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, czy okna były wówczas otwarte. To panna Benson naprowadziła mnie na dobrą ścieżkę. Zapytana, o czym rozmawiała z pani mężem w saloniku, odrzekła, że o podróży do Italii. To nie była prawda. Rozmawiali o pieniądzach, pokłócili się. Moss dostał w twarz twardą, ostrą linijką. To plaśnięcie słyszał na schodach lord Griffin. Musiała dobrze zdzielić pani męża, tak była na niego wściekła. Został mu na policzku krwawy ślad.

Viola nie chciała oczywiście przyznać się do tego. Szukając wykrętnej odpowiedzi, wpadła na myśl, aby przedstawić rozmowę jako luźne uwagi na temat Italii. Nie potrafiłaby odpowiedzieć, dlaczego właśnie to przyszło jej do głowy. Ale ja wiem dlaczego. Okno było otwarte i właśnie wtedy doleciały do niej strzępki rozmowy o Italii, którą prowadziła pani z Biaggim i Sinclairem. A więc już wiedziałem, jak morderca dostał się do holu nie



zauważony przez nikogo. Oknem. Otwartym szeroko oknem.

Miała pani murowane alibi. Dwaj świadkowie nie opuszczali pani ani na chwilę. Czy rzeczywiście ani na chwilę? Otóż nie! Nawet w bardzo gęstej sieci są dziury, jak powiadają nad Jangcy. Skierowała pani rozmowę na słońce i prosiła Biaggiego, by przyniósł parasolkę. Kiedy odszedł, powiedziała pani do Sinclaira, że byłoby dobrze usiąść. Poszedł po krzesło. Ci dwaj panowie musieli okrążyć cały dom, aby wykonać zadanie. Biaggi przeszedł przez hol, skierował się do pokoju, wziął parasol, zszedł na dół, przemierzył hol i wyszedł na zewnątrz. Widziała go pani przez otwarte okno. W chwili gdy już opuścił hol, zjawił się tam Jim Harlow. Pani wiedziała, że on się tam zjawi. Jego nawyki obserwowwała pani od dłuższego czasu. Był bardzo systematyczny jak na sutenera. Punkt o jedenastej zwykł schodzić do biblioteki. Właśnie wtedy poprosiła pani Sinclaira o krzesło. Musiał przejść znowu naokoło domu, żeby je przynieść. Wystarczyło pani czterdzieści sekund swobody, aby wejść przez okno do holu i wbić nóż w pierś Jima, który stał zupełnie oniemiały. To był rzeczywiście widok niezwykły. Wybuchnął szalonym śmiechem, widząc starszą damę przełazącą przez parapet. Kiedy zrozumiał, co mu grozi, było już za późno. Tak, droga pani. W mojej ojczyźnie powiadają, że pliszka może zabić jastrzębia, jeśli go rozśmieszy. Nic nie czyni człowieka tak bezbronnym jak wesołość.

Charlie Chan zamilkł i przymknął oczy. Kleff miał wrażenie, że detektyw z Honolulu zasnął. Ale były to tylko pozory. Kiedy pani Moss drgnęła, Charlie natychmiast zareagował.

— Niech się pani nie trudzi. Nie ma już pani cyjanku w kieszonce zakietu. Znajdzie tam pani tylko niewinne pastylki przeciwko zaziębieniu. I proszę wybaczyć mojej głupocie, że ściągnęła na panią tyle nieszczęść.

Kleff miał już tego wszystkiego dosyć.

— Pani Moss! Aresztuję panią — powiedział i wstał z fotela. — Sprawę uważam za zakończoną.

Ale przecież wcale nie miał racji. Sprawa nie była jeszcze skończona.

Kiedy bowiem sierżant Kleff zbliżył się do pani Moss, okazało się, że nie była to bynajmniej pani Moss, lecz szczupły, malutki człowieczek o sterczących wąsikach, sympatycznej twarzy i bardzo czujnym spojrzeniu.

— *Voilà!* — odezwał się człowieczek i wstał. Było w nim coś z cyrkowego iluzjonisty. Ale Kleff zdążył już przywyknąć do niezwykłości, jakie go spotykały w pensjonacie „Pod Szlachetnym Koniem”, więc postarał się, aby uśmiech mógł wykwitnąć na jego obliczu. Wyglądał niezbyt mądrze, co nie uszło uwagi sympatycznego człowieczka.

— Czuje się pan zmęczony, *monsieur* Kleff — rzekł z odcieniem wyrozumiałości. —

Miejmy nadzieję, że sprawa będzie załatwiona dość szybko i wypijemy dzisiaj jeszcze po kieliszeczku pernodu.

— Panie Poirot — odparł cicho Kleff, zupełnie zrezygnowany. — Jeżeli pan mnie nie uratuje, to doprawdy...

— Niech pan będzie spokojny, sierzancie! Herkules Poirot potrafi posługiwać się szarymi komórkami.

Tutaj Belg dotknął palcem swego wypukłego czoła. A potem zatarł ręce i rzekł wesoło:

— Nie traćmy czasu, *mon ami!* Chodźmy, chodźmy! — Wyszli do holu. Zastali tam wszystkich mieszkańców pensjonatu.

Poirot zbliżył się do grupy stojącej wokoło zwłok i przedstawił się wszystkim obecnym z wyszukaną galanterią. Spojrzawszy w oczy panny Benson, mruknął pod wąsem:

— *Formidable!*

Ale nie okazywał bynajmniej zachwyty. Zwrócił się do lorda Griffina:

— Czy to pan pierwszy odkrył zwłoki?

— Ależ nie — odparł stary dżentelmen z niesmakiem. — Byłem u siebie w pokoju, kiedy usłyszałem krzyk. Zbiegłem na dół i zastałem pana Biaggi pochylonego nad ciałem biednego Jima Harlowa!

— *Eh bien!* — mruknął Poirot powściągliwie. Biaggi wtrącił się do rozmowy:

— To prawda! Przechodziłem właśnie pod oknem, kiedy zauważyłem, że ktoś leży w holu na podłodze. Podbiegłem tutaj, lecz było już za późno. Jim wyzionął ducha. Chłop jak byk i tak szybko skończył.

Poirot skrzywił się z niesmakiem. Potem ukląkł przy zwłokach i zajął się szczegółową obserwacją. W pewnej chwili Kleff dostrzegł, że mały Belg podniósł coś bardzo ostrożnie i schował do kieszeni. Potem wstał z klęczek. Na jego twarzy malowało się zadowolenie.

Ale w tej samej chwili pociągnął nosem. Raz i drugi. Potem znowu pochylił się nieco, niemal dotykał nozdrzami kołnierzyka koszuli zamordowanego. Gdy wyprostował się ponownie, miał zmarszczone brwi i chmurny wyraz oczu.

— *Interessant* — powiedział i raz jeszcze pociągnął nosem. — Panno Benson — rzekł — czy może mi pani poświęcić kilka chwil?

Obrzuciła go ciekawym, lecz śmiałym spojrzeniem i bez słowa przeszła do biblioteki. Gdy usiedli w wygodnych fotelach, Poirot westchnął:

— *Mon Dieu!* Tęsknię za kieliszkiem martini.

— Myślę, że pani Howard mogłaby zaspokoić pana pragnienie — odparła Viola.

— Na to zawsze będzie czas, *mademoiselle!* — zawołał dwornie mały Belg i obdarzył

pannę Benson urzekającym uśmiechem. Kiedy mówił te słowa, pochylił się w stronę młodej dziewczyny i lekko pociągnął nosem. Jego twarz wyrażała zdumienie. Ale Viola nie zauważyła nic niezwykłego w jego zachowaniu.

— *Mademoiselle* — rzekł po chwili Poirot — ma pani precudne włosy.

Rzeczywiście Viola Benson, która mogła uchodzić za skończoną piękność nawet w oczach najbardziej wybrednego znawcy kobiet, była szczególnie dumna ze swych włosów. Były puszyste, miękkie, niezmiernie delikatnej barwy dojrzałych kasztanów. Miały połysk nadający im odcień radości, coś pomiędzy szlachetnością miedzi a kolorem krwawników.

Zachwyty małego Belga Viola przyjęła ze spokojem.

— Używa pani perfum świadczących o niezwykłym guście i poczuciu harmonii — kontynuował Poirot z uśmiechem. — Schiaparelli! Ta nazwa mówi sama za siebie. — I znowu pociągnął nosem z lubością. Panna Benson uniosła nieco brwi. Nadało to jej twarzy wyraz staroegipski. Niemal do złudzenia przypominała słynną rzeźbę przedstawiającą głowę królowej Nefretete; dla Kleffa stało się jasne, że dla takiej kobiety mężczyźni gotowi byli tracić głowy. Ale Herkulesa Poirot zaprzętały inne myśli, gdyż zapytał:

— Czy pani bardzo kochała Jima Harlowa?

— Zalecał się do mnie — odparła chłodno panna Benson, a Poirot teatralnym ruchem położył dłoń na sercu.

— Jakie to romantyczne — rzekł, przyzymkając oczy. — *Toujours l'amour!*

— Nie przesadzajmy — wtrąciła panna Benson.

— A więc to nie była miłość? — zapytał Poirot, nagle zaciekawiony.

— Z mojej strony na pewno nie.

Powiedziała to niemal bezwstydnie. Kleff dostrzegł, że na twarzy małego Belga wystąpił rumieniec. Poirot był człowiekiem starej daty, nie potrafił godzić się z cynizmem młodego pokolenia.

— Dziękuję pani, *mademoiselle* — powiedział wreszcie i wstał rezygnując z dalszych pytań. — Myślę, że się jeszcze zobaczymy.

Każdy inny na miejscu Violi Benson musiałby poczuć mróz w kościach, tak niepokojącym tonem wypowiedziane były ostatnie słowa detektywa. Lecz młoda kobieta zdawała się zupełnie tego nieświadoma. Uśmiechnęła się i wyszła.

Gdy zostali sami, Kleff odezwał się nieśmiało:

— Pan ją podejrzewa, panie Poirot?

— *Non, mon vieux!* — odparł mały Belg. — To byłoby zbyt proste. W każdym razie ta młoda dama przestała mi się podobać. Jest za zimna, jak na mój gust. — Roześmiał się

i zatarł ręce, jak to było w jego zwyczaju.

I już znowu byli w holu. Poirot skierował się w stronę panny Howard, właścicielki pensjonatu.

— Co za piękny wieczór — rzekł ze swadą. — Czy nie odczuwa pani potrzeby zaczerpnięcia nieco świeżego powietrza?

Panna Howard, ujęta jego galanterią, odparła:

— Chętnie się przejdę.

Wyszli do ogrodu we troje. Poirot szedł z panną Howard. Za nimi Kleff, milczący i podniecony.

— Od jak dawna zna pani Violę Benson? — zapytał mały Belg.

— Chyba cztery, pięć lat — odparła swobodnie. — Viola przyjeżdża tutaj latem na weekendy. Jest bardzo ujmująca, czy nie sądzi pan?

— *Mais oui* — odparł Poirot i zrobił smutną minę, jak gdyby ta opinia przychodziła mu z trudem. — Ale czy pani nie uważa, że *mademoiselle* Viola jest trochę flirciarą?

— W tym wieku każda z nas jest flirciarą — odparła panna Howard, a Poirot obrzucił ją dość natrętnym spojrzeniem. Kleff pomyślał, że w odniesieniu do panny Howard nawet przed pół wiekiem trudno byłoby użyć określenia „flirciara”. Może w czasach królowej Wiktorii, ale to też byłaby przesada.

— Czy stosunki między panną Benson a Jimem Harlowem były, że tak powiem, zupełnie normalne? — zapytał Poirot.

Panna Howard roześmiała się. Jej śmiech brzmiał jak ujadanie szakala.

— O, nie — odparła — To nie było normalne. Przecież biedny Jim szalał za nią, a ona nawet nie raczyła na niego spojrzeć.

— To mi się podoba — mruknął mały Belg i nagle zerwał kwiat z krzewu róży. Panna Howard obrzuciła go piorunującym spojrzeniem, ale Poirot zdawał się zupełnie nie pojmować całej ohydy swego czynu. Powąchał różę, przyklnął oczy i rzekł: — Upajające! Zapachy są moim hobby!

— Wszystkie róże pachną tak samo — powiedział Kleff. W tej samej chwili Poirot nagle zatrzymał się na ścieżce, jakby tknięty nową myślą. Kleff spojrzał na niego i zobaczył jego dziwnie pobladłą i zaciętą twarz.

— *Mon Dieu* — powiedział szybko Poirot. — Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia. Zechce pani wybaczyć, *mademoiselle*, ale obowiązek wzywa mnie do powrotu. — I nie czekając na odpowiedź zdumionej panny Howard, pobiegł ku majaczącym w mroku konturom tarasu. Kleff puścił się za nim, przeklinając swój brzuch i ciężki pas policyjny. Nie

mógł wyjść z podziwu, jak błyskawicznie ten człowiek się odmienił. W małej sylwetce było tak wiele dynamizmu, siły, prężności, że Kleff wprost się zdumiewał. Tymczasem Poirot mówił zdławionym głosem:

— Prędko, prędko! Zdaje mi się, że jestem na tropie. Nie ma pan nawet pojęcia, z jakim potworem mamy do czynienia. *Mon Dieu!* Słodka ojczyzno, gdzież jesteś teraz? Czy muszę ciągle stykać się z łajdakami na tej przeklętej Wyspie! Potrzebuję jednego dowodu. Tylko jednego dowodu. Ale obawiam się, że może już być za późno. Szybko, sierzancie! Który pokój zajmuje pan Biaggi?

— Drugi na prawo w korytarzu pierwszego piętra — odarł Kleff sapiąc.

— Doskonale! Niech pan zatrzyma całe towarzystwo na dole.

Wpadli zziązani na taras. Poirot natychmiast zniknął za murem domu. Kleff natomiast szedł do wnętrza i zastawszy tam wszystkich mieszkańców pensjonatu z wyjątkiem panny Howard, opuszczonej tak nieoczekiwanie w ogrodzie, oświadczył:

— Proszę, niech wszyscy pozostaną na miejscach.

— Przecież jesteśmy tutaj od dawna — powiedział Sinclair z widocznym sarkazmem.

Pani Moss jęknęła. Viola Benson z zupełnym spokojem rozczesywała swoje wspaniałe włosy. Biaggi nawet nie raczył się odwrócić od okna.

Kleff cały zamienił się w słuch. Usłyszał cichy trzask na górze, ale natychmiast skonstatował, że nikt poza nim nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy byli zajęci ożywioną rozmową. Pani Moss wyrzekała na Europę i miała pretensje do męża, że zamiast siedzieć teraz spokojnie w Miami, są zamieszani w ohydne morderstwo. Lord Griffin podszedł do Biaggiego, z którym podjął rozmowę, ale Kleff nie słyszał jej treści, zajęty odgłosami, które dochodziły do jego uszu z góry, gdzie właśnie buszował Herkules Poirot. Panna Benson wraz z Sinclairem przechadzała się przed kominkiem, uśmiechnięta, wesoła, spokojna. Wydawała się zupełnie zaabsorbowana słowami Sinclaira, który nadszkakiwał jej dość wyraźnie.

— To gorszące! — zawołała w pewnej chwili pani Moss, Columbus, Ohio, USA.

— Ależ, moja kochana — basował pan Moss.

Viola i Sinclair zbliżyli się do okna i przyłączyli do rozmowy, którą prowadzili Biaggi i lord Griffin. W tej chwili na schodach ukazał się Poirot. Jego twarz jaśniała zadowoleniem.

— Drodzy państwo — zawołał — zbliżamy się do finału!

— Nareszcie! — odkrzyknął multimilioner. — Czy pozwoli mi pan sfotografować mordercę?

— O ile będzie miał na to ochotę — odparł Poirot wesoło. Mimo napięcia całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

Poirot zbliżył się do Kleffa i rzekł cicho:

— Czekam w bibliotece. Niech pan sprowadzi do mnie panią Moss. Jest to osoba, która jest mi teraz bardzo potrzebna.

Kleff zdziwił się, ale posłusznie wykonał polecenie.

Rozmowa, w której uczestniczył jako milczący świadek, wydawała mu się idiotyczna. Poirot zachowywał się nader przymilnie, aby zjednać sobie sympatię starej bogaczki, co mu się zresztą świetnie udało. Raczył ją komplementami na temat jej spostrzegawczości i upoczywie wracał do pozbawionej wszelkiego znaczenia sprawy sprzed trzech dni, o której pani Moss wspomniała poprzednio.

— Zajmuje pani pokój obok, *madame* — mówił Poirot — i odznacza się pani czułym słuchem. Proszę powiedzieć mi dokładnie, co pani wówczas słyszała przez ścianę.

— Ależ to nie ma żadnego znaczenia — odparła pani Moss. — Powiedział po prostu, że ma jej dosyć i wyjeżdża. „Nie wyjedziesz”, odparła ze złością. Była to zwykła sprzeczka zakochanych. Zresztą nazajutrz wszystko wróciło do normalnego stanu.

— Co pani rozumie przez normalny stan, *madame*?

Roześmiała się swobodnie, tą swobodą typową dla starych Amerykanek.

— Oboje znamy życie, mój panie. Czy trzeba to dokładnie wyjaśniać? — Poirot skwitował tę uwagę jednym ze swych najbardziej uroczych uśmiechów, ale natychmiast spochmurniał i dodał:

— Czy pani wie, że on był już spakowany do wyjazdu?

W oczach pani Moss pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Nie, nie wiedziałam!

— *Voilà* — rzekł po głębokim namyśle Poirot i na tym rozmowa się skończyła.

Gdy pani Moss wyszła z biblioteki, Poirot oświadczył:

— A więc mamy już mordercę. Niech pan się przygotuje na najgorsze, drogi sierzancie.

Idziemy do holu.

Hol był rzęsiście oświetlony. Światło spływało łagodnie z kryształowego żyrandola. Poirot powiedział:

— Zechcą państwo zająć miejsca. Czuję się w obowiązku wyjaśnić wam wszystko!

Usiedli w skupieniu, poważni i milczący. Państwo Moss przy kominku, lord Griffin tuż obok na skórzanym fotelu, pod oknem zaś Viola, panna Howard, Biaggi i Sinclair. Ta czwórka zajadała czekoladki, które przyniosła z sobą Viola w prześlicznej bombonierce.

— Kiedy byłem dzieckiem — zaczął Poirot — bardzo kochałem kwiaty. Nic nie sprawiało mi takiej radości jak woń przeróżnego kwiecica i choć nic nie dorówna zapachom Anglii, to

jednak przyznacie państwo, że w mojej niewielkiej ojczyźnie można spotkać kwiaty o urzekających woniach. To zamięłowanie do zapachów stało się moją obsesją. W połączeniu z talentem i doświadczeniem, o których przez skromność nie chciałbym wspominać, ta właśnie obsesja doprowadziła mnie do wykrycia tajemniczego morderstwa. *Pardon, mademoiselle Viola! Czy można prosić o ciszę! Państwo tak szeleszczą tymi papierkami.*

Wszyscy roześmieli się na tę uwagę, a Poirot kontynuował:

— Jim Harlow był sympatycznym i uczciwym chłopcem. Wszyscy go tutaj lubili. Ale był zajęty tylko jedną osobą. I nie należy mu się wcale dziwić. Ta osoba zasługuje na zainteresowanie. — Skłonił się w stronę panny Benson, a wszyscy obdarzyli ją przyjaznymi uśmiechami.

Przyznam szczerze — mówił Poirot, patrząc gdzieś przed siebie — że śmierć Jima była dla mnie zagadką. Cóż takiego znalazłem, kiedy pochyliłem się nad jego zwłokami? Piękny, kasztanowaty włos. Był to, jak sądziłem, włos panny Violi. Sierżant Kleff, nasz wspólny przyjaciel, chciał wyciągnąć z tego faktu daleko idące wnioski, lecz powstrzymałem go. To byłoby przecież tak proste, że niemal wulgarne.

Dał się słyszeć szmer ulgi i wszyscy zwrócili oczy na pannę Benson, która uśmiechnęła się do małego Belga i odezwała się miękkim łagodnym głosem:

— Dziękuję panu, że mnie pan obronił.

— Jestem zawsze do pani usług, *mademoiselle* — odparł grzecznie Poirot z błyskiem w oczach. — Proszę tylko schować czekoladki. Trzeba dbać o linię!

Po czym kontynuował swobodnie:

— Ten włos zbił mnie z tropu, ale potem on właśnie wyjaśnił mi więcej niż cokolwiek innego. Panna Benson używa znakomitych perfum. Schiaparelli! *Eh bien!* Co za gust! Kiedy tylko wszedłem tutaj, do tego holu, poczułem ten zapach. Nie płynął on jednak od panny Benson, lecz od zupełnie innej osoby. To mi dało do myślenia. Szczególnie, że koszula biednego Jima Harlowa wydzielala zapach zgoła odmienny. Był to zapach „Yasmin” Yardleya. Kto dobrze rozróżnia zapachy, ten wie, czym jest „Yasmin” Yardleya, a czym Schiaparelli. Ale przecież woń Schiaparelli unosiła się gdzieś tutaj, bardzo blisko mnie. — W tej chwili w grupie siedzącej pod oknem ktoś jęknął.

— Co się stało? — zapytała pani Moss.

— To drobnostka! — zauważył Poirot ze złowieszczym spokojem. — Za chwilę usłyszycie pani nie jęk, lecz krzyk mordercy!

Wszyscy zbledli, a pan Moss zapalił cygaro.

— Była pewna młoda i piękna kobieta, która kochała pięknego i młodego mężczyznę —

mówił Poirot, a Kleff odczuł w jego tonie zimne okrucieństwo. — W tym oto pensjonacie przeżywali swoją idyllę. Ale jak wszystkie inne i ta idylla również musiała się skończyć.

Młody mężczyzna miał już dosyć miłości, postanowił zerwać i wyjechać. Nie ukrywał tego.

Pewnego dnia powiedział kochance wyraźnie, że odchodzi. Znajomość tego faktu zawdzięczamy czujności naszej drogiej pani Moss.

Uklonił się dyskretnie w stronę multimilionerki i ciągnął dalej:

— Wtedy kobieta postanowiła się zemścić. *Ř propos!* Drogi panie Biaggi! Nie radzę jeść tych czekoladek!

— To potwarz! — rozległ się krzyk od okna.

Panna Benson, blada, z oczyma utkwionymi w Poirota, stała wyprostowana na tle pąsowej portiery.

— To prawda — odrzekł spokojnie Poirot. — To prawda, że chciała pani zamordować Biaggiego i że chce pani zrobić to nawet w tej chwili. Sierzancie! Niech pan zabierze te czekoladki, troskliwie je przechowa i odda do analizy. Przysięgnę, że jest tam jedna, przeznaczona dla Biaggiego, nadziewana cyjankiem zamiast masą pistacjową.

— Ależ to straszne! — krzyknęła panna Howard i upuściła czekoladkę, którą właśnie chciała włożyć do ust.

— Może pani być spokojna, *mademoiselle!* Panna Benson tym razem nie popełniła pomyłki. Ta czekoladka leży zapewne oddzielnie. Miała być podsunęta Biaggiemu w odpowiedniej chwili:

— Jest pan potworem! — krzyknęła Viola Benson i w ostatniej chwili połknęła czekoladkę opakowaną w niebieski papierek. Padła na ziemię. Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że Viola Benson nie żyje. Jej wspaniałe, kasztanowate włosy o rudawym odcieniu rozsypały się po posadzce. Był to widok przejmujący.

— Ale jak pan doszedł do rozwiązania tej zagadki? — zapytał Archibald Moss i strzepnął popiół z cygara.

— To było proste — odrzekł Poirot. — Zapach Schiaparelli wskazał mi, że należy łączyć z sobą dwie osoby: Biaggiego i tę oto nieboszczkę. Pani Moss dorzuciła nieco szczegółów na temat ich wzajemnego stosunku. Już wcześniej wiedziałem, że Jim został zamordowany niejako przez przypadek. Perfumy „Yasmin” Yardleya jakoś mi nie pasowały do całości zbrodni. Sierżant Kleff nieświadomie naprowadził mnie na właściwy trop. Powiedział o różach, że są wszystkie jednakowe, czy coś w tym rodzaju. To mną wstrząsnęło! Róże w istocie wszystkie są jednakowe. Ale czy na przykład nie bywają jednakowe koszule? Niech pan na mnie nie patrzy z takim zdziwieniem, *monsieur* Moss! Koszula, w której Jim



przechadzał się po holu w krytycznej chwili, była bardzo dziwaczna. Pomarańczowa w zielone wzorki. Takie koszule należą raczej do rzadkości. Ta koszula nie pasowała, zapach „Yasmin” Yardleya mi nie pasował. Coś tutaj było bardzo sztucznego. Przecież Viola Benson nie miała żadnych podstaw, aby zabijać Jima Harlowa. A jednak na jego ciele znalazłem jej włos. Kiedy dokonałem rewizji w pokoju pana Biaggi (mam nadzieję, że mi pan wybaczy, *monsieur*, ten zdrożny czyn podyktowany koniecznością), znalazłem w jego rzeczach identyczną koszulę. Pomarańczową w zielony wzorek. Teraz wszystko już było jasne. Viola Benson umówiła się w holu z Biaggim o jedenastej piętnaście. Zwabiła go tam po prostu, aby nożem zemścić się za porzucenie. Przypadek zdarzył, że Jim, ubrany identycznie, zjawił się tam o tej porze, a Biaggi nieco się spóźnił.

Proszę zwrócić uwagę, że story były zaciągnięte. Panował tutaj mrok. Zarówno Jim, jak i Biaggi są podobnie zbudowani. Wzrost, tusza. Viola weszła do holu punktualnie. Miała ze sobą nóż. Zobaczyła niewiernego kochanka, chciała mu coś powiedzieć, ale wtedy rozległy się kroki na tarasie. To właśnie nadchodził Biaggi. Zrezygnowała więc z rozmowy. Jednym pchnięciem wbiła nóż w serce chłopca, który ją kochał i którym w istocie rzeczy pogardzała. Potem uciekła. Wszedł Biaggi, zobaczył zwłoki i podniósł alarm. Tak, *monsieur* Biaggi. Ten chłopiec stracił życie zamiast pana. Powinien mu pan być wdzięczny.

Biaggi ze łzami w oczach powiedział:

— To był bardzo sympatyczny młody człowiek.

— Wybornie grał w golfa — dorzucił lord Griffin. Te proste, tak serdeczne i ludzkie słowa rozładowały atmosferę. Pani Moss rzekła zwracając się do męża:

— Archibaldzie! Tak się boję o moje klejnoty. Może byś zaangażował pana Poirot jako prywatnego detektywa w naszym domu w Colombus.

Poirot usłyszał te słowa i zamienił z Kleffem figlarne spojrzenia.

— *Mon sergent* — rzekł wesoło — uciekajmy, bo nas wywiozą za ocean. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Po chwili hol opustoszał. Został tam tylko trup morderczyni, która opowiedziała A, lecz nie mogła już powiedzieć B.

Sierzant Kleff otworzył oczy. Bolała go głowa, którą opierał o twardą poręcz krzesła, co — jak wiemy — nie należy do pozycji najbardziej wygodnych. W rękę trzymał swój gruby, srebrny zegarek, który wskazywał godzinę piątą. Ten fakt niezmiernie zdziwił zacnego sierżanta. Przecież pamiętał dokładnie, że właśnie punktualnie o piątej zaterkotał na biurku telefon i tajemniczy głos zakomunikował mu, że w pensjonacie „Pod Szlachetnym Koniem” popełniono morderstwo.

Okropność — pomyślał Kleff.

Rozejrzał się dokoła i nagle wrócił mu dobry humor. Był przecież u siebie, na swoim kochanym, poczciwym posterunku policji rzecznej i po prostu zdrzemnął się chwilę.

Jestem trochę zmęczony — pomyślał.

Wybiła piąta i nasz sympatyczny policjant, tak okrutnie doświadczony przez los i własne upodobania do powieści kryminalnych, ostatecznie otrząsnął się z przykrych wspomnień snu.

— Co za bzdury — mruknął i roześmiał się beztrósco. — A swoją drogą — mówił sobie z odrobiną szyderstwa i jednocześnie rozczarowania — obudziłem się trochę za wcześnie.

Ciekawe, co na temat tej zbrodni powiedziałyby taki Philo Vance albo Marlowe? He, he! Ten zrobiłby chyba mordercę ze mnie. Przecież nie znosi policjantów. Albo panna Marple. O, to groźna baba. Panna Marple odkryłaby naraz trzech morderców. A Filip Collin? Ten byłby chyba najbardziej dowcipny. Jakiś fałszywy czek albo fałszywy maharadża! Czego też ci autorzy powieści kryminalnych nie wymyślą... A przecież w życiu wszystko dzieje się o wiele prościej. Na szczęście! Wracajmy do naszych przejechanych baranów, kochany sierżancie!

Roześmiał się i znowu spojrzął na zegarek. Była godzina piąta i pięć minut.

W tej chwili zadzwonił telefon. Kleff podniósł słuchawkę i rzekł znudzonym głosem:

— Posterunek policji rzecznej. Sierżant Kleff! Słucham! Po drugiej stronie przewodu odezwał się jakiś dziwnie znajomy głos. Głos, którego sierżant Kleff nie potrafił skojarzyć z żadną znaną mu osobą, ale przecież wcale nieobcy. Głos powiedział:

— Chciałem pana zawiadomić, że w pensjonacie „Pod Szlachetnym Koniem” popełniono morderstwo!